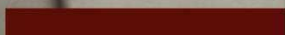


ANNA ZACHARZEWSKA

HODOWCA ŚWIŃ

Uważaj, by nie zadławić się władzą



ANNA ZACHARZEWSKA

HODOWCA ŚWIŃ



Był cięższy, niż się spodziewał. Jego bezwładne ciało wyslizgiwało mu się z rąk, mimo iż chwycił je mocno pod pachy, a kolebiąca się między barkami głowa obijała mu się o uda, sprawiając, że każdy kolejny krok stawał się coraz trudniejszy. Zerknął na Pawła trzymającego zwłoki za nogi i dostrzegł, że on również się krzywił. Ramiona Doktorowicza były naprężone z wysiłku, na szyi pulsowały mu żyły, a w zakolach pojawiły się krople potu.

– Cholernie ciężki! – mruknął Paweł, a on zgodził się z nim lekkim skinieniem głowy.

– Może położymy go na chwilę na ławce? – zaproponował, gdy pokonali próg domu.

– Lepiej nie. – Doktorowicz sapnął. – Jakoś damy radę go dowlec. Drugi raz już nie zdołam go podnieść.

– Najbliższa szopa?

– W porządku.

Cofał się, zerkając co chwila przez ramię i odmierzając kroki, które wciąż dzieliły ich od zaadaptowanego na skład drewna kurnika. Paweł stawiał nogi nieco pewniej od niego i w próbie przyspieszenia wszystkiego zaczynał go taranować zwłokami.

– Nie pchaj mnie! – warknął złowrogo, usiłując powstrzymać sapanie. – Baśka! Otwórz nam drzwi do drewni!

Tomaszewska obejrzała się w jego stronę, niechętnie zmieniła trajektorię marszu, po czym otworzyła wejście do szopy.

– Rzućcie go na podłogę – mruknęła cicho, obserwując, jak wchodzi do wnętrza. – Nie ma sensu go specjalnie układać.

Doktorowicz potraktował jej sugestię dosłownie i gdy tylko przekroczył próg, bez ostrzeżenia wypuścił trzymane przez siebie nogi z rąk. Zerknął na zwłoki z gniewem i pociągnawszy je nieco głębiej do środka, ułożył ostrożnie na ziemi. Myśl, że mógłby nimi rzucić jak workiem, wydawała się barbarzyńska. Nikt nie zasługiwał, by obchodzić się z jego ciałem w ten sposób. Nawet nieboszczyk. A może zwłaszcza: niemogący się bronić nieboszczyk.

Wyrównał podciągniętą w trakcie niesienia bluzę denata, poprawił mu głowę i wzdrygając się z obrzydzenia, przejechał mu dłonią po twarzy. Powieki przymknęły się nieco, lecz ciągle nie były zamknięte.

– Na filmach to wygląda tak prosto...

Spojrzał na Pawła stojącego obok i po raz pierwszy od długiego czasu dostrzegł na jego twarzy przejęcie. Doktorowicz był bledszy niż zwykle, a jego jasna, usiana piegami skóra lśniła mocno od potu. Niemal białe włosy miał zmierzwiłone i choć nie wiadomo było, czy powodem rozczochrania jest włożony w dźwiganie trupa wysiłek, czy raczej doznanie grozy, to założył, że raczej to

drugie. Mimo pozornej gruboskórności Doktorowicz nie był potworem. Reagował inaczej niż inni, z opóźnieniem i po chwili refleksji, lecz to wcale nie umniejszało doznawanych przez niego emocji.

– Chryste... – jęknął Paweł i osunął się na podłogę. – Piotrek... Co ja najlepszego zrobiłem...?

Przyglądał mu się przez chwilę, nie znajdując słów, które powinien teraz z siebie wydobyć. Co niby miałby powiedzieć? Pocieszyć go? Zapewnić, że nic się nie stało? Ukoić dręczące wyrzuty sumienia jakimś okrągłym, pozbawionym sensu truizmem?

– Chcesz zostać sam? – wydusił z siebie w końcu i zanim zawiesił na końcu zdania pytajnik, zdał sobie sprawę, że raczej powinien być milczeć.

– Nie! Piotr! – Doktorowicz spojrział histerycznie na zwłoki, zerwał się z ziemi i złapał go gwałtownie za rękę. – Nie zostawiaj mnie tutaj samego!

Kiwnął głową w milczeniu i wypchnął Pawła powoli na zewnątrz.

– Musisz się uspokoić.

Przyparł kolegę plecami do ściany składziku i trzymając silnie za barki, spróbował pochwycić jego spojrzenie.

– Z dwojga złęgo wolę już, żebyś był taki zimny jak wcześniej. Stało się. Nic już tego nie zmieni. Weź się w garść. Oni wszyscy liczą tylko na ciebie.

Wzrok Pawła się nie uspokajał. Przeciwnie, w jego oczach widział coraz większą panikę. Tak jakby świadomość, że nie tylko jest współwinny tej śmierci, ale na dodatek musi teraz pokierować innymi, wprawiała Doktorowicza w dodatkowe rozedrganie.

– Nie zmuszaj mnie, żebym przyłożył ci w mordę! – ostrzegł go szorstko w nadziei, że tamten się w końcu pozbiera. – Zrobię to. Słowo daję.

Paweł zerknął na niego półprzytomnie i kiwnął głową zachęcająco.

– Zrób to! Zasłużyłem!

Puścił jego ramiona i odwrócił się z niesmakiem plecami.

– Daruj sobie. Jeśli uważasz, że to załatwi sprawę i będzie odpowiednią pokutą, to znajdź sobie kogoś innego.

– Przepraszam – wybełkotał Doktorowicz i zasłoniwszy twarz dłońmi, zakwilił bezradnie jak dziecko. – Nie daję sobie z tym rady.

– Nikt z nas sobie nie daje. Wszyscy czują się tak samo paskudnie.

– Gdyby nie ja... – płaczliwy głos Pawła rwał się teraz w spazmatycznych, pozbawionych oddechu szczenięciami. – To przeze mnie... przeze mnie... nie żyje.

Odwrócił się w jego stronę z namysłem, pokiwał głową, po czym objął go mocno ramieniem.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – szepnął mu prosto do ucha. – W tym gronie nie było nikogo, kto rzeczywiście chciałby cokolwiek zrobić. Nikt nawet nie

ruszył się z miejsca. A jeśli już, to tylko po to, by upewnić się, że gnój nie przeżyje. Ty mi dałeś z kułaka w kręgosłup, lecz to Pola podpuściła Marcina, żeby walnął mnie piąchą w bebechy. A potem na dodatek zaczęła coś bredzić na temat szkolenia z pierwszej pomocy. Wszystko po to, żeby zyskać na czasie. A Baśka? Ona również życzyła mu śmierci. Dokładnie tak samo jak Lena.

– Nie ty... – wycharczał cicho Doktorowicz. – Nie skończyłem. – Przyciągnął go mocniej do siebie i jeszcze bardziej zniżył głos: – Ja też nie znosiłem skurwiela. Zareagowałem w ten sposób pod wpływem impulsu.

Doktorowicz wciągnął głęboki haust powietrza i wypuścił je po chwili przez usta. Był spokojniejszy. Jego dłonie już nie drżały, a sylwetka wyprostowała się nieco. Uwolnił go z objęć, odsunął się o pół kroku i znacząco spojrzał mu w oczy.

– Wszyscy tu jesteśmy bestiami. Ja po prostu jestem nieco bardziej tchórzliwy. – Uśmiechnął się krzywo pod nosem, a Paweł spapugował ten grymas.

– Dzięki.

– Drobiazg. Jeśli o cokolwiek mam do ciebie pretensje, to że powiedziałeś im o Violetcie. Rozumiem powody... ale mogłeś mi tego oszczędzić.

– Masz rację. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Powiedziałem już, że rozumiem.

– Co zatem teraz robimy?

– Sprawdźmy, co z Baśką. Nie powinniśmy jej zostawiać samej.

Paweł skinął głową i wskazał mu brodą wychodzącą właśnie ze stodoły Tomaszewską, która tuliła do siebie spory kawał wyjętego z przemysłowej chłodziarki mięsa. Na jej twarzy malowały się zadowolenie i czułość. Jakby nie trzymała w ramionach szynki, lecz urodzonego przed momentem w bólach noworodka. Wzdrygnął się i odwrócił spojrzenie.

– Pomóc ci, Basiu? – Doktorowicz wykonał gest, jakby pragnął odebrać jej tuszę.

– Nie, dziękuję! – Głos Barbary był radosny i bardziej energiczny niż zwykle, a jej palce jeszcze mocniej zacisnęły się na mięsie. – Dam sobie radę.

Sapnął pod nosem i ruszył w stronę domu, mając nadzieję, że Tomaszewska go nie dogoni. Serdeczność, z jaką traktowała niesioną przez siebie wieprzowinę, kojarzyła mu się z kanibalizmem, z nieposkromionym apetytem, który wymykał się kontroli umysłu i sprawiał, że gdyby nie wypakowana po brzegi lodówka, to rozważyłaby pewnie wygryzienie z trupiej twarzy policzków. Wzdrygnął się z odrazą i parsknął. Czy naprawdę była tak głodna? Czy zezwierzęcenie mogło postępować tak szybko? W kilka dni przekształcić cywilizowaną osobę w niezważającego na nic potwora? Ludożercę, dzikusa, oprawcę?

– Nie chciałbym z nią trafić na bezludną wyspę. – Doktorowicz zdawał się czytać mu w myślach.

– Fakt. Zjadłaby cię, zanim byś się zdołał obejrzeć – mruknął ponuro

i przyspieszył niemalże do truchtu.

– Hannibal? Policzki Miszy?

– Przestań! Sam już o tym myślałem.

– Jest przerażająca, nie sądzisz?

Zatrzymał się gwałtownie i zmierzył Pawła wzrokiem.

– Jeśli się natychmiast nie zamkniesz, to dam ci w pysk. Zrozumiano?

– Kurwa, stary, daj spokój! To tylko skojarzenia. Obaj wiemy, że nie byłaby zdolna zjeść trupa...

Zanim Doktorowicz zdążył się zorientować, kolega podniósł pięść i wymierzył mu prawy sierpowy. Paweł zachwiał się i przewrócił na ziemię.

– Ostrzegalem.

– Kurwa, Piotrek! Pojebało cię?! O co, do cholery, ci chodzi?!

Zignorował pytanie i zostawiwszy go na ziemi, pobiegł do domu. Nie był teraz w stanie rozmawiać. Nie o Tomaszewskiej ani jej głodzie. Nie o perspektywie patrzenia, jak łakomie pożera tę szynkę. Nie chciał tego widzieć ani nawet wyobrażać sobie tej sceny. W głowie kołatała mu się myśl, że pozwoliła komuś zdechnąć tylko po to, by wreszcie móc zeżreć tę świnię. Dorwać się do chłodziarki i wydrzeć jakiś ochłap z jej wnętrza. Dzisiaj była w stanie zjeść wszystko, polędwicę, karkówkę, podroby... Policzki Miszy, policzki Tuszy, policzki Leny, Marcina czy Poli... Może i jego własne, usmażone na grillowej patelni.

W ostatnim momencie dopadł zlewu w kuchni i zwymiotował. Pozbawiony treści żołądek wyrzucił z siebie kwaśną dawkę wilgoci, zwinął się w kłębek i ponownie wybuchł torsjami. Tym razem na poobijanej bieli emalii wylądował fragment nieprzetrawionego liścia rzodkiewki. Spojrzał na niego, poczuł, że zaraz zemdleje, i kurczowo przytrzymał się blatu. Obraz przed oczami zniknął, zasypany przez czarne płaszące plamy, których brzegi zdawały się pulsować i gorzeć niczym rozpalające się powoli krawędzie grillowego węgla drzewnego. Myśli o pieczonych policzkach wróciły, a spocone palce ześlizgnęły się z kuchennego pulpitu. Osunął się na kolana, przewrócił na bok i w ostatnim przeblysku świadomości dostrzegł nachylającą się nad nim Letycką. Poruszała ustami, powtarzając jego imię i pytając, czy dobrze się czuje.

* * *

– Piotr! Piotrek! – Szarpnęła go ponownie za ramię, po czym opadła na podłogę. – Nic ci nie jest? Piotr! Odezwij się! Proszę!

Leszczyński się nie poruszył, więc tłumiąc zbliżające się spazmy, nachyliła się bardziej, by przyłożyć mu ucho do klatki. Serce biło. Westchnęła z ulgą i poczuła, że wstrzymywane przez chwilę drgawki wracają. Łzy leciały jej teraz ciurkiem, a roztrzęsione ręce nie dawały się uspokoić. Przesuwała nimi po twarzy Piotra, gładząc jego policzki, czoło i brodę i nie umiejąc powiedzieć, czy chce tym

gestem uspokoić Leszczyńskiego, czy siebie. W końcu, pokonana przez nadmiar emocji, przywarła do niego i objęła go ramionami jak dziecko. Nie odpowiedział na gest Leny, co tylko spotęgowało jej rozpacz.

– Ocknij się, błagam! – jej szept zagłuszony był łkaniem.

Leszczyński jęknął, więc oderwała się od niego i znów przejechała mu dłonią po twarzy.

– Co tu się stało?! – usłyszała za sobą przerażony głos Poli i odwróciła się w jej kierunku.

– Nie wiem. Chyba stracił przytomność.

Potocka przyklęknęła obok, po czym oparła głowę Piotra na swoich kolanach. Obserwując jej ruchy, Lena poczuła się odtrącona i jeszcze bardziej samotna. Rozczulenie nad sobą znów w niej wezbrało i sprawiło, że zadławiła się własną goryczą.

– Nie płacz, Lenka. Na pewno mu przejdzie. – Pola dostrzegła jej rozżalenie, wysunęła rękę i złapała ją mocno za palce.

Zaniosła się niepohamowanym płaczem, podpełzła do Potockiej i wtuliła w nią z nadzieją, że jej nie odsunie. Czuliła się teraz całkowicie bezbronna. Pozbawiona siły i bezradna jak dziecko. Przytłoczona przez nadmiar wydarzeń.

– Już dobrze. – Pola pogłaskała ją lekko po włosach. – Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Będzie dobrze...

To przypomniało jej mamę. Lata temu mówiła do niej tak samo. Głaskając ją uspokajająco po głowie, przekonywała, że wszystko się jakoś ułoży, że da sobie radę, że ten smutek i rozpacz to chwila. Że za tydzień o wszystkim zapomni...

Załkała ponownie. Wspomnienie matki rozczulało i czyniło ją jeszcze bardziej bezbronną. Nie była już teraz Leną, lecz wypłakującą się w matczynej podolek dziewczynką. Małą Lenką o długich jasnych warkoczach, której koleżanki dokuczyły w przedszkolu. Zrozpaczoną, pozbawioną wiary w siebie i jedyną otuchę czerpiącą z miękkiego dotyku, gdy matka gładziła jej włosy. Skupioną tylko na nim. Tak jakby mama była wyłącznym godnym zaufania gwarantem przyszłego sukcesu. Jakby tylko ona była w stanie ją zrozumieć, pocieszyć, ukoić. Naprawić świat.

Dwa tygodnie wcześniej

Piotr

Wszedł do pubu i rozejrzał się uważnie po zatłoczonym mrocznym wnętrzu. Jak zawsze w piątek wieczorem pracownicy okolicznych biurowców zebrali się tutaj na kończącego tydzień zasłużonego drinka. Wielu z nich zdążyło już zdjąć marynarki oraz rozluźnić krawaty. Nieliczne kobiety uwolniły włosy z gumek, rozpięły dwa najwyższe guziki biurowych koszul i zbite w grupki rozglądały się dokoła w poszukiwaniu towarzystwa na wieczór. Mężczyźni byli bardziej skupieni na sobie. Niektórzy wciąż jeszcze omawiali służbowe tematy, inni wymieniali uwagi na temat meczów, samochodów i koni, które miały w sobotę startować w obstawianej przez nich wszystkich gonitwie. Słyszał podekscytowanie w głosach, lecz nie pojmował emocji, jakie budziły w nich rozgrywki sportowe. Bycie kibicem wydawało mu się wyjątkowo jałową rozrywką. Jaką przyjemność mogli odczuwać z obserwacji cudzego wysiłku? Jaką gratyfikację dawała im wygrana ulubionej drużyny? Z czego brała się ich satysfakcja? Sport miał sens tylko wówczas, gdy samemu się walczyło o puchar. Kiedy stawało się w szranki, by wykazać swą przewagę nad resztą. Bez uczestnictwa tracił znaczenie. Był równie głupią formą relaksu jak oglądanie latynoskich seriali, tworzonych dla ludzi, których nie stać na hobby i życie pełne emocji.

Przebił się do baru, zamówił podwójną whisky i uzbrojony w szklanekę wyszedł na zewnątrz. Tu również kłębił się tłumek, a jedyną różnicę w stosunku do wnętrza stanowiło to, że przeważały kobiety. Pałące papierosy, śmiejące się do siebie, wymieniające uwagi na temat przechodzących ulicą facetów. Popatrzył na nie z uśmiechem, oparł się o ścianę budynku i sięgnął do kieszeni po paczkę marlboro. Trzymana w dłoni szklanka przeszkadzała mu teraz wyraźnie, postawił ją zatem na gzymsie, mając nadzieję, że nie zsunie się z niego, zanim uda mu się zapalić. Stojąca obok dziewczyna dostrzegła jego wahanie i bez słowa podała mu ogień. Uśmiechnął się lekko, po czym podziękował skinieniem głowy. Przejechała wzrokiem po jego sylwetce i zamiast wrócić do prowadzonej uprzednio rozmowy, zastygła. Jakby czekała, aż w końcu się do niej odezwie. Jej usta rozchyliły się lekko, czubek języka przesunął się zwinnie po wargach, a ramiona nachyliły delikatnie ku niemu w podświadomej próbie domknięcia niewidzialnego intymnego uścisku. Całe jej ciało wyraźnie się napięło, a w oczach pojawiły się błyski. Rozpoznał ten stan i mruknąwszy coś niezbornie pod nosem, zabrał szklanekę i odszedł.

Dziewczyna była w sumie dość ładna. Z błękitnymi oczami, grzywą zafarbowanych na rudo włosów, upchniętymi w nieco zbyt ciasne spodnie okrągłymi biodrami i atrakcyjnym duetem piersi, które dostrzegł w dekolcie koszuli. W normalnych warunkach spytałby ją pewnie o imię, postawił drinka

i zaprosił do siebie na wieczór. W każdy inny dzień, lecz nie dzisiaj. Cóż, może spotka ją tu znowu w środę?

Przeszedł wzdłuż tłumu, rejestrując kolejne mało dyskretne spojrzenia i wyłapując pełne seksualnego zainteresowania uśmiechy. Takie same jak zawsze, gdy zjawiał się w pubie. Może właśnie dla nich tu bywał? Bo przecież nie dla szklanki podłego, ale drogiego łyskacza? Nie dla toczonych tu rozmów czy z powodu niechęci przed powrotem do domu. Lubił, gdy kobiety patrzyły na niego w ten sposób. Chętne, pełne złudzeń, gotowe. Przekonane, że noc, którą z nim spędzą, nieuchronnie przerodzi się w związek. Fantazjujące już teraz o białej sukni, ołtarzu i ryżu wyrzucanym w powietrze. Ich łakome spojrzenia sprawiały mu wyraźną przyjemność. Nie dlatego, że każda z tych dziewczyn uznawała go za wartego napinania pośladków, potwierdzając tym samym jego seksualną atrakcyjność, lecz dlatego, że dostrzegały w nim kandydata na męża. Zauważały coś, czego on w sobie nie widział. Jakiś rodzaj budzącej zaufanie pewności. Otwartość na związek z drugą osobą. Umiejętność stworzenia długotrwałej relacji. Czy były naiwne? Możliwe, choć mało prawdopodobne. Po dziesiątkach spędzonych w tym miejscu wieczorów i niezliczonych jednonocnych przygodach stanowiły grupę prawdziwych ekspertek. Szansa na to, że mogły się mylić, była naprawdę niewielka. Cóż, może rzeczywiście dobił do wieku, który predestynował go do założenia rodziny? Może przekonanie, że to nie dla niego, było jedynie wyparciem? Może jego introwertyczna potrzeba zamykania się w domu samemu z czasem osłabnie, a chęć milczenia w towarzystwie drugiego człowieka przybierze na sile? Pewnie się w końcu przekona. Może już wkrótce? Gdy obudzi się rano w pulchnych objęciach tej uroczej rudowłosej dziewczyny, dostrzeże rozmarzenie w jej wzroku i pomyśli, że nie chce jej zawieść. Może wówczas zapisze na kawałku papieru jej imię, numer telefonu i adres, umówi się na randkę, a miesiąc później przedstawi ją rodzicom?

Zaśmiał się głośno. Nie był kandydatem na partnera czy męża, ale zwykłym, pozbawionym wyższych uczuć łajdakiem. Cynicznym kolesiem, który kierował się w życiu wyłącznie własną wygodą. Niezdolnym do kompromisów, empatii, poświęceń. Obojętnym na cudze potrzeby. Tak było prościej, bo nie potrzebował dzięki temu nikogo. Z pewnością nie po to, by odczuwać zbędne, osłabiające koncentrację emocje albo robić z kimś rzeczy, które bez trudu mógł wykonać sam. Jeśli zdarzało mu się potrzebować kobiety, to wyłącznie do tego, by realizować swoje pragnienia. By wykorzystać ją jako adekwatne i posłuszne narzędzie. Nie musiał się oszukiwać. Nawet gdyby skończył dziś w łóżku z tą rudą, to nie zadałby sobie trudu nie tylko, aby później do niej zadzwonić, ale nawet żeby zapamiętać jej imię. Po co zresztą miałyby to robić? W ramach zaśmiecania pamięci nazwiskiem przypadkowej, pozbawionej znaczenia osoby, która w żaden sposób nie była w stanie mu pomóc? Od której nie zależały jego dalsze istnienie, wygodą, dobrobyt

czy spokój? Która nie mogła nic dla niego załatwić? Zdecydowanie lepiej było zużyć siły i środki na zyskanie przychylności kobiety, której wsparcie byłoby przydatne w kluczowym dla kariery momencie. Być może powinien patrzeć na siebie jak na kurwę, która gotowa była się sprzedać w zamian za banknot z Sobieskim, ale jego sumienie nie było tak czułe. Może dlatego, że w tym wszystkim nie chodziło wyłącznie o kasę, a może z powodu urody zaproszonej na ten wieczór kobiety? Tak, była piękna, a on się nie zmuszał, aby pójść z nią do łóżka. Ich seks był świetny. Znacznie lepszy niż podejmowana w przerwach rozmowa. Choć może powinien o to winić własną mrukliwość? Ostatecznie Viola nie należała do kobiet, które nadrabiały we wszystkim urodą. Była bystra, inteligentna i sprytna. Czasem myślał, że nawet bardziej od niego.

Postawił pustą szklankę na gzymsie, rzucił niedopałek na chodnik i żwawym krokiem ruszył w kierunku metra. W przeciwieństwie do kolegów nie zadawał sobie trudu dojeżdżania samochodem do pracy. Walka z korkami była równie idiotycznym zajęciem jak oglądanie meczów czy chodzenie na randki. Nie służyła niczemu poza budowaniem fałszywego wyobrażenia o sobie. Mógłby oczywiście kupić sobie ferrari – w ramach demonstracji swej pozycji, pieniędzy i władzy. Mógłby nawet przeliczyć swe ego na liczbę koni mechanicznych w silniku. Tylko co, poza iluzoryczną przewagą, mógłby w ten sposób uzyskać? Jeszcze większą atrakcyjność w oczach kobiet? Frustrację kolegów, nienawiść wrogów, zazdrość mniej zamożnych sąsiadów? Każda z potencjalnych pobudek wydawała się infantylna. Zakup auta byłby dziecięcym napinaniem mięśni. Leczeniem ukrywanych przed światem kompleksów. A on ich nie miał. Nie potrzebował kosztownych gadżetów, by być świadomym własnej wartości. Wiedział, ile był wart. Nawet teraz, kiedy zbiegał do metra. Gdy wmieszał się w tłum, wciągał w płuca duszny zapach podziemi i wzdygał się w duchu na myśl o brudzie, który pokrywał pociągowe poręcze. Nie przeszkadzało mu bycie jednym z wielu, bo doskonale wiedział, że znacząco odstaje od reszty.

Spojrzał na wiszący nad peronem wyświetlacz i z zaskoczeniem stwierdził, że zbliżała się ósma. Spędził w pubie czterdzieści pięć minut?! Na czym? Na obserwacji dziewczyn czy raczej rozmyślaniu o sobie? A może na dowartościowującym ego sprawdzaniu, czy wciąż jeszcze ściąga spojrzenia? Idiota! Nie różnił się niczym od innych! Przekonywał sam siebie, że jest mądrzejszy i bardziej wartościowy od reszty, a w gruncie rzeczy był słabym i niepewnym siebie kolesiem, który szuka akceptacji w oczach podającej mu ogień dziewczyny i zapewnia samego siebie, że poza uprzejmością w jej geście kryło się coś więcej. Dla krótkiej chwili schlebiana sobie gotowy był ryzykować bezpieczeństwo swoje i Violi. Narząca ją, by stała na ulicy przed bramą lub – wpuszczona przez konsjerżę do środka – tkwiła na kanapie przy wejściu. Wystawiona na spojrzenia przypadkowych przechodniów i wchodzących do

budynku sąsiadów.

Sięgnął do kieszeni z zamiarem wysłania jej wiadomości, by poczekała na niego w kawiarni, ale zmienił zdanie, zanim zdołał dotknąć ekranu. To byłoby zbyt ryzykowne. Mogłaby zapomnieć wykasować wiadomość lub, nie daj Boże, zapisać go na liście kontaktów. A potem próbować się do niego dodzwonić. Nieświadoma zagrożeń, mogłaby zostawić telefon na wierzchu, a mąż przefiltrowałby jego całą zawartość. Znając go, mógł spokojnie założyć, że zainstalował w jej komórce dobry program szpiegowski. Skoro zadawał sobie trud śledzenia wszystkich ruchów podwładnych, to dlaczego nie miałby sprawdzać żony?

Spojrzał raz jeszcze na zegar. Metro miało pojawić się w ciągu minuty. Jeśli po dotarciu do stacji zdoła się przepchnąć na czoło tłumowi, zanim ten zacznie powoli wylewać się na powierzchnię, jeśli – zamiast iść – będzie biegł, wtedy być może dotrze do domu, zanim ona wysiądzie z taksówki. Musi pamiętać, aby przed wejściem do środka wyłączyła komórkę. Może nawet powinni wyjechać razem na ten weekend? Do spa, w którym powiedziała mężowi, że będzie?

Wskoczył do wagonu i przywarł ciałem do drążka przy drzwiach, tak jakby oddalenie się od nich mogło spowodować dodatkowe spóźnienie. Zgłupiał kompletnie? Tych kilka metrów z łatwością pokonałby, kiedy pociąg będzie się zbliżał do stacji! Chyba całkowicie odebrało mu rozum! Po co w ogóle na to wszystko się porywał?! Przecież wiedział, czyją jest żoną! Kojarzył jej twarz z licznych zdjęć na Facebooku, instagramowych relacji z wyjazdów oraz imprez firmowych, na których pojawiała się u boku Rafała, rozdając uśmiechy i zagadując uprzejmie do ważnych osób w zarządzie. Odpowiedział na jej zaczepkę w klubie i zaprosił ją do siebie na drinka nie dlatego, że była piękną czy szczególnie interesującą kobietą. Zrobił to, gdyż zerżnięcie żony prezesa wydało mu się wówczas znakomitym sposobem na wyrównanie z nim wszystkich rachunków. Nie musiałby już stawać okoniem, podważać bezsensownych decyzji ani bawić się w biurowe gierki. Jak długo pukał jego żonę, miał bezdyskusyjną przewagę. Tym większą, że tylko on o niej wiedział.

Powody, dla których Viola uśmiechnęła się wówczas do niego i zgodziła przyjąć zaproszenie do domu, ciągle jeszcze były dla niego niejasne. Może kojarzyła jego twarz, lecz nie mogła sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach się poznali? A może zwyczajnie potrzebowała odskoczni, zainteresowania młodszego od Tuszy mężczyzny? Albo po prostu lubiła seks, facetów i wolne od zobowiązań numerki? Cokolwiek to było, jednego był pewien: nie wiedziała, kim był, i z pewnością nie uwiodła go celowo. Taki scenariusz kompletnie nie miałby sensu. Nawet gdyby chciała się odegrać na mężu, to z pewnością nie wybrałaby jego. Raczej dostawcę sushi, listonosza lub przypadkowego kuriera. Któregoś z niedostrzegalnych dla Tuszy mężczyzn, których bez wahania wpuszczał do domu i traktował jak obsługujące go sprawnie roboty. Prostego chłopca o szerokich

opalonych ramionach. Takiego, z którym pójście do łóżka potwierdzałoby stereotyp. Była wystarczająco dowcipna, żeby wyczuwać takie niuanse, i gdyby chciała, aby Rafał nakrył ją w końcu na zdradzie, to z pewnością zadbałaby o to, by doprowadzone mu rogi należały do najbardziej tandetnych.

Uśmiechnął się pod nosem na myśl, że Viola mogłaby się w nim durzyć. Owszem, nie byłaby pierwsza, ale z pewnością do tej pory najlepsza. Nigdy nie przepadał za Tuszą, ale musiał mu oddać, że potrafił wyławiać kobiety. Każda z jego kolejnych żon plasowała się w pierwszej lidze. Nawet te starsze, z którymi przed laty się rozwiódł, nadal zachowały urodę. Nie były już młode i świeże, lecz z pewnością zadbane i piękne. Z każdą z nich sam by chętnie poszedł do łóżka. Swoją drogą to niezwykle ciekawe, jak Rafałowi udało się upolować to stadko? Czyżby krążył weekendami po klubach i siedząc przy barze, wybierał co lepsze towary? A może spotykał je na bankietach rzeźników, gdzie polowały na męża z wypełnionym po brzegi portfelem? Zachichotał pod nosem, wyobrażając sobie tę scenę. Viola prężąca się na konferencji poświęconej przemysłowi mięsnemu? A może na fecie na cześć wołowego pastrami? Niemożliwe. Każda inna, lecz z pewnością nie ona. Z taką urodą, inteligencją i sprytem stać ją było na kogoś znacznie lepszego. Dlaczego wybrała Rafała? Nie potrafił tego zrozumieć. Podobnie zresztą jak powodów, dla których została jego kochanką.

Paweł

Wszedł do przedpokoju, podał aktówkę żonie, która otwierała mu drzwi, i nie odzywając się ani słowem, zaczął zdejmować granatową marynarkę oraz krawat. Beata odstawiła jego teczkę do szafy, uwolniła go od przerzuconego przez ramię ubrania i przyglądając się wyraźnym śladom potu na błękitnej koszuli, spytała, nie oczekując odpowiedzi:

– Ciężki dzień?

Przykucnął i zaczął rozsznurowywać czarne, wypastowane starannie buty. Sznurówki były splątane, zaklął więc cicho i szarpnął za końcówki, powodując, że supły zacisnęły się jeszcze mocniej.

– Poczekaj. Odłożę to i ci zaraz pomogę.

Pomknęła pospiesznie do garderoby, a on usłyszał, jak otwiera drzwi, zdejmuje z drążka wieszak, strzepuje marynarkę, po czym – wzbudzając metaliczny dźwięk – odwiesza ją pedantycznie na miejsce. Kolejne sekundy zajęło jej staranne odłożenie do szuflady krawata i powrót do przedpokoju.

– Wstań! – zaordynowała, włączając światło, po czym przykucnęła przy jego stopach i z typową dla kobiet cierpliwością zaczęła luzować sznurówki.

Spoglądał teraz z góry na jej skuloną sylwetkę, pochyloną dużą głowę oraz srebrzyste kosmyki rozświetlających krótką fryzurę pasemek. Z jakiegoś powodu od lat upierała się, by pstrzyć swoje szarobrazowe mysie włosy jasnymi pasmami, których odcień bardziej niż platynowy blond przypominał mu starczą siwiznę. Jakby nie widziała innych kobiet i nie rozumiała, że moda na pasemka minęła dwadzieścia lat temu.

– Gdzie są chłopcy? – odezwał się w końcu, wysuwając stopę z pierwszego rozwiązanego z sukcesem buta i pozwalając, by zajęła się drugą sznurówką.

– Odrabiają zadania domowe. Pomogłam im w biologii i polskim. Dobrze by było, gdybyś im później sprawdził równania.

Skinął głową i uśmiechnął się, patrząc na jej kark. Może i nie potrafiła zadbać o siebie, ale z pewnością dbała o synów. W pewnym sensie cieszył się nawet, że nie była jedną z tych opętanych własną urodą kretynek, z którymi mężczyźni tak chętnie obnosili się po mieście, a które w domu okazywały się całkowicie nieużyteczne. Beata nie pozwalała sobie na luksus pomalowanych paznokci, leżenia na kanapie czy oglądania idiotycznych telenowel. Zajmowała się domem, chłopcami i nim. Zawsze cierpliwa, zawsze usłużnie skupiona. Gdyby nie jej pracowitość, nigdy nie doszliby do tego, co osiągnęli. Nie byłoby mieszkania, dwóch samochodów ani sporych depozytów bankowych, dobrze zarabiających środków w funduszu inwestycyjnym i przechowywanych w sejfie, ułożonych w równe rzędy sztabek złota. Inna wydałaby to wszystko na ciuchy, torebki czy

nowe zasłony. Roztrwonilaby każdy zarobiony przez niego grosz, nie dokładając niczego od siebie. Ale Beata była inna. Nigdy nie bała się pracy, a na siebie wydawała pieniądze w ostatniej kolejności. Zapobiegliwa, gospodarna, oszczędna. Nauczona życia przez szpital, w którym wносиła chorym baseny, przewracała z boku na bok stukilowych pacjentów i patrzyła na powolne agonie. A może raczej na chciwe macki żądających łapówek lekarzy i zrozpaczone rodziny, których nie stać było na to, by wsuwać w nie wystarczająco grube koperty? Tak czy owak, każda przyniesiona przez nich dwoje złotówka była przez Beatę dokładnie liczona i z pietyzmem odkładana na czarną godzinę. Jakby nie mogła się pozbyć obawy, że kiedyś i oni będą musieli wysupłać pieniądze na ratujące życie operacje synów.

– Gotowe!

Podniosła się z kolan i stanęła przed nim z uśmiechem.

– Dziękuję.

Uśmiechnął się również, lecz zamiast zdjąć drugi but, objął ją i przycisnął do siebie.

Szarpnęła się lekko, ale nie pozwolił jej się uwolnić z uścisku. Może zbyt rzadko okazywał jej wdzięczność i ciepło? A zbyt często poddawał się myślom o pracy i kolejnym obsesjom inwestycyjnym? Może powinien czasem pozwolić sobie na zabranie jej wieczorem do kina? Wyjście do restauracji? Zagraniczne wakacje? Przecież od dawna nie musieli już ciuć. Mieli dość, by nie pracować do śmierci...

– Zabierzemy chłopców nad morze? – Odsunął ją lekko od siebie i ulegając impulsowi, powiedział na głos to, co akurat mu przyszło do głowy.

Spojrzała na niego zdziwiona, odwróciła się i idąc do kuchni, rzuciła przez ramię:

– Nie chcesz, żeby spędzili wakacje u dziadków?

Poszedł za nią i – utwierdzony w nagłym postanowieniu zainwestowania we własną rodzinę – zaczął ją przekonywać do krystalizującej się coraz wyraźniej koncepcji:

– Wszyscy czworo powinniśmy odpocząć. Moglibyśmy wynająć łódkę i popływać od portu do portu. Zwiedzić Niceę, Cannes, Monte Carlo...

Odwróciła się gwałtownie i unosząc wyskubane własnoręcznie zbyt cienkie brwi spojrzała na niego zdumiona.

– Albo poleżeć na plaży... – dodał niepewny, czy bardziej zszokowała ją perspektywa Cannes, czy wydawania pieniędzy. – Jak wolisz. Chłopakom należą się porządne wakacje.

– Widzę, że dzień nie był aż tak męczący... – mruknęła sarkastycznie i spojrzała na niego spod oka. – Czyżby prezes wyjechał?

Pokręcił głową, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Przemierzył korytarz, zajrzał przez uchylone drzwi do pierwszego pokoju i widząc, że starszy syn siedzi

skoncentrowany przy biurku, poszedł dalej, nie odrywając go od książki. Minął pokój młodszego, dotarł do małżeńskiej sypialni, przeszedł przez nią niespiesznie i zatrzymał się dopiero przed lustrem w połączonej z nią obszernej łazience. Dochodzące z za okna światło odbijało mu się na twarzy, uwidaczniając każdą bliznę po niewyleczonym w młodości trądziku. Pory na nosie wyglądały niczym tajemnicze kratery, a w poprzecznych zmarszczkach na czole połyskiwał wysychający powoli pot, który zebrał mu się na skórze przez te wszystkie spędzone przed monitorem godziny. Przesunął dłonią po jasnych, zaczesanych do tyłu włosach, obrzucając wzrokiem powiększające się z roku na rok zakola, rude brwi oraz jasne rzęsy, które nadawały jego oczom kaprawego wyglądu, po czym odkręcił kurek i ochlapał wodą twarz. Kochał żonę i uważał, że jest poczciwą kobietą, ale czasem zaskakiwała go swym bezgranicznym cynizmem. Okrucieństwem, z jakim potrafiła dobrać argumenty w dyskusji. Zawsze tak, aby ostatecznie postawić na swoim. Jak dzisiaj, kiedy przywołała Rafała. Wiedziała dokładnie, jakie struny w nim poruszy. Nie mówiąc wiele, powiedziała mu wszystko. To, że nie mógł być pewien niczego. Że każdego dnia, niezależnie od wkładanego przez siebie wysiłku, mógł popaść w niełaskę, stracić pracę i wrócić upokorzony z biura z wilczym biletem.

Przez ostatnich pięć lat każdy koniec miesiąca budził w nim nikczemną, pozbawioną skrupułów agresję. Zamykał się wówczas w gabinecie i przez szklane ściany obserwował przechodzące korytarzem osoby, wypatrując smukłej sylwetki kadrowej. Nie przychodziła. Z niezrozumiałych dla niego powodów omijała go w comiesięcznych śmiercionośnych przemarszach, pozwalając, by jeszcze bardziej utwierdzał się w cynizmie i zaczynał nowy miesiąc od kalkulowania, ile jeszcze uda mu się z tej firmy wyciągnąć. I nie, nie chodziło bynajmniej o kolejną pensję, perspektywę dodatkowych świadczeń pracowniczych czy wysokość rosnącej z każdym dniem potencjalnej odprawy, lecz o wyniesione z biura długopisy i ołówki, przywłaszczone skoroszyty, zamówione na koszt firmy i podarowane synom eleganckie notatniki w miękkiej skórze lub wykradzioną z kuchni paczkę kawy. O składane potencjalnym kontrahentom propozycje łąpówek i adresowane do przedstawicieli banków obietnice, że rozważy wyższą linię kredytową dla firmy pod warunkiem, iż prowizja od pożyczki będzie na tyle duża, by wystarczyła na pokrycie przedpłaconej karty debetowej, którą bank podaruje mu a konto dalszej, równie jak obecna owocnej, współpracy.

Nie, nie zarabiał za mało. Jego pensja była wyższa niż większości dyrektorów finansowych w ich branży i z pewnością stać go było na to, by nie kraść. By kupować papier do drukarki, notatniki, kawę i jednorazowe długopisy dla dzieci. Mógł się obejść bez wymuszania żenująco niskich wziętek i fundowanych mu przez kontrahentów drogich lanczów. Nie potrafił się jednak obejść bez satysfakcji, jaką odczuwał, kiedy w teczce oprócz służbowego laptopa niósł do

domu ukradzioną z pomieszczenia dla sprzątaczek paczkę mydła albo podebraną z magazynku Leny drogą flaszkę whisky, którą zamierzała wręczyć prezesowi jakiejś dużej sieci handlowej. Ciepła, które rozlewało mu się po żyłach, kiedy myślał o tym, że to mydło, whisky, paczka kawy lub łąpówka odrobinę pomniejszają dywidendę Rafała. Profity, które Tusza czerpał z jego comiesięcznych nerwów, i krwawicę trwonioną później na ostentacyjne, pozbawione klasy garnitury, kolejne złote kible w swoich domach oraz coraz młodsze żony, przeżące się w najnowszych modelach bentleya.

Wytarł twarz rękawem i raz jeszcze spojrzął w lustro. Własny widok nie odstręczał. Czuł się dobrze z tym, co robił. W pewnym sensie każda idiotyczna kompulsywna kradzież, każdy niestłumiony odruch, gdy wtykał w teczkę przypadkową i zwykle zbędną rzecz, każdy mazak, jaki przyniósł z biura i zniósł do piwnicy, by po kilku latach wynieść cały karton wysuszonych cienkopisów do śmietnika, wszystko to uzbrajało go w siłę. Jako złodziej miał przewagę. Dymał szefa. Nie pozwalał się sfrajerzyć. Odpłacał mu pięknym za nadobne. Mścił się. Nie był jednym z tych bezradnych, przerażonych perspektywą utraty pracy menedżerów, lecz prawdziwym cwaniakiem. Zimnym draniem, który miał odwagę robić rzeczy, których nie powstydziliby się sam Rafał. Z tą różnicą, że on nie okradał biednych ludzi, dokładając celulozę do parówek, mocząc mięso i wsypując mączkę kostną do pasztetów, tak jak robił to Tusza. On ograbiał bogatego, wyzyskującego podwładnych burżuja...

Usłyszał ciche chrząknięcie. Odwrócił się nerwowo w stronę drzwi i zobaczył opartą o futrynę Beatę. Nie miał pojęcia, jak długo tu stała ani co myślała w tej chwili. Jej twarz była ściągnięta, oczy skupione, a wąskie usta zaciśnięte w pozbawioną warg linię. Obserwowała go bez słowa, przesuwając wzrokiem po zachlapanej wodą koszuli, rzuconym niechlujnie na pokrywę sedesu rękawiku, przylizanych włosach, po których przejechał wcześniej wilgotnymi rękami, oraz kropkach lśniących na jasnej, piegowanej skórze przedramion.

– Masz rację – odezwał się, nie będąc w stanie udźwignąć dłużej tej ciszy. – Chłopcy pojedą na wakacje do dziadków. Nie możemy sobie pozwolić na trwonienie bez sensu pieniędzy. Nie, dopóki pracuję w tej firmie... – zawiesił głos i raz jeszcze przyjrzał się żonie. Napięcie w jej wzroku zelżało.

– Nie możemy tak żyć – oświadczyła w końcu matowym głosem, po czym odsunęła się od futryny, weszła do łazienki i podniósłszy rzucony przez niego rękawik, usiadła na pokrywie sedesu. – To wykończy naszą rodzinę.

Podszedł do żony, przykucnął i załapał ją mocno za ramiona, próbował zmusić, aby na niego spojrzała.

– Co mogę zrobić... – raczej stwierdził, niż zapytał, i jeszcze mocniej zacisnął palce na jej ramionach.

– Poszukaj innej pracy.

– Nigdzie nie zapłacą mi tak dobrze jak tutaj. Sama wiesz, że to jedyna zaleta tej firmy.

– Złote kajdany? – Zaśmiała się z tym samym pozbawionym skrupułów cynizmem, z jakim wcześniej zapytała o obecność Rafała w biurze.

– W pewnym sensie – przytaknął. – Muszę podchodzić do tego pragmatycznie. Dopóki będę mógł coś jeszcze z tego wyciągnąć, dopóty będzie mi się opłacało to znosić. Każdy miesiąc to dodatkowe kilkadziesiąt tysięcy.

– Kilkadziesiąt tysięcy, które wpłacisz na konto albo zamienisz na kolejne złote monety? – Uśmiechnęła się gorzko. – A potem co? Zostawisz synom w spadku?

Spojrzał na nią zaskoczony, nie rozumiejąc, o co mogło jej chodzić. Przecież...

– Paweł, ja naprawdę mam dosyć! – odczytała jego zdziwienie i przerwała w pół zdania logiczny wywód, który zaczynał już prowadzić w swej głowie. – Mam dość oszczędzania na wszystkim! Kupowania sobie majtek w markecie, cerowania skarpet i chodzenia na bazar tylko po to, żeby dostać tam tańszą marchewkę! Mam dosyć naszych dwudziestoletnich mebli, przetartych dywanów i zastawy, którą dostaliśmy od twoich rodziców w prezencie ślubnym! Nie mogę już znieść tej siermięgi! Nie mogę znieść ciebie! I siebie...

– Ale...

– Ale co?! – Jej głos wibrował teraz w wysokich, histerycznych rejestrach. – No, co?! Sądziłeś, że uwielbiam to życie? Że lubię dwa razy oglądać każdą dziesięciozłotówkę?! Że sprawiają mi przyjemność uwagi koleżanek na temat tego, że nigdy nie wychodzę z nimi na lancze? Że zawsze mam ze sobą zrobione w domu kanapki z kiełbasą?! Nawet nie z żółtym serem, bo przecież nie pracujesz w mleczarni! Zawsze tylko z tą cholerną kiełbasą! Czy ty wiesz, że ostatni raz byłam u kosmetyczki przed ślubem? Że moja siostra nakłada mi farbę na włosy, bo żał mi wydać kasę na coś lepszego niż te chujowe, robione przez nią pasemka?

Puścił jej ręce i opadł na podłogę, wciąż nie rozumiejąc, o czym, do cholery, mówiła. Przecież nigdy nie wydzieliał jej pieniędzy na życie. Zawsze mieli wspólne konto. Mogła brać, ile chciała. I te pasemka. Te koszarne, dramatyczne pasemka, o których sądził, że są skutkiem jej wyboru...

– Beatko... – zaczął niepewnie, przekonany, że znowu mu przerwie. – Kochanie... Przecież masz dostęp do konta... Masz karty kredytowe...

– Tak, mam dostęp do konta – powtórzyła z goryczą i smutno spojrzała mu w oczy. – Mam dostęp do konta, z którego co miesiąc z dumą przelewasz niemal wszystko na rachunek oszczędnościowy. Mam również dostęp do naszych depozytów, których wzrost tak ogromnie cię cieszy. Mogę też otworzyć sejf i wytarzać się w złotych monetach. Albo w sztabkach, które kochasz nawet bardziej niż dzieci.

– Chryste! Co ci się stało?! – Poderwał się z podłogi i rozdrażniony opowiadanymi przez Beatę bzdurami złapał ją za ramiona, po czym, szarpiąc, uniósł do pozycji stojącej. – Przecież ja ci nigdy nie broniłem wydawać!

– Nie, nie broniłeś. Chwaliłeś jedynie moją legendarną, wprost mityczną oszczędność! Posuwałeś się do tego, że kradłeś z pracy płyn do czyszczenia toalet, a synom dawałeś w prezencie wyniesione z biura notesy! Nie, ty nie broniłeś wydawać...

Wciągnął głęboko powietrze i zamarł. Naprawdę w ten sposób myślała? Że wyniesiona z biura butelka środka do mycia kibli i jednorazowy, zabrany z sali konferencyjnej długopis mają być dla dzieci prezentami? Odzwierciedlać wartość ich rodziny? Jezus Maria! Jak mogła coś takiego pomyśleć?! Przecież nie o to w jego chorej kleptomani chodziło! Chciał odreagować! W głupi, niski, idiotyczny sposób odegrać się za wszystkie wysłuchiwane od Rafała uwagi. Za niewybredne żarty z jego świńskiej urody i przytyki dotyczące tych jebanych, pierdolonych pasemek. Jak Tusza o nich mówił? Że się świetnie dobrali? Jak prawdziwa blond świnka z prążkowanym warchlakiem? A on co? Miał mu dać w pysk? Zniżyć się do tego poziomu? Może powinien...

– A dzisiaj? – przerwała milczenie i pocierając czoło, pokręciła głową z rozgoryczeniem. – Dzisiaj nagle proponujesz, żebyśmy popłynęli jachtem do Monte Carlo. – Żachnęła się i z sarkazmem rzuciła: – Ty w swoich przetartych skarpetach, a ja w eleganckiej sukience z dyskontu. No i nasi synowie. Donaszający ubrania po dzieciach mojej siostry oraz po sobie nawzajem. Marzący o głupiej PlayStation. Siedzący nad książkami, bo nie mają żadnych kolegów. Bo są pośmiewiskiem dla innych dzieciaków! Zabierz ich w rejs! Niech się w końcu zanurzą w luksusie. Przecież zasłużyli na prawdziwe wakacje!

Przerwała, widząc, że jego twarz wykrzywiła się gwałtownie, ramiona zdrząły, a po policzkach zaczęły płynąć łzy. Nie chciał płakać. Nie chciał, żeby przerywała ten wywód. Powinien go wysłuchać do końca. Każdego jednego słowa, które wylewało się z niej w kolejnych falach rozgoryczenia. Każdej kąśliwej uwagi i każdej złośliwości, na jaką sobie zasłużył. Jak mógł się tak bardzo pomylić? Jak mógł być tak ślepy? Czy naprawdę przez te wszystkie lata sądził, że była aż tak odmienna od innych? Że nie lubiła ładnych rzeczy, nie chciała wyjeżdżać na urlopy, chodzić do restauracji ani cieszyć się dobrym wyglądem? Czy rzeczywiście wierzył, że wakacje u dziadków były dobrą kuźnią charakterów ich synów? Że pozwalały im zrozumieć, na czym polega starość, i cieszyć się z obowiązku opieki nad staruszkami? Kurwa mać! Kurwa, jebana, mać!

– Nie płacz.

Przejechała dłonią po jego policzku, zbierając łzy opuszkami palców.

– Dlaczego nie mówiłaś nic wcześniej? Przecież to wszystko... Miałem całkiem inne intencje... Nie zrozumieliśmy się...

– Tak bardzo się bałeś, że on w końcu cię zwolni... Nie chciałam ci dokładać problemów. Myślałam, że jeśli zobaczysz, że potrafimy żyć naprawdę oszczędnie, to przestaniesz się wreszcie zamartwiać i zrozumiesz, że twoja pensja nie jest nam niezbędna do życia.

Zachwiał się, z trudem utrzymał na nogach i zataczając się, opuścił łazienkę, po czym przytrzymując się ściany, dotarł do łóżka. Usiadł na jego brzegu i zgiął się wpół, nie panując dłużej nad szarpiącymi nim uczuciami. Jego stan był przedziwną mieszanką szoku, rozgoryczenia, wstydu i współczucia dla żony. Napięcie odbierało mu oddech, naprężyło skórę na twarzy i powodowało, że zaciśnięta nadmiernie przepona uwierała go w żołądek, wywołując bolesne falowania wnętrza. Policzki paliły wstydem, a dłonie zaciskały się w pięści i, nieprzyzwyczajone do fizycznego wysiłku, zaczynały drżeć ze zmęczenia. Spojrzał na nie wciąż zamroczony odczuwaną mieszaniną emocji – i ze zdumieniem dostrzegł jasną skórę pokrytą rudawymi piegami, wyrastające z niej grube blond włosy oraz nabrzmiałe od wysiłku, pulsujące naczynia krwionośne. Spróbował rozprostować palce, ale się nie poddawały. Zbite ściśle raniły wnętrza dłoni paznokciami, jakby próbowały rozszarpać mu ciało. To już nie były rozgoryczenie, użalanie się nad sobą ani nawet współczucie dla żony. To nie były wstyd, smutek, upokorzenie czy wściekłość. To, co odczuwał, było jednym, porażającym, wymykającym się kontroli doznaniem.

Zerwał się z łóżka, podbiegł do żony i mrużąc oczy, nachylił się nad Beatą. Spojrzał jej w twarz, dostrzegł pobladłe spękane wargi i przywarł do nich ustami. Nie musiał nic mówić. Nie musiał jej niczego tłumaczyć. Po wspólnie spędzonej dekadzie żona odczytywała jego uczucia znacznie lepiej niż on sam. Wystarczyło, by dostrzegła stalowy wzrok, zmrużone nienawiścią powieki i bezlitosny grymas na twarzy, by miała pewność, że już nigdy nie przyniesie w aktówce butelki domestosa, paczki kawy ani ryzy biurowego papieru.

Daniel

Rzucił sportową torbę na podłogę przy drzwiach, obiecując sobie w duchu, że tym razem rozpakuje ją, zanim przepocone po treningu ubrania zaczną żyć własnym życiem, po czym nie zdejmując butów, przeszedł po ciemku do otwartej na salon kuchni. Otworzył lodówkę, wyciągnął stojącą na jej drzwiach butelkę białego wina i odkręciwszy metalową zakrętkę, nalał go do kieliszka. Pociągnął długi, wypełniający całe usta haust i z lampką w ręce wrócił wolnym krokiem do wejścia. Przełknął kolejne dwa łyki i poczuwszy, że napięcie w mięśniach zaczyna ustępować, przykucnął, aby rozwiązać sznurówki sneakersów. Rzucił buty w kąt szafy i opróżniwszy kieliszek do końca, złapał torbę, przeniósł ją szybko do pralni, po czym wyciągnął ze środka wilgotny ręcznik, parę frotowych skarpetek, przepocony podkoszulek i szorty. Zrobione. Teraz mógł, bez poczucia winy, że znowu o czymś zapomniał, usiąść na sofie.

Od kiedy Andrzej wyprowadził się z domu, nic już nie trzymało go w pionie. Mieszkanie było zapuszczone do stanu, który w normalnych warunkach określiliby jako burdel. Ubrania porzucane po meblach, na pokrytej kurzem podłodze stała bateria opróżnionych butelek, a ze zlewu przelewał się stos naczyń, których wciąż nie miał siły przełożyć do zmywarki. Łóżka nie słał od miesiąca. Pokrywająca je pościel była zmięta i przepocona, z zaschniętymi plamami po coli, do których poprzywierały okruchy z chipsów. Nie przeszkadzało mu to. Co wieczór oczekiwał na kanapie w salonie do momentu, gdy alkohol przejmie władzę nad jego umysłem, a potem – podtrzymując się ściany – niczym niepomne niczego zwierzę docierał w końcu do przypominającego barłóg tapczanu. Opadał na niego w ubraniu i tracił resztki świadomości z kołaczącą się po rubieżach mózgu nadzieją, że gdy wstanie następnego dnia, nieobecność Andrzeja okaże się wyłącznie mrocznym koszmarem. O ósmej rano budził go potworny ból głowy, który leczył trzema tabletkami ibuprofenu popijanego powiększoną puszką red bulla, szedł pod prysznic, doprowadzał się do względnego porządku i wyciągał z szafy coraz dziwniejsze i bardziej anachroniczne koszule. Wybierał tę, która wydawała mu się najmniej żenująca, wkładał garnitur i nie mając odwagi, by sięść za kierownicę, zamawiał ostatecznie taksówkę. Jechał do pracy i przez cały dzień usiłował udawać, że wciąż jeszcze nad wszystkim panuje. Niekiedy udawało mu się ukryć kaca, ale z reguły zespół przyglądał mu się mało dyskretnie, a asystentka zamiast kawy stawiała na biurku kilka butelek wody i wrzucała do szklanki aspirynę. W dniach, na które planowane było posiedzenie zarządu albo spotkanie statusowe z Rafałem, przymuszała go również do zjedzenia przyniesionego z kantyny śniadania. Doceniał jej troskę. Na swój specyficzny sposób próbował nawet czasem tę wdzięczność wyrazić. Asystentka jednak unosiła tylko ramiona,

wykrzywiała twarz i po raz kolejny mruzczała pod nosem jakąś cierpką, dotyczącą jego stylu życia uwagę. Jakby nie rozumiała, że znajdował się w żałobie i musiał przejść kolejne jej stadia, by w końcu zacząć powracać do życia.

Spędził z Andrzejem pięć lat i przez cały ten czas był absolutnie pewien, że ich związek różni się od tego, co łączyło inne znane im pary. W jego ocenie tworzyli idealny tandem, cementowany wspólnym domem, wrażliwością, zainteresowaniami i seksem. Nierozzerwalny i zgrany niczym stare dobre małżeństwo. Owszem, przez ostatnie miesiące ich łóżko było głównie miejscem do spania, ale przecież połączyło ich coś znacznie głębszego. A seks? Ten co prawda zdarzał się rzadziej niż w szalonych początkach ich związku, ale wciąż obu dawał poczucie spełnienia. Nie był przypadkowym, powierzchownym bzykankiem, lecz odzwierciedleniem ich wzajemnej czułości. Czymś więcej niż zapamiętane sprzed lat fajerwerki zwierzęcej rozkoszy. Sposobem na okazanie przywiązania, miłości, empatii.

Dzień, w którym zastał Andrzeja siedzącego na sofie w otoczeniu pedantycznie spakowanych walizek, był najgorszym dniem jego życia. Do tej pory na wspomnienie tamtej chwili nogi uginały się pod nim, a przed oczami pojawiały się czarne plamy. Dlaczego Andrzej odszedł? Czy tylko z powodu obniżającego się z wiekiem libido? Nie potrafił uwierzyć, by rzeczywiście była to prawda. Seksualna posucha, którą przeżywali, wyglądała przecież na przejściową! Takie okresy zdarzają się każdej pracującej intensywnie osobie. Był zwyczajnie zmęczony. Godzinami spędzonymi za biurkiem i przyspieszającym ustawicznie rozwojem wydarzeń. Samym patrzeniem na listę zadań, zawartość kalendarza i piętrzące się przed nim stosy papierów. Przygotowywaniem idiotycznych kampanii, wysłuchiowaniem głupich uwag wygłaszanych przez dyrektor sprzedaży, manewrowaniem w firmowej rzeczywistości. Kiedy wracał do domu, chciał wyłącznie spokoju. Ciszy, bezruchu, inercji. Bezmyślnego gapienia się w telewizor. Najlepiej w towarzystwie butelki wina oraz przyniesionej przez dostawcę chińszczyzny. I oczywiście Andrzeja. Z jego zdystansowanym spokojem i silnymi rękami, którymi chwycił go za ramiona, przyciągał do siebie, a potem kołysał jak dziecko.

Przeszedł powoli przez mieszkanie i rozejrzał się uważnie po wnętrzu. Idealne niegdyś, nowoczesne i jasne, z eleganckimi włoskimi meblami, kryształową gładzią szyb i panoramicznym widokiem na miasto, wciąż przekazywało ten sam komunikat co w momencie, kiedy wprowadzali się tutaj. Było materialnym dowodem sukcesu. Kosztownym obwieszczeniem, że mu się w życiu udało. Jemu. Chłopakowi, który wyrwał się z małej miejscowości, gdzie nie czekała go żadna kariera, jedynie pełne wzgardy spojrzenia. Tylko dlatego, że okazał się gejem. Że włosy zawsze miał schludnie obcięte, paznokcie czyste, a ubrania odmienne od noszonych przez rówieśników luźnych dżinsów i ponurych

spranych T-shirtów. Przeprowadzka do stolicy zmieniła w jego życiu wszystko. Tu nikt nie oceniał go przez pryzmat tego, kim był, tylko co umiał. A po latach również – co posiadał. Tu liczyło się wyłącznie to, czy jego pomysły były dobre, uwagi celne, a działania skuteczne. I zwykle były. To dzięki nim piął się błyskawicznie na szczyt, przeskakując po drodze swych szefów, zmieniając zatrudniające go firmy, operując coraz większymi budżetami. W końcu dotarł na najwyższe piętro biurowca. W końcu również kupił ten penthouse. Może nie największy, jaki był w tym budynku, lecz dający widok na miasto z najwyższego poziomu.

Poznał Andrzeja na jakiejś imprezie organizowanej przez media. Nie pamiętał już, czego dotyczył ten event ani jaka stacja telewizyjna go zorganizowała. Pamiętał wyłącznie niewysokiego, szczupłego mężczyznę o zadbanej fryzurze, jasnobłękitnych oczach, gładkiej cerze oraz starannie wypracowanym ciele. Rzeźbionym na zajęciach z crossfitu, pielęgnowanym dobraną właściwie dietą oraz powtarzaną co tydzień dwugodzinną serią masażu. Wymienili spojrzenia, uśmiechnęli się do siebie poprzez tłum, a potem Andrzej podszedł do niego z kieliszkiem i nie siląc się na przesadną dyskrecję, objął go jowialnie ramieniem. Tak jakby znali się od zawsze. Jakby okazywanie mu uczuć było najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

Poczuł, że traci siły. Podniósł pozostawiony na środku podłogi kieliszek i uzupełnił go winem. Andrzej nigdy nie pozwoliłby mu na picie czegoś takiego. Wino z metalową zakrętką było dla niego synonimem taniości. Dowodem na to, że pije się dla upojenia, nie smaku. Trudno. Jego opinia nie miała już teraz znaczenia. W pewnym sensie nawet stanowiła argument, że powinni byli się rozstać. Andrzej zawsze był snobem, a on mu niepotrzebnie ulegał. Nigdy nie czuł różnicy pomiędzy winem korkowym a zakręcany, kupowany w markecie. Nie, to nieprawda. Czuł. Odkręcane butelki były znacznie bardziej wygodne.

Uśmiechnął się z przymusem, opróżnił lampkę i ruszył po domu raz jeszcze, zbierając rozsiane po podłodze skarpetki, rzucone w kąć podkoszulki i walające się po meblach koszule. Z naręczem ubrań dotarł do pomieszczenia, w którym stała pralka, i zaczął je upychać do środka wraz z przyniesionym z siłowni wciąż wilgotnym ręcznikiem, sportowymi szortami oraz kilkoma już leżącymi tutaj parami bokserów. Musiał wziąć się za siebie, a pranie wydawało się pierwszym naprawdę sensownym pomysłem. Od kilku dni z trudem udawało mu się znaleźć coś w szafie, a Rafał już kilkakrotnie wyśmiewał haftowane koszule, w których występował na spotkaniach zarządu. W gruncie rzeczy prezes miał rację. On sam uważał, że epatowanie w pracy gejestwem było niepotrzebne i nieprofesjonalne zarazem. Tusza nie płacił mu za obnoszenie się z ekstrawaganckimi klubowymi ciuchami. Płacił mu za pracę i za to, by jego wizerunek nie odwracał niczyjej uwagi. Miał być wizytówką reprezentowanej przez siebie marki, nie własną. Na to

ostatnie była przestrzeń po pracy.

Cenił Tuszę za zajadłość, bezkompromisowość oraz wizjonerskie podejście do rozwoju biznesu i widział w nim prawdziwego lidera. Skutecznego, wydajnego, wolnego od emocjonalnych zahamowań, skupionego na tym, by osiągnąć sukces, nawet jeśli miałyby się to odbyć kosztem konkurencji, pracowników czy klientów. Rafał parł do celu, nie zważając na przeszkody i nie wahając się, gdy była konieczna mało elegancka czy niepopularna decyzja. Przypominał buldożer pozbawiony subtelności, niedający się zatrzymać kombajn, który mełł wszystko, co napotkał na drodze, i przerabiał to na sprasowane równo klocki, pasujące do układanki, jaką aktualnie starał się stworzyć. Tusza nie był skurwysynem, jak czasem określała go Lena. Nie był również psychopatą, co sugerowały przyklejane mu do pleców łatki spojrzeń i ponure miny pracowników. Był człowiekiem, który walczył. Najpierw o przetrwanie, później o utrzymanie się na fali wznoszącej.

Czasem przyłapywał się na myśli, że cenił Tuszę, bo pamiętał jeszcze moment, kiedy sam przyjechał tutaj bez pieniędzy, znajomości i wykształcenia. Oraz determinację, z jaką przez ostatnie dziesięć lat pokonywał zawodowe przeszkody. Rafałowi wszystko przyszło szybciej, sprawniej, lecz niekoniecznie łatwiej. Zaczynał od niczego. Od wyhodowanych siłą własnej desperacji pierwszych świń. Od wyrzucanego spod nich gnoju, dźwiganych worków z paszą, budowanych własnoręcznie chlewów i przewożonych pożyczoną ciężarówką do masarni stukilowych wieprzy, które wciągał na samochód na własnych plecach. Bez pomocy, bez narzędzi, bez ułatwiających życie dźwigów. Samodzielnie. Tusza lubił czasem wracać do tych wspomnień. Opowiadał o nich z dumą, powtarzając wciąż te same anegdoty i historie. Niekiedy mieli dosyć jego niekończących się wywodów i przechwałek. Rozwleczonych i z czasem rozbudowywanych o godne herosa przygody. Uśmiechali się wtedy pod nosem lub chrzżeli cicho. Niekiedy nawet – gdy odwracał wzrok – puentowali jego wywód przewracaniem oczu lub wsuwaniem palców w usta. Nigdy jednak żadne z nich nie odważyło się mu przerwać. Nigdy nikt nie ryzykował powiedzenia, że słyszeli to wielokrotnie. Może z lęku, że się wścieknie, a może dlatego, że jego historia mimo wszystko budziła szacunek. Ostatecznie był przecież legendą. Self-made manem i ucieleśnieniem amerykańskiego snu o pucybucie, który dorobił się milionów. Mogli go nie znosić, mogli gardzić jego wulgarnością i niedającym się ukryć nieokrziesaniem, lecz nie potrafili w gruncie rzeczy gardzić nim. Bali się go. I nienawidzili. Brzydzili się jego metod. Wysztydzali w duchu za nie dość wyrobiony gust i ostentacyjne bogactwo, którym tak bardzo się obnosił. Wyśmiewali pretensjonalne mosiężne rzeźby, z upodobaniem ustawiane w gabinecie, oraz kolejne żony, z których każda następna była młodsza i głupsza od poprzedniczek. W rozmowach ze znajomymi komentowali okrucieństwo, z jakim odnosił się do pracowników, i czasem nawet nazywali je po imieniu. Nigdy jednak żadne z nich nie podważyło jego metod.

Jakby doskonale wiedzieli, że mimo wszystko to on miał przewagę. On jedyny miał rację. I to jego sposoby działania pozwalały im wszystkim wracać do swych eleganckich mieszkań i domów, do wolnych od nowobogactwa stylowych wnętrz, do kształconych w najlepszych szkołach dzieci oraz kolekcji dzieł sztuki. Ten penthouse, ta pralka, wszystkie wciskane do jej wnętrza ubrania i pachnący świeżością płyn do zmiękczenia tkanin, który wlewał w tej chwili w rynienkę, wszystko to należało w pewnym sensie do Tuszy. Zostało wypracowane przez niego i nie miałyby szansy zaistnieć, gdyby nie pierwsze hodowane przez Rafała warchlaki. Gdyby nie wściekła determinacja, oszukiwanie biznesowych partnerów oraz naciski, jakie Tusza wywierał na pracowników w swej firmie. Machlojki, „ulepszenia produkcyjne” – cała masa rozwiązań, o których nikt poza Rafałem nie miał najmniejszego pojęcia. Jego autorskie biznesowe patenty trzymane w tajemnicy lub dzielone z pojedynczymi, niezbędnymi do realizacji danej strategii członkami zespołu zarządzającego. Mało eleganckie? Brutalne? Bezwzględne? I co z tego? Najważniejsze, że zawsze skuteczne.

Włączył pralkę, wrócił do kuchni i ponownie napełnił kieliszek winem, lecz tym razem jedynie umoczył w nim usta. Było kwaśne, a nawet cierpkie. Wzdrygnął się i odstawił lampkę na blat. Najwidoczniej inne metody picia niż wlewanie prosto w gardło nie były w przypadku tego sikacza możliwe. Uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie min, jakimi kwitował takie trunki Andrzej, ale szybko je od siebie odpędził. Praca była znacznie bezpieczniejszym tematem rozmyślań, a Rafał – wdzięcznym w gruncie rzeczy ich obiektem. Z całą tą niejednoznacznością, która się za nim kryła. Z bezwzględnością, wulgarnymi żartami oraz brakiem skrupułów i równoczesną troską, jaką mu ostatnio okazał. Z dzisiejszym zaproszeniem na wspólne wyjście do siłowni, z ojcowskim tonem, jakim upewniał się, czy wszystko u niego w porządku, ze zniżonym, pełnym konfidencji głosem, jakim dzielił się z nim swymi obserwacjami. Tak, Tusza zdecydowanie wymykał się prostym kwalifikacjom. Wygłaszane przez niego opinie niekiedy wydawały się głupie, ale z czasem nabierały sensu. Tak jakby przenikliwość Rafała była większa niż innych, a wyciągane przez niego wnioski – prawdziwie wizjonerskie. Jakby każde słowo, które wypowiadał, zyskiwało moc przepowiedni. Tak jak dzisiaj, kiedy Tusza zaczął wywód na temat Letyckiej. Kiedy Rafał napomknął, że Lena nie wywiązuje się ze swych obowiązków, jego teza wydała mu się całkowicie absurdalna. Letycka zjadła przecież zęby na robieniu biznesu. Znała wszystkich, poruszała się bardzo pewnie w tym świecie i każdemu była w stanie wcisnąć ich produkt, uplasować go na dobrej półce i zapewnić, aby żaden większy market nie zapomniał o nim w drukowanych przez siebie ulotkach. Zarządzała sprawnie zespołem, nie tolerowała niedociągnięć, wymagała wiele od innych, ale od siebie również. Tak przynajmniej ją dotychczas postrzegał. Aż do dzisiaj. Do momentu, gdy Rafał cichym głosem zapytał, co sądzi na temat jej pracy. Właśnie wtedy pojawiła się

pierwsza wątpliwość. Skoro Tusza zastanawiał się nad skutecznością Leny, to dostrzegał zapewne coś, co jemu samemu umykało. Może rzeczywiście Letycka nie była już harpią biznesu, lecz niestabilną starszą panią ulegającą niepotrzebnym emocjom? Może – tak jak widział to Rafał – odstawała od rynku i nie potrafiła już za nim nadążyć? Może jej metody były przestarzałe, a pomysły nie zawsze dość świeże? Może zarządzany przez nią zespół wcale nie zachwycał się jej kierownictwem, a uwagi, które wygłaszała na spotkaniach, nie świadczyły o rozeznaniu rynkowym, tylko o oporze przed zmianą? Kiedy Tusza zadał mu dzisiaj pytanie o Lenę, wpadł w panikę. Wiedział, że powinien wskazać jakiś feler w jej pracy, przywołać przykład niekompetencji, udowodnić brak skuteczności... Rafał ewidentnie oczekiwał, że potwierdzi jego diagnozę, dostrzeże coś, co było oczywiste, wywlecze to na światło dzienne, zdemaskuje defekt i znajdzie sposób, by uleczyć rzeczywistość... Zastanowił się przez moment. Letycka była twarda, nieugięta i ostra. Pracowała jak maszyna. Pamiętała wszystko, nawet te szczegóły, które z jego perspektywy były nieistotne. Rozwodziła się nad każdą sprawą i dorzucała swoje trzy grosze do każdej prowadzonej dyskusji. Miała opinię na wszelkie poruszane tematy, od wyglądu etykiet przez sposoby dystrybucji aż po kształt kampanii reklamowych. Krytykowała z pasją nowy system premiowania proponowany przez Potocką, wytykała niedociągnięcia w jego prezentacjach marketingowych, a Piotrowi czyniła uwagi na temat lokalizacji nowej fabryki. Miała nawet pogląd na nowoczesne technologie uboju, skład koncentratów paszowych oraz przyszłość organicznej żywności. Każdą tezę podpierала zastyszana opinią, materiałem z konferencji albo opublikowanym przez zagraniczny instytut badaniem. Zawsze posiłkowała się niezależnym autorytetem i nie oddawała pola bez walki. Nawet gdy zespół tłumaczył jej, że firmy nie stać na odejście od przemysłowego chowu, zastąpienie koncentratów paszą naturalną czy rezygnację z dodawanej do parówek mączki kostnej. Upierała się i parła w swoją stronę, przekonana, że ma rację, nawet kiedy wszyscy byli w opozycji.

Do tej pory sądził, że poglądy Leny są cenne. Że jej bezkompromisowość i znajomość trendów wnoszą coś ważnego do spotkań. Że stanowią przeciwwagę dla pragmatycznego, policzonego do ostatniej złotówki Rafała, otwierają nową perspektywę, pozwalają poddać pod dyskusję sporą część pojawiających się w firmie pomysłów. Dopiero w rozmowie z Tuszą dostrzegł, że to, co wcześniej wydawało mu się konstruktywne, było zwykłym, pozbawionym sensu krytykanctwem, metodą podkreślania przez Letycką własnego znaczenia. Lena nie wtrącała się w dyskusję, aby wnieść coś istotnego, ale by wykazać innym, że nie przemyśleli w pełni swej tezy. Tak jakby każda odkryta przez nią dziura w całym windowała ją jeszcze bardziej w hierarchii i pozwalała zyskać dodatkowy szacunek.

Gdy ostrożnie zaczął wywód o wkroczeniu przez Letycką w kompetencje

innych i zasugerował, że powinna częściej milczeć, a więcej słuchać, wiedział już, że utrafił w dziesiątkę. Rafał rozpromienił się, jego wypełnione kwasem hialuronowym policzki napięły się jeszcze bardziej, a we wzroku pojawiły się figlarne rozbłyski. Przez krótką chwilę nie przypominał siebie – masywnego, prostego faceta o rysach twarzy zdewastowanych przez wiek i nadmierną liczbę odmładzających zabiegów – lecz psotnego chłopaka. W jego rozbawionym przyzwoleniu było coś niezwykle pociągającego i uroczego zarazem. Jakaś łobuzerskość i krotochwilność, które bardziej niż z szefem kojarzyły mu się z urodą młodego Mickeya Rourke’a. Takiego, jakim zapamiętał go ze scen w *Dziewięć i pół tygodnia*.

Oderwał się od rozmyślań, odstawił kieliszek i zdecydowanym krokiem poszedł do sypialni. Łóżko domagało się nowej pościeli, podłoga – odkurzacza, a łazienki – sporej dawki środków chemicznych. Żałoba musiała się skończyć. Rafał w niego wierzył. Doceniał go, słuchał, teraz nawet pytał o zdanie. Nie mógł go zawieść. Nie teraz, kiedy po raz pierwszy miał poczucie, że stał się dla niego kimś więcej niż zwykłym podwładnym.

Rafał

Wszedł do pustego holu i z ulgą zanurzył się w ciszy. Strategia opóźnienia powrotu do domu najwyraźniej przyniosła efekty, bo nie było w nim nikogo – kręcącej się zwykle po kuchni gosposi, sprzątaczkę, ogrodnika czy przywożącego zakupy dostawcy. Nie było również Violetty ani jej koleżanek, do których musiałby się teraz uśmiechać. A co najlepsze, żadna z tych osób nie pojawi się tutaj aż do niedzielnego wieczoru. Będzie sam. Wolny od urządzanych przez małżonkę kolacji, konieczności znoszenia jej siostry razem z trójką nieokrzesanych bachorów czy wysłuchiwania niekończących się rozmów, jakie z upodobaniem prowadziła przez przyklejoną do ucha komórkę.

Uśmiechnął się pod nosem, rzucił kluczyki do auta na stojącą przy wejściu konsolę i ruszył w kierunku schodów prowadzących na piętro. Dzisiaj nie musiał robić niczego. Nawet parkować samochodu w garażu. Kolejne godziny mógł spędzić, gapiąc się w telewizor lub własną twarz odbijającą się w lustrach. Dziś i jutro mógł się nawet spić ulubionym bourbonem, zarzygać podłogę i nie zastanawiać nad tym, jak ocenią to żona czy służba. Po raz pierwszy od miesiąca był wolny.

Pokonał kilka pierwszych stopni potężnych schodów o ciężkich drewnianych poręczach. Monumentalnych i wielkich, szerokości ponad trzech metrów i kończących się imponującym półpięciem z ustawionymi na nim kamiennymi rzeźbami i olbrzymimi, rżniętymi z marmuru wazami. Odwrócił się na pięcie i spojrzał na rozciągającą się przed nim powierzchnię. Była ogromna. I pusta. Hol, oświetlony gigantycznym żyrandolem, z którego blask odbijał się w wypolerowanej marmurowej posadzce, demonstrował swą wielkość, przytłaczając gości przestrzenią. Specjalnie tak kazał go architektom urządzić. Właściwie to nie był nawet hol, lecz potężna sala wejściowa świadcząca o jego pozycji i mająca onieśmielić każdego, kogo zaproszono w te progi.

Idąc wolno po schodach, rejestrował kątem oka postać, która przesuwiała się w lustrach. Szerokie barki opięte czarną koszulą, silne dłonie i zarysowany wyraźnie podbródek, już nie tak jędrny jak wtedy, gdy po raz pierwszy pokonywał te stopnie, ale wciąż męski i kojarzący się z siłą. Mocne uda, których muskulatura widoczna była nawet przez przylegający do nich materiał i przypominała o zapaśniczej przeszłości. I stopy. W eleganckich butach od Prady. Czarnych jak reszta ubrania.

Celowo omijał wzrokiem twarz. Chciał jej się przyjrzeć, lecz dopiero gdy dotrze na górę. W pełnym świetle i z należną jej dzisiaj atencją. Miał nadzieję, że prezentowała się równie dobrze jak reszta. Że przywrócona skórze świeżość sprawiła, iż oblicze ponownie pasowało do reszty. Jego ciało wciąż było młode,

wyrzeźbione przez lata treningów, z napakowanymi odżywką mięśniami, tylko wygląd twarzy odstawał ostatnio od reszty. Może po dzisiejszej wizycie będzie nareszcie inaczej?

Odwrócił wzrok od luster, żałując w duchu, że zdecydował się wejść na piętro tą stroną. Jak długo patrzył na odbicia sylwetki, ciągle jeszcze czuł się silny i młody. Wystarczyło jednak, aby nieco uniósł wzrok, a szklane tafle zaczynały na niego polować. Osaczały go niczym magiczne zwierciadło bajkową królową. Doskonale rozumiał, dlaczego tak bardzo zależało jej na zachowaniu urody. Bez młodości władza traciła na sile. Nie pomagały pieniądze, możliwości, kontakty. Nie miało znaczenia, ile osób zatrudniasz, jak duży lęk wzbudzasz ani nawet ile kasy wpływa ci co miesiąc na konto. Gdy się starzejesz, nieuchronnie stajesz się nikim. Nawet podwładni przestają się bać twego gniewu. Kalkulują po cichu, że i tak cię ostatecznie przeżyją. Odliczają czas, który ci jeszcze pozostał, i chowają się w jamach swych gabinetów, pragnąc go jedynie przeczekać. W końcu przecież musisz się poddać. Scedować władzę, przekazać firmę następcom, wycofać się z biznesu i odnaleźć swe miejsce w woniejącym uryną domie spokojnej starości. Uzależniona od lustra królowa nie była podła, lecz bystra. Jej przenikliwość dostrzeżało się jednak zbyt późno.

Dotarł na piętro i z ulgą wydostał się spod obstrzału zwierciadeł. Przeszedł szybkim krokiem do znajdującej się na końcu korytarza sypialni, wpadł do środka i nie zatrzymując się nawet na chwilę, otworzył drzwi do łazienki. Zamknął oczy i po omacku włączył światło. Przez powieki widział jaskrawoczerwoną poświatę i – wciąż nie mając odwagi, aby otworzyć oczy – wsunął się niezgrabnie do środka. Poczł pod dłonią chłód porcelany, nabrał w płuca powietrza i przysunawszy głowę do wiszącego nad umywalką lustro, uniósł powoli powieki.

– O kurwa... – mruknął z podziwem i nachylił twarz jeszcze bliżej do lustra.

Lekarz był naprawdę wart swojej sławy. Nie okazał się kolejnym obiecującym mrzonki szamanem, lecz prawdziwym, godnym podziwu magikiem. Osiągnął to, czego inni nie potrafili uzyskać: idealną gładkość policzków. Nawet teraz, tuż po zabiegu, skóra była niezwykle napięta, a ślady po kaniuli, przez którą doktor wstrzyknął kwas hialuronowy pod mięśnie, praktycznie niewidoczne. W zasadzie, gdyby nie wiedział, w którym miejscu został przebity naskórek, wzięłyby te kropki za powiększone pory lub blizny po niewyleczonym w młodości trądziku. Przez weekend drobne ranki z pewnością się zagoją i w poniedziałek nikt nie będzie już w stanie odgadnąć, że jego młody wygląd jest efektem chirurgicznych wypełnień. Co lepsze, kwas będzie pęczniał, absorbował wilgocia, objętość policzków jeszcze się zwiększy, a uzyskane w ten sposób napięcie sprawi, że zmarszczki staną się wyłącznie wspomnieniem.

Odkręcił kurek i zanurzył ręce pod wodą, po czym przesunął wilgotne, zimne dłonie po twarzy. Starł z niej resztki pozostawionej na skórze maści znieczulającej,

drobne strupki, które powstały w miejscach po igle, oraz cały pot, jaki pod wpływem napięcia zdążył wydostać się z porów. Pod palcami wyczuwał szorstkość zarostu, twardą gęstość wypełnień, delikatne obrzęki i obolałe miejsca, w których jeszcze niedawno tkwiła chirurgiczna kaniula, oraz bolesną linię górnej wargi, która również odzyskała wypukłość. Osuszył delikatnie twarz ręcznikiem, rzucił go na podłogę i raz jeszcze przejrzał się w lustrze. Wyglądał świetnie. Dokładnie tak, jak sobie wymarzył. Adekwatnie do pozycji i funkcji. I odpowiednio, aby stanąć bez wstydu przy Violi.

Odsunął się nieco od lustra i spróbował wykrzywić twarz w jakimś wyjątkowo paskudnym grymasie. Policzki uniosły się nieco, lecz skóra na grzbiecie nosa nie pokryła się typowymi dla tej miny zmarszczkami.

– Kon-wer-gen-cja – wysylabizował powoli, obserwując ruch żuchwy, napięcie górnej wargi oraz sposób, w jaki układały się usta. – Konwergencja. Konwergencja. Konwergencja.

Krtań wydawała posłuszenie dźwięki, ale na twarzy nie odbijały się najmniejsze emocje. Świetnie! Znakomicie! Osiągnął coś więcej niż młodość: stał się nieprzenikniony. Jedynym grymasem, jaki udawało mu się teraz uzyskać, był delikatny, płasający w kącikach ust uśmiech. Cień uśmiechu w zasadzie. Bardziej niż w mięśniach dostrzegalny obecnie w spojrzeniu.

– Konwergencja – powtórzył raz jeszcze.

Słowo było dobre. Eleganckie, niezrozumiałe i mocne zarazem. Niosło w sobie obietnicę i kojarzyło się z wielkim światowym biznesem, z korporacjami notowanymi na nowojorskiej giełdzie, konsultantami zatrudnianymi przez najdroższe firmy doradcze i raportami analityków, na których podstawie inwestorzy podejmowali decyzje, a zarządy oceniały pracę menedżerów.

– Konwergencja... Co to, do kurwy nędzy, znaczy?

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wydobyl komórkę i w przeglądarce internetowej zaczął poszukiwać znaczenia. Konwergencja. Czy na pewno? Lena mówiła tak szybko, że mógł się z łatwością przesygnąć. Może korwengencja? Albo kowengencja? Parsknął na wspomnienie Letyckiej i zaryzykował konwergencję. Nie przesygnął się zatem.

– „Zbieżność lub powstawanie zbieżności” – przeczytał na głos i zachnął się ponownie pod nosem.

Dlaczego Lena nigdy nie potrafiła powiedzieć niczego po ludzku? Snuła te swoje niekończące się wywody, naszpikowane dziwnymi, słyszczanymi przez niego po raz pierwszy słowami, jakby jedynym celem, jaki przed sobą stawiała, było wytknięcie mu jego prostactwa. Wykazanie, że był niedouczoneym kretyńcem, niezdolnym zrozumieć meandry stworzonego przez siebie biznesu. Miał niekiedy wrażenie, że zademonstrowanie intelektualnej przewagi było jedyną przyczyną, dla której Letycka wdawała się z innymi w dyskusje. Jej obserwacje były cenne, nie

przełożył, ale mogłaby je czasem przemilczeć, pozwalając im na to, by dostrzegli konsekwencje swych decyzji i działań bez trącej protekcjonalizmem pomocy.

On sam brał z początku jej potrzebę zajęcia stanowiska za dowód głębokiego oddania. Firmie, pracy i jemu. Wielokrotnie zgadzał się w duchu z jej sugestiami i często przychylił się do jej punktu widzenia, prezentując go zespołowi jako własną, podjętą już wcześniej decyzję. Wynik jego osobistej przenikliwości i dokonanych uprzednio przemysłów. Lena reagowała na to entuzjastycznie. Chwaliła go publicznie jako charyzmatycznego, oświeconego lidera. Wizjonera, który wyprzedzał konkurencję i nie bał się podejmowania ryzyka. Do czasu. W którymś momencie zauważył, że jej egzaltacja osłabła, a zachwyty osobą szefa stał się zdecydowanie mniej żywiołowy. Wycofywała się z rozmowy i czekała na jego opinię, jakby testowała, czy rzeczywiście miał swój pogląd na sprawę, i podpuszczała go w nadziei, iż popełni katastrofalną w skutkach pomyłkę. Wtedy już wiedział, że przestała go szanować, podziwiać i cenić, że zaczynała budować własny dwór i zamierzała wysadzić go z siodła. W idiotyczny, pozbawiony szans powodzenia sposób. Najgorszy z możliwych, bo wymierzony przeciwko niemu – prezesowi i właścicielowi zarazem. Czy naprawdę sądziła, że rezerwa i nieudane próby zdyskredytowania go w oczach zespołu przyniosą jej jakiegokolwiek korzyści? Ostatecznie był w tej firmie pierwszą i jedyną instancją. Panem życia i śmierci, decydującym o tym, kto dostanie w przyszłym miesiącu wypłatę, kto będzie się piął po szczeblach kariery, a kto zostanie wypierdolony za drzwi z prędkością zbliżoną do światła. Podburzanie załogi nie mogło przynieść jej niczego dobrego. Powinna to wiedzieć. W jego firmie nie było miejsca dla wichrzycieli, mąciwodów, leserów. A już z pewnością nie dla osób, które śmiały mu się jawnie sprzeciwić. Tak, musiał zrobić coś z Leną, zanim jej postawa wpłynie na resztę zespołu. Gdy zadawał pytanie, to oczekiwał odpowiedzi. Nie po to płacił i tracił czas na spotkania z tą bandą idiotów, by ujawniać im tok swego myślenia.

Na szczęście nie zauważyli jeszcze przyjętej przez Letycką taktyki. Wciąż – jak powiedział mu dzisiaj Malicki – dostrzegali wyłącznie drażniącą wszystkich potrzebę Leny uczestniczenia w każdej toczony przez nich dyskusji. Wkurwiała ich tak samo jak jego, lecz powody, dla których ją z trudem znosili, były całkowicie inne – i błędne. Mieli perspektywę ograniczoną wyłącznie do czubków swych nosów, wykoślawioną strachem, że któraś z jej uwag może ich wpędzić w kłopoty. Kretyni! Choć może i cenni kretyni? Ostatecznie ich niechęć do Leny była dla niego wartościowym narzędziem. Mógł to wykorzystać, by przywrócić ją w każdej chwili do pionu. Pokazać jej właściwe dla niej miejsce i przypomnieć, że nie jest tak niezastąpiona, jak mogłoby jej się wydawać.

Nie był gotowy rozstać się z Leną. Jeszcze nie teraz. Jej praca i kontakty nadal mu były potrzebne. Harowała jak wół i zawsze dowoziła postawione jej cele. Nawet te, w których realizację sam początkowo nie wierzył. Była tytanem pracy

i zjadła zęby w tej branży. Pozbycie się jej wydawało się nierozsądne i odbiłoby się głośnym echem na rynku. Mogłoby zagrozić sprzedaży. Sprawić, że działające bez problemu relacje nagle stałyby się znacznie trudniejsze. Nie zamierzał ryzykować bezpieczeństwa biznesu tylko po to, aby utrzyć jej nosa. Będzie musiał inaczej to załatwić. Złamać jej kark oraz wolę, przywrócić do stanu, w którym stanie się mu bezwzględnie posłuszna.

Wyszedł z łazienki i sięgnął po leżącą przy łóżku książkę, którą ostatnio podarowała mu Viola. Ilustrowany podręcznik języka ciała pełen stosownych na tę chwilę obrazków. Bez trudu znalazł zagiętą kartkę i po raz setny przyjrzał się ilustracjom. Okazywanie przewagi oraz braku szacunku. Świetne! Doprawdy bezbłędne! Kilkakrotnie podał już Lenie rękę, przekręcając dłoń tak, by jego znalazła się na górze. Ten banalnie prosty chwyt działał! Letycka traciła rezon i stawała się bardziej potulna. Podobnie jak wtedy, gdy mówiąc do niej, ustawiał się bokiem i spoglądał na inną osobę. Albo unosił ramiona i trzymając lewą dłońią prawy nadgarstek, opierał tak splecione ręce o głowę. Albo gdy nie robił niczego. Ignorował jej obecność, zbywając uwagi milczeniem, zmieniając temat i zwracając się do innej osoby. Za każdym razem policzki Leny pokrywały się nerwowym rumieńcem, jakby właśnie dostała w twarz. Wiedział, że nienawidziła go za to, lecz jej emocje nie miały najmniejszego znaczenia. Mogła czuć, co tylko chciała, byle była mu całkowicie posłuszna. W pewnym sensie jej niechęć sprawiała mu nawet przyjemność. Świadczyła o tym, że stosowane przez niego techniki skutecznie odbierały jej siłę.

Poniżenie bolało Letycką dotkliwie. Głównie dlatego, że była niezwykle inteligentna i wyczuwała najdrobniejsze niuanse. To, czego inni nawet by nie dostrzegli, dla Leny było aż nazbyt jaskrawe. Dobitne, trudne do przełknięcia i gorzkie. Równocześnie jednak nie mogła się nikomu poskarżyć. Nie robił jej przecież niczego, co mogłaby uznać za afront.

Zaśmiał się pod nosem z satysfakcją i odrzucił książkę na łóżko. Ilustracje już nie były potrzebne. Wiedział dokładnie, co robić. Obserwował ludzkie reakcje, polerował swój warsztat, dochodził do maestrii w niezauważalnych dla wielu grymasach. Drobnych napięciach mięśni, subtelnym różnicach w układzie ciała, setkach tysięcy zabarwień, które potrafił nadać chrząknięciom. Znaczącym? Dwuznacznym? Skądże! Pozwalającym na oczyszczenie gardła po zbyt długim, wysuszającym usta milczeniu.

Czy ktoś poza Leną stanowił problem?

Zaczął maszerować wzdłuż i w poprzek sypialni, dokonując przeglądu. Lubił to robić. Krążyć ze złożonymi na krzyżu rękami i odmierzać pokój krokami. Niczym wódz, który skupia myśli przed bitwą i opracowuje odpowiednią strategię.

Nie, żadne z nich nie wymagało chwilowo, aby poświęcił mu uwagę. Nie w większym stopniu, niż robił to na bieżąco. W przypadku wszystkich poza Leną

drobne szykany wystarczały, aby utrzymać ich w ryzach. One i zbierany przez niego materiał. Dostarczany przez zatrudniane w tym celu „implanty”, które hołubił i rozrzucił po działach. Nie tylko po to, by przekazywały mu plotki krążące w windach, palarniach czy kiblach, lecz przede wszystkim dlatego, że sama ich obecność budziła we wszystkich niepokój. Jedni uznawali jego wtyki za przejaw przywileju, który jako właściciel posiadał. Nie dotykali tematu, nie próbowali tym ludziom szefować. Inni, jak Letycka, Urbański lub Paweł, przyjmowali nowych pracowników z nadzieją, jakby rzeczywiście wierzyli, że mogą delegować im pracę, wymagać realizacji poleceń, traktować niczym swoich podwładnych. Śmieszyła go ta naiwność. Dziwaczna próba utrzymania w dłoni oręża, obronienia pozycji i dowód wiary w to, że rzeczywiście byli szefami. Najbardziej kuriozalnie zachował się chyba Marcin Urbański, który z pacholęcą prostodusznością poprosił szpiega, by ten przygotował mu raport. Tak jakby nie zorientował się wcześniej, że posadzona w jego dziale osoba nie miała bladego pojęcia nie tylko o biotechnologii, ale nawet o profilu ich firmy. Nie po to przecież tam była. Miała analizować nie dane, lecz zawartość skrzynek mailowych i prywatne foldery na laptopach pracowników. Infekować stacje robocze trojanami umożliwiającymi śledzenie, co użytkownik aktualnie robi. Oczywiście Urbański nie był jedynym celem. Badanie dotyczyło ich wszystkich.

No cóż, Marcin nigdy nie grzeszył mądrością. Był inteligentny i głupi zarazem. *Fachidiot*, jak powiedzieliby Niemcy. Zbyt poczciwy, by podejrzewać cokolwiek, i zbyt skupiony na pracy, by rozpoznać rozgrywki biurowe. Smutny dzieciak pozbawiony charakteru oraz ikry. Odstępczący swoją słabością.

Na wspomnienie Urbańskiego przeszył go dreszcz obrzydzenia. Jak mężczyzna mógł być taki słaby? Niby młody, wykształcony, zdolny, a w rezultacie najslabszy z nich wszystkich! Łykający te swoje pigułki i wypłakujący się na kozetce psychiatrze. Żenujący! Gorszy od bab, a nawet cioty! Już taki pedzio Daniel miał w sobie więcej męskości! A ta mimoza Potocka przy Urbańskim wydawała się harpią!

– Ja pierdołę! – mruknął pod nosem. – Co za cipa! Co za pierdolona, poroniona porażka!

Nie, to nie Lena wymagała błyskawicznej korekty. Najpierw musiał zetrzeć tę pizdę! Zanim znowu dostanie raport, że Urbański poszedł się komuś wypłakać lub zapisał się z żoną na jogę. Od kiedy ten złamas zaczął mieć problemy z plecami, nie był w stanie nawet siedzieć bez bólu.

– Niech wypierdala! – Jego rozdrażnienie rozszalało się i domagało natychmiastowego działania. – Nie będę znosił w swojej firmie łamagi! To nie jest miejsce dla słabych i starych! To nie żadna pierdolona ochronka!

Musiał pamiętać, by przekazać Poli odpowiednie wskazówki. Nie będzie mu przecież płacił odprawy! Niech kadry zbiorą kwity i pozbędą się tego złamasa!

Uspokojony wrócił do łazienki i raz jeszcze stanął przed lustrem. Zaczynał się weekend, Violi nie było, a jego twarz wyglądała wspaniale. Nie mógł pozwolić, aby myśl o Urbańskim popsukała mu piątkowy wieczór albo chociaż podnosiła ciśnienie. Zajmie się nim w poniedziałek.

Spróbował się do siebie uśmiechnąć i z satysfakcją dostrzegł, że przy napięciu policzki się lekko uniosły. Świetnie! Ten lekarz wiedział, co robił! Nie to co poprzedni konował, który przekonywał go do „bardziej naturalnego efektu”. Naturalnie to on był pomarszczony i stary! Nie po to wydawał kasę, by podtrzymywać to wrażenie!

Wściekłość wróciła zdwojona, więc przymknął oczy i wykonał kilka głębszych oddechów.

– Konwergencja – powiedział na głos w nadziei, że to słowo ponownie przywróci mu dobry nastrój. – Konwergencja, rezyliencja, koherencja...

Dlaczego wszystkie słowa, które podebrał Lenie w ostatnich tygodniach, miały takie same końcówki?

– Inwencja i koincydencja.

To niemożliwe! Musiał usłyszeć również inne wyrazy!

– *Holistic customer centric approach!* – krzyknął z ulgą i raz jeszcze się skupił. – *Assignment! Assessment! Engagement! Target! Value selling! Upsale! Helicopter view! Upscale! Value creation!*

Dobrze! Bardzo dobrze! Wszystko to przyda mu się w najbliższym tygodniu. Musiał tylko odpowiednio skomponować wyrazy. Ułożyć je w sentencje, które stworzą konsystentną strategię. Konsystentną! Kolejne słowo, o którym wcześniej zapomniał!

– Żyjemy w świecie konwergencji produktów oraz technik sprzedaży. W świecie, w którym konsument jest *aware and ahead*, a co za tym idzie: posiada nowe, odmienne od dotychczasowych potrzeby – zaczął powoli, smakując brzmienie słów i oceniając, na ile to, co mówił, brzmiało skomplikowanie i mądrze. – To nie koincydencja, że naszymi rywalami na rynku nie są już firmy branży masarskiej, lecz producenci nabiału. To znak czasu. Dowód na to, że musimy być *more client centric*. Że nasza *proposition* dla klientów musi być holistyczna. Że musimy mieć *helicopter view* na ich potrzeby, oczekiwania, aspiracje. Nowoczesny *customer* chce od nas *highest value*. I my to *value* musimy mu dostarczyć poprzez *upscale* naszych produktów. Stara formuła się wyczerpała. Tylko kreatywność, inwencja oraz cyfryzacja zapewnią nam trwałe miejsce na rynku! Tylko będąc blisko konsumentów, możemy zrealizować *upsale*. Doprowadzić do *value creation* i *value selling*. W przyszłości nie będziemy sprzedawać mięs, wędlin ani produktów garmazeryjnych. Staniemy się zaufanymi doradcami do spraw zdrowego żywienia. *Research, upscale, big data* – to podstawy naszego przyszłego sukcesu! – Zawiesił głos, odetchnął głębiej

i spokojniejszym tonem kontynuował: – Musimy być responsywni na potrzeby rynkowe. Zjednoczeni jako zespół. Wymagający od siebie więcej niż jedną *extra mile*. Jako firma musimy być transparentni. *Fully compliant and socially responsible*. Tego od was wszystkich oczekuję. Nie za rok albo za miesiąc. Od zaraz! Niech nasze wartości przestaną być pustymi słowami. Rezyliencja rynkowa, koherencja zespołu, ambicja i kolaboracja! To są nasze *values*! I tego będziemy się trzymać!

Zadowolony z własnej przemowy uniósł nieco ramiona i energicznym krokiem wyszedł z łazienki, zabierając ze sobą telefon. Zbiegł do holu, przeszedł do kuchni i opanowany nagłą oskomą zaczął przeszukiwać lodówkę. Wyciągnął dwoma palcami jeden z ośmiu zostawionych mu przez gosposię kotletów i przyjrzał się uważnie panierce. Była gruba, chrupiąca, dokładnie taka, jak lubił. Przytrzymał kotlet zębami i łapczywie sięgnął po drugi. Wyciągnął sześciopak piwa, postawił na blacie, podważył paznokciem zawleczkę puszkę i zaczął popijać mięso, które powoli zapychało mu usta. Przełknął, odetchnął i zastanowiwszy się jeszcze przez moment, sięgnął po włożoną do kieszeni spodni komórkę. Odgryzł kolejny kawałek kotleta, wybierając równocześnie osobę z długiej listy kontaktów. Przełączył telefon na tryb głośnomówiący i odłożywszy go na blat, ponownie sięgnął po piwo.

– Rafi? – w głosie Daniela wyczuł nutę obawy. – Coś się stało?

– Nic się nie stało – burknął z pełnymi ustami. – Mam nadzieję, że wciąż jesteś w biurze.

Malicki zawahał się i dopiero po chwili zaprzeczył:

– Niestety, właśnie dojechałem do domu.

Doskonale wiedział, że Daniel kłamie, lecz w tej chwili nie zamierzał go przyciskać do muru.

– No, trudno. – Postarał się, aby w głosie zabrzmiało rozczarowanie zmieszane z protekcjonalną nutą oceny. – Zatem możesz się cieszyć weekendem. Niestety nie wszyscy mamy jeszcze taką możliwość.

– Jeśli to ważne, to wrócę. – W głosie Daniela usłyszał nieudolnie skrywaną panikę i uśmiechnął się złośliwie pod nosem.

– Nie fatyguj się. – Zaśmiał się głośno, wyobrażając sobie, jak Malickiemu trzęsą się ręce. – Bądź tak łaskaw i w poniedziałek z samego rana wpadnij do mnie do biura.

– Może powiesz mi teraz?

Histeryczne nuty zdominowały głos Malickiego, a on uśmiechnął się do siebie raz jeszcze, odgryzł kolejny kawałek kotleta i przeżuwając głośno, szybko zastanowił się w duchu.

– No dobrze – podjął decyzję, dostrzegając w tej chwili nową możliwość. – Chcę, żebyś maksymalnie przyspieszył kampanię. Telewizja miała ruszyć za

tydzień?

– Tak. – Odgłos przełkniętej nerwowo śliny sprawił mu wyraźną przyjemność.

– Na kiedy ją możesz przesunąć? Z naszym budżetem nie powinno być to chyba problemem?

– Mogę spróbować. Nie wiem tylko, czy zdołam zdobyć dobry czas antenowy. Z reguły staramy się, aby...

– Nie interesują mnie szczegóły techniczne – przerwał Malickiemu w pół zdania. – Załatw to z domem mediowym. Mam nadzieję, że w przeciwieństwie do ciebie oni wciąż jeszcze pracują. Wystarczy, że wykonasz telefon. A może się mylę i praca cię zaczyna przerastać?

– Załatwię to.

W wyobraźni widział, jak Malicki się rumieni, pochyla głowę i wyciera spocone dłonie w gejowskie džinsy, w których dzisiaj widział go w biurze.

– Świetnie.

– Mam zadzwonić do Leny? – Oddech Daniela zaczął się uspokajać. – Powinna wiedzieć...

– Nie trzeba – znowu mu przerwał w pół zdania. – Lena już wie. Uzgodniłem to z nią dzisiaj wieczorem. To jej zależało na zmianie.

Cisza w słuchawce brzmiała naprawdę cudownie. Wyobrażał sobie minę Daniela, jego unoszące się ze zdziwienia powieki oraz niepewność, która obciążała mu żuchwę. Był absolutnie pewien, że Malicki nie jest w stanie nie tylko niczego powiedzieć, ale nawet przymknąć swej gęby rozwartej w imbecylnym zdumieniu.

– Wiem, co sądzisz o Lenie – zaczął mówić powoli, przeciągając słowa i nadając im tym samym dodatkowe znaczenie. – W znacznej mierze zgadzam się z twoim osądem i się cieszę, że przekazałeś mi *feedback*. Nie zmienia to jednak faktu, że Letycka jest świetnym fachowcem. Poza tym odpowiada za sprzedaż. Szczerze mówiąc, utrzymuje was wszystkich. – Przerwał i poczekał, aż jego słowa odpowiednio wybrzmiały.

– Tak, oczywiście – przytaknął skwapliwie Malicki, lecz po mrocznym tembrze jego głosu rozpoznał, że chwalenie Letyckiej było dla Daniela trudne do przełknięcia.

– Nie przejmuj się, nie zdradzę Lenie, co mówiłeś na jej temat – zapewnił go konfidencjonalnie. – Bardzo się cieszę, że podzieliłeś się ze mną obawą. Doceniam szczerść oraz krytycyzm. Jestem przekonany, że te informacje przekazałeś w dobrej wierze i mając na celu dobro spółki...

– Tak, oczywiście. – Daniel zachłysnął się powietrzem. – Pozwolisz, że się teraz rozłączę? Skoro przesuwamy kampanię, muszę niezwłocznie przesłać odpowiednie zlecenia.

– Jasne – wybełkotał z pełnymi ustami. – W przyszłym tygodniu

porozmawiamy jeszcze o nowej kreatywnej koncepcji. Mam pewien pomysł i chciałbym go z tobą omówić. Poznać opinię eksperta.

– Oczywiście! Daj tylko znać...

Nacisnął czerwoną ikonę na ekranie komórki i się rozłączył, nie żegnając się nawet z Malickim. Tak było lepiej. Bez niekończących się wymian uprzejmości i wysłuchiwania służalczych zapewnień drugiej strony. Niech idiota lepiej zajmie się pracą. Ostatecznie po tym, jak rzucił go ten ciotowaty kochanek, nie miał chyba interesujących planów na wieczór?

Marcin

Przez szyby swojego akwarium dostrzegł zbliżającą się Polę. Jej szczupła sylwetka przemieszczała się powoli przez laboratorium, wywołując poruszenie wśród pracowników. Ich nerwowość przypominała mu trzepoczące skrzydła spłoszonych przez jaszczurkę owadów. Niepotrzebnie, bo gdy tylko ją dostrzegł, wiedział, że to on jest jej celem. Przyszła tutaj, aby go zwolnić, był tego pewien. W sumie czekał na to. Perspektywa rozmowy denerwowała go, a równocześnie niosła obietnicę uspokojenia. Nareszcie się skończy czekanie, lęk przed zwolnieniem, obawa przed najłżejszym grymasem Rafała, wypatrywanie Potockiej na piętrze. Będzie miał to w końcu za sobą. To, ale również coś więcej. Nerwy, zarwane noce, złośliwości oraz wszelkie przytyki. Uwagi, że mógłby postarać się bardziej, i podważające jego kompetencje sugestie. Sam nie miał odwagi się zwolnić, ale teraz, gdy patrzył na idącą w jego stronę Polę, czuł ulgę. Wyraźne nuty wytchnienia zmieszanego ze stresem.

Poruszył się w fotelu i syknął. Kręgosłup wciąż mu się dawał we znaki, a pozycja siedząca nie poprawiała kondycji. Z każdą spędzaną za stołem minutą mięśnie grzbietu coraz bardziej tężały w bolesnym przykurczu, na który nie pomagały przepisane przez lekarza tabletki. Wstał ostrożnie zza biurka i powłócząc nogami, podszedł powoli do szklanej ściany. Skoro Pola musiała to zrobić, to mógł jej to zadanie minimalnie ułatwić. Otworzyć drzwi, zaprosić gestem do środka, spytać, czy chciałyby kawę. Ostatecznie to nie jej wina. Tak jak wszyscy tylko wykonywała zadania. Nie podejmowała żadnych kluczowych decyzji. Roznosiła wypowiedzenia i przepytywała kandydatów do pracy. Nic więcej.

Uśmiechnął się do niej i przytrzymując drzwi, pozwolił, aby weszła do środka. Gdy go mijała, zauważył, że nie miała ze sobą charakterystycznego czarnego kartonu. Papierowej teczki, w którą zwykle wkładała papiery.

– Masz ochotę na kawę? – spytał i dusząc szarpiący nim ból, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie, dziękuję, już piłam. Jak się czujesz?

Spojrzała na niego z uśmiechem, ale w jej oczach poza zwykłą sympatią dostrzegł coś jeszcze. Pewien rodzaj troski, przykrości, współczucia. Tak jakby patrzenie na niego sprawiało jej wyraźny dyskomfort.

– Sama widzisz. – Wzruszył ramionami i przytrzymując się blatu, opadł na fotel przy biurku. – Ciągłe mam problem z plecami. Drętwieją mi ręce i nogi.

– Co mówią lekarze? – Jej głos zabrzmiał poufale i miękko. Jakby nie była koleżanką z pracy, szefową kadr ani zakładowym aniołem śmierci – jak wszyscy tu o niej mówili – lecz przyjaciółką, która się o niego troszczyła.

– Na szczęście to nie zanik mięśni, stwardnienie rozsiane ani żadna potworna

choroba. – Zaśmiał się z trudem i puścił do niej oko.

W gruncie rzeczy wolałby chyba, żeby była to jakaś dająca się zdiagnozować przypadłość. Coś, co ma numer w klasyfikacji schorzeń i co pozwoliłoby mu się sobą zasłonić. Jakaś etykieta, bezpieczniejsza niż traktowana pobłaźliwie i wyśmiewana przez wszystkich depresja. Gdyby chodziło o przypadłość neurologiczną albo nieuleczalną postępującą chorobę, wyłączną winę za stan, w którym się obecnie znajdował, ponosiłoby ciało, nie umysł. To ono byłoby słabe, zawodne, śmiertelne. Nie on, tylko ta góra mięśni i kości.

– Posłuchaj, Marcin. Bardzo się martwię o ciebie – zagaiła półgłosem i nachyliła się nad biurkiem w jego stronę. – Może nie powinnam tego mówić, a tym bardziej dopytywać o stan twego zdrowia, ale zwyczajnie po ludzku się martwię.

– To miłe. – Uśmiechnął się krzywo. – Nie musisz się niepokoić, ale miło mi, że się troszczysz.

– Nasza rozmowa wykracza poza ramy akceptowane w biznesie. Nie mam prawa pytać cię o choroby, a ty nie musisz mi niczego wyjaśniać. Jako pracodawca naruszam w ten sposób zasady. Wiesz to równie dobrze jak ja.

– Nic nie szkodzi. Nie jestem aż tak wrażliwy na swym punkcie. I naprawdę doceniam, że pytasz.

– To nie Rafał mnie przysłał – syknęła i rozejrzała się dookoła. – Nie jestem tutaj po to, by wyciągnąć z ciebie zeznania. Nie streszczę mu przebiegu rozmowy. Nawet o niej nie wspomnę.

Zaśmiał się głośno, rozbawiony jej konspiracyjnym szeptem i naiwnością, która pozwalała jej wierzyć, że informacja o ich rozmowie nie dotrze błyskawicznie do Tuszy. Przyszła tutaj, do przeszklonego laboratorium, w którym widział ją każdy siedzący na open space pracownik. Każda mijana po drodze osoba mogła przekazać Rafałowi wiadomość. Zresztą, czy mieli jakąkolwiek gwarancję, że w pokoju nie było podsłuchów? Jasne, szansa na to, by Rafi odsłuchiwał wszystkie prowadzone w tej firmie rozmowy, była naprawdę mizerna. Co nie znaczyło, że nie miał takich zapędów.

– Po co zatem przysłaś?

– Oficjalnie? By omówić z tobą plan sukcesji dla działu. Masz sporo młodych kobiet w zespole. Zakładam, że będą chciały mieć dzieci. Powinniśmy się na to przygotować.

– A nieoficjalnie?

– Aby omówić plan sukcesji dla działu. – Poruszyła znacząco brwiami. – Wyznaczyć drugą linię dla kluczowych pracowników w zespole. Poczynając od ciebie.

– Rozumiem. – Kiwnął głową, chcąc dać jej poczucie, że doceniał gest, jaki wykonała, zjawiając się u niego. – Oczywiście. Plan awaryjny. Na wypadek, gdyby

coś mi się przytrafiło. Choroba, trwała niezdolność do pracy...

– ...awans... – dorzuciła, uśmiechając się przy tym znacząco.

– ...albo, odpukać, złożona przez konkurencję oferta...

– Właśnie.

– Wszystko rozumiem. Plan sukcesji. Bardzo ładnie się to nazywa.

– Jest w tym pewna elegancja – przyznała.

– W jakim czasie powinniśmy zyskać gotowość?

– Do wdrożenia planu?

– Nie. Zastąpienia mnie przez inną osobę.

– No cóż. Oczekiwania zarządu są takie, że zastępstwo powinno być gotowe z dnia na dzień. W praktyce jednak... – zawiesiła głos i spojrzała na niego znacząco. – W praktyce jednak zakładałabym, że nastąpi okres przejściowy. Sam rozumiesz: procesy kadrowe. Na ten moment nie ma w zespole nikogo, kto mógłby cię od razu zastąpić. Plan sukcesji musi zatem przewidywać jakiś czas na wyszkolenie twojego cienia.

– Masz więcej doświadczenia w tych sprawach.

– Dałabym na to dwa, trzy miesiące.

– Rozumiem. Czy to samo dotyczy podwładnych?

– W ich przypadku tak bardzo się nie martwię. Nie są kluczowi dla naszego biznesu. Mają niższe stanowiska, oznaczają mniejsze ryzyko i są łatwo zastępowalni.

– Jasne.

– Ty musisz zadbać o siebie.

– Tak, oczywiście.

– Zostałam poproszona o przygotowanie ewentualnego zastępstwa. Mam się tym zająć bezzwłocznie. Zrobienie planu zajmie mi kilka dni. Może tydzień. Potem rozpoczniemy fazę tworzenia dla ciebie drugiej linii. Będę musiała przeprowadzić audyt kompetencyjny. Jeśli nie znajdziemy odpowiedniej osoby w zespole, to nastąpi kolejny etap: rozpoznania rynku pracy oraz oceny, w jakim czasie firma byłaby w stanie pozyskać właściwego następcę. W książkowych scenariuszach plan sukcesji pracowników kluczowych obejmuje listę kandydatów, których można w miarę szybko zatrudnić. Nazwiska, życiorysy, dane kontaktowe, informacje o oczekiwaniach płacowych... Zakładam jednak, że w naszym przypadku tego rodzaju staranność nie będzie wymagana od razu. Raczej rodzaj orientacji rynkowej. Szacunek czasu pozyskania następcy.

– Czy plan sukcesji zakłada, że kandydat z zewnątrz jest już gdzieś zatrudniony i nie będzie mógł zacząć od zaraz?

– Teoretycznie tak. Dlatego tak duży nacisk kładzie się na to, by w organizacji utworzyć zespół cieni dla wszystkich pracowników kluczowych. To skraca proces i jest znacznie bardziej efektywne finansowo. Sam rozumiesz: nie

ponosi się kosztów przyspieszonej rekrutacji ani nie płaci kandydatom więcej, niż mogliby otrzymać w normalnych warunkach.

– Ale, jak sama powiedziałaś, nie mamy dla mnie oczywistego zastępcy w zespole...

– No właśnie. Co oznacza, że okres przejściowy może trwać od czterech do nawet sześciu miesięcy.

Zmienił pozycję w fotelu i spojrzał na nią z namysłem. Nie wiedział, czy powinien być wdzięczny za to, że go właśnie ostrzegła, czy raczej zazdrosny, że umiała to zrobić w ten sposób. Zawsze sądził, że nie przejmowała się zbyt losem kolegów, bo lata pracy uodporniły ją na to wszystko. Skupienie i dystans, które w niej od zawsze wyczuwał, interpretował jako obojętność na świat. Był przekonany, że przychodziła do biura, wykonywała polecenia Rafała i o wszystkim zapominała, kiedy tylko wróciła do domu. Że przez lata udało jej się wypracować skorupę. Dzisiejsze spotkanie jednak obaliło tę tezę. Była bystra, inteligentna i ulegała bardzo ludzkim odruchom. Gra, którą prowadziła, była trudna i pełna pułapek, ale umiała odpowiednio rozgrywać jej partie. W sposób subtelny, przemyślany i sprytny. Nie zostawiając po sobie śladów, jedynie rozsypane dyskretne okruszki. Zaimponowała mu.

– Jesteś wysokiej klasy ekspertem. Znakomicie wyjaśniłaś mi wszystkie meandry. Dziękuję. To spotkanie było jednym z bardziej inspirujących, jakie zdarzyło mi się odbyć w tej firmie. – Uśmiechnął się do niej figlarnie. – Rzadko kiedy mam okazję porozmawiać na podobne tematy. W zasadzie nigdy. To doświadczenie było rzeczywiście bezcenne.

Przyjęła jego wywód milczącym skinieniem i zaczęła się podnosić z fotela.

– Pola? – Zatrzymał ją gestem i poprosił, aby jeszcze na moment usiadła. – Czy mogę zadać dodatkowe pytania?

– Oczywiście. – W jej oczach dostrzegł cień niepokoju. – Mam nadzieję, że będę ci w stanie odpowiedzieć.

– Pierwsza kwestia: czy potrzebujesz z mojej strony zaangażowania? Skoro temat dotyczy mnie i mojego zespołu, to naturalne wydaje się...

– ...że poproszę ciebie o pomoc? – dokończyła za niego. – Tak. Będę musiała to zrobić. W przeciwnym razie nasze dzisiejsze spotkanie byłoby bezzasadne.

Oczywiście. Musiała się zabezpieczyć na wypadek, gdyby Tusza dowiedział się o ich rozmowie. Musiała mieć obiektywne, zrozumiałe dla wszystkich powody, dla których spędziła z nim ostatnie minuty.

– Prześlę ci matrycę kwalifikacji z prośbą o ocenę twoich bezpośrednich podwładnych oraz wskazanie osób, które mają najwyższy potencjał – wyjaśniła z uśmiechem i wstała. – To proste narzędzie i wypełnienie arkusza nie zajmie ci dużo czasu. Może od razu umówmy się, że odeślesz mi formularz za tydzień?

– Jasne. Nie chciałbym, żebyś przeze mnie miała jakiegokolwiek kłopoty. – Zauważył, że jej brwi unoszą się w ostrzeżeniu, i skwapliwie dokończył wypowiedź: – Wiesz, z powodu opóźnień w dostarczeniu tego planu sukcesji.

Skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi. Położyła rękę na klamce, po czym z namysłem odwróciła się w jego stronę.

– To było to jedyne pytanie?

– Nie. Ale może nie powinienem drugiego zadawać? – zreflektował się, po czym przyjrzał się jej z uwagą.

– Jeśli chcesz o coś spytać, to teraz. Nie będziemy drugi raz mieli szansy, by powrócić do tego tematu.

– Czy mój dział jest jedynym, dla którego przygotowujesz te plany?

Uśmiechnęła się szeroko w odpowiedzi i otwierając drzwi, rzuciła niedbale przez ramię:

– Jest pierwszy. Zakładam, że później temat zacznie dotyczyć też innych. Pewnie trafiłeś na pierwszy ogień, bo Rafał lubi porządek. Nie mam pewności, lecz zgaduję, że chodziło o zachowanie kolejności alfabetycznej. Biotechnologia jest pierwsza.

– Nazwa działu to technologia... – Uniósł delikatnie kąciki.

– Oficjalna. Prezes ma swoją nomenklaturę, a ja jego zdanie szanuję.

Zamknęła za sobą szklane drzwi, odwróciła się jeszcze, po czym pożegnała go gestem. Jej uniesiona dłoń zwrócona była wnętrzem do niego. Jakby chciała wyraźnie pokazać, że nie trzymała w niej noża, który wkrótce znajdzie w swych plecach.

Oderwał wzrok od przedniej szyby samochodu i zerknął nieśmiało na żonę. Była śliczna, delikatna i młoda. Tak jak trzy lata temu, gdy brali ślub. Pamiętał tamten dzień jak przez mgłę, ale jednego był pewien: oboje byli wtedy niesamowicie szczęśliwi. Ona – cała w uśmiechach i bieli, on – w granatowym garniturze i pod krawatem. Dzieci nieznaną życia, pewne, że wszystko się dobrze ułoży.

– Marcin...? – jej miękki, spokojny głos zawisł w powietrzu w oczekiwaniu, aż zacznie rozpinać pas. – Jesteś gotowy?

Uśmiechnął się do niej z przymusem, kiwnął głową i zaczął wysiadać. Uroczysty obiad z teściami był ostatnią rzeczą, na jaką miał obecnie ochotę, ale nie mógł jej tego powiedzieć. To była ich trzecia rocznica. Powód do świętowania, celebrowania wspólnego życia, odgrzebywania wspomnień i robienia planów na przyszłość. Jej rodzice czekali już w środku, podekscytowani kolacją ze swą jedyną córeczką. I z nim. Idealnym zięciem, którego tak bardzo lubili.

Wysunął nogi za próg, przeniósł na stopy ciężar ciała i przytrzymując się

metalowej ramy samochodu, zaczął powoli wysiadać. Prawe kolano zdrząło gwałtownie. Zawahał się, opadł na moment na fotel i powtórzył wysiłek raz jeszcze. Jazda samochodem stała się ostatecznie najgorszą torturą. Jego ciało drętwiało, kręgosłup zaczynał boleć, a nogi traciły czucie, jakby już nigdy nie miał się podnieść o własnych siłach z fotela.

– Pomogę ci.

Monika obeszła auto i wyciągnęła do niego rękę w jednoznacznym geście pomocy.

– Dam sobie radę, kochanie.

Uśmiechnął się do niej ponownie i przełamując stężyły w mięśniach ból, wstał, po czym wyprostował się wolno do pionu. Podała mu ramię i patrząc uważnie pod nogi, poprowadziła niespiesznie do wejścia. Niczym inwalidę lub dziecko. Niczym jakąś cholerną życiową kalekę!

Podniósł wzrok, spojrzał na jej delikatny profil, miękką, wibrującą młodością skórę oraz spuszczone, badające nierówności chodnika oczy i uściśnął jej ramię. Zatrzymała się.

– Co powiemy twoim rodzicom?

– Prawdę. Że masz nerwobóle i przez to trudności z chodzeniem.

Skinał głową. Pewnie i tak opowiedziała już matce o wszystkim. O tym, jak zasłabł za kierownicą i cudem uniknął wypadku. O ciele, które odmawiało mu posłuszeństwa, i potężnych dawkach tramalu, bez których nie potrafił już funkcjonować. O bezradności lekarzy na oddziale neurologicznym i skierowaniu go do psychiatry. W końcu również o przepisanej mu dawce leków przeciwłękowych i zaleceniu lekarza, by poszedł na psychoterapię. Był pewien, że musiała im o wszystkim powiedzieć. W końcu jaka kobieta wytrzymałaby taką sytuację? Jaka dziewczyna chciałaby mieć męża, który był bezużyteczny niczym lalka uszyta z gałganów?

Weszli powoli do środka i stojąc przy drzwiach, rozejrzeli się zgodnie po wnętrzu. W restauracji panował wieczorny półmrok, a ubrani w eleganckie białe koszule kelnerzy rozstawiali na stolikach lichtarze. Płomienie świec drgały nerwowo, prowokowane podmuchem wiatru, który wpadał im zza pleców do środka.

– Mamy rezerwację na nazwisko Urbański. – Monika uśmiechnęła się uprzejmie do zbliżającego się do nich mężczyzny.

– Oczywiście. Państwa goście już są. Zapraszam.

Szerokie męskie plecy poprowadziły ich dostojnie przez salę, a on dopiero teraz uświadomił sobie, co go właściwie czekało. Dwie lub trzy godziny uśmiechów, wymienianych z teściami pogodnych uwag pozbawionych znaczenia. Napięcie mięśni i udawane rozbawienie opowiadany przez ojca Moniki żartami. Sztuczna energiczność w ich głosach i fałszywe podekscytowanie rocznicą.

Dyskusje o nieistniejących planach na przyszłość i niezawołowane przesadnie sugestie, że być może jest już pora na dziecko.

– Jak wyglądam? – szepnął niepewnie, a żona spojrzała na niego, poprawiła mu kosmyk nad czołem i przetarła dłonią policzki.

– Dobrze. Nie przejmuj się.

Przytaknął, wiedząc, że kłamie. Ostatnio często kłamała. Zapewniała go, że jest dobrze, mimo iż wiedział, że jej długie pobyty w łazience nie były teraz dyktowane typowo kobiecymi potrzebami. Nie nakładała maseczek, nie oglądała w lustrze porów na twarzy, nie nacierała ciała balsamem. Siedziała na brzegu wanny pogrążona w ponurej rozpacz. Opłakiwała go w samotności. Być może rozważała przyczyny. Miał nadzieję, że nigdy jej nie dał powodu, by sądziła, że to ona może być winna. Jego stan nie miał z nią nic wspólnego. Wręcz przeciwnie. Jedynie dzięki niej podejmował wciąż jeszcze wysiłek, by co rano zwlekać się z łóżka. Tylko dla niej chodził do pracy i udawał przed zespołem, że nadwyrężył kręgosłup treningiem. Gdyby nie ona, już dawno by ze sobą skończył. Z tym żalonym wrakiem człowieka, którym stał się w ostatnich miesiącach. Pod wpływem lekarstw myśli samobójcze minęły i nie budził się już z krzykiem nad ranem, ale wciąż nie potrafił odczuwać radości, a zbuntowane ciało nadal sygnalizowało, że wszystkie lęki czają się tuż pod powierzchnią. Zyskał odrobinę dystansu. Minimalną, niezbędną do trwania dawkę wewnętrznego spokoju. Ciągłe jednak nie było to życie. Wegetował. Istniał, lecz nie żył. Niczym wyczerpany śmiertelną chorobą pensjonariusz hospicjum.

Prowadzący ich do stołu mężczyzna zatrzymał się i z kurtuazją wskazał miejsca. Rodzice Moniki podnieśli się z krzeseł, a ona wpadła w matczyne ramiona i pozwoliła się mocno przytulić. Teść uśmiechnął się, podniósł rękę i uściśnął mu dłoń. W jego wzroku zobaczył niepokój, dziwną wnikliwość, jakby obmacywał mu twarz, poszukując w niej jakichś sygnałów. Czyżby jej ojciec też wiedział? Oczywiście. Nagle wszystko stało się jasne. Wiedzieli oboje. To dlatego chcieli się spotkać. By ocenić stan, w jakim się obecnie znajdował, i ratować córkę przed chorym psychicznie mężczyzną.

– Ciężki dzień w pracy? – w głosie teścia nie brzmiało nic poza troską.

– Tak – przyznał, po czym przywitał się z teściową. – Mam potwornie dużo na głowie.

– Jasna sprawa. W takim dużym zakładzie... Jestem pewien, że ciężko pracujesz. U mnie też nie jest lepiej. Czasy się niestety zmieniły. Teraz już nikt nie pamięta, że kiedyś wychodziło się z pracy o czwartej.

Teść poklepał go po ramieniu. Może jednak o niczym nie wiedział? Może rzeczywiście Monika zachowała ich kłopoty dla siebie? Może wspomniała jedynie o tym, jak ciężko ostatnio pracował? Ile godzin spędzał za biurkiem, o której wracał i jak wiele nocy zarywał? Może nawet brali to za dobrą monetę? W końcu

zależało im na tym, żeby zrobić przyzwoitą karierę. Chcieli, by ich córka była z godnym szacunku mężczyzną. Aby nigdy nie musiała się martwić brakiem pieniędzy, aby czuła się w tym związku bezpieczna.

– Mam wrażenie, że jest coraz gorzej – mama Moniki włączyła się do rozmowy i spojrzała na niego z uwagą. – Młodzi ludzie nie mają teraz czasu dla siebie. Jeśli nie poświęcą się pracy, nigdy do niczego nie dojdą. Zaniedbują zdrowie, rodziny, przyjaciół. Potem to się odbija na związkach, ale na początku nikt w tych kategoriach nie myśli.

Oczywiście. Sądzili, że zaniedbał ich córkę. No cóż, mieli rację. Przecież dokładnie tak było...

– Na szczęście są jeszcze młodzi. – Teść uśmiechnął się do niego jowialnie. – Mają czas, by się sobą nacieszyć. Marcin jest prawdziwym facetem. – Spojrzał na żonę i wyraźnie zgromił ją wzrokiem. – Utrzymuje dom, żeby nasza córka nie musiała o nic się martwić. Taka jest rola mężczyzny. A że czasem jest tym wszystkim zmęczony? Co poradzisz? Każdy kiedyś przez to przechodził. Nie pamiętasz, jak brałem na początku dwie zmiany? Też chcieliśmy mieć nowy dywan, samochód, meblóściankę i pralkę. Czasy były inne, ale aspiracje podobne.

Odetchnął z ulgą i przytrzymując się stołu, opadł ostrożnie na krzesło. A zatem była to kolejna niewiele znacząca rozmowa. Ot, zwykła wymiana zdań na temat różnicy pokoleń. Nie miała nic wspólnego ani z jego chorobą, ani nawet z nim samym. Wszystko, czego doświadczał, było typowym znakiem czasów, naturalną kolejną losu i stanem przynależnym ambicjom młodości.

Uśmiechnął się, przesunął wzrokiem po twarzach i zatrzymał na moment na profilu Moniki. Siedziała obok zrelaksowana i spokojna jak nigdy. Tak jakby po raz pierwszy od dawna rzeczywiście cieszyła się chwilą. Nachylił się lekko, złapał jej dłoń i znacząco ucisnął palce, a ona uśmiechnęła się szerzej. Cudowna, ciepła, pełna dobrej życiowej energii. Jego żona. Ukochana, wybrana, najlepsza.

– O! Ktoś się nam wzruszył! – Siedzący naprzeciwko ojciec Moniki spojrzał na niego z sympatią. – A mówiłaś, że liczą się wyłącznie pieniądze – zwrócił się przekornie do żony.

– Mówiłam tylko, że młodzi dziś za ciężko pracują. I że czasem zapominają, co naprawdę w życiu jest ważne.

– Bzdura! Spójrz na nich! Ciągłe zakochani. Trzymają się za ręce niczym zadurzone szczeniaki.

– Daj spokój, tato! – Monika machnęła dłonią, jakby chciała odpędzić ich nagle zainteresowanie od siebie. – Lepiej zajmij się kartą.

– Poczekam, aż wy wybierzecie. – Nastrój teścia z każdą chwilą się poprawiał. – Ja dzisiaj płacę, więc muszę mieć pewność, że mój portfel to udźwignie. Jeśli zamówicie homara, to dla siebie wezmę wodę z cytryną. – Zachichotał jak sztubak, uciszył ręką żonę, która szykowała się do riposty,

i wyraźnie zadowolony skinął w stronę kelnera. – Na początek poprosimy szampana.

Facet skłonił się i wycofał dyskretnie.

– Mamy w końcu co opijać, nieprawdaż?

Odpowiedział teściowi uśmiechem i powoli podniósł się z krzesła.

– Muszę umyć ręce. Jestem prosto po pracy. – Zaskoczył go własny głos. Jakby nie dochodził mu z krtani, lecz z głębi jakiejś pozbawionej dna studni. – Poczekajcie na mnie z toastem.

Monika zerknęła na niego niepewnie, a on uspokoił ją skinieniem i wysunąwszy się ostrożnie zza stolika, ruszył w kierunku łazienki. Wiedział, że obserwują teraz jego sylwetkę, za wszelką cenę starał się zatem, by plecy były wyprostowane, głowa uniesiona, a chód energiczny. Dopiero kiedy zniknął im z pola widzenia, odetchnął głębiej i pozwolił sobie na rozluźnienie mięśni. Grzbiet wrócił natychmiast do typowego dla siebie ostatnio schylenia, a nadludzko napięte łydki uwolniły się od uciążliwych skurczów. Dotarł do toalety, wszedł do środka i starannie zamknął za sobą drzwi na zasuwkę. Cisza panująca w pomieszczeniu była kojąca, a pokusa, by zaszyć się tutaj na dłużej, trudna do pokonania. Zamknął oczy, zanurzył się w sobie głęboko i dopiero po kilku miarowych oddechach odważył się podejść do umywalki. Spod wciąż przymkniętych powiek zerknął w lustro. Twarz wydała mu się martwa i obca. Pokryta popielatą wilgotną skórą z wyraźnymi nitkami popękanych naczynek krwionośnych pod nosem, dwudniowym niechlujnym zarostem, sińcami pod oczami oraz czerwonymi z niewyspania powiekami bardziej niż młodego mężczyznę przypominała maskę pośmiertną, stężoną przebyciem cierpieniem i zastygłą z powodu zyskanego nagle dystansu do świata. Tabletki działały. Nie płakał. Nie odczuwał niczego poza fizycznymi, płynącymi z ciała dolegliwościami. Tylko pustkę i nieprzepartą chęć snu, pragnienie ułożenia się w mrocznym kącie łazienki, naciągnięcia na głowę poły marynarki, odgrodzienia się od świata i ludzi. Zamiast tego musiał wrócić do żony i teściów, zmierzyć się z ich dobrym nastrojem, uśmiechać się, konwersować, napinać mięśnie. Udawać, że jest zmęczony, lecz wciąż jeszcze bardzo szczęśliwy.

Odkręcił kurek, wsunął ręce pod wodę i zmobilizował się do przemycia twarzy. Było mu lepiej. Przez chwilę było niemal normalnie. Skóra odzyskała naturalny odcień, a z oczu zniknął dystans. Przez ułamek sekundy przypominał dawnego siebie. Młodego chłopaka, który wierzył, że wszystko jest w życiu możliwe.

Lena

Weszła energicznie do budynku, kiwnęła głową w kierunku recepcji i pokonawszy kontrolę dostępu, przycisnęła nerwowo guzik windy. Jak zawsze, gdy była podminowana, oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność.

– Ktoś powinien z tym w końcu coś zrobić! – mruknęła wrogo do stojącej tuż obok dziewczyny. – Czy administracja budynku naprawdę sądzi, że mamy czas, aby wiecznie czekać na windę?

Młoda kobieta nie odezwała się słowem rzuciła więc okiem na identyfikator, który miała zawieszony na szyi.

– No tak... Oczywiście... Dział marketingu... – postarała się, by jej głos zabrzmiał bardzo cynicznie. – Wy faktycznie nigdy nie musicie się spieszyć...

Dziewczyna spojrzała na nią niepewnie.

– Tak, mówię właśnie do ciebie!

Wtargnęła z impetem do windy, która zaczynała się dopiero otwierać, i naciskając nerwowo guzik wymuszający zamknięcie drzwi, parsknęła ponownie do tamtej:

– Może się raczysz pospieszyć?!

Panna wcisnęła się za nią do środka, a drzwi ponownie się otwarły.

– Jasna cholera! – krzyknęła i jeszcze raz wymusiła zamknięcie. – Mam nadzieję, że twój szef nie będzie dziś rano na kacu! Czy on w ogóle cokolwiek jeszcze kojarzy?!

Dziewczyna wbiła wzrok w dłonie i zaczęła obskubywać paznokcie. Skórki dookoła ich płytek były poszarpane i miejscami skrwawione, a resztki lakieru wskazywały wyraźnie, że spora część nałożonej na paznokcie emalii została zerwana dziś rano. Na widok jej palców poczuła się głupio. Kobieta była w wieku jej córki i podobnie jak ona wciąż jeszcze miała na twarzy przejętą, dziecięcą niewinność. A teraz również cień przerażenia. Jak mogła na nią tak warczeć?

– Przepraszam – szepnęła, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Nie denerwuj się. Trochę mnie chyba poniosło.

Odwróciła się do lustra, nie mogąc znieść dłużej widoku roztrzęsionej biedaczki. Kiedyś była do niej podobna. Przejmowała się każdą uwagą i wszystko brała do siebie. Dopiero z czasem uodporniła się na biurowe podłostki i zrozumiała, że nie miały z nią nic wspólnego. Że były tylko formą odreagowania równie jak ona przerażonych kolegów.

Uniosła wzrok i przyjrzała się swojemu odbiciu. W świetle, które rozlewało się spod sufitu, jej twarz wyglądała na starą. Była pomarszczona, popielata i zmęczona. Pokryta zbyt grubą warstwą fluidu. Rozświetlający korektor, który położyła rano pod oczy, odłożył się w zmarszczkach i – zamiast pomagać –

nadawał jej twarzy niezdrowego, trupiego koloru.

– Jest poniedziałek, a ja wyglądam jeszcze gorzej niż w piątek – rzuciła na głos, próbując zatrzeć napastliwość poprzednich reakcji. – Chyba potrzebuję urlopu...

Dziewczyna wydała z siebie dźwięk, ale słowa, które zamierzała powiedzieć, nie opuściły gardła. Brzmiały jak stłumione, zachrypnięte kwilenie. Odwróciła się w jej stronę gwałtownie, oceniła sytuację i uświadomiwszy sobie, że za moment dotrą na piętro, potrząsnęła jedynie jej ręką. Nie było czasu na zapewnienia, że wszystko jest dobrze. Mogła tylko złagodzić efekty zdenerwowania prostym przyjacielskim dotykiem.

Drzwi windy otworzyły się, a ona, nie pospieszając już dziewczyny, wyprzedziła ją i otworzyła drzwi prowadzące na piętro. Rozejrzała się po stojących najbliżej niej biurkach, kiwnęła głową w odpowiedzi na kilka powitań i ruszyła w stronę gabinetu Daniela. Przez szklane ściany biurowego akwarium dostrzegła, że siedzi przy biurku, więc nie pukając, bezpardonowo wparowała do środka.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?!

Malicki uniósł głowę i uśmiechnął się do niej przymilnie.

– Cześć, Lena!

– Co ci strzeliło do głowy?! – ryknęła ponownie i chwyciła się pod boki.

Przez zaciemniającą obraz wściekłość dostrzegła, że Malicki robi się czerwony. W jego oczach pojawił się popłoch, a dłoń, którą zaciskał na trzymanym właśnie ołówku, stawała się coraz jaśniejsza. Kłykcie bieleły aż do momentu, gdy pokrywające rysik drewno ostatecznie złamało się z trzaskiem.

– O czym konkretnie mówisz? – spytał, jakby mogło jej chodzić o cokolwiek innego niż przesunięta bez uzgodnień kampania.

– O czym mówię?! – wrzasnęła i przysunęła się o pół kroku. – O tym, że w niedzielę widziałam nasze spoty we wszystkich możliwych kanałach! Chcesz mi powiedzieć, że to nie jedyna pomyłka?! Mam się czegoś jeszcze spodziewać?!

Na twarzy Daniela odbiło się bezgraniczne zdumienie. Wypuścił z ręki złamany ołówek, podniósł się wolno zza biurka i oparłszy się dłońmi o blat, nachylił się ku niej, jakby chciał, by go lepiej słyszała.

– Dzięki, że zrujnowałaś mi weekend – wycedził przez zęby – i po raz kolejny wpierdoliłaś się w moje zadania. Pragnę ci jednakowoż przypomnieć, że to nie ty odpowiadasz za kampanie reklamowe w tej firmie. Mogłem wydać te pieniądze sensowniej. Cud, że w ogóle udało mi się upchnąć te spoty. Czy ty, do cholery jasnej, rozumiesz, że marketing rządzi się swoimi prawami, a inwentarz mediowy ma jakieś granice?

– O czym ty mówisz? – Skrzywiła się i potrząsnęła głową, dając do zrozumienia, że w tej chwili bredził.

– O czym ja mówię? – Malicki się również wykrzywił. – O tym, że za moimi

plecami znów knuł w piątek z Rafałem! O tym, że podpuściłaś go, by przesunął tę jebaną kampanię! Naprawdę sądziłaś, że nic mi nie powie?! Myślałaś, że wpadniesz tu dzisiaj, będziesz wrzeszczeć i udawać niewinną?! Sorry, może i jesteś faworytą Rafiego, lecz nie aż taką, jak sądzisz. Tak, moja droga, powiedział, że to twoja koncepcja! Wypucował mi wszystko! A ja, idiota, sądziłem, że nie miałaś z tym nic wspólnego! Chciałem cię nawet zawiadomić o zmianie! – Zachnął się głośno i nachylił jeszcze bardziej w jej stronę. – Nie wiem, co kombinujesz, ale jeśli chciałaś mi w ten sposób zaszkodzić, to niestety tym razem nie wyszło! – Zaśmiał się cynicznie, wyprostował i odwrócił się do niej plecami. – Udało mi się, kapujesz?! Pewnie nie zakładałaś, że tak będzie, ale mi się udało! Więc jeśli sądzisz, że zdołasz mnie wysadzić ze stołka, to grubo się mylisz. – Podszedł do okna i ponownie odwrócił się w jej stronę. – Nie dam się podejść! Nie pozwolę ci się pograżyć! Możesz próbować, ale i tak nic ci z tego nie wyjdzie. Za ciężko pracowałem na sukces, aby dać ci się podejść jak sztubak.

Spojrzała na niego, kiwnęła głową i uśmiechnęła się lekko pod nosem. Powinna to była przewidzieć. Założyć, że przesunięta kampania nie była wynikiem pomyłki. Nawet na kacu Malicki aż tak się nie mylił. Powinna była to wiedzieć...

Odwróciła się powoli na pięcie i bez słowa wyszła z pokoju. Zamykając drzwi, zerknęła na niego raz jeszcze. Po raz pierwszy od dawna miał na sobie wyprasowaną błękitną koszulę i garniturowe spodnie z kantami. Na oparciu fotela wisiała marynarka, a taflę biurka przecinały ułożone równo krawaty. Dopiero teraz, gdy obserwowała go z dala, dotarło do niej, że podczas rozmowy z nim nie wyczuła w gabinecie kwaskowatych nut alkoholu. Brakowało charakterystycznego zapaszku niepranych ubrań, musującej w szklance aspiryny i kaca.

– Co za gad! – mruknęła pod nosem i ruszyła w kierunku swojego pokoju. – Co za podstępny, kłamliwy skurwysyn!

Już jakiś czas temu zauważyła, że Rafał zawziął się na nią, lecz nigdy wcześniej nie odważył się sabotować jej pracy. Jego działania sprowadzały się do serii drobnych nietaktów, których nie mogła nawet uznać za szykany. Okazywana jej przez szefa pogarda była bardziej subtelna niż publiczne wyśmiewanie czy krzyki. Niemalże koronkowa. Niezauważalna dla nikogo poza nią. Ona – owszem, dostrzegала te działania, lecz nie mogła pozwolić, aby przykrość, którą odczuwała na co dzień, stała się dla innych widoczna. Nie była przecież nadwrażliwą, neurotyczną panienką, a dojrzałym menedżerem i kluczowym dyrektorem w tej firmie. Emocjonalna reakcja nie przystawałaby do zajmowanej przez nią pozycji, a tym bardziej do mikroskopijnych i robionych jej z uśmiechem na ustach afrontów. Nie mogła odpowiadać wzburzeniem ani na to, że ją ignorował, ani na dłoń, którą podawał jej w sposób sugerujący, że powinna pocałować go w sygnet. Nie miała prawa zwracać mu uwagi, gdy przerywał jej wypowiedź w pół słowa ani kiedy odwracał się do niej plecami. Na co zresztą mogłaby się wówczas poskarżyć?

Że nie okazywał jej szacunku i względów? Że traktował niczym panienkę? Dostrzeżenie tego bardziej świadczyłoby o jej przewrażliwieniu niż o jego braku ogłady. O rodzaju zadufania, które pozwalało wierzyć, że należały jej się mir i estyma. Nie chciała tego. Nie chciała, aby ludzie myśleli, że zależy jej na takim uznaniu. Nie od Tuszy. Nie tutaj. Nie w pracy.

Przez ostatnie tygodnie znosiła obcesowość Rafała w milczeniu, dzisiaj jednak zaczęło chodzić o coś więcej niż właściwie niezauważalna złośliwość. Tusza posunął się dalej. Okłamał Daniela i doprowadził do sytuacji, w której wyszła na kompletną idiotkę. Nie przed Malickim, bo to nie on był w tej sprawie istotny. Przed każdym dyrektorem handlowym w sieciach, z którymi współpracowali. Przed każdą osobą, której przekazywała informacje o terminach planowanych kampanii i z którą ustalała grafik oraz wielkość zamówień. Przyspieszenie reklam o tydzień oznaczało...

– Jasna cholera!

Jedyne, co mogła zrobić, to zawiadomić wszystkie sieci handlowe i przeprosić za zaistniałą pomyłkę, biorąc całą odpowiedzialność na siebie. Zrzucanie winy na dział marketingu bądź Tuszę nie wchodziło w rachubę. Byłoby nieprofesjonalne oraz całkiem dziecinne. Niesmaczne. Niczym publiczne pranie brudów.

– Zwołaj natychmiast status! – wydała polecenie asystentce i na moment zatrzymała się w progu. – Handlowcy, którzy są w tej chwili w terenie, będą musieli się wdzwonić. Ustaw wszystko w naszej sali konferencyjnej. Za dziesięć minut, nie później!

Wkroczyła do gabinetu, zamknęła za sobą szklane drzwi i podeszła powoli do okna. Musiała się skupić. Ułożyć myśli i sklecić jakąś sensowną historię. Nawet wewnątrz firmy obarczenie Rafała odpowiedzialnością za zmianę nie miało przecież prawa się zdarzyć. Jako zarząd musieli trzymać wspólny front. Mówić tym samym głosem do każdej zatrudnionej osoby...

Bzdura! Wcale nie o to chodziło! W normalnych warunkach mogłaby ludziom powiedzieć, że prezes podjął taką, a nie inną decyzję. Miał przecież prawo to zrobić. Był szefem szefów i właścicielem całej tej budy. Mógł rozporządzać wszystkim, jak zechciał, ale ona nie mogła w ten sposób przedstawić sprawy swym ludziom. Nie w firmie zarządzanej przez Tuszę. Gdyby spróbowała to zrobić, z pewnością by to do niego dotarło. Zanim wróciłyby do pokoju, on już o wszystkim by wiedział...

A może właśnie o to mu chodziło? Może zwyczajnie ją sprawdzał? Liczył na to, że wygłosi ciętą uwagę, odetnie się od jego decyzji? Powie ludziom, że bardzo jej przykro, ale nikt jej nie pytał o zdanie? Takie stwierdzenie stanowiłoby *de facto* podważenie decyzji Rafała. Pokazałoby wyraźnie, że nie zgadzała się z opinią prezesa.

Teoretycznie mogła nie uzasadniać niczego. Po prostu przekazać zespołowi wiadomość. Poinformować o rozpoczętej w miniony weekend kampanii i poprosić swoich ludzi, aby o zmianie bezzwłocznie powiadomili kontrahentów. Tak, mogła to zrobić i liczyć na to, że nikt jej nie zada pytania. Zignorować oburzenie handlowców, zarządzić twardą ręką, że mają robić, nie gadać, zachować się niczym autorytarny, zamknięty na dyskusje przywódca. To nie był jej styl, ale przecież mogła spróbować...

– Wszystko gotowe. – Asystentka wsunęła głowę w uchylone szklane drzwi gabinetu i przyglądała jej się teraz uważnie. – Ludzie czekają.

– Dziękuję. – Skinęła głową, po czym głośno westchnęła.

– Wszystko w porządku? – Karolina weszła do pokoju i spojrzała na nią z uwagą. – Źle się czujesz? Wody? Kawy? Tabletkę?

Potrząsnęła głową, wytarła dłonie w spódnice i powoli ruszyła do wyjścia.

– Zrób mi, proszę, zieloną herbatę. Ale dopiero gdy skończymy zebranie.

Mijając asystentkę, dostrzegła kątem oka, że na ustach Karoliny pojawił się uśmiech. Jakby sekretarka odczuwała satysfakcję z jej wyraźnego zdenerwowania oraz napięcia na twarzy. Wzdrygnęła się. To nie mogła być prawda. Nie Karolina. Nie osoba, która była najbliższej. Sama ją wybrała, przeszkoliła i przez lata traktowała jak córkę. Pewnie popada w paranoję... Ale czy kiedykolwiek mówiła w jej obecności coś, co Karolina mogłaby Tuszy powtórzyć? Chryste! Naśmiewały się razem z karpich ust, w których ledwo się już mieścił kolagen. Plotkowały o jego żonach. Raz czy dwa powiedziała nawet, że Rafał zamienił się z koniem na głowy. Potępiła w czambuł kilka jego decyzji, a kiedyś rzuciła wręcz, że nie rozumiał najprostszycy tematów. Że jedyne, co potrafił, to powtarzać cudze opinie. Jezu! Jeśli wszystko to wyszło poza ściany jej gabinetu, jeżeli dowiedział się, co naprawdę o nim myślała...

Zrobiło jej się słabo. Zatoczyła się, oparła o ścianę i przez chwilę czekała w bezruchu, aż czarne plamy zdenerwowania znikną pod jej powiek.

– Jednak nie czujesz się dobrze. – Karolina dogoniła ją i podtrzymała usłuznie za łokieć. – Pomogę ci.

Uniosła powieki i spojrzała w twarz asystentki. Tym razem nie dostrzegła uśmiechu, tylko troskę i koleżeńską życzliwość. Współczucie, sympatię, ciepło... A zatem nie była implantem. Była tą samą bezpośrednią i szczerą dziewczyną, którą zatrudniła i której dotychczas ufała.

Weszła do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i z ulgą zdjęła z nóg szpilki, które od rana boleśnie wpijały się w ciało. Kamienna posadzka zadziałała na stopy kojąco, lecz ból w odparzonych podszewkach nadal pulsował i sprawiał, że czuła się niczym więzień, który zrzucił noszone zbyt długo okowy. Włączyła światło

i spojrzała z przerażeniem na nogi. Były spuchnięte i pokryte wybroczynami odznaczającymi się wyraźnie pod cielistą siatką pończoch. Wzdrygnęła się na ten widok i porzuciwszy na podłodze elegancką skózaną torebkę, powlekła się schodami na górę. Ominęła wzrokiem lustro wiszące na ścianie półpiętra i skupiła się wyłącznie na krokach. Trzy, osiem, szesnaście. Szesnaście stopni dzielących parter od piętra. Szesnaście kamiennych schodów, których zimno obkurczało naczynia krwionośne niczym nałożona na skórę gruba warstwa venorotonu. Dotarła do sypialni, odetchnęła z ulgą, poczuwszy pod stopami puszystą miękkość jedwabnego dywanu, i rzuciła się ciężko na łóżko. Satynowa lekkość pościeli kusila, aby nakryć się kołdrą, wtulić twarz pomiędzy poduszki i trwać w bezruchu aż do momentu, kiedy ciało przestanie ją boleć. Zanurzyć się w beczynności, nie myśleć o niczym, zasnąć i zapomnieć o wszystkim. A gdyby sen nie nadchodził, połknąć dwie podłużne drażetki apapu, znieczulające ból w nogach i dające ukojenie dla głowy.

Nie dzisiaj. Dzisiaj musiała jeszcze wykrzesać z siebie resztki energii. Wziąć kąpiel, poprawić makijaż, a potem ułożyć włosy na nowo. Wciągnąć na siebie szykowną sukienkę i ponownie uwięzić stopy w kłuszącej je skórze lakierowanych elegancko czółenek. Z uśmiechem odgrywać rolę perfekcyjnej w każdym calu kobiety, aktywnej zawodowo i równocześnie gotującej wykwinne kolacje. Pogodnej, zrównoważonej i nigdy nieulegającej zmęczeniu.

Przewróciła się na bok i omiotła sypialnię spojrzeniem. Wokół panował idealny porządek. Ubrania, które rano zaścielały podłogę, teraz wisiały w szafie na drążku, a kosmetyki, pozostawione w chaosie na blacie stojącej przy oknie toaletki, przemieściły się tajemniczo i ustawione w równe szpalery czekały na moment, kiedy znowu zechce ich użyć. Pani Żaneta była cudowna. Gdyby nie ona, nigdy nie podołałaby utrzymaniu tego domu w czystości. Podniosła się z trudem i, utykając, przeszła do sąsiadującej z sypialnią łazienki. Tutaj również wszystko błyszczało. Wielkie połączone luster oraz blaty z jasnego marmuru odbijały padające zza okna światło, które – zwielokrotnione przez nieskazitelną gładź powierzchni – tworzyło na ścianach rozedrgane refleksy. Wypolerowane do połysku baterie i kryształowe flakony perfum zgodnie przychodziły im w sukurs. Blask rozprzestrzeniał się, drgał na pojedynczych, unoszących się w powietrzu cząsteczkach kurzu, przenikał przez szklane ścianki prysznic i wsiąkał w mięsistą bawełnę ułożonych w równy stosik ręczników. Uśmiechnęła się na ich widok, wiedząc, że gdy przyłoży twarz do tkaniny, poczuje na skórze jej miękkość, a w nozdrzach – ulubiony zapach konwalii.

Zachęcona perspektywą kąpieli odkręciła kurek przy wannie i obserwując lejący się strumień, zaczęła zdejmować ubranie – jasny tweedowy żakiet, przepoconą bluzkę z jedwabiu, sięgającą za kolano ołówkową spódnicę i parzące skórę pończochy. W końcu również biustonosz o grubych, solidnych ramiączkach

i wzmocnionych fiszbinami miseczkach. Uwolnione z konstrukcji stanika piersi opadły ciężko i sięgały jej teraz niemal do połowy korpusu. Były potężne, obrzmiące i zerkwały do lustra parą wielkich ciemnoróżowych brodawek. Wykrzywiła się na ich widok i odwróciła ze wstrętem na pięcie, próbując wymazać dostrzeżony w odbiciu obraz podstarzałej kobiety, która niedługo przestanie przypominać jej siebie.

Kiedyś była piękna, a rozmiar jej piersi imponował nawet jej samej. Była dumna, gdy kolebały się ciężko tuż nad twarzą mężczyzny. Podniecało ją, kiedy Leon chwycił je w dłonie, zanurzał w nich twarz i kąsał delikatnie jej sutki. Ekscytowało ją spojrzenie, jakim sunął po subtelnej linii ramion, krągłości bioder, długich nogach oraz smukłych palcach pianistki. Rozpływała się pod wpływem jego wzroku, pewna swej bezkonkurencyjnej urody i efektu, jaki wywierała na mężu. Poddawała się Leonowi i pozwalała, żeby robił z jej ciałem wszystko, czego tylko zapragnął. Nie broniła niczego. Niczym matka, która nazbyt pobłaża swym dzieciom, bo jest pewna, że miłość przewycięży ich młodzieńcze narowy, a rozkapryślenie i egoizm są tylko przemijającą fazą aroganckiej, buntowniczej młodości.

Oderwała spojrzenie od piersi i, zgnębiona, zdjęła majtki, omijając wzrokiem luźną skórę, która pozostała jej na brzuchu po ciążach. Zanurzyła się w wannie i jęknęła, porażona nagłym ukąszeniem temperatury. Woda była zbyt ciepła i podeszwy stóp znowu zaczęły pulsować. Wysunęła nogi ponad powierzchnię i spojrzała nienawistnie na pokrywającą je siateczkę fioletowych naczyń krwionośnych. Były wstrętne. Odstrecały ją tak samo jak marszcząca się skóra na brzuchu, obwisłe piersi oraz bruzdy przy ustach. Nie znosiła ich widoku ani myśli, że ciało ją zawodziło, że stawało się źródłem wstydu i powodem, dla którego od miesiący po powrocie z pracy zaszywała się w sypialni, oplakując utraconą bezpowrotnie urodę. Była próżna, powierzchowna i głupia? Może. Ale tak, postarzała się. Była smętną, zbliżającą się do pięćdziesiątki kobietą o obwisłych wymionach i przesuszonych powiekach. Gdyby nie to, że chodziła regularnie do dyskretnych gabinetów medycyny estetycznej, gdzie kolejni lekarze wstrzykiwali jej pod skórę wypełniacze i botoks, gdyby nie fryzjerzy, którzy pokrywali siwiznę warstwą farby w dobrze dobranym odcieniu, oraz salony z bielizną, które sprowadzały dla niej ściągające ciało gumowane gorsety, bardziej niż siebie przypominałaby obecnie rozlewające się po przystankach baby, na których nikt nie zawieszał spojrzeń. Bo przecież nie chodziło wyłącznie o siwiznę czy niemożliwość eksponowania dekoltu. Chodziło o to, że z kobiety zmieniała się powoli w pozbawioną atrybutów płci transparentną istotę, wartą tyle, ile posiadała w portfelu, i definiowaną przez dwa słowa, które zastąpiły jej imię na tłoczonym elegancko kartoniku wizytówki: *Sales Director*. Nawet nie dyrektor sprzedaży. *Sales Director*. Już nie ona, lecz funkcja, stanowisko, obietnica możliwości, które

kryły się za tymi magicznymi, spisanyymi po angielsku słowami. Jej nie było. Rozmieniła się na drobne. Roztrwonila wszystko, sądząc, że kariera zabezpieczy jej starość, że uczyni z niej aktywną, interesującą, wielowymiarową kobietę i podtrzyma na duchu, gdy uroda zwiędnie, a walorem zacnie być szeroki, wyrobiony doświadczeniem horyzont. Pomyliła się. Była starzejącym się, niewidzialnym dla ludzi stworzeniem. Już nie Leną, nie kobietą, nie żoną. Nawet nie partnerką do rozmów. Bo i o czym mogła teraz rozmawiać? O kolejnych biznesowych spotkaniach? O korumpowaniu szefów działów zakupów? Wysokości wziętek, jakich domagali się, aby wstawić oferowane przez nią towary na półkę? O nasiadówkach w firmie, w czasie których Rafał ją ignorował, a Malicki zbywał jej uwagi komentarzem, że się oderwała od rynku? O utarczkach z Pawłem, który przeglądając jej wydatki służbowe, dopytywał, czy na pewno musi podejmować whisky wszystkich partnerów handlowych? Leon odszedł nie dlatego, że jej cera utraciła blask, a na brzuchu miała teraz zwisającą smętnie oponę ze skóry. Odszedł, bo przestała być Leną. Bo miał dość tych samych, wałkowanych przez nią w kółko tematów. Niekończących się wywodów o pracy, przynoszonych z biura coraz większych frustracji oraz łez, które wypłakiwała mu w ramię, kiedy szef jej dopiekał, a koledzy odwracali wzrok, oddychając z ulgą, że to ją, a nie ich, wybrał dziś na ofiarę.

Leon. Jej Leon. Ten sam, który przed laty nie potrafił przejść obok bez dotknięcia jej włosów, bez pocałunku w szyję, bez wtulenia twarzy w linię podbródka. Ten sam, który obiecywał, że na zawsze przy niej zostanie. Że razem będą niepokonani i wieczni. Ten sam Leon, który przed laty namawiał ją, by się zajęła biznesem, który klarował, że pianistką może być po godzinach, dla przyjemności i z pasji. Leon, który przekonywał, że muzyka przestanie ją cieszyć, kiedy za pensję będzie sobie mogła kupić kilka kilogramów kielbasy i zacnie dorabiać, ucząc gry na pianinie pozbawione słuchu i talentu dzieciaki. Mąż i miłość jej życia. Zniecierpliwiony, rozdrażniony i wściekły za każdym razem, gdy wracała do domu niespokojna, przemęczona i coraz bardziej bezbarwna. Tak jakby nie pamiętał już tego, co solennie obiecywał. Jakby oczekiwał, że wspinając się po szczeblach kariery, pozostanie tą samą roześmianą i pogodną kobietą. Że nie wypracuje pancerza, nie utraci złudzeń, a jej pogląd na życie będzie wolny od cynizmu.

Kim teraz była? Pośmiewiskiem. Porzuconą przez męża kobietą. Zwiędłą i niepokodzoną z własnym wyglądem. Samotną i sfrustrowaną, reanimującą resztki urody za pomocą farb do włosów, złotych nici i bielizny korygującej. Udręczoną przez życie. Marzącą wyłącznie o tym, by zagrzebać się w pościeli i już nigdy nie wracać do pracy. Pokaleczoną, odartą z resztek ufności i wiary w ludzi. Zdaną na łaskę pani Żanety, bo nie potrafiła już nawet wykrzesać z siebie dość siły, żeby zebrać rozrzucone po podłodze ubrania. Nie, nie miała do Leona pretensji. To nie

on był przecież winien, że zmieniła się w *Sales Directora* i dopuściła do tego, aby praca zdominowała jej życie. Nie on ponosił odpowiedzialność za to, że ulegała nawracającym epizodom depresji. Ona sama była winna wszystkiemu. Okazała się na to wszystko zbyt słaba. Zawiodła. Rozczarowała jego i siebie...

Podniosła się w wannie, sięgnęła po słuchawkę prysznicową i tłumiąc krzyk bólu, zaczęła polewać rozgrzane ciało wartkim strumieniem chłodnej wody. To była jedyna działająca ostatnio metoda. Zimny prysznic. Odrywający myśli od własnego rozmazganego nieszczęścia, przywracający pion oraz dystans. Powodujący, że na nowo zbierała się w sobie i odzyskiwała energię do życia.

Zakręciła kurek i zaczęła się wycierać, masując energicznie ramiona i uda mięsistym frotowym ręcznikiem, po czym wyskoczyła z wanny, stanęła ponownie przed lustrem i przetarła dłonią wilgoć, która na nim osiadła. Własna twarz wydała jej się teraz mniej zmęczona niż przed kwadrans, a zmarznięte sutki ściągnęły się i wyglądały znacznie lepiej, niż gdy patrzyła na nie poprzednio. Skinęła im głową i wymaszerowała z łazienki. Spojrzała na budzik stojący przy łóżku i zmobilizowana wyświetloną na ekranie godziną zaczęła przetrząsać szafę w poszukiwaniu odpowiedniej sukienki. Kiecka miała być szykowna i swobodna zarazem. Taka, jaką powinna nosić po pracy elegancka dojrzała kobieta. Sięgnęła po granatową, przyjrzała jej się krytycznie i odwiesiła na miejsce. Była zbyt oficjalna i nazbyt biurowa. Jak zresztą wszystkie jej rzeczy. Westchnęła i przesunęła raz jeszcze upchane w szafie wieszaki, po czym zrezygnowana zatrzasnęła drzwi i zaczęła grzebać w komodzie. Dżinsy, podkoszulek i jakiś luźny kardigan? Tak, zdecydowanie taka opcja będzie dziś bardziej stosowna. Maks na pewno nie włoży koszuli. Raczej któryś ze swych licznych wzorzystych T-shirtów.

Z naręczem ubrań wróciła do łazienki, naciągnęła na siebie bieliznę, po czym zaczęła wbijać się w spodnie. Czyżby znowu przytyła? Wciągnęła brzuch, ale do zapięcia zatrasku wciąż brakowało dwóch centymetrów. Jasna cholera! Powinna przestać jeść po powrocie do domu, a na służbowych lanczach wybierać sałatki! I wreszcie zacząć się ruszać! Zapisać się na pilates, aerobik lub jogę. Może na kurs tańca dla kobiet? Zrobiła przysiad, rozstawiając szeroko kolana i raz jeszcze szarpnęła spodnie do góry. Uda wsunęły się głębiej w nogawki, a do zapięcia zamka brakowało już naprawdę niewiele. Musi wreszcie kupić sobie dżinsy w odpowiednim rozmiarze! Zaklinanie rzeczywistości i przekonywanie siebie, że wciąż się mieści w rozmiarówce dla szczupłych, było dziecinne i żałosne zarazem. Kogo próbowała w ten sposób oszukać? Siebie samą?

Wróciła do sypialni, rzuciła się na łóżko i na leżąco dopięła spodnie, po czym ostrożnie wstała z nadzieją, że zamek nie puści. Zdawał się trzymać, więc drobnymi krokami i wciąż na wdechu wróciła przed lustro, by ukarać się widokiem ciała wylewającego się teraz nad paskiem. Starsza pani udająca, że jest nastolatką? Żenujące! Rozpięła zatrask, odetchnęła z ulgą i zataczając się, zaczęła zdzierać

z siebie opinający ciasno nogi materiał. Dżinsy nie poddawały się, jakby przez krótki moment, kiedy je miała na sobie, zdążyły już zrosnąć się z ciałem. Szarpiąc wściekle, zdołała w końcu zerwać je z siebie, przewlekając przy tym nogawki na lewą stronę i przewracając się na podłogę.

– Idiotka! – mruknęła wściekle, po czym zwinęła spodnie w kłębek i wepchnęła je do stojącego pod umywalką kosza na śmieci. – Kompletna kretyńska!

Wróciła do szafy, naciągnęła na siebie granatową sukienkę i pogodzona z tym, że znowu przywita syna w tej samej mało fantazyjnej kreacji, uniosła włosy. Powinna je spiąć czy zostawić? Maks lubił je rozpuszczone, ale dziś miał przyprowadzić na kolację dziewczynę, więc powinna wywołać jak najlepsze wrażenie. Rozczesała włosy, ułożyła je opuszkami palców i usiadła przy toalecie, żeby poprawić makijaż. Może powinna umyć twarz? Pochyliła się do lustra i przyjrzała dokładnie swej skórze. Jeśli teraz zmyje z niej cały make-up, to podrażni cerę i będzie musiała użyć kremu. Zdecydowanie lepiej byłoby się jedynie zmatowić. Starła więc nadmiar pudru wacikiem i pokryła twarz świeżą warstwą lekkiego podkładu. Róż, odrobina błyszczyku i dodatkowa warstwa tuszu na rzęsach.

Odchyliła się na krześle i spojrzała na siebie z dystansu. W świetle zachodzącego słońca nie wyglądała najgorzej. Zdecydowanie lepiej niż jeszcze godzinę temu i o niebo lepiej niż większość kobiet w jej wieku. Może rzeczywiście niepotrzebnie już taka samokrytyczna? Wciąż jeszcze zdarzało się przecież, że poznawani na targach czy spotkaniach biznesowych mężczyźni proponowali jej – zwykle mało subtelnie – aby poszła z nimi do łóżka. Może czasem powinna skorzystać? Może przygodny seks albo romans poprawiłyby jej nastrój i przywróciły nadwątloną wiarę w siebie? Tylko co by się stało, gdyby któryś z tych mężczyzn okazał się mało dyskretny? Gdyby wyszło na jaw, że przespała się z klientem, dostawcą lub, nie daj Boże, pracownikiem konkurencji... Chryste! Bała się myśleć, jak na to zareagowano by w pracy! W najlepszym razie stałaby się obiektem niewybrednych plotek na piętrze, w najgorszym pojawiłyby się u niej Pola Potocka – uzbrojona w czarną teczkę, w której zawsze przynosiła pracownikom wypowiedzenia. Jakby chciała ich tą czernią uprzedzić, dać ostatnią szansę, aby poderwali się jeszcze zza biurka i pobiegli po zwolnienia lekarskie.

Potrząsnęła gwałtownie głową, jak gdyby usiłowała odpędzić muchę. Jeszcze przed sekundą było jej przecież tak miło! Myśl, że ciągle jeszcze przydarzały jej się może i nie flirty, lecz przynajmniej propozycje łóżkowe, obudziła w niej na nowo kobietę. A ona co?! Zamiast cieszyć się chwilą, zrujnowała ją wspomnieniami o pracy! Po co? W jakim celu przywołała w myślach Polę, czarną teczkę i stężone strachem twarze podwładnych? Czy naprawdę chciała sobie zatruć ten wieczór? Seks z klientem? Jakiś absurd! Nigdy przecież nie zdecydowałyby się na podjęcie tak idiotycznego ryzyka! Żaden orgazm nie był

wart tego strachu, jaki odczuwałyby później, obmacując wzrokiem twarz Rafała i czekając, aż wyrzuci z siebie mniej lub bardziej zawołowaną insynuację. Nawet gdyby nigdy nie miał się dowiedzieć, że wylądowała w łóżku z kontrahentem, i tak nie byłaby w stanie zapanować nad lękiem. A on wyczułby to i z pewnością by się wszystkiego domyślił. Zaatakowałby ją jakąś wulgarną uwagą i w końcu by się zdradziła – drżeniem rąk albo głosu, nagłym nerwowym rumieńcem, spłoszonym spojrzeniem, rozszerzonymi ze strachu źrenicami...

Dosyć! Musiała przestać o tym myśleć! Natychmiast! Przyjdzie Maks, przyprowadzi swoją dziewczynę, będą rozmawiać o jego pracy i studiach, o planach na przyszłość i zrealizowanych ostatnio projektach. Może o nowościach kinowych, polityce albo jej pianistycznej przeszłości? O czymkolwiek, co syn uzna za interesujące dla tej całej Kasi, Marysi bądź Zosi. Nie starała się zapamiętać ich imion, bo dziewczyny syna zmieniały się ustawicznie i dopóki nie zapowiadał, że przyprowadzi którąś z nich na kolację, dopóty uznawała, iż nie musi traktować ich serio. Może zresztą rzeczywiście nazywała się Kasia? A nawet jeśli nie, to i tak ją Maksymilian przedstawi. Tym również nie musiała się martwić.

Podniosła się z krzesła, raz jeszcze przejrzała w lustrze i usatysfakcjonowana zeszła powoli na parter. Przemierzyła korytarz, skręciła do kuchni i rzuciła okiem na kartkę pozostawioną przez gosposię na stole. Jak zawsze, kiedy miała mieć gości, pani Żaneta przygotowała kolację i zostawiła instrukcję, co jeszcze wymaga dokończenia.

– Wykwintnie... – mruknęła do siebie i skrzywiła się w lekceważącym grymasie.

Dziewczyny Maksa nie doceniały francuskiej kuchni. Serwowanie im truflి było ewidentną przesadą, niczym rzucanie pereł przed wieprze. Choć to akurat nie było właściwą przenośnią, bo w przeciwieństwie do świń żadna z nich nie poznałaby truflి, nawet gdyby się o nią potknęła.

Zachichotała pod nosem rozbawiona własnym sarkazmem. Jakby *a priori* skazywała tę obcą dziewczynę na porażkę. Jak gdyby żadna kobieta nie była warta jej syna. A może nie chodziło o niego? Może to nie matczyzna zaborczość była źródłem jej podłości? Może po prostu przejmowała nawyki Rafała? Dostosowywała się do jego poziomu? Stawała się chamską, pozbawioną skrupułów prostytutką?

– Chryste! Jak mogłam coś takiego pomyśleć? – skarciła się głośno i zaczęła wyciągać z lodówki przygotowane przez Żanetę potrawy.

Ustawiła naczynia na blacie, raz jeszcze rzuciła okiem na zapiski na kartce i kręcąc się niezbornie po kuchni, wykonała zaordynowane przez gosposię czynności. Po kwadransie znów się poczuła znużona. Cały efekt, który uzyskała, mroząc ciało lodowatą wodą, wyparował. Jakby każdy drobny ruch wyczerpywał resztki sił i odkładał jej się w mięśniach niemożliwym do dźwignięcia ciężarem.

Przeszła wolno w kierunku chłodziarki, otworzyła drzwi i przywarła czołem do zaparowanej bieli górnych szuflad, pozwalając, by bijące ze środka zimno schłodziło rozgrzany wysiłkiem dekolt. Po minucie oderwała się od wnętrza i przejrzała etykiety ustawionych w drzwiach lodówki win. Wyciągnęła jedno i otworzyła wprawnie, nasłuchując dźwięku, który wydał uwalniany z szyjki korek, po czym naląła sporą porcję do kieliszka. Szkło zaparowało delikatnie, a słomkowy kolor stracił klarowną przejrzystość. Zanurzyła górną wargę w winie, pozwoliła, by napój rozlał jej się w ustach, i uspokojona odetchnęła z ulgą, utwierdzając się w diagnozie, że piekące uderzenie gorąca, które jeszcze przed momentem czuła, było niczym więcej jak przemęczeniem. Chablis było idealnie schłodzone i przywracało równowagę znacznie lepiej niż najbardziej nawet lodowaty natrysk. Jego owocowe nuty omywały wargi, rozpełzały się po podniebieniu i spływały do nasady języka, pobudzając ślinianki rześkim smakiem. Dawały rozkosz i relaks. Przymknęła oczy, delektując się chwilą, i przez moment trwała w bezruchu. Leon miał słusność: ta cholerna praca miała jedną wymierną zaletę – pozwalała nie przeliczać zawartości koszyka i sięgać bez zastanowienia po przedmioty, które ciągle jeszcze przynosiły jej radość. Dobre wino, pierwszorzędne jedzenie, drogie kosmetyki, torebki i buty. Miejsca w przednich rzędach filharmonii na najlepszych w sezonie koncertach i bilety na premiery w operze. Raz na kwartał zastrzyki z botuliny pod oczy. I Żanetę, z jej niezwykłym talentem do porządkowania świata i czynienia życia znośniejszym.

Odprężona przeszła do salonu, odstawiła kieliszek na półkę, sięgnęła po pilota i z pamięci wybrała numer utworu. Nokturn fis-moll, opus czterdzieste ósme. Ten sam, który grała na popisie kończącym studia. Wciąż drzemiący w opuszkach jej palców. Uwięziony w pamięci mięśniowej. Kiedy ostatnio otwierała fortepian? Przed świętami? Niemożliwe! Aż tak dawno? I to tylko dlatego, że nie chciała zawieść dzieci, które pamiętały ten rytuał z wczesnych lat, gdy grywała im przed Wigilią, aby Leon zyskał czas na dyskretne podrzucenie prezentów pod choinkę. Może Maks i Ola wcale nie czekali wówczas na jej grę? Może w ich dziecięcych umysłach Chopin był po prostu zapowiedzią pierwszej gwiazdki? Tajemniczym panem, który spisał w nuty uwodzące Mikołaja melodie? Hipnotyzujące brodatego starca niczym gra na flecie kobrę...?

Roześmiała się na wspomnienie czasów, gdy dzieciaki ciągle jeszcze przywierały do jej nóg, obserwując dłonie biegające wprawnie po klawiszach fortepianu. Reminiscencje chwili, kiedy Leon wsuwał się ostrożnie do salonu i nie burząc magii, skradał się wzdłuż ściany, obrzucając ją i dzieci miękim, pełnym serdeczności spojrzeniem, oraz scen, w których przytulali się do siebie, ciągle jeszcze zakochani, ufni i młodzi. Z tamtych czasów został już tylko zestaw zdjęć, które oprawione w ramki stały teraz na pokrywie nieużywanego fortepianu. Nic poza tym.

Uśmiech zniknął, więc sięgnęła po kieliszek i szukając pocieszenia, pociągnęła kolejny długi łyk. Przytrzymała wino w ustach, ale smak nie wydawał się już tak łagodny i upojny jak przed chwilą. Cierpkie, kwaskowate nuty sprawiły, że jej twarz wykrzywiła się teraz wyraźnie – zaskoczona dawką dziegciu, który dewastował jedwabistość wspomnień oraz maestrię, z jaką Rubinstein wydobywał głębię z jej ulubionego utworu. Niepotrzebnie włączyła muzykę. Niepotrzebnie katowała się myślami o Leonie, ich rozstaniu oraz życiu, które obecnie wiodła. Ciągle jeszcze miała przecież dzieci. Już dorosłe, ale nadal potrzebujące jej wsparcia. Maksa, który liczył się z jej zdaniem i za każdym razem przyprowadzał na kolację dziewczyny – jakby poszukiwał jej akceptacji, przyzwolenia, aprobaty – oraz Olę, słodką, pracowitą, wciąż wierzącą w ludzi i płaczącą do słuchawki, gdy mężczyźni zawodzili jej pokładane w nich bezgraniczne nadzieje. Dla nich dwojga teraz żyła. Dla nich zaciskała zęby, pozwalała się obrażać, niezachwianie parła do przodu. Tylko oni mieli sens. Tylko dla nich warto jeszcze było wstawać rano, iść do pracy i zatracać się w codzienności. Żadne z dzieci nie miało pojęcia, ile ją to kosztowało. Żadne nie prosiło, by się poświęcała, deklarując, że i ono pójdzie dla jej dobra na zgniły, lecz konieczny kompromis. Wszystkie te obietnice złożył jej Leon i nawet jemu nie udało się dotrzymać słowa. Nawet on – zaprawiony w życiu mężczyzna – zdezerterował ostatecznie przed płaczem. Uciekł, kiedy tylko zdecydowała się przed nim obnażyć. Gdy odkleiła uśmiech, zdjęła maskę i pozwoliła sobie na manifestację słabości. Na odchodnym, stojąc z walizką na progu, rzucił jedynie, że nie może już słuchać narzekań. Dodał coś na temat rozmędlania, zrobił przytyk dotyczący jej ograniczonych horyzontów, utraconej subtelności oraz nieznośnego wprost skupienia na ekranie służbowego telefonu i okraślił całość cierpkim zdaniem o libido, które umierało w nim na widok tego czegoś, w co postanowiła się zmienić. Nie dopytywała, czy chodziło mu o to, jakim wrakiem przez te lata się stała, czy może o botoks, który sprawiał, że nie była w stanie zmarszczyć twarzy przy płaczu...

Podskoczyła nerwowo na energiczne pukanie do drzwi. Potrząsnęła głową, napięła policzki i idąc w stronę wejścia, przywołała na twarz promienny, wystudiowany przez lata uśmiech. Zatrzymała się na moment, wsunęła stopy w lakierowane cieliste szpilki, podniosła z podłogi torebkę i położyła ją na komodzie. W końcu dotarła do drzwi, otworzyła je szeroko i spodziewając się, że Maksymilian będzie pierwszą osobą, którą zobaczy, krzyknęła:

– Nareszcie! Już się nie mogłam doczekać!

Stojąca przed nią szczupła blondynka uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła w jej stronę rękę z pękiem zielonych goździków.

– Ja również! Maks tyle mi o pani opowiadał!

Zapanowała nad zdziwieniem, mając nadzieję, że nie odbiło się na jej twarzy, przyjęła kwiaty i wciąż napinając policzki w wypracowanym służbowym

uśmiechu, przesunęła wzrok z dużych błękitnych oczu dziewczyny na podjazd za jej ramieniem.

– Zapomniał zabrać wino... – Stojąca przed nią dziewczyna podążyła za jej spojrzeniem. – Uznałam, że nie wypada się spóźniać, więc...

– Tak, oczywiście... – Nieobecność syna wytrąciła ją z równowagi i sprawiła, że przestała się w końcu uśmiechać. – Niech pani wejdzie.

Przepuściła dziewczynę przed sobą, objęła wzrokiem jej szczupłe ramiona, rozpuszczone włosy oraz długie nogi, opięte czarnymi eleganckimi spodniami, i poczuła nagłe ukąszenie zazdrości na myśl, że sama wyglądała kiedyś podobnie.

– Proszę mi mówić po imieniu. – Młoda kobieta obróciła głowę i dostrzegłszy konsternację na jej twarzy, zarumieniła się w wyraźnym zmieszaniu. – Magda. Magdalena Janicka.

Dziewczynie zrobiło się przykro, a ona poczuła się jak prawdziwa kanalia. Jak mogła nie zapamiętać imienia! Pamiętała przecież wszystko! Cenę każdego produktu, imiona żon kontrahentów, daty urodzin kluczowych partnerów handlowych, terminy spotkań, wysokości udzielanych sieciom handlowych rabatów. Każdą z tych rzeczy miała wykutą na blachę, a nie zadała sobie trudu, by spamiętać imię najważniejszej dla jej syna osoby? I na dodatek jeszcze ta piekąca zawiść! Ta niewyrażona, ale jakże dotkliwa niechęć, którą odczuwała na widok cudzej młodości...

– To straszne – jęknęła nieświadomie i ulegając impulsowi, objęła dziewczynę ramieniem. – Tak mi wstyd...

– Ma pani bardzo dużo na głowie. – Magda oddała jej uścisk. – Maks mówił, że jest pani niebywale zajęta osobą.

Odsunęła ją lekko od siebie i raz jeszcze przejechała wzrokiem po świetlistej cerze, piegach na nosie, długich platynowych kosmykach oraz wielkich, pełnych naturalnej ufności oczach. Zazdrość nie wróciła, więc zaśmiała się radośnie i ponownie zamknęła dziewczynę w szczelnym matczynym uścisku, całkowicie ignorując myśl, że wyrzuty sumienia popychały ją obecnie ku kompletnie niestosownej wylewności. Nie, to nieprawda! W okazanym Magdzie odruchu nie kryło się nic niewłaściwego. Objęcie jej było naturalne i adekwatne do okoliczności. Stosowne do zalet tej cudownej młodej kobiety, która przypominała jej siebie z czasów, kiedy również była piękna, niezmanierowana i świeża.

– Chodź, napijemy się wina. Zanim Maksymilian dojedzie, zrelacjonujesz mi wszystkie historie, które naopowiadał ci na mój temat.

Zrzuciła szpilki, nie przejmując się już koniecznością zmierzenia się z krytycznym spojrzeniem, jakim obrzucały ją zazwyczaj przyprawdane przez syna dziewczyny.

– Nie wspominał ci pewnie, że jestem starszą panią, której nogi z trudem mieszczą się w butach?

Młoda kobieta spojrzała na nią życzliwie, uśmiechnęła się i podobnym gestem wysunęła stopy z własnych czółenek.

– Mówił, że jest pani bardzo piękną kobietą, lecz nie sądziłam, że aż tak...

Zaśmiała się ponownie. Komplement nie należał do wyszukanych ani subtelných i w innych ustach uznałaby go pewnie za interesowne pochlebstwo, ale w zestawieniu ze szczerym spojrzeniem jasnych oczu i wciąż zdeprymowaną twarzą dziewczyny sprawiał wrażenie autentycznego. Przez sekundę zastanawiała się jeszcze, kiedy ostatnio ktoś z równym przekonaniem powiedział jej coś miłego, lecz – nie znajdując przykładu – porzuciła ostatecznie te myśli. Usłyszana przed momentem pochwała była ważna nie dlatego, że tak rzadko spotykało ją uznanie, lecz dlatego, że pochodziła od osoby, która nagle stała się istotna i bliska. Niemal własna. Nawet jeśli wciąż jej praktycznie nie znała.

Weszła do obszernej sali konferencyjnej przeznaczonej na spotkania zarządu, mruknęła parę słów powitania do kilku siedzących już osób i usiadła obok Barbary. Poza nimi dwiema, Piotrem zwisającym niedbale z fotela oraz Polą, która wystukiwała coś na klawiaturze laptopa, w pokoju nie było nikogo. Dopiero po chwili w drzwiach pojawił się Tusza, a tuż za nim Paweł i Daniel. Utkwiła wzrok w tym ostatnim, a Malicki, usadowiwszy się naprzeciwko, odpowiedział jej krnąbrnym spojrzeniem. Przez krótką chwilę miała wielką ochotę przekazać mu ruchem warg, że nie miała nic wspólnego z weekendowym przesunięciem kampanii, ale szybko stłumiła ten odruch. Nie tutaj. Nie przy nich wszystkich. Nie w obecności Rafała. Później. Może nigdy.

Przeniosła wzrok na Tuszę i dopiero teraz zauważyła, że jego twarz była dziwnie nabrzmiała, a usta sprawiały wrażenie, jakby ukąsiła je osa. Może miał alergię, a może znowu postanowił się mocniej wygładzić... Skupiła spojrzenie na naciągniętych nadmiernie policzkach i przesunęła je powoli na czoło. Jego skóra była mocno napięta, bruzdy przy ustach zniknęły, a lwia zmarszczka praktycznie nie była widoczna. A zatem znów się wypełnił. Cóż, jego prawo. Wyglądał nieco upiornie, ale o to mu chyba chodziło?

– Leno? Chcesz coś powiedzieć? – Spojrzał na nią wymownie i uśmiechnął się złośliwie pod nosem. – Wyczuwam w twoim wzroku nieprzewartą chęć podzielenia się jakąś uwagą...

– Nie, dziękuję – pokręciła głową, udając, że nie dostrzegła szyderstwa.

– Szkoda. Zawsze cenimy twoje przenikliwe spostrzeżenia. Skoro jednak nie, to zacznijmy. Nie ma co prawda wszystkich, ale dla niektórych to spotkanie nie jest najwidoczniej istotne...

– Marcin jest w drodze – spokojny głos Poli przerwał mu wywód i zawisł nad stołem niczym zawieszona w powietrzu siekiera. – Ma trudności z chodzeniem,

a przed minutą skończył poprzednie spotkanie – kontynuowała Potocka, udając, że nie dostrzega narastającego dokoła napięcia. – Przesłał wiadomość z prośbą, by mu wybaczyć spóźnienie.

Tusza obrzucił Polę zdumionym spojrzeniem, jakby nie potrafił uwierzyć, że ośmieliła się zabrać głos bez pytania. Przez sekundę szykował się nawet do pokazania Potockiej miejsca w szeregu, ale ostatecznie zmienił zdanie i uśmiechnął się tylko szeroko.

– Tak, oczywiście. Kłopoty zdrowotne Urbańskiego stały się już legendarne. Czy jest jeszcze ktoś, kto przypadkiem o nich nie słyszał? – Rozejrzał się dokoła, sprawdzając ich miny. – A zatem wszyscy. To świetnie. I zapewne również wszyscy zebrani bardzo mu obecnie współczują?

Drzwi do sali się otworzyły i Marcin wszedł nieporadnie do środka. Twarz miał napiętą, czerwoną i spoconą. Dłonie wyraźnie mu się trzęsły. Przyjrzała mu się i poczuła przyływ empatii. Naprawdę był chory. Z każdym tygodniem symptomy były bardziej wyraźne, a ból zdążył już odcisnąć mu piętno na twarzy. Przed miesiącem po raz pierwszy dostrzegła, że Urbański powłóczy lekko nogami. Przy kolejnym spotkaniu jego grzbiet był już mocno wygięty. Dziś wyglądał jeszcze żałośniej; poskręcany nerwobólami, niezdolny do wyprostowania się, ledwo poruszający członkami. Chryste! Był taki młody! Chyba nawet nie dobił jeszcze trzydziestki! Jak to się stało, że w krótkim czasie z wesołego i pełnego energii chłopaka zmienił się praktycznie w staruszka?

Odwróciła wzrok, nie mogąc znieść jego widoku. Tak jakby obserwacja tężejących mięśni kolegi i postępującej niezdolności do chodzenia dotyczyła bezpośrednio jej. Jakby jego stan dojmująco przypominał jej o własnej utraconej młodości. Był filmem przewijanym na mocno przyspieszonych obrotach. Jak mogła rozczulać się nad sobą z powodu wieczornego zmęczenia, wiotczającej skóry czy opuchniętych stóp, których stan zawdzięczała notabene wyłącznie własnej próżności? Jak mogła się tak skupiać na sobie? Była dojrzałą kobietą, a zachowywała się jak egocentryczna gówniara! Nie zauważała niczego poza czubkiem własnego nosa!

Marcin mógłby być w zasadzie jej synem. Był zaledwie kilka lat starszy od Maksa. Cztery? Może pięć. Jaka to była różnica? Gdy patrzyła na Maksymiliana, ciągle jeszcze widziała w nim chłopca. Bywał infantylny, impulsywny, uparty. Czasem robił głupoty, których nawet nie chciało się kwitować. Rzucił się na życie niczym wypuszczone z klatki zwierzątko. Kiedy spoglądała na Urbańskiego, nie widziała w nim nawet ułamka tej zachłanności. Jego powaga, odpowiedzialność i skupienie nie licowały z wiekiem, podobnie jak przykurczona starcza sylwetka. I oczy. Puste oczy złamanego przez życie faceta. Nie chłopca. Nawet nie młodego mężczyzny. Wraka. Człowieka bez przyszłości, wyczeranego z ostatnich drobinek siły witalnej, pozbawionego złudzeń i jakiegokolwiek nadziei na szczęście.

Przeszedł ją dreszcz i zreflektowała się, że Tusza nadal coś mówił. Skupienie się na jego przemowie było jednak w tej chwili zbyt trudne. Jej myśli opanował Urbański i jakieś niesprecyzowane do końca przecucie, że jeśli wkrótce coś się nie zmieni, to dojdzie do potwornej tragedii. Ale czy w Marcinie mogło coś jeszcze pęknąć? Nie. On już dawno stracił nadzieję. Poddał się. Płynął z prądem, nie potrafiąc przeciwstawić się nurtowi. Co zatem jeszcze mógł zrobić? Porzucić pracę? Spróbować się zabić? Wątpliwe. Nie w takim stanie, w jakim się obecnie znajdował. A zatem? Czego dotyczyło to dręczące ją teraz przecucie?

Otrząsnęła się z zamyślenia i raz jeszcze próbowała się skoncentrować na słowach. Głos Rafała unosił się i opadał. Nie rozumiała, co mówił, ale wiedziała, kogo dotyczyła tyrada. Rozpoznawała to bezbłędnie po twarzach siedzących naprzeciwko kolegów, po wbitym w okno spojrzeniu Piotra, zażenowanym uśmiešku, który płasał Malickiemu na ustach, i zaciętych wargach Potockiej. Na końcu stołu, najbliżej wejścia, siedział czerwony na twarzy Urbański, pogrążony w bezruchu i niemający się odwagi odezwać. To jego dotyczyła perora. To on był obiektem drwin oraz uwag. Tusza mówił, pozostali milczeli.

Skręciła głowę i nachyliwszy się lekko nad blatem stołu, zerknęła na Barbarę i Pawła. Doktorowicz patrzył bezpośrednio na Tuszę, a Tomaszewska wbijała spojrzenie w paznokcie. W oczach Pawła była nienawiść, w rozszerzonych źrenicach Baški nie dostrzegła niczego prócz strachu.

– Następnym razem, zamiast kazać nam czekać, proponuję, żebyś oszczędził sobie trudu chodzenia. Po co masz się wysilać, skoro i tak niczego sensownego nie wnosisz? Umówmy się od razu, że przestaniesz uczestniczyć w zebraniach.

Tusza najwidoczniej konkludował już swoją wypowiedź, bo tembr jego głosu zaczął tracić wcześniejszą zjadliwość. Teraz był zimny, stalowy, pozbawiony wcześniejszych emocji. Nie było w nim wściekłości, zdenerwowania czy gniewu, tylko wyłącznie udawany pragmatyzm. Spokojne okrucieństwo, nic więcej.

– Wszyscy rozumiemy, że możesz mieć problemy zdrowotne. Oczekuję jedynie, że ty w rewanżu zaczniesz pojmować, że tej firmy nie stać na zawalenie kolejnych projektów, na niedowożone terminy, błędy w raportach i niekończące się wymówki.

Marcin podniósł głowę, a w jego oczach zobaczyła zdumienie.

– Ale przecież... – odważył się odezwać, lecz Rafał uciszył go gestem.

– Naprawdę, nie zależy mi na tym, abyś się teraz tłumaczył. Nie o to przecież tu chodzi. To temat na odrębną rozmowę.

– Chciałbym jednak... – Marcin ponowił próbę, jakby wciąż jeszcze liczył, że uda mu się przerwać ten wywód i w końcu zaprzeczyć.

– Daj spokój, Urbański. Nie będziemy o tym mówić w tej chwili. Zresztą, podjąłem już odpowiednie decyzje. – Tusza zamilkł, jakby chciał sprawdzić, czy udało mu się wyrzucić wrażenie.

Oderwała od niego wzrok i raz jeszcze przejechała spojrzeniem po innych. Nie poruszali się. Spetryfikowani, zacięci w sobie, bezradni.

– Rafale... – jej głos się lekko załamał.

– Tak, Leno? – Tusza spojrział na nią ze złością.

– Czy mógłbyś nam coś więcej powiedzieć? – przełamała się i zadała w końcu pytanie. – Na temat tych podjętych decyzji...

Dostrzegła panikę na twarzy Potockiej i zaczęła żałować, że znów się odezwała nie w porę. Dlaczego zawsze musiała się wyrwać z szeregu? Dlaczego nie potrafiła się zamknąć?

– Rozumiem. – Rafał uśmiechnął się bezwzględnie pod nosem. – Tak, to oczywiste, że pragniecie, abym się wytłumaczył. Nie ma w tym przecież nic złego. Jestem co prawda właścicielem w funkcji prezesa, ale mój zespół ma pełne prawo wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w tej firmie.

– Jeśli nie chcesz, nie będę nalegać – postarała się bardzo, by jej głos brzmiał rzeczowo i spokojnie. – Masz pełne prawo podejmować dowolne decyzje. Skoro jednak to padło, to myślałam, że może zechcesz podzielić się z nami swoimi obserwacjami, jak również wybranym sposobem na załatwienie rzekomego problemu.

– Ten problem nie jest rzekomy! – Tusza podniósł się z miejsca i gromiąc ją wzrokiem, podszedł bliżej wzdłuż stołu.

Zacisnęła zęby i powstrzymała się przed odpowiedzią na wyraźną zaczepkę. Jeśli sądził, że jest na tyle głupia, by podważyć prawdziwość jego diagnozy, to zdecydowanie jej nie doceniał.

– Postanowiłem, że nie będę dłużej tolerował niekompetencji oraz braku wyników. Taka jest moja decyzja.

Ściągnęła usta, by nie pokazać napływającego na nie z wolna uśmiechu. Jak mogła podejrzewać, że Tusza odważy się postąpić inaczej? Przecież nigdy nie stać go było na szczerłość. Czy naprawdę sądziła, że tym razem zachowa się inaczej? Że powie na głos, iż zamierza się pozbyć Marcina, ryzykując tym samym, że Urbański zdoła coś z siebie wykrztusić? Że dopuści do tego, aby Marcin zarzucił mu kłamstwo, udowadniając przy wszystkich, że nie popełnił żadnych błędów w raporcie, nie zaważył terminów, a praca jego działu nie ucierpiała z powodu jego choroby? Nie, Tusza nie mógł do tego dopuścić. Insynuacje, które padły, powinny im być wystarczyć. Jak zawsze. Bo przecież opinie Rafała przeważały nad wszelkimi faktami.

– Zatrudnimy firmę doradczą! – Tusza zawrócił na miejsce i rzucił jej triumfalne spojrzenie. – Skoro nie możemy ufać własnym zasobom, będziemy musieli ponieść koszty pozyskania tej wiedzy na zewnątrz.

No tak, oczywiście. Skinęła głową i tym razem nie zdołała powściągnąć uśmiechu. Zewnętrzny konsultant, audyt procesów, lista wypaczeń i błędów –

ulubiona strategia tyрана, rozwlekająca agonię na trudne do zniesienia miesiące, doprowadzająca zaszczuwaną ofiarę do przekonania, że jest pozbawionym wszelkiej wartości kretyńcem, nieudacznikiem, który nie potrafi zrobić dobrze niczego. Widziała to już dwukrotnie i w obu przypadkach Tusza nie miał się do czego przyczepić. Brakowało mu dowodów, faktów i danych, więc zapłacił szemranemu „doradcy”, by za niego wszystko spreparował, by wymyślił obszary, w których mogło być szybciej lub lepiej, odkrył rzekome niedociągnięcia i obnażył intelektualną impotencję pracownika, który i tak był już przecież skończony.

Zachnęła się bezgłośnie i podobnie jak inni wbiła wzrok we własne paznokcie. Nie było sensu zadawać kolejnego pytania. Każdy siedzący w tej sali wiedział już, o co chodziło. Każdy również miał dokładnie tę samą refleksję: że jeśli się teraz odezwie, to konsultanci pojawią się również u niego i z równą łatwością znajdą powód do zastąpienia go kimś bardziej potulnym.

– A zatem? Czy są jakieś dalsze pytania? – Tusza przejechał po nich wzrokiem, a oni pokręcili głowami. – Świetnie! Znakomicie! Rzadko kiedy mamy taką zgodność w zespole. Wspólne jednomyślne decyzje zawsze niezwykle mnie cieszą.

Odgarnęła włosy z czoła, aby ukryć za dłonią grymas, który wypłynął jej na usta. Co za skurwiel! Że niby to oni wydali werdykt i jednomyślnie postanowili ukrzyżować Marcina... Wspólną jednomyślną decyzją... Co za złamas!

Zachłysnęła się wściekłością i zerknęła na siedzącą obok Barbarę. Skrzyżowały spojrzenia. Rozszerzone źrenice Tomaszewskiej zgromiły ją bardzo wyraźnie, a jej dłoń zsunęła się pod blat stołu i chwyciła ją mocno za udo. Długie paznokcie wbiły się ostrzegawczo w jej ciało. Stłumiła krzyk bólu, nabrała w płuca powietrza i poczuła, że wraca do siebie. Basia miała rację: nie warto. Nie warto kopać się z koniem. Nie warto się w ogóle odzywać. Podziękowała jej wzrokiem, przymykając znacząco powieki. Uścisk zelżał, a dłoń koleżanki wróciła na swe miejsce na blacie.

– Skoro wszystko już ustalone, to myślę, że nie musimy zatrzymywać dłużej kolegi. – Rafał skłonił się prześmiewczo i pokazał Urbańskiemu drzwi, które tamten miał za plecami. – A skoro Marcin zyskał właśnie dwie godziny wolnego czasu, to proponuję, żeby zrobił nam kawę.

Urbański podniósł się z trudem z fotela i bez słowa zaczął wychodzić. Gdy zamykał za sobą drzwi, Rafał zerwał się, chwycił za klamkę i udając, że dopiero teraz sobie o tym przypomniał, rzucił z wyraźnym zadowoleniem:

– A, Marcinie, i skocz jeszcze po marlboro dla Pawła. Niech bidulek nie opala kolegów.

O czym on bredził? Przecież Doktorowicz nie palił! Może chodziło mu w tej chwili o Piotra? Może pomylił imiona?

Oderwała spojrzenie od znikającej za drzwiami sylwetki i ze zdumieniem

spojrzała na Tuszę. Triumfował. Jego wzrok wbity był teraz w Doktorowicza, a uśmiech pląsający po ustach wskazywał wyraźnie, że nie było mowy o pomyłce. Nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło, ale jednego mogła być pewna: Rafał ewidentnie coś właśnie rozgrywał.

Odchyliła się lekko na krześle i za plecami Barbary rzuciła okiem na Pawła. Jego twarz była bardziej niż zwykle rumiana, ale w oczach nie dostrzegła popłochu. Spoglądał na Tuszę z uporczywą niezłomnością. Może nawet z czymś, co normalnie by wzięła za drwinę? Nie, niemożliwe! Żadne z nich nie odważyłoby się skonfrontować z Rafałem w ten sposób. Nikt, zwłaszcza Paweł.

Wiele razy byli świadkami tego, jak Rafał publicznie wyśmiewał Doktorowicza. Jego żarty nie należały ani do subtelnych, ani szczególnie wytwornych. Budziły opór chamstwem i jawną podłością. Ale Paweł je znosił i przełykał kolejne obelgi. Pozwalał Tuszy, by porównywał jego żonę do oddanej knurowi maciory, by czynił uwagi na temat jej wyglądu i sugerował, że się świetnie dobrali. Puszczął mimo uszu drwinę ze swojej świńskiej karnacji, zaokrąglonej w pasie sylwetki i kaprawych oczu, kojarzących się Tuszy z wieprzami. Pomijał milczeniem uwagi o przeniesionych na synów genach typowych dla trzody i pytania, czy przebadał już całą rodzinę pod kątem nosicielstwa wirusa A/H1N1. Za każdym razem, gdy słyszała te żarty, zastanawiała się w duchu, dlaczego Paweł na nie pozwala. Nie chciał się zniżyć do poziomu Tuszy czy raczej nie miał na to odwagi? Nie protestował, bo nie dotyczyły go chamskie przytyki czy może cenil regularność wypłaty bardziej niż satysfakcję płynącą ze stawania w obronie rodziny? Jakiegokolwiek to były pobudki, ona nie była w stanie ich pojąć. Żadna pensja, wizytówka i tytuł nie powinny go były powstrzymać. Gdyby Tusza powiedział coś równie podłego na temat Leona, Oli lub Maksa, to z pewnością by wstała i wyszła. Może nawet dałaby upust wściekłości wymierzonym Rafałowi plaskaczem?

– Dziękuję ci bardzo za troskę. – Ku jej zaskoczeniu Doktorowicz uniósł się z miejsca. – Jeśli jednak pozwolisz, to sam będę robił dla siebie zakupy.

Paweł wysunął się zza stołu i niespiesznie skierował do drzwi, a ona poczuła, że zalewa ją fala paniki. Jeśli wyjdzie, to nie będzie już dla niego powrotu. Rafał nie zniesie okazanej mu w ten sposób pogardy i wyładuje wściekłość na tych, którzy pozostali w pokoju. Na niej. Tak, głównie na niej!

Zrobiło jej się słabo na samą myśl o tym, co nastąpi, kiedy Paweł zniknie za drzwiami. Fale gorąca na plecach, zlodowaciałe od nagłego uderzenia stresu palce, zimny pot, który czuła pomiędzy piersiami – wszystko to wskazywało wyraźnie, że nie była na konfrontację gotowa.

– Marcin! – stojąc w drzwiach, Doktorowicz krzyknął w głąb korytarza. – Marcin!

Zamarła w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić, i niepewnie zerknęła na

Tuszę. Przyglądał się Pawłowi z zaciętymi ustami i wyraźnym napięciem na twarzy. Starał się zachować rezon, ale w jego oczach prócz gniewu wyraźnie było widać zdumienie.

– Z tymi papierosami to był żart! Przecież wiesz, że nie palę. – Doktorowicz wyjaśnił w głąb korytarza. – A jeśli chodzi o kawę, to poproś asystentkę Rafała, żeby ją dla niego przyniosła. Nikt inny jakoś nie ma ochoty.

Paweł wrócił do pokoju i powoli zamknął drzwi za plecami. Uśmiechnął się lekko i nie odzywając do nikogo z obecnych, wrócił niespiesznie na miejsce.

Paweł

Zmrużył oczy i spojrzał triumfalnie na Tuszę. Rafał się nie odezwał. Był skonsternowany i wściekły, ale nie potrafił najwidoczniej znaleźć odpowiedniej riposty. Uśmiechnął się szerzej, rozparł na krześle i mrużąc oczy, przyjrzał mu się cynicznie. I co, chuju? Nie wiesz, co teraz powiedzieć? Zabrakło ci w gębie ozora, ty pierdolony, pojebany buraku? Nie skomentujesz tego, co przed chwilą zrobiłem, żadnym prymitywnym żarciem? Może że knury nie piją kawy? No, wyduś coś z siebie! Pokaż wszystkim, jaki jesteś do przodu!

– Skoro nie chcecie kawy, to proponuję od razu przejść do omówienia strategii – głos Tuszy wydał mu się bardziej matowy niż zwykle. – Wasza prognoza następnego kwartału odbiega od tego, czego jako udziałowiec oczekuję od firmy... – Rafał zawiesił głos i rozejrzał się po obecnych w pokoju, a on poczuł, że zalewa go fala żalu. Chciał konfrontacji. Chciał, żeby Tusza ryknął na niego lub przynajmniej wypluł z siebie jakąś obelgę. Brak reakcji rozczarowywał. Czynił z jego wystąpienia nieistotny incydent i umniejszał odwagę, jaką włożył w postawienie się Tuszy. Tak jakby fakt, że ktoś mu się w końcu sprzeciwił, był dla Rafała pozbawioną znaczenia igraszką. Wartą tyle, co bzyczenie muchy za oknem. – Nie do końca rozumiem powody, dla których nie chcecie się przykładać do pracy. Mogę domniemywać, że po prostu jesteście leniwi, ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Ostatecznie nasze wyniki przekładają się na wasze podwyżki, więc choćby z tego powodu powinniście znaleźć w sobie dość motywacji, by się minimalnie postarać. Wy jednak postanowiliście, że ponownie pokażecie mi gównno!

Głos Rafała stawał się coraz mocniejszy. A zatem zabolalo go trochę. Może fakt, że nie zareagował gwałtownie, nie wynikał z braku riposty, lecz z przemyślanej zawczasu strategii? Może postanowił obarczyć jego krnąbrnością wszystkich, którzy pozostali w pokoju, a może, paradoksalnie, chciał wykorzystać tę sytuację, by dobrać się do skóry upatrzonym już wcześniej ofiarom?

– Mam wrażenie, że nikt z was nie czuje się odpowiedzialny za wynik! Te liczby to jakiś mroczny żart! – Tusza uniósł leżące przed nim wydruki i trzasnął nimi o blat. – Czy wy w ogóle ze sobą rozmawiacie? Bo gdy patrzę na cyfry, to wydaje mi się, że nie! Każdy robi swój mały wycinek i ma w dupie ogólną strategię! Ile razy muszę wam powtarzać, że żyjemy w czasach konwergencji rynków oraz technik sprzedaży? Ile razy mamy wałkować to samo? Gdzie w tych liczbach uwzględniona została zmiana podejścia? Czy ktoś się zastanowił, jakie efekty możemy osiągnąć, stosując holistyczne biznesowe podejście? Czy ktoś zadał sobie trud oszacowania korzyści płynących z tego, że zaczynamy konkurować z produktami spoza branży masarskiej?! Nikt! Oto odpowiedź! Nikt z was nawet

nie próbował przeliczyć, ile możemy zyskać, podejmując minimalny wysiłek!

Co on, kurwa, pierdolił? Rozejrzał się dyskretnie i zauważył, że inni też nie rozumieją wywodu. Odetchnął z ulgą. Czasem, gdy słuchał Tuszy, miał wrażenie, że ma do czynienia z oderwanym od biznesu idiotą, który potrafi jedynie formułować ładnie brzmiące, ale pozbawione treści przekazy. Kompilować bełkot pozbawiony wartości i sensu, choć wywierający wrażenie, że rzeczywiście ma jakąś wizję.

– Żyjemy w świecie konwergencji produktów oraz technik sprzedaży! W świecie, w którym świadomy konsument jest *aware and ahead*, a co za tym idzie, posiada nowe, odmienne od dotychczasowych potrzeby – głos Rafała zaczął falować, a sprawność, z jaką wyrzucał z siebie wyrazy, pozwalała się domyślić, że starannie przygotował przemowę. – To nie koincydencja, że naszymi rywalami na rynku nie są już firmy branży masarskiej, lecz producenci nabiału. To znak czasu. Dowód na to, że musimy być *more client centric*. Że nasza *proposition* dla klientów musi być holistyczna. Że musimy mieć *helicopter view* na ich potrzeby, oczekiwania, aspiracje...

Rafał zawiesił głos i triumfalnym wzrokiem przesunął po wszystkich twarzach. Tak jakby badał, na ile jego tyrada onieśmiała ich i sprawiała, że czuli się głupszy od niego.

Każdy poza Piotrkiem spoglądał na Tuszę. Byli zaskoczeni. Może nieco przytłoczeni przemową. Wciąż odrobinę niepewni, o czym mówił i jak jego „wizja” miałyby się przełożyć na liczby w prognozie, ale żadne nie wychwytywało kompletnego bezsensu tyrady. Żadne nie myślało krytycznie. Wręcz przeciwnie, Malicki kiwał głową niczym kobra, którą zahipnotyzował ruch fletu, Pola napinała policzki w pełnym nadziei uśmiechu, Tomaszewska unosiła brwi, jakby Tusza otworzył jej oczy, a Lena tkwiła pochylona do przodu, próbując nie uronić żadnego słowa, które Rafał jeszcze z siebie wyrzuci. I nawet w spojrzeniu gapiącego się ciągle przez okno i niepodatnego zwykle na magię Leszczyńskiego pojawiły się pierwsze błyski zaangażowania.

Jak on, do cholery, to robił? Jak udawało mu się tak omamić tych ludzi? Przecież każdy z nich jeszcze przed momentem był oburzony sposobem, w jaki Tusza potraktował Marcina. Gdyby przed kilkoma minutami spytać ich, co sądzą na temat Rafała, to każdy bez wahania by przyznał, że to sadystyczny, pozbawiony przyzwoitości oprych. Prymitywny facet, który odniósł sukces dzięki systematycznemu zastraszaniu podwładnych. Gdzie teraz podział się ich krytycyzm? Zniknął? Wyparował pod wpływem kilku pozbawionych logiki, aczkolwiek okrągłych zdań, sugerujących, że Rafał posiadał mądrość niedostępną dla tłuszczy? Niewiarygodne. Niemożliwe w zasadzie. Fantastyczne i przerażające zarazem! Hodowca świń mający rzeszę podwładnych obietnicą, że kiełbasa może stać się substytutem twarogu z rzodkiewką? Zachęcający, by z lotu ptaka obejrzel

aspiracje konsumentów golonki? Przekonujący inteligentnych ludzi do tezy, że dzięki rewolucji cyfrowej schabowy zastąpi sałatkę? Każda osoba w tym pokoju była wielokrotnie inteligentniejsza i lepiej wykształcona od Tuszy, ale wszyscy jak jeden mąż łapali się na jego krasomówcze popisy. Niczym młode pelikany łykali podrzucaną im rybę. Pozbawieni minimalnej nawet refleksji. Bezkrytyczni jak dzieci. Głusi na własny rozsądek.

– Nowoczesny *customer* chce od nas *highest value*. I my mu to *value* musimy dostarczyć poprzez *upscale* naszych produktów! Innowacja i digitalizacja komunikacji z klientem to jedyne drogi, którymi jeszcze warto podążać! Stara formuła się wyczerpała! Tylko kreatywność, inwencja oraz cyfryzacja zapewnią nam trwałe miejsce na rynku! Tylko będąc blisko konsumentów, będziemy w stanie zrealizować *upsale*. Doprowadzić do *value creation* i *value selling*! – Z każdym kolejnym zdaniem wykrzykniki były głośniejsze, a gestykulacja Rafała zyskiwała dodatkową ekspresję. – W przyszłości nie będziemy sprzedawać mięs, wędlin ani produktów garmażeryjnych! Staniemy się zaufanymi doradcami do spraw zdrowego żywienia! *Research! Upscale! Big data!* To są podstawy naszego przyszłego sukcesu!

Na twarzy Daniela pojawił się grymas rozkoszy. Jakby fakt, że komunikacja marketingowa trafiła do przemowy, przyprawił go o spazmy orgazmu. Przesunął wzrok na Leszczyńskiego i zauważył, że on również uległ zbiorowej hipnozie. Może pod wpływem obietnicy podwyższenia jakości, a może perspektywy rozwoju, błyski w jego oczach zaczynały się zamieniać w entuzjazm. Jakby rzeczywiście uwierzył, że nie będzie już dłużej nadzorował wytwarzania parówek, lecz zostanie dyrektorem produkcji w fabryce rakiet kosmicznych.

– Musimy być responsywni na potrzeby rynkowe. Zjednoczeni jako zespół. Wymagający od siebie więcej niż jedną *extra mile*. Jako firma musimy być transparentni. *Fully compliant and socially responsible*. Tego od was wszystkich oczekuję. Nie za rok albo za miesiąc. Od zaraz! Niech nasze wartości przestaną być pustymi słowami. Rezyliencja rynkowa, koherencja zespołu, ambicja i kolaboracja! To są nasze *values*! I tego macie się trzymać!

Tusza opadł na fotel znużony i raz jeszcze przyjrzał się obecnym na sali, zadowolony z efektu, jaki niewątpliwie wywołał. Uśmiechnięty, syty, spełniony.

– Przepraszam, szefie, że przeszkadzam... – Asystentka Rafała wsunęła się do pokoju, niosąc tacę z filiżanką oraz ułożonym na talerzu posiłkiem. – Nie miał szef czasu nic zjeść, więc pomyślałam, że poza kawą podam szefowi coś jeszcze...

Agata uśmiechnęła się służalczo w oczekiwaniu na pozwolenie, by weszła.

– Świetnie! Znakomicie! – Tusza zachęcił ją dłonią. – Przynajmniej jedna osoba w tej firmie wykonuje właściwie swą pracę!

Zachichotała pod nosem i postawiła przed nim talerz wypełniony spaghetti.

– Carbonara. Szefa ulubione. – Ułożyła przy talerzu zawinięte w papierową

serwetkę sztucze, po czym nachyliła się lekko i konfidencjonalnie dodała: – Pomyślałam, że może mieć szef ochotę na kieliszek wina, więc pozwoliłam sobie zamówić butelkę...

Tusza uśmiechnął się, poklepał ją jowialnie po plecach i skinął głową. Dopiero gdy to zrobił, zmienił zdanie i ściągając ponownie twarz, rzucił:

– Zostaw na biurku. Z pewnością będę go potrzebował, gdy skończymy omawiać prognozę. Jeśli w ogóle skończymy...

Agata uśmiechnęła się pod nosem, skinęła i wycofała się rakiem.

– A zatem? Czy do wszystkich dotarło?

Tusza przejechał po nich wzrokiem, rozwijając równocześnie sztucze z serwetki. Pod wpływem jego spojrzenia wszystkie głowy zaczęły się rytmicznie pochyłać w niemym zapewnieniu, że przedstawiona przez prezesa strategia jest jedyną słuszną, w pełni zaakceptowaną i muszącą znaleźć odzwierciedlenie w budżecie.

– Świetnie. W takim razie dzisiaj do końca dnia dostarczycie Pawłowi poprawione forecasty. Tym razem już bez błędów logicznych!

Nawinał makaron na widelec, wpakował go w usta i pozwolił, by odgryzione nitki spaghetti z plaśnięciem opadły ponownie na talerz.

– Skoro mamy to ustalone – wybełkotał z pełnymi ustami – to chciałbym, abyście posłuchali teraz o nowej strategii marketingowej, którą wymyśliłem przez weekend.

Malicki poruszył się nerwowo w fotelu i z niechęcią spojrzał na Lenę.

– Nie mówię o kampanii mediowej, tylko o strategii marketingowej! – Tusza odnotował jego niepokój niczym czuły seismograf i przetykając kluski, ostro zgromił go wzrokiem. – Nie zdążyłem jej z tobą omówić, ale tak jak powiedziałem ci w piątek, i tak nie podlega dyskusji. Decyzja jest podjęta. Dla ciebie zostawiam fazę najprostszą. Niewymagającą myślenia.

Twarcz Daniela wyraźnie spąsowiała, a uśmiech, który usilnie starał się utrzymać na ustach, nieco stężał. Jego wzrok znowu pobiegł w kierunku Letyckiej, ale ta uniosła tylko lekko ramiona, dając mu tym samym do zrozumienia, że nie ma najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

– Otóż... – Rafał przełknął kolejną porcję, odchylił się w fotelu i spojrzał uważnie na wszystkich – w kontekście tego, co uprzednio mówiłem, koniecznym wydaje się odświeżenie naszego wizerunku i nawiązanie komunikacji z konsumentami w oparciu o nowe, powielane przez digital, a atrakcyjne dla młodego pokolenia konstrukcje. Myślę sobie: Lady Gaga. Myślę sobie: sir Anthony Hopkins. Myślę sobie: ktoś z rodziny królewskiej. Księżniczka Małgorzata? Camilla? Bo Sarah Ferguson chyba nie poluje? Choć z drugiej strony to bez znaczenia...

– Księżniczka Małgorzata nie żyje... – Pola uniosła głowę i spojrzała

niepewnie na Tuszę.

– Serio? Nie wiedziałem. Zatem niech będzie Sarah. W sumie nawet lepiej, bo tańsza.

Na twarzy Malickiego konsternacja zaczęła się przeradzać w panikę. Patrząc na niego, nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Nie dlatego, żeby czerpał satysfakcję z obecnego stanu Daniela. Po prostu widok przerażenia wydawał mu się zabawny. Jeszcze przed chwilą, kiedy Rafał plółł niestworzone androny, Malicki przeżywał niemal erotyczną ekstazę. Teraz po euforii nie pozostała nawet mokra plama na spodniach.

– Co konkretnie masz na myśli? – zadał pytanie, obserwując z rozbawieniem, jak Daniel walczy z popłochem.

– Nowa kampania! Nowe twarze! – Tusza otarł usta wierzchem ręki. – Ktoś jest głodny? Więcej nie dam rady. Możecie się teraz częstować.

– Lady Gaga, Hopkins i Sarah Ferguson? – postanowił kontynuować indagowanie.

– Tak! – Rafał wstał od stołu i zaczął się przechadzać po sali.

Rosnące zdenerwowanie Malickiego sprawiało mu coraz większą przyjemność. To nie było ładne uczucie, ale z jakichś niskich, bardzo pewnie ludzkich pobudek odczuwał je i nie zamierzał go tłamsić. Mściwe ukontentowanie brało w nim górę nad niechęcią do Rafała, rozpełzało się po ciele i popychało do zadawania kolejnych pytań. Wiedział dokładnie, że każde z nich utwierdza Tuszę w jego pomysśle. Zdawał sobie sprawę, że im dłużej każe się Rafałowi zastanawiać nad tym, co wymyślił przez weekend, tym bardziej tamten będzie później przywiązany do swojej koncepcji i tym trudniej będzie go od niej odwieść. Dlaczego zatem to robił? By dopiec Malickiemu? Żeby mu jasno wykazać, jakim był głupcem, gdy przed momentem spijał mądrość z ust Tuszy? Aby udowodnić sobie samemu, że był inteligentniejszy niż siedząca obok gromada? Może. Tak, czuł się lepszy. Od weekendu miał nad wszystkimi przewagę. W chwili, gdy uświadomił sobie własne uczucia, kiedy uznał, że nie musi się dłużej poddawać, poczuł siłę, pewność siebie oraz wolność od krępujących go wcześniej lęków. Dlaczego jednak pojawiła się w nim potrzeba odegrania się teraz na innych? Czemu jego wściekłość nie kierowała się przeciw Rafałowi, lecz obierała za cel Malickiego? Pragnął uczyć go życia? Uświadamiać? Wytykać błędy logiczne? A może zwyczajnie chciał, żeby Daniel poczuł to samo, co on sam czuł ostatnimi laty? Strach przed uzbrojonym we władzę szaleńcem. Upokorzenie, gorycz, bezsilność. Panikę. W końcu rozpacz. Zaciskającą pięści wściekłość i tłumioną siłą woli frustrację. Bezradność niewolnika. A może raczej ofiary? I własne niedołęstwo płynące z niezdolności zgłoszenia sprzeciwu.

– I jak konkretnie chciałbyś te osoby powiązać? – słowa wypełzły mu z gardła, zanim zdołał sam siebie przekonać, że nie musi i nie powinien brać

udziału w tej zabawie. – Jak możemy połączyć ich wizerunki w jeden spójny komunikat reklamowy?

Tusza odwrócił się na pięcie, spojrzał na niego i unosząc wskazujący palec prawej ręki, zakrzyknął:

– Świetnie! Znakomicie! Bardzo dobre pytanie! Szkoda tylko, że zadaje je CFO, a nie dyrektor marketingu! Choć może Daniel odgadł już, co mam w tej chwili na myśli?

Dłoń Tuszy opadła, zatrzymała się na ramieniu Malickiego, po czym poklepała je lekko.

– No, Danielku, wyjaśnij Pawłowi, dlaczego te trzy osoby są dla nas takie atrakcyjne.

Malicki przymknął powieki, westchnął i nie widząc najwidoczniej wyjścia, uniósł się z krzesła jak uczeń.

– To ikony.

– Brawo, Daniel! – Tusza klasnął w dłonie i spojrzał na Malickiego z wyczekiwaniem.

– Każda z nich przemawia do innego grona odbiorców. Mają różne grupy docelowe, o różnych zainteresowaniach. Równocześnie jednak są rozpoznawalne dla każdego.

– Świetnie! Znakomicie!

– Lady Gaga dociera do najmłodszego pokolenia, które dotychczas nie było naszą podstawową grupą konsumencką. To osoby, które albo wciąż jeszcze mieszkają z rodzicami, albo właśnie się usamodzielniają. Zwykle jedzą na mieście. W sporej części są też wyznawcami zdrowego trybu życia i adekwatnego do tego żywienia. Sport, fitness, szczupła sylwetka...

– A zatem...? – Tusza uśmiechnął się do niego zachęcająco.

– A zatem dotarcie do nich z komunikatem reklamowym potencjalnie rozszerza nam grono konsumentów. I buduje bazę, bo niedługo ci ludzie zaczną zakładać rodziny i częściej będą stołować się w domach.

– Świetnie! Znakomicie! Cieszę się, że pochwalasz moją ideę. Oczywiście nie zakładałem, że będziesz się jej sprzeciwiał, bo przecież pomysł jest świetny, ale...

– Sądysz, że te osoby zgodzą się wystąpić w naszych reklamach? – głos Leny przerwał Tuszy w pół słowa, a sceptyczne nuty w jej tonie sprawiły, że Rafał odwrócił się nerwowo w jej stronę.

– Dziękuję, Leno, że jak zawsze wskazujesz nam potencjalne trudności. Cóż, jestem pewien, że Daniel to z łatwością załatwi. Przecież udowodnił ostatnio, że jest w stanie dokonać wszystkiego.

– Nie kwestionuję kompetencji Daniela – Letycka poruszyła się nerwowo w fotelu. – Zastanawiam się tylko, czy reklama naszych produktów nie będzie się

kłócić z wizerunkiem tych osób. Ostatecznie mówimy o ikonach. I mięsie.

Lena spojrzała ostrzegawczo na Malickiego, a on kiwnął głową, jakby nagle zrozumiał, że zadając pytanie, próbowała mu pomóc w wykaraskaniu się z nagłej opresji.

– Lena ma rację. – Przytaknął gorliwie. – To może być poważna przeszkoda.

– Myślę sobie: Lady Gaga. Ubrana w sławną kreację z kotletów je z apetytem któryś z naszych produktów. Może jakieś grube salami? To doda pikanterii reklamie. – Tusza zaśmiał się frywolnie pod nosem. – I mówi: to mięso nadaje się nie tylko na suknię. Lub coś podobnego. Copywriter coś dobrego wymyśli.

– Genialne! – głos Leszczyńskiego dobiegł spod okna i przykuł uwagę Rafała. – Świetne! Znakomite! Naprawdę!

Spojrzał na Piotrka i przez krótką chwilę zastanawiał się, czy Leszczyński parodiuje właśnie ulubione okrzyki Rafiego, czy może rzeczywiście uznał pomysł za dobry.

– Wyobrażacie sobie reakcje gospodyń, kiedy spoty już się znajdą w eterze? Może po salami zrobimy kolejną reklamę? Gaga zdejmuje z cycków kotlety i w toplesie zaczyna je smażyć. A potem mówi: „Gdybym tylko wiedziała, że garderobiana używa mięs Tuszy, nigdy nie pozwoliłabym się tym schabowym zmarnować”.

Piotr śmiał się teraz pełnym głosem. Jego przepona falowała, a w kącikach oczu zalśniły łzy. Sztubacki chichot był zaraźliwy. Patrząc na niego, Pola też się zaczynała uśmiechać, a w oczach Barbary pojawił się błysk rozbawienia. Lena usiłowała zachować powagę, lecz ściąganie ust w prostą linię przychodziło jej z wyraźnym oporem. W końcu parsknęła nietypowym dla siebie rechotem. Tylko Malicki wydawał się jeszcze nieprzekonany do śmieszności pomysłu Rafała. No cóż, w sumie wcale mu się nie dziwił. Gdyby to jemu kazano negocjować z Gagą stawkę za taką reklamę, też by mu nie było do śmiechu.

Odchylił się na krzesło i poddał rozbawieniu, które teraz kotłowało się w sali. Tak, to rzeczywiście było bardzo zabawne. Paradoksalnie pomysł Tuszy nie był tak głupi, jak sądził. Ta kampania miała duże szanse się udać. Przykuć uwagę i rozlać się po internecie jak wirus. Zerknął na Rafała, który z zadowoleniem przyglądał się teraz im wszystkim. Tusza triumfował. Utwierdzony ostatecznie w genialności swojego pomysłu, zachwycony reakcją, szybko dochodził do wniosku, że ich śmiech jest najlepszą recenzją. Z niechęcią przyznawał mu rację. Koncepcja była kontrowersyjna, ale i genialna zarazem.

Skupił się przez moment, po czym – przebijając się przez ogólną wesołość – zadał nasuwające mu się teraz pytanie:

– Czy Hopkins wystąpi jako Hannibal i powie, że świnina jest lepsza?

Rafał spojrzał na niego przychylnie i skinął głową.

– Tak, dokładnie! Bardzo dobrze, Pawełku. I jeszcze ktoś z rodziny królewskiej. Może Ferguson, ale może ktoś inny. Jedząc pieczonego prosiaka, rzuci, że od lat nie cierpi polowań. I że mięso od Tuszy warte jest tego, aby znosić królewski ostracyzm.

Wszyscy pokiwali głowami i tylko stojący wciąż przy stole Malicki nadal wydawał się mieć wątpliwości.

– Ile mamy na to budżetu? – mruknął cicho, po czym spojrzał z napięciem na Tuszę. – I nie mówię tylko o gażach. Za wystąpienie tych osób w reklamach zapłacimy potworne pieniądze. Mówię o czasie antenowym, o grupach fokusowych i o dodatkowych kosztach produkcji.

– A po co ci, Danielu, fokusy? Chcesz wszystko spalić? Przecież widzisz po kolegach, że pomysł im się podoba.

Malicki poczerwieniał po linię włosów i otworzył usta, ale nie odważył się niczego powiedzieć.

– Może Daniel ma rację? – wyważony głos Leny w końcu przyszedł mu w sukurs. – Każda z tych reklam będzie kontrowersyjna. Ostatecznie wiele osób było zniesmaczonych tą mięsną sukienką. Kojarzenie naszych produktów z kanibalizmem też może nie przypaść gospodyniom do gustu.

– Bzdura! – Tusza spojrzał na nią groźnie, a jego zadowolenie błyskawicznie zniknęło. – Co ty, Leno, pierdolisz? Hannibal ma jeść nasze mięso zamiast ludzkiego. Nie nadążasz za myślą przewodnią? Zamiast!

– Rozumiem. – Letycka kiwnęła głową, lecz nie opuściła spojrzenia. – Co nie znaczy, że skojarzenie nie będzie się mimo wszystko pojawiać.

Tusza obszedł powoli stół, stanął jej za plecami i pokazując wysuniętym palcem głowę Leny, ryknął do pozostałych:

– I to jest, kurwa, to defetystyczne i ostrożnościowe podejście, którego nie będę dłużej tolerował w zespole! Za każdym razem, gdy mamy szansę na zrobienie czegoś wielkiego, pojawia się jakiś malkontent! Pierdolony krytykant, który nie rozumie wizji, jaką przed nim roztaczam! Po dziurki w nosie mam już waszych rozważań! Asekuranctwa, inercji, braku bigla! Tego, że jesteście za starzy, by zrozumieć, że świat jest gotowy na więcej! Obrastacie tłuszczem! Jesteście bandą leniwych nudziarzy, którzy każdy pretekst wykorzystają do tego, żeby przypadkiem nie zrobić nic więcej! Grupą lamusów i leserów gotowych skrytykować każdego, byle tylko nie naruszyć wygodnego dla was układu! Dosyć! Rozumiemy się?! Dosyć! Albo to się skończy, albo możecie zacząć się pakować w kartony! Nie stać mnie na to, żeby utrzymywać taką bandę nierobów! Skupionych tylko na tym, żeby kontestować decyzje i podważać mój autorytet! Basta! Nie ma zgody na taką postawę!

Rozluźnienie rozwiało się momentalnie. Przejechał wzrokiem po twarzach i zauważył, że Leszczyński znowu gapi się w okno, siedząca obok Leny Barbara

z trudem panuje nad drzeniem ramion, Pola wbija wzrok w swoje ręce, a Malicki – wciąż stojąc – usiłuje opanować swój popłoch. Lena przewróciła oczami, ale wszyscy wiedzieli, że pozwala sobie na to tylko dlatego, że stojący za nią Tusza nie był w stanie dostrzec tego grymasu. Zerknął w stronę drzwi i pomyślał, że zazdrości w tej chwili Urbańskiemu. Być może był już na pozycji straconej, lecz przynajmniej nie musiał tu siedzieć, mierzyć się z impulsywnością Rafała, z jego maniakalno-depresyjną huśtawką nastrojów, z chamstwem odzywek i latającymi w powietrzu kurwami. Był zwolniony z obowiązku bałwochwalczych zachwyków i bezkrytycznego lizusostwa, jakiego Rafał oczekiwał od wszystkich. Mógł stracić pracę, to prawda. Było nawet pewne, że zostanie zwolniony. A jednak... W pewnym sensie Tusza robił mu tym niebotyczną przysługę. Wykopując go z firmy, dawał niepowtarzalną szansę na oddech, wolność i niezależność. Prawo wygłaszania opinii.

– Widzę, że nie jesteśmy się w stanie porozumieć.

Tusza ruszył na swoje miejsce, a jego głos był teraz spokojny, jakby przez minutę milczenia zdołał podjąć kolejną decyzję. Dotarł do fotela, usiadł i mrużąc oczy, przyjrzał się z uwagą każdemu.

– Zastanawiam się, z czego to wszystko wynika. – Pochylił się lekko nad stołem i wskazał palcem na Polę. – Może HR będzie mi w stanie powiedzieć? Dlaczego, do kurwy nędzy, mój zespół zarządzający nie potrafi skutecznie zarządzać?

Potocka podniosła głowę, rozchyliła usta i przez moment milczała, usiłując dobrać słowa, które nie sprowokują Tuszy do kolejnych ataków. W końcu powiedziała ze skrucą:

– Wiesz, Rafale, każdy jest bardzo zajęty. Brakuje nam dystansu, czasu na to, żeby spokojnie pewne sprawy przemyśleć. Rozmieniamy się często na drobne, nazbyt skupiając się na technicznych czynnościach. Za mało przebywamy ze sobą. Nie dość dobrze się rozumiemy, bo nie mamy ze sobą kontaktu. Gdybyśmy spędzali więcej czasu razem...

– Te spotkania są właśnie w tym celu! – ryknął na nią i ponownie zerwał się z krzesła.

– Tak, oczywiście, ale służą głównie omawianiu bieżącego biznesu. – Pola przytaknęła uprzejmie, uznając pewnie, że ta strategia będzie najlepszą metodą na opanowanie jego wściekłości. – Nie spotykamy się, aby pobyć ze sobą. Nie mamy wspólnych przeżyć innych niż te, które wiążą się z pracą.

– Co sugerujesz? – W głosie Rafała wciąż była wściekłość, ale równocześnie pojawił się namysł.

– Że powinniśmy w końcu zainwestować w integrację zespołu. Omawialiśmy już wcześniej ten temat, ale teraz potrzeba stała się niezwykle paląca.

– Integracja?

– *Team building*. Może jakiś wspólny wyjazd, na którym spędzimy razem czas i spróbujemy się lepiej zrozumieć. Oraz poznać.

Tusza zastanawiał się przez moment, po czym skinął głową i niechętnie przyznał jej rację.

– Moglibyśmy wynająć trenerów, zrobić ćwiczenia grupowe, może nawet wesprzeć się psychologiem biznesu? Mam kilka ofert coachingu... – Parsknął i ponownie się rzucił na fotel. – Tak, oczywiście. Kolejny pomysł, który będzie wspierał mazgajstwo. – Uśmiechnął się pod nosem cynicznie. – Zarządzanie poprzez zbiorową terapię i lamentowanie jako forma budowania zespołu. – Skrzywił się sardonicznie, po czym wsunął palec do gardła w udawanym geście wymiotów. – Tylko HR może coś takiego wymyślić!

Pola skuliła się w sobie, a jej usta wygięły się w żalną podkówkę. Wyglądała teraz niczym zawstydzona przez rodzica trzylatka.

– Pomysł nie jest głupi sam w sobie. – Rafał odchylił się w fotelu i spojrzał na nią spod oka. – Może rzeczywiście powinniśmy razem coś przeżyć. Coś, co obudzi w was instynkt przetrwania. – Uśmiechnął się szerzej, a na twarzy Potockiej pojawiła się ulga.

– Elementy survivalowe często są wykorzystywane w projektach teambuildingowych – przytaknęła nieśmiało. – Jeśli zechcesz, to mogę o czymś pomyśleć...

– Nie zależy mi na twoim myśleniu. Będiesz to analizować przez miesiąc, potem przygotujesz kilka slajdów i opowiesz nam o korzyściach potencjalnie płynących z projektu – skwitował jej wypowiedź złośliwie. – Skończy się jak zawsze u ciebie: na kompletnie jałowym pieprzeniu.

– Mogę coś zorganizować na szybko... – Potocka zarumieniła się po cebulki włosów, odczytując dwuznaczność zawartą w jego przytyku.

– Zajmij się lepiej Urbańskim – Tusza warknął ostrzegawczo, po czym przybrał na twarz jeden ze swych pełnych udawanej troski uśmiechów. – Ja zorganizuję ten wyjazd i oszczędzę ci konsultacji. A sobie konieczności oglądania prezentacji, które tak bardzo lubisz nam robić. – Podniósł się z krzesła, zebrał rozrzucone na blacie stołu wydruki i raz jeszcze przejechał wzrokiem po twarzach. – Wszyscy wiecie, co robić? Nowa prognoza. Chcę ją u siebie do jutra. Nowa kampania – koszty do uwzględnienia w budżecie, szczegóły i ramy czasowe do końca tego tygodnia. – Zerknął w stronę Daniela. – Żadnych grup fokusowych i innych idiotycznych pomysłów. Nie zamierzam wyrzucać w błoto pieniędzy po to tylko, żeby poznać opinie kilku podstarzałych gospodyń. Ty – jego palec skierował się w stronę Poli – zajmiesz się organizacją audytu. Chcę mieć raport do końca miesiąca, aby podjąć ostateczne decyzje. A co do ciebie, mój drogi – Tusza spojrzał mu w oczy, po czym, mrużąc powieki, wysyczał: – to radzę ci dobrze,

żebyś nie ulegał nadmiernie emocjom. I przestań palić z Piotrusiem za węglem, bo ten nałóg jest szkodliwy dla zdrowia. Poza tym, jeśli sądzisz, że kolega Leszczyński jest twoim ziomem tylko dlatego, że częstuje cię swoim marlboro, to ociupinkę się mylisz. Twoja żona jest zdecydowanie zbyt krępa i, co tu gadać, za stara, byś mógł się znaleźć w spektrum uwagi Piotra. Wspólny papieros to wszystko, czego się możesz spodziewać. On nie traci czasu na kolegowanie się z facetami, którym nie mógłby przyprawić poroża.

Tusza spojrział przelotnie na Leszczyńskiego, zaśmiał się głośno i wymaszerował dziarsko z pokoju.

Daniel

– Kto mu podsunął ten pomysł? – usłyszał histeryczne nuty we własnym głosie i spojrzał bezradnie na pozostałych. Jego wzrok powędrował po twarzach i zatrzymał się dłużej na Lenie. Czyżby ona? Znowu? Dlaczego?

Letycka wzruszyła ramionami i niespiesznie podniosła się z miejsca.

– Na mnie nie patrz – mruknęła. – To nie moja sprawka. Podobnie zresztą jak piątkowe przesunięcie kampanii.

Przez moment przyglądał się, jak zbierała leżące przed nią papiery, wymieniła spojrzenia z Barbarą i skierowała się powoli do wyjścia. Dotarła do drzwi, zatrzymała się i odwróciwszy się jeszcze na moment, rzuciła lekko w powietrze:

– Musisz nam przesłać *timeline* nowej kampanii. Bez tego nikt nie będzie w stanie ruszyć z aktualizacją swojej części prognozy. Do kiedy to zrobisz? – Zerknęła na zegarek, a potem raz jeszcze na niego. – Jest trzecia. Musisz się wyrobić do piątej. I tak wszyscy będziemy pracować po nocy...

Odwróciła się na pięcie i wyszła, a Tomaszewska pobiegła truchtem tuż za nią.

– Lena, ile tobie to zajmie? – głos Baški dotarł już z korytarza.

– Jeśli Malicki się wyrobi do piątej, to moją część powinnaś dostać do ósmej. Ostatecznie to tylko prognoza.

Wyobraził sobie minę, jaką musiała mieć w tej chwili Letycka. Wyraz jej twarzy z pewnością mówił, że zawsze jest gotowa ze wszystkim na czas, że jej kalkulatory i pliki działają bezbłędnie, a wieloletnie doświadczenie pozwala opracowywać budżety niemal z zamkniętymi oczami. Głupia, zarozumiała pinda!

– Stary, daj spokój! – Leszczyński poklepał go po ramieniu. – Czym tak się przejmujesz? Napiszesz trzy maile, a potem zapomnisz o sprawie. Nie ma takiej fizyki, żeby Germanotta zgodziła się na występ w reklamie. Jej menedżer ci grzecznie odmówi, ot i tyle. Jeśli w ogóle odpisze.

Piotr zaśmiał się lekko, a on uniósł spojrzenie i z nadzieją zerknął mu w oczy.

– Naprawdę tak sądzisz?

– A ty nie? – Jego wątpliwość jeszcze bardziej rozbawiła kolegę. – Myślisz, że Lady Gaga marzy o tym, by stać się twarzą kiełbas i kotletów szanowanej na rynku firmy Tusza? I może jeszcze pragnie zaśpiewać na naszej imprezie gwiazdkowej?

Westchnął. Leszczyński miał rację. Nie było najmniejszych szans na to, by Hopkins, Gaga czy ktokolwiek z rodziny królewskiej chciał, by kojarzono go z nimi. Po co by mieli to robić? By narazić swój wizerunek? By przyłgnęła do nich

etykieta królów i królowych pasztetu?

– Ja pierdolę... – jęknął pod nosem i oparł głowę na rękę.

– O co znowu ci chodzi? – Piotrek przysiadł na stole. – Paweł, ty wiesz, o co może mu chodzić?

Doktorowicz podniósł się powoli z fotela, wzruszył ramionami i parsknął:

– Jakkolwiek by się odwrócił, dupę zawsze będzie miał z tyłu. Jak nie załatwi jej występu w reklamie, to będzie miał przejebane. Jak załatwi, to też nie będzie miał lepiej. Jasne, będzie szum na portalach plotkarskich. Może nawet miliony obejrzą ten spot na YouTube. Ale czy sprzedaż nam wzrośnie? Bardzo, ale to bardzo wątpliwe. Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby moja żona czy matka kupiły salami pod wpływem takiej reklamy. Swoją drogą, o co chodziło z tym dorabianiem mi rogów?

Uniósł wzrok zaintrygowany odpowiedzią, jakiej Leszczyński powinien teraz udzielić Pawłowi.

– Skąd mam wiedzieć? – Piotr wzruszył nonszalancko ramionami, lecz w jego twarzy pojawiło się napięcie. – Wszyscy dobrze wiecie, że nie jestem przesadnie cnotliwy. I co z tego? To moja sprawa. Nie muszę się przed nikim tłumaczyć. Ani z tego, z kim chodzę do łóżka, ani z faktu, czy zdarzyło mi się kiedykolwiek przelecieć mężatkę.

Na ogolonej na łyso czaszce Piotrka dostrzegł maleńkie krople potu.

– Posłuchaj... – Doktorowicz złapał Leszczyńskiego za mankiet i zajrzał mu w oczy. – Nie interesuje mnie, co masz pod kołdrą. I nie zakładam, że przelecisz mi żonę. Myślę tylko, że powinieneś być bardziej dyskretny. Diabli wiedzą na kogo trafiłeś. Skoro wie, że pukałeś mężatki, to...

– Dobra! Już przestań! – Leszczyński wyrwał rękę i spojrzał na Pawła z wrogością.

Patrzył na nich i przez chwilę zastanawiał się, o czym w zasadzie mówili. Wystąpienie Rafała na temat rogów i palenia za winklem było zwykłym, pozbawionym znaczenia wyglupem. Nie mógł przecież wiedzieć, czy Doktorowicz zaczął popalać ani tego, z kim Leszczyński chodził do łóżka. Mógł jedynie zgadywać. Wyczuć unoszący się wokół Pawła zapach tytoniu, zauważyć Piotrka, gdy rozmawiał z jakąś dziewczyną. Miał poszlaki i wysnuwał z nich wnioski, a oni dawali się podpuszczać.

– Przestańcie! Jakie to ma w gruncie rzeczy znaczenie? Seks i palenie... Dajcie spokój. Rafał was prowokuje, a wy to traktujecie serio. Próbuje was skonfliktować. Nie wiem dlaczego i, szczerze mówiąc, mało mnie to teraz obchodzi.

Odwrócili się w jego stronę i przez moment przyglądali mu się w milczeniu. Jedyńm, co w ich oczach teraz dostrzegał, było politowanie. Jakby nagle z jakichś oczywistych, lecz niezrozumiałych dla niego powodów dostrzegli w nim

naiwniaka.

– Pierdolcie się obaj! – warknął agresywnie i nie czekając dłużej, ruszył do wyjścia.

Kretyni! Tak samo zadufani w sobie jak Lena. Przekonani, że cały świat kręci się wokół nich i ich życia!

Przeszedł korytarzem do gabinetu, usiadł za biurkiem i z niechęcią otworzył laptop.

Po wszystkim, co dzisiaj się stało, po tym, jak Tusza potraktował Marcina, po zaprezentowanej im przez niego strategii oraz pomysłe na nową kampanię jedyne, co zainteresowało tych dwóch, to uwaga na temat palenia. Głupia sugestia, że Piotrek zerznie żonę Pawłowi. Serio? Naprawdę to był punkt dzisiejszego programu? Nie Lady Gaga łykająca salami? Nie to, że ostatnie tygodnie ich pracy trafiły na śmietnik, bo dopiero po zrobieniu prognozy Rafał postanowił, że przedstawi im nową strategię? Nawet nie fakt, że Tusza chciał wypierdolić Marcina?

Chuj z tym wszystkim! Pierdoli go to! Jebie go po całości! Ma to w dupie! W dupie!

Zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po gabinecie. Nie miał teraz czasu na nerwy. Powinien się uspokoić. Skupić na robieniu kosztorysu kampanii. Przyjąć jakieś założenia co do jej kamieni milowych.

Jasna cholera! Nawet nie będzie miał jak wyrzucić z siebie frustracji! Dom był pusty. Andrzej odszedł. Nie wysłucha już dzisiaj jego żalów i nie powie mu z uśmiechem, że to wszystko nie ma znaczenia. Będzie z tym sam. Wróci do domu, zamknie się w czterech ścianach, pewnie znowu obali flaszkę wina, po czym z trudem dopełźnie do łóżka.

Dlaczego Tusza to robił? Dlaczego nie powiedział mu o swoim szaleńczym pomysle, zanim przedstawił go wszystkim? Przecież rozmawiali w piątek wieczorem! Dzwonił do niego! Mógł go z łatwością uprzedzić! Może gdyby wiedział, byłby dzisiaj w stanie wydusić z siebie jakiś trzymający się kupy argument? Pokazać wyniki badań, z których wynikałoby, że ten pomysł jest zbyt ryzykowny w kontekście ich produktów i brandu. Albo przynajmniej sprawdzić, jakiej gaży Germanotta mogła żądać za występ w reklamie.

Opadł na fotel, oparł łokieć na blacie i położył czoło na dłoni. To oczywiste. Rafał nie powiedział mu wcześniej, bo chciał go dziś przy wszystkich zaskoczyć. Wiedział dokładnie, że szanse na zrobienie tego typu kampanii są mizerne, jeśli nie wręcz zerowe. Wiedział, że nawet jeśli wskazane przez niego osoby jakimś cudem wyraziłyby zgodę na użycie ich wizerunku w reklamach, to ich gaże przekroczą to, co pozostało na marketing w budżecie. Wiedział, że kontrowersyjna reklama może być wielkim sukcesem, ale również kompletną porażką. Z pełną świadomością wsadzał go zatem na minę.

Jak to powiedział Doktorowicz? Że jakkolwiek się nie ustawi, dupę zawsze będzie miał z tyłu? Tak, dokładnie tak było. Niezależnie od wysiłku i starań, od włożonych w ten projekt godzin pracy, od zaangażowania, jakie uda mu się z siebie wykrzesać, szanse na to, że coś się nie uda, będą zawsze tak samo ogromne. I niezależnie od powodów, dla których ostatecznie wyjdzie z tego niewypał, to on dostanie od Rafała po głowie. Jeśli Germanotta lub Hopkins nie będą chcieli wystąpić, będzie to jego winą. Jeżeli honoraria przekroczą możliwości ich spółki, rynek nie zareaguje ekstazą, a wydane pieniądze nie przełożą się bezpośrednio na sprzedaż, on będzie winien porażki. Nie Tusza jako autor koncepcji. On, bo nie dość się postarał. Bo, jak zapewne powie mu Rafał, od początku nie wierzył w ten projekt. Bo sabotował, bo nie dość się przykładał albo nie potrafił czegoś przewidzieć. Nie, to nie tak. Tusza powie to bardziej dosadnie. Przy wszystkich wytknie go palcem i wykrzyczy, że koncertowo spierdolił jego jakże genialną koncepcję. Jak to dzisiaj powiedział? Że zostawia mu część najłatwiejszą? Wykonawczą i niewymagającą myślenia? No cóż, nawet wykonawstwo uda mu się ostatecznie spartaczyć...

Zrobiło mu się gorąco, więc zdjął marynarkę. Jasna cholera! To na pewno nie był przypadek! Ten piątkowy telefon, przyspieszenie kampanii, powiedzenie mu, że to Lena stała za wszystkim... Tusza od początku pragnął go jedynie pogrążyć. Liczył na to, że Daniel nie zdoła niczego załatwić. Zadbał również o to, by skutecznie skłócić go z Leną...

Jasna cholera! Jak mógł powiedzieć Tuszy, że nie znosi długich przemów Letyckiej? Co go podkusiło, żeby wieszać na niej psy przy prezesie? Dał się podpuścić tak jak dzisiaj Doktorowicz z Leszczyńskim! Wystawił Lenę, obsmarował ją przed Rafałem, a potem jak głupi cieszył się z zaufania, jakie niby okazał mu Tusza. Kurwa! Od samego początku nie chodziło w tym wszystkim o Lenę. Rafał go zwyczajnie testował. Sprawdzał, czy opluje Letycką, czy poradzi sobie z przesunięciem kampanii, czy udźwignie Lady Gagę wpychającą sobie w usta salami... Obserwował go. Czekał na śmiertelne potknięcie. Na coś, po czym mógłby sadystycznie ogłosić, że ich firma potrzebuje agencji. Już nie do wymyślania haseł, planowania mediów czy produkcji spotów i reklam, lecz do audytu procesów.

Wpadał w paranoję. Nie powinien się tak denerwować. Ani z góry zakładać, że każde słowo Tuszy to podstęp. Przecież to chore! Dlaczego Rafał miałby ryzykować bezpieczeństwo finansowe swej firmy? Z jakiego powodu miałby chcieć wyrzucać w błoto pieniądze? Tylko po to, żeby go zwolnić? Bzdura! Mógł go wypierdolić, nie tłumacząc się z tego przed nikim. Nie podając im żadnej przyczyny. Ot, dlatego że był właścicielem tej budy. Ostatecznie byli dorośli. Każdy wiedział, że pracuje w firmie Tuszy i że pensje są wypłacane z jego portfela. To był biznes, nie ochronka dla dzieci.

Zamknął oczy, nabrał haust powietrza i przez moment przytrzymał je w płucach. Potem zrobił wydech ustami i powtórzył ćwiczenie raz jeszcze. Gorączka, którą czuł na skórze, zelżała nieco, a przepona się zaczęła rozluźniać. Wyobraził sobie siebie na ekranie w ciemnej wielkiej sali kinowej. Młody facet w przepoconej koszuli stał na środku pokoju, sapiąc niczym pierworódka na zajęciach w szkole rodzenia. Przyjrzał mu się z uwagą, poczuł litość, po czym przesiadł się pięć rzędów wyżej. Ekran oddalił się i mężczyzna wydawał się mniejszy. Ciągłe jeszcze stał na środku pokoju, lecz wydechy, które robił, wydawały się już spokojniejsze. Kiwnął mu głową przychylnie i ponownie powtórzył ćwiczenie. Dotarł do najwyższych rzędów kina i raz jeszcze objął wzrokiem oddychającego przez usta faceta. Człowiek na ekranie nie wydawał się teraz żalony. Był niezrozumiały. Niczym zadufany w sobie duży chłopiec, zawiedziony w niezbitej dotychczas wierze, że stanowił centrum wszechświata. Ulegający megalomanii oraz manii prześladowczej niczym popędliwy romantyczny bohater.

Skrzywił się i otworzył oczy. Było mu lepiej.

No dobrze, zatem teraz kosztorys. Sięgnął po telefon, połączył się ze stażystką i poprosił, by sprawdziła z obsługującą ich agencją reklamową, jakiego rzędu honoraria dostawały topowe gwiazdy brytyjskie. Rozłączył się, sięgnął po notes i narysował długą prostą linię, zaczął rozpisywać w czasie poszczególne elementy procesu. Poczynając od premiery spotów, wolno cofał się w czasie: zakup mediów, planowanie kampanii, faza produkcyjna oraz briefingi z agencją. Negocjacje z gwiazdami, kontakt z menedżerami, czas na umówienie pierwszego spotkania. Spojrzał na rozpiskę. Ciągłe brakowało mu czasu. Podniósł raz jeszcze słuchawkę i poprosił, by praktykantka sprawdziła plan koncertów Lady Gagi, a jeśli to możliwe, również zaangażowanie Hopkinsa w produkcje filmowe i występy w londyńskim teatrze. Dobrze. Na spokojnie wszystko mu się uda ułożyć. Jeśli tylko skupi się na tym, żeby wysłać kolegom kalendarium kampanii, i zwalczy w sobie chęć do wymyślania kolejnych problemów, wszystko się dobrze zakończy. Technikalnia, nic więcej. Tylko na tym musiał teraz się skupić. Na rozłożeniu w czasie kamieni milowych, na przewidzeniu kwot i terminów. Prosta sprawa. Nie raz i nie dwa wykonywał to dziecinne ćwiczenie. Kiedy skończy, Lena oszacuje poziomy sprzedaży, Piotr przeliczy zamówienia na świnię, a Barbara – na liczbę transportów. Paweł przygotowuje plan przepływów pieniężnych i uwzględni koszty kredytu. Bardzo proste. W sumie całkowicie banalne.

Odsunął się lekko od blatu i spojrzał na leżący przed nim zeszyt. Oś nie wyglądała już jak linia, lecz grzebień, przekrojona w wielu miejscach pionowymi kreskami, opatrzona opisami oraz uwagami o szczegółach etapów. Przyjrzał jej się raz jeszcze i upewnił, że nie zapomniał o niczym. Wyglądało na to, że wszystko uwzględnił. Teraz bufor. Dwa tygodnie? Miesiąc? Zatem miesiąc...

Westchnął i pokręcił głową. Równie dobrze mógł tu wpisać cokolwiek. Lady Gaga nie wystąpi w reklamie. Niezależnie od tego, co powiedział im Tusza, to zwyczajnie nie było możliwe. Rafał mógł się awanturować i wrzeszczeć, ale to i tak nie zmieniało niczego. Nawet gdyby walił pięścią w stół, wyzywał ich od idiotów, tarzał się po podłodze oraz gryzł wykładzinę z wściekłości. Nawet gdyby ostatecznie go zwolnił – gównem z tego. Nic ani odrobinę nie przybliży go do realizacji tej cholernej kampanii. Niemożliwej od samego początku...

Uśmiechnął się pod nosem z satysfakcją i rozparł wygodnie w fotelu. Myśl, że Tusza nie zależał w tym wypadku od samego siebie, była niewyobrażalnie miła. Rafał sądził, że ma prawo robić wszystko i od innych żądać wszystkiego. Nie liczył się z ich zdaniem i zwyczajnie nie przyjmował odmowy. Gdyby nagle uświadomił sobie, że nie dostanie wymarzonej zabawki, mógłby tego doświadczenia nie przeżyć. Jego draśnięte ego pofrunęłoby pod sufit ze świstem niczym przedziurawiony szpilką balonik. Kołowałoby przez moment nad stołem w sali konferencyjnej, a w końcu opadło w którymś z jej narożników, by ostatecznie trafić do kosza. Po takim doświadczeniu Rafi już nigdy nie byłby sobą.

Przymknął oczy i rozkoszował się przez moment wizją ubranej w suknię z mięsa blondynki, która pokazywała Tuszy środkowy palec. Ile ona miała wzrostu? Metr pięćdziesiąt? W sumie szkoda. Nawet gdyby włożyła swoje niebotyczne platformy, Rafał ciągle jeszcze byłby wyższy. Chociaż... Skorygował wyobrażenie: drobna, niższa sporo od Tuszy blondynka, tym razem już nie w kiecce z kotletów, lecz w infantylnej kreacji z maskotek, siedziała na tronie i zanosila się dziewczęcym chichotem. Jej dłoń się unosiła ponad Kitty upiętą we włosach, a jaskraworóżowy paznokieć falował w rytm muzyki bezpośrednio przed twarzą Rafała.

No dobrze, miło było pomarzyć. Otrząsnął się, spojrzął na zegarek i zauważywszy, że zbliżała się czwarta, jeszcze raz sięgnął po słuchawkę.

– Masz to, o co prosiłem?

Stażystka przytaknęła, więc odetchnął głębiej i zawołał:

– No to na co czekasz?! Muszę to mieć! Zaraz! Nie za rok albo kwartał!

Poczuł się jeszcze lepiej na myśl, że Aśka biegła teraz do jego gabinetu, próbując ułożyć sporządzone wcześniej na żółtych kartkach zapiski i modląc się w duchu, by nie zrugął jej za to, że dyszy. Nie był skurwysynem i patrzenie na jej strach nie sprawiało mu radości, ale czasem – zwłaszcza w takie dni jak dzisiejszy – czerpał siłę z wyrządzanych jej umyślnie przykrości. Możliwość odreagowania oraz płynące z niej poczucie władzy przywracały mu równowagę. Czasami miewał później coś na kształt wyrzutów sumienia i obiecywał sobie, że już więcej tego nie zrobi. Przez krótkie chwile katował się myślą, że jest równie podły jak Tusza i z biegiem czasu stanie się klonem Rafała. Ale w końcu zawsze udawało mu się uspokoić sumienie. Nie był wredny, sadystyczny czy mściwy. Ot,

czasami zbyt zapalczywy. Drażliwy, neurotyczny, raptowny. To nie była wina jego, lecz pracy. Ustawicznej presji, napięcia i stresu. Wszystkich tych trudnych emocji, które nie brały się z jego wad, tylko z zalet. Takich chociażby jak perfekcjonizm, zaangażowanie, ambicja...

– Co tak długo?! – ryknął, zanim zdołała przekroczyć próg. – Sądziłaś, że potrzebuję rozkładu trasy koncertowej, bo zamierzam sobie kupić bilety?!

Dziewczyna zadrżała i notes zadygotał jej w rękach. Otworzyła usta, by usprawiedliwić swoje niewątpliwe mazgajstwo, ale głos uwiązł jej w gardle. Zamiast przeprosin wydobyła z siebie tylko niskie i matowe rżenie.

– Daj mi to, na litość boską! – Wyciągnął rękę w jej stronę. – Sam przeczytam!

Podeszła ostrożnie i podała mu zeszyt z chaotycznie poprzekładanymi notatkami oraz setkami drobnych nerwowych kresek, które pokrywały marginesy, a co do których wiedział dokładnie, że rysowała je, czekając na połączenie telefoniczne. Jego uwagę jednak przykuło coś jeszcze: brunatnoczerwone plamy rozlewające się lekko po piśmie. Przesunął wzrok na jej rękę i dopiero teraz zauważył, że z prawej dłoni płynęła jej krew.

– Co ci się stało?

Wysunęła dłoń w jego stronę i po głębszym oddechu zdołała cicho wyszeptać:

– Zdarłam sobie paznokieć.

– Musisz trochę bardziej uważać. – Skinął głową i pokazał ręką, by wyszła.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, spojrział znów na notatki, zmarszczył czoło i zanim zaczął czytać, zastanowił się jeszcze przez chwilę. W jaki sposób mogła zedrzeć sobie paznokieć w biurze? I dlaczego w ogóle wszystkie jej palce wyglądały, jakby je starła na tarce? Piekła w domu szarlotki? Robiła surówki z marchewek? Wzdrygnął się ze wstrętem, skrzywił usta i przez moment żałował, że nie pozwolił jej zreferować notatek. Obrzydliwe! Naprawdę ohydne! Miał nadzieję, że nie podawała domownikom potraw z własną wkładką mięsną! Ponownie otrząsnął się z odrazą i podniósłszy kartkę ołówkiem, ostrożnie przewrócił stronę. Oby tylko nie cierpiała na jakąś nieuleczalną chorobę! Wróć! Na żadną chorobę! Nie miał zamiaru zarazić się czymkolwiek w ten sposób!

Odrzącił ołówkiem zeszyt i sięgnął po słuchawkę, by poprosić, aby wróciła. Dotknął klawiatury aparatu, uświadomił sobie, że zapewne nie dotarła jeszcze do biurka, i zamiast wybrać jej numer, postanowił połączyć się z Polą.

– Znajdź mi nową stażystkę! – rzucił do słuchawki z wściekłością, nie siląc się nawet na wstępy. – Dłużej nie wytrzymam już z Aśką.

Potocka zaczęła klarować coś na temat braku podstawy do zwolnienia, dobrej oceny oraz drobnej podwyżki, o którą nie dalej jak przed miesiącem sam dla Joanny wnioskował. Potem bredziła o kosztach związanych ze znalezieniem

zastępstwa, wydatkach, jakie ponieśli na odpowiednie przeszkolenie dziewczyny, w końcu również o istotnym znaczeniu feedbacku. Jej wywód go niecierpliwił i utwierdzał w już podjętej decyzji. Śmiała sugerować, że nie potrafił zarządzać zespołem? Że powinien więcej czasu inwestować w relacje z podwładną? A może jeszcze ją niańczyć? Zakładać plasterki na palce, czesać włosy i upewniać, czy dobrze się czuła? Jasne! Już się rozpędzał!

– Załatw to. Proszę. – Wypowiedział ostatnie słowo z dwuznacznym naciskiem, mając nadzieję, że Potocka zrozumie, że nie pytał jej w tej chwili o zdanie. – Jeśli uznasz to za konieczne, to dorzuć jej miesiąc odprawy. Jutro nie chcę widzieć jej w biurze.

Zakończył rozmowę, zanim Pola zdołała cokolwiek powiedzieć, i uspokojony połączył się z praktykantką.

– Asiu – jego głos był teraz miękki i miły – czy mogłabyś do mnie zajrzeć? Nie poradzę sobie bez ciebie.

Dziewczyna przytaknęła skwapliwie, a on przez ułamek sekundy czuł się jak prawdziwa kanalia. Kazał ją zwolnić z powodu zerwanego paznokcia? Jak mógł być aż taki bezwzględny? Nawet stres, który dzisiaj odczuwał, nie uzasadniał tej reakcji. Pokręcił głową, zde gustowany swoją postawą, i ponownie sięgnął po notes. Chwycił go ostrożnie za grzbiet i przyciągnął po blacie, po czym, podważając kartki ołówkiem, spróbował raz jeszcze otworzyć. Bez skutku. Nasączone krwią strony skleiły się i nie pozwalały się łatwo rozerwać. Musiałby dotknąć zeszytu rękami.

Poczuł, że robi mu się niedobrze. Nie z powodu podłości, która popchnęła go przed momentem do wydania na dziewczynę wyroku, lecz na myśl, że za chwilę miała się tu zjawić ponownie. Że krwawiącymi palcami będzie dotykać klamki, że nieuchronnie zbliży się potem do biurka, że sięgnie mu przed nosem po zeszyt i może nawet oprze się niechcący na blacie. Że będzie rozchlapywać w jego gabinecie krople krwi i zawarte w nich z pewnością zarazki. Że swym żalonym, łamiącym się głosem zacznie referować notatki, dowodząc swym przerażeniem, jak bardzo się mylił, gdy przed pół rokiem zatrudnił ją u siebie na stażu.

Odwrócił się na fotelu tyłem do wejścia, nie mogąc znieść myśli, że raz jeszcze ją dzisiaj zobaczy. Skupił wzrok na rozciągającym się za oknem widoku i gdy zapukała do drzwi, nie odwracając się w jej stronę, machnął przez szybę, by weszła.

Pola

Wysiadła z taksówki i kilkoma miarowymi krokami dotarła do bramy z grubych żelaznych prętów, która oddzielała podwórko kamienicy od snujących się po trotuarze przechodniów. Zerknęła za siebie i upewniwszy się, że żaden okoliczny pijaczek nie postanowił przekraść się za ogrodzenie, otworzyła furtkę wielkim mosiężnym kluczem. Weszła w studzienną przestrzeń podwórza, rzuciła okiem na stare pokruszone cegły na ścianach, wykrzywione wilgocią, pozbawione farby framugi okien oraz stojącą na środku patio figurę Madonny. Uwielbiała to miejsce. Z całym jego zapuszczeniem i brudem, ze snującym się po kątach fetorem kocich odchodów, skisłego mleka oraz niedomytych staruszek. Wielokrotnie rozważała wyprowadzkę z kamienicy, ale ostatecznie zawsze decydowała się zostać. W konfrontacji ze sterylną przewidywalnością nowoczesnych bloków ten budynek – zamiast tracić swój urok – zyskiwał coraz bardziej w jej oczach. Tajemnicą i historią, którą wyczuwała dokoła. Zaszytymi w tych murach wspomnieniami osób, które trwały w ruderze, nie potrafiąc – podobnie jak ona – wyobrazić sobie życia gdzie indziej.

Pokonała kilka stopni, otworzyła drzwi prowadzące do klatki schodowej i nie siląc się na włączenie światła, wymacała dłonią przycisk. Gdy rozblęsnął, przysunęła się do metalowej kraty i patrzyła, jak potężna winda sunie ku niej powoli, poprzedzana przez wiszące pod podłogą kable. Nigdzie indziej nie widziała czegoś takiego. Nawet w loftach Dzielnicy Masarskiej. Trudno nawet było uznać to dziwactwo za windę. Raczej za zrobiony przez domorosłego konstruktora osobliwy wyciąg dla zwierząt. Podwieszoną na łańcuchach klatkę. Coś, co w świetle poranka każdy by uznał za makabryczną skrzynię do tortur.

Drzwi otworzyły się automatycznie, a ona po raz tysięczny zachwyciła się tym majestatycznym ruchem. I faktem, że inżynier, który stworzył ten przedziwny podnośnik, opanował swe rzemiosło w stopniu pozwalającym na automatyzm i niezawodność. Ile lat temu zamontował tutaj to чудо? Sto? Sto pięćdziesiąt? Nigdy nie była dobra z historii. Nie pamiętała nie tylko, kiedy skonstruowano pierwszą poruszaną silnikiem windę, ale nawet od kiedy cywilizacja cieszyła się prądem płynącym w przewodach. Czy miało to zresztą znaczenie? To właśnie dzięki tej niewiedzy mechanizm wyciągu wydawał się taki niezwykły. Ignorancja dawała jej prawo sądzić, że ma do czynienia z magiczną siłą, która unosi ją ponad ziemię nie dzięki płynącemu kablem elektronom, lecz geniuszowi nieznanego człowieka. Zaśmiała się do siebie rozbawiona własną niepoprawną romantycznością. Brakowało już tylko wrzosowisk, silnych wichrów i namiętności Heathcliffa.

Jej śmiech uniósł się w szybie windy i odbity od ścian wrócił do niej,

przebijając się przez metaliczny szczepek łańcuchów oraz skrzywienie lin. Nie brzmiał teraz jak perlisty chichot naiwnego dziewczątka, lecz niczym zawodzące jęki upióra. Wzdrygnęła się. Wyobraźnia znowu płatała jej figle. Powinna ją trzymać na wodzy, zanim znów zacznie sądzić, że ten dom jest ożywioną, myślącą istotą. Organizmem, który obserwuje mieszkańców i próbuje im zdradzać swoje mroczne sekrety. Żadnej tajemnicy nie było. Tylko stara, obłożona z farby klatka schodowa o skrzypiących i przeżartych przez korniki stopniach, małe okna z wypaczoną od wilgoci stolarką, metalowy boks podwieszony na linach i ona. Nic ponadto.

Potrząsnęła głową i gdy winda zatrzymała się na najwyższym piętrze, wysiadła. Padające z okna światło było tu znacznie jaśniejsze niż na parterze. Nieograniczone przez mury sąsiednich kamienic spływało po ich dachach do środka, rozświetlając korytarz i ujawniając płyty tynku, które odłaziły od ściany. Tajemnicy rzeczywiście nie było – tylko zapuszczona obskurność rudery.

Wsunęła klucz do zamka, przekręciła go i z ulgą weszła do środka. Odwiesiła wielką torebkę z miękkiej skóry na wieszak, zdjęła z nóg sztyblety i powoli przeszła do sypialni. Pomieszczenia ustawiono w amfiladę. Był tu salon z pomalowanymi na czerwono ceglami, przywiezionymi z Maroka orientальnymi lampami oraz wypełnioną stosem haftowanych poduszek pluszową sofą w amarantowym kolorze, ciemnofioletowa jadalnia z dużym ciężkim stołem, który służył jej za biurko, i stojącą w narożniku linią szafek mikroskopijnego aneksu kuchennego, w końcu dodatkowy pokój, który nie miał funkcji i wyposażony został w zestaw zakupionych na pchlim targu komód, zbieraninę tapicerowanych krzeseł, dwa fotele, mały stolik oraz kanapę. Wszystko utrzymane było w gamie mocnych orientalnych barw. Identycznych jak te na pokrywających podłogę arabskich dywanach i wysyconych aksamitnych zasłonach. Tylko sypialnia była nieco jaśniejsza. Jej ściany pomalowane zostały na brudną żółć, z którą kontrastowały turkusowe ramy luster oraz pozłacane obramowania obrazów. Ustawiona na wprost okna toaletka obwieszona była koralami, łańcuszkami i wstążkami, a na jej blacie stało kilka kryształowych, wypełnionych biżuterią popielniczek, flakon z zaszuszoną białą różą oraz dwie butelki perfum. Łóżko metalowe, z giętą ramą o złożonych gałkach, czarnych prętach i wykutych ręcznie zdobieniach, które przypominały zebrane w kiście kwiaty. A może liście? Ciągle jeszcze nie była pewna.

Wyrównała dłonią pokrywającą pościel aksamitną narzutę, podeszła do komody i zapaliła stojące tam świece. Odczekała na moment, aż rozedrgany blask wypełni pokój, po czym przeszła do łazienki. Zdjęła z siebie cienki szary golf, sięgającą kostek spódnicę oraz jedwabną halkę, którą miała pod spodem. Nie zerkając w lustro, ruszyła w stronę wanny, odkręciła kurek i skontrolowała dłonią temperaturę wody, wcisnęła czarny gumowy korek do odpływu. Przez moment przyglądała się, jak woda zaczyna gromadzić się na dnie. Jej kolor był

lekko żółtawy, zabarwiony rdzą osiadła na rurach. Przełamała go czerwienią płynu do kąpielii i wróciła do sypialni. Potrzebowała świec, muzyki, zapachu kadzidełek, pudełka czekoladek i wytrawnego wina. Czerwonego. Pasującego do gorzkiej czekolady i burgundowych ścian łazienki. Potrzebowała również czasu. Kilku godzin na uporanie się ze spychaną przez cały dzień na dalszy plan wiadomością. Z przekazaną przez zakrwawione majtki informacją, że znów jej się nie udało.

Nie teraz. Jeszcze nie teraz. Pomyśli o tym dopiero po pierwszym łyku wina. Z rozplływającą się po języku słodyczą nugatowego nadzienia. W otoczeniu świec i piżmowego zapachu. Gdy miękki głos Stinga będzie już mruczał w tle. Jeszcze nie teraz.

Pozbierała na tacę niezbędne do tłumienia nieszczęścia akcesoria i podtrzymując ją jedną ręką, wróciła do łazienki, włączając po drodze odtwarzacz. *Songs from the Labyrinth*? Bo raczej nie *Brand New Day*. Poczula, że jej twarz wykrzywia się w płaczącym grymasie, i ponownie skarciła się w myślach. Jeszcze nie teraz. Jeszcze chwila. Wciąż jeszcze miała coś zrobić.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i rozluźniła mięśnie policzków. Zadziało. Doznanie dojmującej pustki minęło, a ona znowu mogła się skupić na ustawianiu na podłodze świec, zapalaniu kadzidła, otwarciu wina i wypełnieniu czerwonym napojem ciętego z kryształu kieliszka. Na postawieniu go w towarzystwie pudełka czekoladek na małym stoliku przy wannie, zdjęciu bielizny i wyciągnięciu z siebie tamponu. Na odsunięciu włosów od twarzy i podtrzymaniu ich w górze miękką bawełnianą opaską. Starciu wacikiem makijażu oraz przyjrzeniu się w lustrze pozbawionej koloru twarzy. Czy to wszystko? Rozejrzała się dookoła z wahaniem. Pokusa, by odsunąć od siebie nieuniknioną chwilę, kiedy będzie musiała się zmierzyć z myślami, była ogromna, ale nie potrafiła wymyślić żadnej dodatkowej czynności, która mogłaby opóźnić konfrontację. Tak jakby nic więcej nie pozostawało już do zrobienia. Jakby całe jej życie wyczerpało się, a jej pozostało tylko zanurzenie się w wodzie i w myślach.

Zrezygnowana zakręciła kurek i wsunęła się ostrożnie do wanny. Potężne narośla piany pokryły całkowicie jej ciało. Nogi, brzuch, piersi – wszystko zniknęło. Pozostały wyłącznie szyja i głowa. Zacisnęła powieki i pozwoliła, aby szloch wyrwał jej się z krtani. Rozpaczliwy niczym płacz dziecka.

To było jej czwarte *in vitro*. Znów nieudane. Znowu zakończone porażką. Dlaczego? Była przecież młoda, wysportowana i zdrowa. Poza dniami, kiedy zaczynał się okres, nawet nie piła wina. Nie paliła, nie stosowała tabletek przeciwbólowych, jadła wyłącznie ekologiczną żywność... Dlaczego zatem?

Obie jej siostry miały dzieci. Starsza trójkę, młodsza bliźnięta. Żadna z nich dwóch nigdy nie miała problemów z zajściem w ciążę. Wystarczało, że przestawały stosować zabezpieczenia, a rok później zostawały szczęśliwymi matkami. Nie tak jak ona. Walcząca o dziecko w klinikach, czekająca na moment, gdy na teście

ciążowym pojawią się upragnione dwie kreski, odliczająca z nadzieją dni pozostałe do kolejnych okresów. Chciała tego dziecka najbardziej na świecie. Jak żadna inna kobieta. Dlaczego nie mogła go dostać? Dlaczego los ciągle poddawał ją próbie?

Łzy płynęły jej po twarzy i nosem, ściekały po podbródku i szyi, łączyły się z ciepłą wodą kąpieli, jakby miały zamiar przelać za moment czarę. Wystąpić z brzegów wanny, zalać łazienkę, a potem całe mieszkanie, spłynąć schodami przez wszystkie dzielące ją od parteru kondygnacje i zacząć wypełniać sobą studnię podwórka aż do momentu, gdy cała kamienica znalazłaby się pod wodą.

Miała trzydzieści pięć lat. Ostatnie cztery przeżyła opętana myślą o dziecku. Tak, opętana. Nie potrafiła nazwać tego inaczej. To pragnienie było silniejsze niż cokolwiek innego. Nie było marzeniem, ale obsesją. Budziło ją rano i sprawiało, że nie mogła zasnąć wieczorem. Dopadało ją w pracy, na zakupach i spotkaniach rodzinnych. Podążało za nią wszędzie. Krążyło po parku, kiedy wychodziła pobiegać, czekało w kawiarniach, gdy zdarzało jej się umawiać na randki, wychylało łeb spośród półek sklepowych. Ostatnio nawet zdołało się przekraść do urzędzonego tradycyjnie gabinetu Rafała. Tusza mówił coś do niej, a ona widziała je ponad jego ramieniem. Uśmiechnięte frywolnie i wykonujące w jej stronę obsceniczne gesty, które miały sugerować, że powinna przespać się z szefem. Odpędziła je wówczas, ale powróciło na kolejnym spotkaniu. Siedziało rozparte przy stole konferencyjnym i pokazywało palcem na kolejnych kolegów. Może Piotr – zamknięty w sobie seksowny dyrektor produkcji? Z szeroką klatką piersiową, pięknie sklepioną, ogoloną na łyso czaszką oraz pociągającymi męskimi rysami? A może Paweł? Czerdziestopięcioletni zażywny mężczyzna, który udowodnił już, że potrafi być ojcem dwójki dobrze ułożonych chłopaczków? Gdyby miała z nim dziecko, z pewnością miałoby piękne blond włosy, urocze piegi i jasny błękit spojrzenia. Podobny do tego, jaki mieli Doktorowicz i ona. Odwróciła wzrok, lecz pragnienie się natychmiast przesiadło. Tkwiło teraz pomiędzy Danielem Malickim a Marcinem Urbańskim, robiąc głupie miny i cicho chichocząc pod nosem. Nie rozważała chyba geja ani tego nerwowego, pobladłego kolesia? Nie, zdecydowanie nie powinna zaniżać standardów. Nie była aż tak zrozpaczona. Jeśli już miała wybierać, to zdecydowanie i wyłącznie Rafała. On zapewniłby dziecku dobrą szkołę, jazdę konną, balet, tenis i narty. Lekcje francuskiego, Eton, Oksford, dobry start, zacy spadek. Znajomości, kręgi i szanse. Był za stary? Bzdura! Pięćdziesiątka to jeszcze nie wyrok. Nadal mógł zostać ojcem. Może nawet lepiej, że statecznym i bardziej dojrzałym? Ostatecznie niech rozważy Piotra. Był mrukliwy, i owszem, ale przecież to po niej dziecko odziedziczyłoby temperament. Po obojgu zaś byłoby piękne. Wystarczyłoby, żeby zaciągnęła go kilka razy do łóżka. Miał opinię kobieciarza, więc z pewnością nie musiałaby się starać zbyt długo. Może nawet była w jego typie? Eteryzna, smukła blondynka. Właścicielka długich nóg, jędrnych piersi i delikatnej skóry na brzuchu. Tak, to

miało szansę się udać...

Łzy przestały płynąć, a ona wynurzyła się spod wody i ociekającą ręką pochwyliła stojący tuż przy wannie kieliszek. To nie mogło dłużej trwać! Zamiast leczyć bezpłodność, powinna wykurować swą głowę. Zanim jej obsesja stanie się dla wszystkich widoczna, a Tusza zauważy jej spojrzenia i odczyta w nich to, co tak trudno było jej ukrywać: desperację, gotowość przespania się z niemal każdym mężczyzną. Również z nim. Kalkulacyjne łakomstwo, którego nie potrafiła poskromić, gdy przesuwała wzrokiem po męskich pośladkach, ramionach i klatkach piersiowych. Gdyby to zauważył, byłaby niechybnie zgubiona. Zwolniłby ją. Nie, nie zwolnił. Raczej wykorzystał. Trzymał w biurze i korzystał z przewagi, jaką dawałaby wiedza. Szantażowałby ją emocjonalnie coraz mniej zawołanymi sugestiami, uwagami na temat życia rodzinnego, rozmnażania oraz potomstwa, tak bardzo uwielbianymi przez niego parabolami, w których porównywałby ją do inseminowanych strzykawką macior lub niezdolnych do rozrodu świń, nadających się wyłącznie na ubój. Przetykałaby jego żarty, udając, że nie pojmuje ich jednoznacznego kontekstu, a on posuwałby się do coraz wulgarniejszych i bardziej upokarzających metafor. W końcu zacząłby mówić bez ogródek. Dzielić jej prywatność ze wszystkimi. Rozsiewałby plotki, komentował na głos rozdrażnienie, dopytywał na spotkaniach, czy niedociągnięcia w prezentacjach są wynikiem menstruacji... Tak, był zdolny do tego wszystkiego. Zaprawiony w bojach i wyćwiczony na innych. Niejednokrotnie obserwowała, jak osaczał swoje ofiary, zaczynając od pozornie niemających z nimi związku dowcipów i płynnie przechodząc do publicznych upokorzeń. Dokładnie tak, jak robił w tej chwili z Urbańskim, naigrawając się z jego wieku, rzekomej niekompetencji i narastających z każdym dniem bólów pleców. Wiedział dokładnie, że stan Marcina jest wynikiem stosowanych przez niego docinek, lecz każdego dnia nadal testował granice. Jakby chciał się przekonać, kiedy w Urbańskim coś pęknie. Kiedy walnie pięścią w stół, da mu w pysk albo wyjdzie. A może się w końcu powiesi? Im dłużej to trwało, tym bardziej się stawał bezwzględny. Tak jakby przedłużająca się nadmiernie agonია Marcina działała mu na nerwy i prowokowała do kolejnych przytyków. Tak jakby chciał, by Urbański w końcu się poddał. Gardził nim z powodu jego słabości, a równocześnie nie potrafił znieść myśli, że Marcin jest silniejszy, niż z początku założył. Że nadal trwał. Nadłamanym, ale wciąż jeszcze żywym.

Z nią zrobiłby dokładnie to samo. Przez krótki czas bawiłoby go, że spogląda na niego łakomie. Myśl, że rozważała pójście z nim do łóżka, przyprawiała go o rozkosz, łechtała przerośnięte ego, stanowiąc kolejny dowód jego niezwykłości. Z czasem jednak uznałby ją za naturalną kolej rzeczy, oczywistą konsekwencję swojej siły oraz męskości. Może nawet zacząłby oczekiwać, że Barbara i Lena też go będą pożądać? Może raz odkryta przyjemność stałaby się nowym nałogiem?

Pociągnęła długi łyk wina, przytrzymała go w ustach, po czym sięgnęła po leżące obok czekoladki. Wyciągnęła pierwszą z brzegu. Ciemną, udekorowaną z wierzchu czerwonymi kawałkami pieprzu. Pasującą do nastroju. Myśl o dziecku odpłynęła. Teraz gorczy, którą czuła, miała męskie rysy twarzy – pełne usta, spory nos, naciągniętą kolagenem skórę na policzkach. Uśmiechała się z zadowoleniem niczym sadystyczny klawisz albo kapo w obozie koncentracyjnym.

Może popadała w paranoję? Przecież gdyby wiedział o *in vitro*, to z pewnością już by się zdradził. Była pewna, że od razu chciałby skosztować sensację. Szedłby za nią jak hiena, porzuciwszy stary ochłap, jakim był Urbański, na nią przenosząc całe swoje zainteresowanie. A może zostawiał to sobie na lepszy moment? Może trzymał tego asa w rękawie i czekał na jej nieuchronne potknięcie? Może zamierzał wykorzystać je nie tylko przeciw niej, ale także przeciw komuś jeszcze? Może dostrzegł jej spojrzenia i tylko wypatrywał momentu, gdy uśmiechnie się zbyt frywolnie do Leszczyńskiego, zerknie na jego pośladki, przytrzyma zbyt długo w uścisku dłoni przedstawianego jej właśnie mężczyzny? Może liczył na to, że zamiast kierować się kompetencjami, zacznie zatrudniać pracowników według klucza płci, wyglądu czy stanu cywilnego? Że każdy nowy kandydat do pracy będzie dla niej równoczesnym pretendentem do roli ojca jej dziecka? Może właśnie dlatego zaczął ostatnio sugerować, że nie powinni zatrudniać aż tylu kobiet? Wzięła jego stwierdzenie za przejaw mizoginizmu, ale równie dobrze mogła to być przemyślana przygrywka. Uwertura do szykowanego właśnie spektaklu, w którym to ona miałaby śpiewać histerycznym i cienkim głosem...

Wystarczy! Nie zamierzała dłużej o tym myśleć! Nie, kiedy leżała w wannie, otoczona słodkim zapachem wypalającego się powoli kadzidła, rozedrganym blaskiem świec oraz pianą. Nie w czasie, który należał wyłącznie do niej. Jeśli już miała się teraz dołować, to jedynie prywatnymi sprawami. Miejsce pracy było w biurze. Pośród pozbawionych lekkości mebli w gabinecie Rafała, przy ustawionych w salach konferencyjnych wielkich stołach z ciemnego drewna, na wyłożonych wykładziną korytarzach oraz wstrętnych, stojących w holu kanapach z czarnej skóry.

Wzdrygnęła się na wspomnienie przytłaczającego wystroju biura, który aż nadto oddawał gust właściciela, i przeczuwając, że nie uda jej się odwrócić biegu myśli, gwałtownie poderwała się z wanny. Musiała wyjść. Zaraz! Natychmiast! Na spacer, do kawiarni lub otwartego do późna sklepiku na rogu. Zrobić cokolwiek, co pozwoliłoby zatrzeć powracającą wizję tracącego jędrność podbródka, rozpiętego kołnierzyka koszuli, wypełzających na szyję włosów i małych, podążających za nią oczu, których czujne spojrzenie odbierało jej odwagę i rezon. To nie budynek obserwował jej ruchy i próbował zdominować jej umysł. To nie w tych murach czaiła się groza, która sprawiała, że jej śmiech brzmiał niczym wycie upiора.

Zmora mieszkała gdzie indziej.

Barbara

Weszła do mieszkania i krzyknęła na powitanie do syna, ale w środku panowała kompletna cisza. Brak odpowiedzi zaniepokoił ją, rzuciła więc torbę na podłogę i nie zdejmując butów, ruszyła pospiesznie korytarzem, rozglądając się dookoła i usiłując odgadnąć, jaki był powód milczenia. Nie znalazła Michała w kuchni, gdzie lubił czasami odrabiać zadania domowe albo gapić się w ekran iPada. Na stole nie było zeszytów, książek ani nawet pustego talerza po zjedzonej naprędce kanapce. Poszła dalej, otwierając kolejne drzwi i wykrzykując jego imię, ale wciąż nie słyszała najmniejszego nawet szelestu. Rozedrgana dotarła w końcu do jego pokoju i, nie pukając, nacisnęła na klamkę. Drzwi otworzyły się wolno, a w szparze dostrzegła leżącą na łóżku sylwetkę. Oczy syna były zamknięte, a jego dłoń drgała w miarowych podrygach, wystukując w pościeli rytm ulubionej piosenki. Dopiero teraz usłyszała delikatny szmer, który dochodził z wetkniętych w uszy Michała słuchawek. Odetchnęła z ulgą, uśmiechnęła się i wycofała dyskretnie, mając nadzieję, że szcęk klamki nie przebijie się przez ustawioną zbyt głośno muzykę. Miał blisko piętnaście lat i wchodzenie do swojego pokoju bez pukania traktował na równi z przestępstwem. Jej ustawiczna obawa i troska wprawiały go w zakłopotanie. W każdym razie ona wolała tak myśleć. Gdy denerwował się jej nadskakującą czułością, kładła to na karb dojrzewania, a nie własnej nadmiernej opiekuńczości. Jako matka była całkowicie normalna. Nie różniła się niczym od innych.

Syn był jej największym sukcesem oraz główną przyczyną, dla której się jeszcze starała. Każda wykonywana przez nią czynność podyktowana była jednym, jedynym dążeniem: by zapewnić mu wszystko, czego tylko zapragnął. Oraz to, co sama uznawała za ważne – najlepszą prywatną szkołę, lekcje squasha i zimowe obozy narciarskie. Korepetycje, zagraniczne wakacje oraz wszelkie gadżety niezbędne chłopcom do szczęścia. Przedmioty, bez których nie potrafił się obyć i które stanowiły przepustkę do grona najbardziej uprzywilejowanej młodzieży. Bez nich byłby poza nawiasem i w końcu straciłby rezon. Stałby się jednym z tych smętnych, niepewnych siebie dzieciaków, które istniały w świadomości klasowej tylko wtedy, kiedy szkolna elita potrzebowała odpisać zadanie. Nie chciała dla niego tego losu, bo nazbyt przypominałby jej własne ponure dzieciństwo. Okres, w którym marzyła o nowej parze džinsów, krótkiej cekinowej sukience i momencie, gdy koleżanki zaproszą ją w końcu na wspólne nocowanie do siebie.

Tak, była zakompleksioną, smutną dziewczynką, a wypracowane w dzieciństwie poczucie niższości pozostało w niej do tej pory. Chociaż pokonała w końcu ubóstwo, zrobiła karierę i wyglądała teraz lepiej od większości dziewcząt z klasy. Ale gdy spotykała je niekiedy przypadkiem, ciągle jeszcze czuła się

brzydsza i gorsza. Nawet wówczas, gdy patrzyły z zazdrością na jej nowy samochód, zadbaną cerę czy kosztowną designerską torebkę. Nawet gdy zerknęły z zawiścią na Marka i mówiły, że dobrana z nich para, lub pytały, czy nie mogłaby zatrudnić ich mężów. Miała pieniądze, rodzinę, kontakty. W pewnym sensie posiadała też władzę. Suwerenne prawo do podejmowania decyzji, od których zależał byt lub dobrobyt jej podwładnych, a nawet dostawców. Ale zawsze czuła się jak oszustka. Naciągaczka, malwersantka i uzurpatorka. Przebrana w cudzy kostium aktorka drugoplanowa.

Zamknęła ostrożnie drzwi, zdjęła eleganckie buty na szpilkach i na palcach przekradła się z powrotem do kuchni. Odstawiła czólenka przy wyspie kuchennej, umyła ręce nad zlewem i zajrzała do lodówki, by sprawdzić, czy gospoia zostawiła im w chłodziarce kolację. Skinęła głową zadowolona z porządku, który wokół panował, i zawróciła do prywatnej części mieszkania. Weszła do sypialni i zaczęła przebierać się w dres do joggingu. Biurowa czarna sukienka z lejącego ciężkiego jedwabiu zawisała na wieszaku, a ona strzepała zagięcia, które powstały w ciągu dnia na rękawach, wyjęła z szafy pokrowiec i ostrożnie zapakowała kieckę do środka. Z pietyzmem należnym każdej drogiej rzeczy, którą kupowała dla siebie. Opanowana myślą, że nie może dopuścić do tego, by ubrania się zniszczyły przedwcześnie.

Zamknęła szafę i przysiadła na brzegu łóżka, dopiero teraz pozwalając sobie na poddanie się wielkiemu znużeniu. Jej wieczory zawsze wyglądały tak samo: wracała do domu, rozmawiała z mężem i synem, jadła przygotowaną przez gospoie kolację, a potem, siedząc przed ogromnym ledowym ekranem, nagle traciła przytomność. Przystawała śledzić fabułę i zanurzała się w bezmyślnym letargu, który szybko zamieniał się w drzemkę. Ostatnim przebłyskiem świadomości rejestrowała moment, gdy Marek wyjmował z jej dłoni kieliszek. Telewizor migotał w półmroku, a ona oddychała głębiej, zasypiała i budziła się po kilku godzinach, gdy zamiast filmów stacje nadawały już tylko idiotyczne teleturnieje, nocne pasma telezakupów albo dedykowane sfrustrowanym mężczyznom pornosy, których cykl z niezrozumiałych dla niej powodów ktoś postanowił nazwać *Oberżą pod różową pończoszką*. Każdorazowo zastanawiała się nad sensem tego tytułu, bo w żadnej z obejrzanych przypadkiem scen nie dostrzegła niczego, co udawałoby karczmę, a prężące się panie zazwyczaj już nie miały pończoszek. No cóż, widać jej wyobraźnia odstawała od męskiej fantazji. Może dla mężczyzn przekaz był oczywisty? Postanawiała, że rano skonsultuje to z Markiem, po czym zwlekała się wolno z kanapy, naciskała guzik pilota i usiłując nie obudzić rodziny, docierała powoli do łóżka niczym pozbawiony świadomości lunatyk.

Opadła na poduszki i spojrzała ponuro na sufit. Może zamiast tkwić do trzeciej nad ranem przed migającym nerwowo ekranem, powinna pójść do łóżka od

razu? Ostatecznie nie była już młoda. Czterdzieści trzy lata życia i dwadzieścia lat pracy dawały jej prawo do tego, aby się czuła zmęczona. Z każdym dniem coraz bardziej.

Zauważyła, że powieki zaczynają jej ciążyć, i podjęła kolosalny wysiłek, żeby się unieść na łokciu. Nie mogła zasnąć. Nie, zanim mąż nie wróci z pracy, a ona nie poda swym mężczyznom kolacji. Nie, zanim nie upewni się, że dzień minął dobrze im obu, nie uspokoi się pozbawioną wigoru relacją Marka i burkliwym zapewnieniem syna, że w szkole wszystko było w porządku. Nie, zanim nie doczeka wieczornego maila od Leny i nie poprawi tej cholernej prognozy.

Przetarła oczy, spuściła nogi z łóżka i z ociąganiem zaczęła się na nim prostować. Za kilka godzin znowu będzie się mogła położyć. Skupi wzrok na niekończących się sznurach liczb w nabrzmiętym danymi pliku Excela i poprawi w nim kilka komórek. Jeszcze tylko odgrzeje kolację, uśmiechnie się kilkakrotnie, zada typowe dla żony i matki pytania, zbierze talerze ze stołu, włoży je do zmywarki, przetrze blat i pozwoli, żeby Marek zaproponował jej film, którego nie będzie w stanie obejrzeć. A potem usiądzie na sofie, zaopatrzona przez męża w kieliszek koniaku, położy stopy na jego udach i zapadnie się w miękkość poduszek. Przez kilka minut będzie się przyglądać twarzom aktorów i usiłować skupić uwagę na wypowiedzianych przez nich kwestiach oraz rozwijającej się zbyt szybko intrydze. W końcu przymknie powieki. Odizoluje się od ekranu na ułamek sekundy, który – gdy je ponownie uniesie – okaże się dłuższy, niż z początku sądziła. Nawet film będzie już inny, ale ona wciąż jeszcze będzie próbowała zrozumieć poprzednią fabułę. Nie przyzna się do drzemki, nie spyta Marka, co się wydarzyło ani kim są wyświetlane na ekranie postacie. Napnie skórę na czole, wysili zmysły, podejmie próbę powiązania wątków w scenariusz. Bez skutku. Po minucie jej oczy znowu się zamkną, a docierające do uszu dźwięki stracą klarowność. Staną się szumem. Pozbawionym treści szelestem, którego miarowość pozwoli jej zasnąć. Tym razem już mocno.

Nawet gdyby nie była zmęczona, myśli o przebiegu wieczoru mogłyby ją wyczerpać. Stawała się senna na samo wyobrażenie tego, co ją jeszcze dzisiaj czekało. Tak jakby tok jej życia wzbudzał w niej wyłącznie znużenie. Jej dawne koleżanki miały rację: zdobyła wszystko, czego one pragnęły. Lecz jakim kosztem? Czy któraś z tych kobiet zastanawiała się kiedyś, ile wysiłku stało za pożądaną przez nie wszystkie torebką? Czy potrafiły zsumować minuty, które spędziła za biurkiem, by dochrapać się tego wszystkiego? Po odjęciu czasu na zwolnienia, urlopy i święta dwadzieścia lat pracy oznaczało dwa miliony trzysta siedemdziesiąt sześć tysięcy minut, które poświęciła, żeby zyskać to wszystko. Owszem, przeliczyła to kiedyś. Leżąc na łóżku i żałując wszystkich dokonanych wyborów.

– Basiu? – głos męża wyrwał ją z zamyślenia.

– Nie słyszałam, kiedy wróciłeś. – Przekręciła się powoli w jego stronę. – Przebierz się, przygotowuję kolację.

Ominęła go wzrokiem i opuściwszy głowę, ruszyła do wyjścia z sypialni. Nie mogła teraz wymienić z nim spojrzeń i pozwolić, by dostrzegł w jej oczach cień tego, o czym przed momentem myślała. Rozżalenie nad straconą bezpowrotnie młodością oraz bezsens, jaki odczuwała, oceniając swe życie. Nie rozpacz, wściekłość czy desperację, lecz zwykle pozbawione sensu znużenie. Beznadzieję. Marazm. Nieunikniony żal po zmarnowanych minutach. Tęsknotę za snem i niebytem. Znudzenie własnym życiem. Ociężałość, rezygnację, apatię.

– Basiu... – jego głos zatrzymał ją w progu i sprawił, że podniosła wzrok.

Dlaczego brzmiał tak poważnie i smutno? Dlaczego wyczuwała obawę? Był zmęczony? A może kryło się za tym coś więcej? Może próbował jej właśnie coś wyznać? Powiedzieć, że zamierzał ją zostawić dla młodszej?

Odwróciła się gwałtownie na pięcie i nie opuszczając już teraz spojrzenia, zastygła w oczekiwaniu. Co było tak ważne, że nie mógł z tym poczekać do jutra albo chociaż do ich wspólnej kolacji przy stole? Nie chciał o tym mówić przy synu?

– Zdradzasz mnie? – Własny głos wydał jej się jeszcze bardziej zmęczony niż wcześniej.

– Usiądź.

– Chcesz rozwodu?

– Usiądź, proszę.

– Nie przewrócę się. – Cień uśmiechu napiął jej na moment policzki. – To nie będzie szokująca wiadomość.

Skupiła wzrok na jego twarzy i uśmiechnęła się jeszcze szerzej do wspomnień. Był niezwykle przystojnym mężczyzną i niewiele się zmienił od ślubu. Miał co prawda kilka zmarszczek na czole, pierwsze siwe włosy na skroniach i zaokrągloną w pasie sylwetkę, ale nadal przypominał tego energetycznego, wesołego faceta, który kiedyś tak zawrócił jej w głowie. Pamiętała dokładnie pierwszą randkę, na którą ją zabrał do parku. Chwilę, kiedy stał przed ołtarzem i wsuwał jej na palec obrączkę. Moment, w którym ścisnął jej dłoń, gdy krzyczała z bólu porażona skurczami porodu. Każdy wieczór, kiedy z troską wyjmował jej z ręki kieliszek. Wszystkie utrwalone na zdjęciach, warte zapamiętania sekundy, urodziny, święta, wakacje. Rzadkie, wyrwane pracy dni, które mieli wyłącznie dla siebie. Teraz nawet tego nie będzie.

– Zwolnili mnie z pracy.

Otrząsnęła się i spojrzała na niego zdziwiona. Więc nie chodziło o zdradę? Była przekonana, że tak. Tylko taka wiadomość mogła być powodem, dla którego kazał jej usiąść.

– Basiu!

Podszedł do niej, chwycił jej stężałe od szoku ramiona i potrząsnął nią mocno, zmuszając, by zareagowała jakoś na wiadomość, którą jej właśnie przekazał.

– Zwolnili mnie, słyszysz?!

– Tak, kochanie. Słyszę. Zwolnili cię – przytaknęła, przełknęła z trudem ślinę i uśmiechnęła się z wyraźnym wysiłkiem.

– Nie zamierzasz nic mi powiedzieć?!

– Przebierz się. Umyj ręce. Pójdę przygotować kolację.

Wyslizgnęła się z uścisku i oparła o framugę zaskoczona przepelniającym ją nagle uczuciem. Zazdrościła mu. Nie upokorzenia, jakim bez wątpienia mogło być bezrobocie, nie tej chwili, kiedy szef położył przed nim kartkę z wypowiedzeniem i zażądał, aby pokwitował przyjęcie, nie wrzuconych w karton zdjęć rodzinnych, które zgarnął jednym gestem z biurka, pełnych współczucia spojrzeń kolegów czy świadomości, że znów będzie musiał się starać o pracę. Zazdrościła mu wolnego czasu. Poniedziałków, w które ona będzie walczyć z wywołanym stresem bólem brzucha, a on będzie wylegiwał się w łóżku. Perspektywy wolnych od pośpiechu poranków, nieograniczonych czasem spacerów, leniwego przesiadywania na tarasie. Kawy, którą będzie mógł saczyć w kawiarniach, pochylony nad płachtą gazety lub zagapiony na idących ulicą przechodniów. Zmian pogody, które zacznie dostrzegać, i kolejnych pór roku, które nie umkną już jego uwagi. Rozmów z przyjaciółmi, majsterkowania w garażu, a nawet samodzielnego sprzątnięcia. Wizyt u rodziców i możliwości spędzenia czasu z Michałem. Samotnego chodzenia do kina. Może sportu, który zacznie uprawiać. Czasu.

– Zazdroszczę ci – wyznała wbrew sobie.

– Wiem.

Jego słowa uderzyły w nią niczym obuch i sprawiły, że zatoczyła się w miejscu. Zatem wiedział. Nie musiała spuszczać oczu i uciekać przed rozmową do kuchni. Nie musiała dłużej udawać. Rozumiał ją i to jej się tak bardzo obawiał. Przewidywał reakcję. Całkowity brak empatii i zawiść. Wściekłość, która ją ogarnie, kiedy budzik zabrzmi głośnym dźwiękiem, a on będzie go mógł zignorować. Tak, miał rację. Romans czy nawet rozstanie byłoby łatwiej jej przełknąć, bo o ile zdrada pozbawiłaby ją męża, o tyle jego bezrobocie odbierało jej towarzysza. Czyniło z niej jedyne osła w rodzinie. Samotnego w swym codziennym kieracie.

Piotr

Usiadł na kanapie przed telewizorem i wyciągnął nogi przed siebie. Na ekranie migotała sylwetka Jasona Stathama, który biegł ulicą pośród dźwięku wystrzałów. Co to był za film? *Szybcy i wściekli?* *Transporter?* *Adrenalina?* A może *Angielska robota?* Uśmiechnął się pod nosem na myśl, że Statham zawsze grał identycznie. Z tym samym spiętym wyrazem twarzy, który miał sugerować, że był absolutnym, pozbawionym strachu twardzielem. Wiele osób mówiło mu, że bardzo przypomina Jasona, a on z czasem nawet zaczął im wierzyć. Zwłaszcza po tym, jak ogolił głowę na łyso. Wtedy rzeczywiście stał się do niego podobny. Miał głęboko osadzone oczy, równie prosty jak tamten nos, identyczną linię podbródka. Nawet dołek w brodzie przypominał ten u Stathama. Gdy wkładał ciemne okulary, podobieństwo stawało się na tyle uderzające, że zdarzało mu się być proszonym o autograf. Niekiedy nawet, w ramach żartu, podpisywał się na podsuwanych mu entuzjastycznie notesach.

Oderwał wzrok od ekranu i sięgnął po leżącą tuż obok komórkę. Dźwięk, który z siebie wydała, wskazywał wyraźnie, że otrzymał nowy mail. Otworzył skrzynkę pocztową w nadziei, że Malicki wysłał w końcu poprawioną część swojej prognozy. Było już grubo po szóstej, a Lena musiała jeszcze oszacować wielkość sprzedaży. Bez tego ani on, ani Baśka nie mieli szansy ruszyć ze swoją robotą. Zerknął na ekran i zirytowany odrzucił telefon od siebie.

– Kurwa mać! – warknął pod nosem, po czym podniósł się z fotela i przeszedł w kierunku lodówki.

W skrzynce zamiast terminarza pojawiła się wiadomość od Agaty, rozpoczynająca się od słów: „W nawiązaniu do ustaleń z Rafałem...”. To zdecydowanie nie wróżyło niczego dobrego. Kiedy asystentka Tuszy wysyłała takie maile, należało się nastawić na drakę.

Wyjął puszkę piwa, pociągnął głębszy łyk, po czym powlókł się z powrotem na sofę. Kątem oka zerknął na rozgrywającą się na ekranie telewizora fabułę, ale wciąż nie był w stanie odgadnąć, który film właściwie ogląda. Zniechęcony sięgnął po iPhone'a i przejechał po nim palcem, odświeżając zawartość folderu. Nadal nic. Popatrzył z niepokojem na nagłówek ostatniej wiadomości i westchnąwszy, lekko trącił go palcem. Ekran zamigotał i wyświetlił pełną treść złowróżbnego maila:

*W nawiązaniu do ustaleń z Rafałem rezerwuję w Waszych kalendarzach przyszły tydzień na zaplanowany w dniu dzisiejszym wyjazd integracyjny. Z uwagi na wysoką wagę tego spotkania obecność na nim jest **OBOWIĄZKOWA**. Szczegóły otrzymacie pod koniec tygodnia.*

Unióśł brwi, po czym zerknął na ekran raz jeszcze. Obowiązkowa obecność oraz termin wyjazdu świadczyły aż nadto dobitnie, że integracja nie była pomysłem

Potockiej. Gdyby rzeczywiście tak było, gdyby ta koncepcja autentycznie zrodziła się dzisiaj, Agata nie zdołałaby jeszcze niczego zorganizować. Znalezienie odpowiedniego miejsca, ustalenie z hotelem terminu, opracowanie agendy oraz uzgodnienie wszystkiego z Rafałem? Najlepsza sekretarka potrzebowałaby na to minimum tygodnia. A Agata zdecydowanie nie była najlepsza.

Uśmiechnął się do myśli, że po raz kolejny Tuszy udało się ich wszystkich zaskoczyć. Nie potrafił odgadnąć, w jaki sposób Rafał to robił, lecz za każdym razem, kiedy którekolwiek z nich naiwnie sądziło, że przedstawia innym swój pomysł, bardzo szybko stawało się jasne, że prezes myślał o tym już wcześniej. Więcej nawet: nie myślał, lecz od dawna realizował koncepcję. A może to oni nieświadomie podsuwali mu rozwiązania? Może w chęci zaimponowania mu swoją zmyślnością ujawniali zarysy zamierzeń, pozwalając tym samym, aby ostatecznie wyprzedził ich ruchy? Może byli zbyt zajęci bieżącą robotą, by znaleźć dość czasu nie tylko na realizację, ale nawet na precyzowanie pomysłów? Tusza miał ku temu wystarczająco dużo życiowej przestrzeni. Poza uczestniczeniem w wewnętrznych spotkaniach oraz przeglądaniem stenogramów z podsłuchów – czy co tam jeszcze dostarczała mu na biurko Agata – nie robił w zasadzie nic więcej. Skupiał się tylko na adresowaniu do podwładnych przemów i nurzaniu się we własnej charyzmie.

Parsknął śmiechem i popukał się w głowę. Rafał nie miał ani cienia charyzmy. Charyzma była darem bożym. Rodzajem magnetyzmu, charme'u, seksapilu. Tusza tego nie miał. Jedyne, co posiadał, to władza. Dzielił, rządził, opierdalał i karał. Napuszczał ich na siebie, terroryzował perspektywą zwolnienia, stosował taktykę ulicznego kanciarza. Obowiązkowy wyjazd na tydzień? Zdecydowanie musiał uknuć to wcześniej. Pewnie szykował jakąś niezłą zabawę. Warsztat. Tak, bardzo lubił to słowo. Warsztat integracyjny pod czujnym okiem psychiatry obserwującego, jak rozwiązują idiotyczne ćwiczenia grupowe. Ciekawe, jak Rafał na to wpadł. Przeczytał jakiś artykuł czy może posłużył się wielokrotnie powtarzaną przez Polę tezą, że powinni lepiej się poznać? A może zwyczajnie się nudził?

Wzruszył ramionami i raz jeszcze zajrzał do poczty. Sprawdzanie jej co pięć minut było zdecydowanie sensowniejszym zajęciem aniżeli jałowe roztrząsanie motywów działania prezesa czy śledzenie akcji filmu, który z założenia musiał się zakończyć niepodzielnym zwycięstwem Stathama.

– No nareszcie! – mruknął do siebie, widząc, że Malicki wysłał w końcu swoją część pracy, po czym spojrział na zegarek.

Była siódma. Nawet jeśli Lena od razu przystąpi do dzieła, to wyśle mu to nie wcześniej niż o dziewiątej. Jeśli będzie miał fart, to może o ósmej trzydzieści. Wstał, zgniótł w ręce puszkę i zaczął się nerwowo przechadzać. Nie znosił czekać bezczynnie. Nienawidził stanu, kiedy żał było mu się zająć czymś innym, bo w każdej chwili mogła nadejść kolejna wiadomość – pytanie od Leny lub poprawka

w prognozie Daniela. Albo kolejny mail od Agaty, tym razem przypominający wszystkim, że dane muszą być gotowe na rano.

– Ja pierdołę! – parsknął pod nosem i otworzywszy szafkę ze zbyt dużym impetem, grzmotnął pustą puszką do kosza.

Napięcie w jego ciele rosło z każdą sekundą, a każdy dochodzący do mózgu bodziec podwyższał dodatkowo ciśnienie. Brzdęk aluminium, które odbiło się od ścianki kubła i z szelestem opadło na śmieci, agresywne serie dochodzących z głośników wystrzałów, szmer przejeżdżających pod budynkiem pojazdów oraz stłumiony dźwięk windy, która zatrzymała się teraz na piętrze – wszystko go obecnie wkurwiało. Doprowadzało do szału swą nachalną, niedającą się pozbyć obecnością w eterze. Chętnie roztrzaskałby teraz na miazgę zarówno pasażerów tej windy, jak i własne kino domowe. Gdyby miał zdolności Stathama, rozjechałby też z automatu kierowców, których samochody blokowały mu ulicę przed domem. Malickiego, który nie potrafił dotrzymywać terminów, asystentkę Tuszy, uzurpującą sobie prawo do traktowania ich niczym śmieci, w końcu również samego Rafała. Zwłaszcza jego. Tego pokracznego, żalosego kutasa, który wszystkim spierdolił dziś wieczór. Po tym chuju nikt by przecież nie płakał. Viola otworzyłaby butelkę szampana...

A może w tej wściekłości nie chodziło wcale o zmarnowany wieczór, Agatę czy Tuszę? Może chodziło o Violę? Od kiedy zaczął się z nią regularnie spotykać, jego nastawienie do Tuszy zmieniło się radykalnie. Wcześniej traktował go z przymrużeniem oka – niemal jak relikwiot ojczystego folkloru. Jak kuriozalnego hodowcę świń, który przebrany w zbyt ciasny garnitur, tylko udawał prezesa. Rafał był dla niego obrośniętym w pawie pióra prowincjuszem, który ciągle jeszcze gubił słomę z butów i nie potrafił się pozbyć ogorzałej, podpuchniętej od wysiłku chłopskiej gęby. Bardziej śmiesznym niż strasznym prostakiem przenoszącym do firmy swoje folwarczne nawyki i traktującym podwładnych z taką samą estymą jak świnię – zapewniającym im wikt i nieprzejmującym się specjalnie, gdy zbliżała się pora na rzeźnię. Wraz z pojawieniem się Violi Tusza nagle zmienił oblicze. Teraz nie był już tylko pozbawionym finezji burakiem. Był rywalem. Zwykłą gnidą niezasługującą na to, by przetrwać. Znienawidzonym knurem, który wsadzał w Violę swego pokracznego, śmierdzącego penisa.

Walnął pięścią w blat, ale to nie pomogło. Ból rozchodzący się z dłoni nie był w stanie zmącić napływających pod powieki obrazów. Widział ich razem – tarzających się w białej pościeli, dzielących łazienkę, jedzących wspólnie posiłki. Widział, jak grube palce Tuszy zaciskają jej się na piersiach, jak jego cielsko przywala jej ciało, jak jego siwiejące włosy łonowe dotykają jej gładkiego podbrzusza. Każda z tych scen przyprawiała go niemalże o torsje. Sprawiała, że nienawidził Rafała, ale również czuł niesmak do Violi. Ostatecznie zgadzała się na to wszystko. Wyszła za mąż za knura. Z miłości do luksusu oddała się komuś

takiemu!

Zacisnął powieki i potarł je ręką, ale wyobraźnia nadal działała, podsuwając usłudze dalsze perwersyjne widoki. Kadry godne średniowiecznych malarzy. Wynaturzone, chore, obrzydliwe obrazy, na których Tusza rznął od tyłu swą żonę, czerwony na twarzy, spocony i lepki. Śmierzący niedomytym brudem starca.

– Kurwa! – wrzasnął, mając nadzieję, że krzyk zagłuszy te wizje. – Kurwa jebana mać!

Nie powinien był dać jej się uwieść w tym klubie. Nie powinien był z nią chodzić do łóżka, umawiać się na randki, spędzać romantycznych weekendów. Nie powinien był się bawić w ten romans.

Dlaczego wyszła za tego obleśnego satyra? Nawet jego kasa nie zasługiwała przecież na takie poświęcenie. Niezależnie od tego, ile pozostawiłby w spadku, te pieniądze nie były warte dzielenia z nim jednej sypialni.

Otworzył oczy, dopiero teraz zdając sobie sprawę, co go tak naprawdę złościło. Nie chodziło o pracę ani nawet o Tuszę czy Violę. Nie chodziło o to, że obleśny dziad posuwał młodszą od siebie o trzydzieści lat piękną kobietę. Historia знаła już takie przypadki i nikogo nie dziwiło specjalnie, że aspirujące do wygód dziewczęta oddawały się starszym panom za kasę. Viola nie była ani pierwsza, ani nawet wyjątkowa w tej roli. Chwyciła się Rafała jak Pana Boga za nogi, licząc na to, że duże pieniądze zrekompensują wszelkie deficyty, jakie kiedykolwiek odczuje w małżeństwie. Może miała rację. Ostatecznie przecież robiła wszystko, co chciała. Regularnie pojawiała się w klubach i nie była w swoich zdradach ostrożna. Romansowała z nim od miesiący, spędzała w jego domu weekendy, okłamywała Tuszę, że spotyka się z mamą, przyjaciółką, rodzeństwem. Zapewniała go, że wyjeżdża do spa, ale nawet nie ruszała się z miasta. Po prostu pojawiała się tutaj. Wchodziła niespieszona, odpowiadała na dzień dobry sąsiadom, uśmiechała się do konsjerżki i nie ukrywała twarzy przed nikim. Miała w dupie ostrożność. Jakby sądziła, że ta wolność jej się należy. Jakby nawet kasa, jaką dostawała od Tuszy, nie była w stanie obudzić w niej resztek przyzwoitości. Może Rafał za mało jej płacił, a może była zepsuta znacznie bardziej, niż sądził? Może w ogóle nie była zdolna do lojalności, a jej cynizm przekraczał czyjekolwiek wyobrażenia. Niezależnie od powodów, jakie nią kierowały, miała w nosie stwarzanie pozorów. Ani przez sekundę nie ukrywała przed nim, że jej małżeństwo jest czystą transakcją. Śmiała się na głos, kiedy pytał, dlaczego to wszystko robiła. Puentowała jego dociekania rzucanym lekko protekcyjnym westchnieniem. Jakby chciała dać mu do zrozumienia, że był naiwny i niedzisiejszy. Nie szanowała Tuszy i – co ciekawe – w przeciwieństwie do wszystkich podwładnych Rafała nie bała się jego gniewu. Nie, nie była pewna siebie. Była bezgranicznie, wręcz do bólu zuchwała. Traktowała Tuszę niczym pozbawionego wartości śmiecia, a jego samego – niczym zabawkę. Dostępną i sprawiającą radość, lecz podobnie jak Rafał niezasługującą na

szacunek i dającą się łatwo zastąpić.

Tak, to dlatego był tak rozwścieczony. Nie chodziło o nic innego. Wyłącznie o to, iż pozwalał się w ten sposób traktować. Że związał się z kobietą, która co prawda była piękna, młoda i entuzjastycznie nastawiona do seksu, ale równocześnie całkowicie zdeprawowana. Sam przed sobą nie chciał się przyznać, że jej zachowanie budziło w nim opór moralny. Że uważał je w gruncie rzeczy za wstrętne. Przez dłuższy czas próbował się przekonywać, że jej odwaga brała się z tego, iż na nim zależało jej bardziej niż na utrzymaniu małżeństwa. Usprawiedliwiał jej niefrasobliwość i tłumaczył sobie, że nie mogła mieć pojęcia, iż pracował dla Tuszy. Klarował sobie w duchu, że Rafał omamił ją niebotycznym brylantem oraz perspektywą hucznego wesela, a ona naiwnie przyjęła oświadczenia, by nie musieć się rozstawać z pierścieniem. Ale ta linia obrony nie miała już racji bytu. Nie potrafił dłużej wierzyć, że Viola była tak naiwna, aby chodzić z nim do łóżka z pozbawionych podtekstu pobudek. Z pewnością wiedziała, kto go zatrudniał, i to zapewne dlatego seks z nim sprawiał jej taką przyjemność. Nie chodziło o jego ciało, lecz o to, że za każdym razem, gdy trafiała do jego sypialni, upokorzenie Rafała stawało się coraz większe. A on? On był tylko ułatwiającym jej to wszystko narzędziem.

Nie lubił Tuszy. Szczerze mówiąc, mocno nim gardził. Nie przywiązywał również szczególnej wagi do zasad moralnych. Zdarzało mu się wyrwać mężatkę, a singielki zaliczał na pęczki i nie wstydził się tego, że nie dzwonił do nich po seksie. W sprawach erotycznych całkowicie pozbawiony był wstydu. A jednak obecny romans budził w nim niesmak do siebie. Czy wyłącznie dlatego, że znał osobiście męża kochanki? Że spotykał Tuszę w biurze, podawał mu rękę oraz płacił swoje rachunki z hojnej pensji, jaką oferował mu rogacz? Być może. Albo jednak nie. Z początku świadomość, że wziął odwet za wszystkie prostackie przytyki, jakimi przez lata raczył go Tusza, sprawiała mu przyjemność. Czuł ją aż do ostatniego weekendu. Do momentu, gdy zobaczył w oczach Violi niedostrzeżoną wcześniej bezwzględność. Rodzaj stalowego, pozbawionego cienia wahania okrucieństwa. Trwający ułamek sekundy błysk, który zjeżył mu włoski na karku. Sądziła, że nie patrzył. Była pewna, że wciąż jeszcze nie wyszedł z łazienki, i leżąc na łóżku, rozmawiała przez telefon z Rafałem. Słodkim głosem zapewniała, jak cudownie spędza czas na masażach. Jak służą jej maski z alg, mikrodermabrazje, mezoterapie oraz kolagenowe płyty pod oczy. Jej ton był miękki, a słowa roztrzępane i przerywane chichotem. Jak u nastolatki, która opowiada koleżankom o pierwszej randce z chłopakiem. I dopóki słyszał tylko jej słowa, dopóty był pod wrażeniem tego, jak cudownie potrafiła maskować ich romans. Śmiał się w duchu z teatralnych zdolności, które pozwalały jej mamie Rafała. Dopiero gdy stanął w drzwiach i zerknął przez szparę do środka, zrozumiał, jak bardzo się mylił. Dziewczęca słodycz, jaką ciągle słyszał w jej głosie, była udawana, i owszem, ale

beznamiętny wyraz twarzy i stalowe spojrzenie nie podążały za aurą, którą tworzyła na użytek męża jelenia. W przeciwieństwie do innych kobiet, które obserwował w podobnych sytuacjach, jej skóra nie była zaróżowiona od wstydu, a w oczach nie czaił się popłoch. Cała jej twarz była jednym wielkim równaniem. Kalkulacją. Arkuszem Excela. A może raczej pustą kartką, na której nie odbijały się żadne emocje. Nie musiały. Przecież nikt jej w tej chwili nie widział. Mogła spokojnie rozluźnić policzki. Pozwolić mięśniom odpocząć. Wyłączyć organy, których uczestnictwo nie było absolutnie niezbędne.

Gdy skończyła rozmawiać, chrząknął pod drzwiami, dając jej znak, że nadchodzi. Jej policzki uniosły się w nagłym paroksyzmie, wargi rozciągnęły, a kąciki ust uniosły błyskawicznie. Przymknęła na moment powieki, a gdy znów je po sekundzie uniosła, w jej oczach nie dostrzegł już metalicznej poświaty. Teraz uśmiechała się cała. Wyciągała dłonie i przywoływała go wyraźnie do siebie niczym trzpiotka, która sięga po ulubioną maskotkę. Powiedziała coś, a jej głos brzmiał identycznie jak wtedy, kiedy zapewniała Tuszę, że zabiegi w spa doskonale wygładzają jej skórę. Słyszał go i poznawał. Ten sam tłumiony śmiech, ten sam trzepot warg, ta sama cukierkowa słodycz. Jednakowa błaga.

Z trudem dotrwał do wieczora i z ulgą odprowadził ją do taksówki. Kiedy odjechała, wypuścił przytrzymywane zbyt długo w płucach powietrze i pozwolił sobie na rozluźnienie przepony. Bolały go mięśnie brzucha, grzbiet i policzki. Bolał go każdy napinany w fałszywych uśmiechach mięsień twarzy. Bolał go mózg. Skołatany, nieradzący sobie z analizą faktów, przytłoczony niezdefiniowaną jeszcze, lecz przenikającą w podświadomość traumą. Był oszołomiony i wyczerpany. Jakby przed momentem wyrwał się z rąk uzbrojonego w brzytwę psychopaty. Jedyne, o czym myślał, to że jutro czekała go cudowna lekkość poniedziałku. Uporządkowane znane życie. Pokonywana metrem droga, kilka spotkań, maile, pracownicy, linie produkcyjne. Zamówienia, telefony, umowy, wymieniane z inżynierami uwagi. Poddająca się kontroli materia. Zmechanizowana i całkowicie logiczna.

Przez całą noc dręczyły go koszmary. Widział w nich siebie spadającego w niemającą dna szczelinę. Leciał bez końca, czekając ze strachem na moment, aż w końcu uderzy o podłoże, lecz upadek nie następował. Tak jakby w nieskończoność miał już teraz odczuwać lęk przed tym, co wciąż jeszcze musiało się zdarzyć. Obudził się zlany potem i leżąc w ciemnościach, skarcił się w myślach za słabość. Zawsze uważał się za twardziela. Cynicznego drania, który nie potrafił odczuwać skrupułów. W zderzeniu z Violetta okazał się wymachującym drewnianym mieczem chłopczykiem.

W nocy był przerażony, teraz – wściekły na siebie. Na bezmyślność oraz chojracką fantazję, które kazały mu się wmieszać w to wszystko. Na swój seksualny apetyt, który stłumił jego czujność i uczynił ślepym na znaki

ostrzegawcze. Cóż, przepadło, będzie się musiał z tym zmierzyć. Spróbować pojąć, czego mogła chcieć i dlaczego to jego wybrała do tego zadania. A później jakoś się z tego wyplątać, nie prowokując przy tym jej gniewu.

Uspokojony wrócił na kanapę, rzucił się ciężko na poduszki i leżał przez chwilę, gapiąc się w sufit. Pomyśli o tym jutro. Może nocą wszystko samo ułoży się w głowie. Może uda mu się zyskać dystans. Może gdy odpocznie, uzna, że nie warto się było przejmować. Może nawet zdobędzie się na to, by powiedzieć jej, że powinni przestać się spotykać.

Złapał leżącą na stoliku paczkę i nie podnosząc się, zapalił papierosa, obserwując, jak jego koniec rozżarza się, a następnie przygasa, a siwe kłęby dymu zaczynają ulatywać z ust i z nosa. Westchnął głośniej, usiadł i z namysłem sięgnął znów po komórkę. Czuł się lepiej, ale to nie tytoń ukoił mu nerwy. Ani nawet fakt, że Letycka podesłała mu właśnie swe dane. Czuł się lepiej, bo uspokajała go świadomość, że jeśli teraz zasiądzie w samotności przy biurku, to Tusza nie będzie miał równie spokojnego wieczoru. Dziś, jutro, w kolejny weekend oraz przez niezliczone dalsze wieczory Rafał będzie miał przy sobie Violetkę. Zawsze. Nawet gdy ta wyjdzie z domu. Nawet gdy postanowi spędzić noc z innym.

Uśmiechnął się ze smutkiem, przyłapując się na nowym, zaskakującym, a równocześnie stanowiącym wielką ulgę doznaniu: nie obawiał się już Rafała. Nie gardził nim, nie uważał go za prostaka, nie czuł żalu za wszystkie robione mu przytyki. Jedyne, co odczuwał, to współczucie. Litość. Może nawet rodzaj sympatii. Samczej solidarności, która w innych warunkach miałaby szansę stać się załączkiem dojrzałej męskiej przyjaźni.

Rafał

Wszedł do holu i ze zdumieniem stwierdził, że z piętra dochodzi głos rozmawiającej przez telefon Violetty. Nie spodziewał się, że zastanie ją w domu, więc wspiał się szybko po schodach, nie analizując tym razem swego powielanego przez lustro odbicia. Przebiegł dystans dzielący go od jej obszernej sypialni i widząc, że drzwi są otwarte, a ona leży na łóżku, zatrzymał się w progu na moment. Uniosła głowę, spojrzała na niego i zachęcająco kiwnęła ręką, pokazując mu miejsce przy sobie.

– Muszę kończyć! – rzuciła do telefonu. – Rafał właśnie wrócił do domu.

Nie czekając na reakcję rozmówcy, rozłączyła się i gdy przysiadł na łóżku, przetoczyła się w jego stronę.

– Późno wczoraj wróciłaś – zagadnął.

Wzruszyła ramionami bez słowa. Jej twarz była teraz bezmyślna, rozleniwiona i senna.

– Nie spałaś chyba zbyt dobrze? – skomentował jej lekką apatię i mrugnął znacząco. – Masz ochotę wyjść na kolację czy zjemy coś w domu i obejrzymy jakiś film na Netflixie?

– Zostanmy – mruknęła cicho i położyła mu głowę na nogach.

Pogłaskał machinalnie jej włosy i kiwnął ze zrozumieniem.

– U ciebie wszystko w porządku? – spytała, przeciągając się lekko. – W pracy dobrze?

Skinął głową, wiedząc, że pytała z grzeczności. Nie oczekiwała szczegółowej relacji, lecz zwykłego potwierdzenia, że wszystko idzie swoim torem. Uśmiechnął się, mruknął coś pod nosem i poklepał delikatnie jej głowę. Wyglądała na naprawdę znużoną. Nie zmęczoną fizycznie, ale pozbawioną całkowicie energii. Jakby poprzedniej nocy nie ograniczała się wyłącznie do seksu, lecz przeżywała jakieś absorbujące ją psychiczne trudności. Cóż, może niepotrzebnie podpowiedział jej Piotra? Może spotkania z jego podwładnym obciążały ją nadmiernie, nie stanowiąc pożądanej odskoczni?

Gdy podsuwał jej Leszczyńskiego, sądził, że ten układ będzie niezawodny, stabilny oraz wolny od wszelkiego ryzyka. Piotr był młody, atrakcyjny, samotny. Idealny dla Violi, ale również wymarzony dla niego. Dawał pewność, że zachowa ten romans w sekrecie i nie odważy się skrzywdzić Violetty. Ulegając po raz pierwszy jej wdziękowi, wbrew swej woli stał się niewolnikiem ich dwojga. Musiał tańczyć w rytm melodii, którą oni wspólnie mu grali. Grzecznie, karnie, uważnie. Bez fałszywych kroków oraz jakichkolwiek wyskoków z szeregu. Tak, Leszczyński był stworzony do roli kochanka. Nie zagrażał stabilności małżeństwa, a nawet cementował ich związek. Trzymał wszystko w ryzach, utrwalając *status*

quo i pozbawiając Violę jakichkolwiek pokus na szukanie dodatkowych atrakcji.

Zerknął na żonę i poczuł przyływ uczucia. Lubił ją. Była świetną dziewczyną. Inteligentną, lojalną i sprytną. Rozumiała i akceptowała reguły, dzięki czemu o nic nie musiał się martwić. Zawsze grała z nim w jednej drużynie. Nie stwarzała problemów, odgrywała doskonale swą rolę, nie robiła dąsów, scen ani fochów. Była idealną partnerką. Taką, jaką zawsze pragnął mieć przy swym boku.

Z dotychczasowymi żonami zaczynało się zawsze tak samo: od pytań. Indagowały go, podważały sensowność małżeństwa, ciągnęły w nieskończoność przepelniony rozżaleniem monolog. Czasem próbowały go złamać. Zakładały ażurowe staniki i zjawiały się u niego w sypialni. Wypindrzone i prężące się w progu. Kocim krokiem podchodzące do łóżka. Czasem nawet chwytające go od tyłu za krocze. Nienawidził tego momentu. Chwili, kiedy musiał wyprowadzać je z pokoju za łokieć i po raz setny tłumaczyć, jakie obowiązywały w ich małżeństwie zasady. Obrażały się wtedy. Tak jakby prosty fakt, że wymagał od nich przestrzegania kontraktu, zaczynał nagle godzić w ich dumę. Wszystkie chciały wiedzieć dlaczego. Dlaczego, dlaczego, dlaczego. Dlaczego nie chce z nimi sypiać? Dlaczego nie chce mieć dzieci? Dlaczego je sobie wynajął? Gdy stawały się napastliwe, dzwonił do adwokata. Zniesmaczony i rozczarowany płacił im adekwatne odprawy, dbając tylko o to, aby zanim się z nim w końcu rozwiodą, podpisały odpowiednie umowy. Zobowiązania do poufności z horrendalnymi karami za jakikolwiek wypowiedziany na jego temat komentarz. Urzeczona kwotą obiecaną wypłaty ostatecznie składały podpisy. Zyskiwał wtedy dłuższą chwilę spokoju. Rok, czasem nawet dwa lata. Bezcenny czas przeznaczony wyłącznie dla siebie.

Z Violą było inaczej. Gdy zaczepił ją w klubie, popatrzyła na niego z uśmiechem. Tym razem nie był to chichot szukającej męża kobiety, lecz zaciekawiony uśmiech laski, która doskonale знаła zasady. Obrzuciła spojrzeniem jego buty, bransoletę oraz srebrny sygnet na palcu, przyjrzała się twarzy i włosom, oceniła wartość koszuli. Przez moment spoglądała na wyszyty na mankiecie inicjał, a gdy poruszył ręką, jej spojrzenie podążyło czujnie za złotym zegarkiem. Uśmiechnęła się znowu, skinęła głową i przyjęła zaproszenie na drinka. Nie musiał niczego wyjaśniać ani z niczego się tłumaczyć. Od początku wiedziała, o co chodziło, ale nigdy nie skomentowała odkrycia. Przyjęła je. Tak po prostu. Niczym naturalną kolej rzeczy, zrozumiałą dla każdego człowieka. Od tamtej pory układało im się naprawdę wspaniale. Owszem, miała wady i niekiedy irytowały go jej ciągłe telefoniczne rozmowy oraz tłumy zapraszanych do domu znajomych. Tęsknił wówczas za czasami, gdy był sam i nie musiał się liczyć z jej zdaniem. Kiedy jednak zniknęła, już po dwóch dniach tęsknił. Tym razem nie za wolnością, lecz za nią. Brakowało mu jej pozbawionych ciekawości pytań o pracę, wspólnego oglądania filmów i sobotnich wypraw do sklepów. Kiedy wyjeżdżała na dłużej,

wszystko zaczynało mu ciążyć. Po kilku dniach stawał się przesadnie drażliwy i z niepokojem przyglądał się ludziom. Gdy wracała, pojawiał się spokój, kojący skołatane nerwy niczym balsam położony na duszę. Osiągany zaraz po tym, jak zobaczył pierwszy jej uśmiech.

Zastanawiał się czasem, jak ona to wszystko znosiła. Co ją różniło od innych kobiet i sprawiało, że potrafiła zaakceptować swój status. Czy była to wyłącznie kwestia wieku i tolerancja typowa dla jej pokolenia? A może pragmatyzm i chciwość? Świadomość, że ich kontrakt wcześniej czy później się skończy?

Raz jeszcze pogładził jej włosy i z uśmiechem patrzył, jak zmrużyła oczy z rozkoszą. Lubiła, gdy ją dotykał. Bez podtekstów, oczekiwań i żądzy. Czasem myślał, że właśnie dlatego. Ostatecznie był jedynym mężczyzną w jej życiu, który nie chciał jej zaciągnąć do łóżka. Przy nim czuła się bezpieczna, zrelaksowana, spokojna. Mogła sobie odpuścić, zmyć makijaż, chodzić w dresie i kapciach po domu. Dać na luz bez obawy, że utraci jego sympatię. Traktowała go niemalże jak ojca. Może nawet jeszcze bardziej intymnie. Pokazywała mu się nago, biegała po domu w bieliźnie, czasem przychodziła do jego sypialni tylko po to, by się położyć obok. Jej nie musiał wyprowadzać za łokieć. Mógł ją wpuścić do siebie pod kołdrę i pozwolić, by się przy nim ogrzała. Mógł pokazać jej się w samych bokserkach, mógł ją pocałować, przytulić i objąć. Bez podtekstów erotycznych oraz lęku, że jej dłoń powędruje mu frywolnie po brzuchu, a on będzie musiał przytrzymać brutalnie jej nadgarstek.

– Chyba nie chcę się z nim dłużej spotykać – mruknęła cicho, uchylając odrobinę powieki.

– Coś się stało...?

– Nic w zasadzie. Sama nie wiem. Może mi się tylko wydaje.

– Przecież ty się nigdy nie mylisz. – Zaśmiał się cicho, nie przestając jej głaskać po włosach. – Znasz się na mężczyznach najlepiej.

Wysunęła mu się spod ręki i usiadła obok na łóżku.

– Stał się podejrzliwy. Tak sędzę. Nie rozumie jeszcze, ale czuje, że zdecydowanie coś nie gra.

– Oczywiście, że nie gra! – Skrzywił twarz w uszczypliwym grymasie. – Ostatecznie rżnie żonę szefa. To chyba dobry powód, by odczuwać minimalny niepokój?

– Może. – Wzruszyła ramionami w wyraźnym sygnale, że nie udało mu się jej tym argumentem przekonać.

– Posłuchaj – zaczął powoli, artykułując dobitnie wyrazy – koleś może stracić wszystko. Nie tylko ciebie, ale również pozycję i pracę. Ma prawo czuć się niepewnie. Ryzyko rośnie. Szanse na to, że ktoś doniesie mi o waszym romansie, z dnia na dzień stają się większe. Wystarczy, aby zdenerwował sąsiadów, zaszedł komuś za skórę lub ofuknął konsjerżę w budynku. Wystarczy jeden fałszywy

ruch...

– Nie o to chodzi – zirytowała się, zeszła z łóżka i zaczęła się powoli rozbierać. – On uważa chyba, że ja mam jakąś drugą, wymierzoną w was obu agendę. Może stwierdził, że chcę go omotać tylko po to, żeby sprawić ci przykrość. A może naoglądał się filmów i uznał, że zamierzam zabić męża, po czym winą obciążyć kochanka. Nie mam pojęcia. Tak czy owak, to nie z tobą, tylko ze mną ma problem.

Żachnął się głośno, po czym przeszedł do łazienki, żeby przynieść jej szlafrok.

– Uważasz, że to niemożliwe? – Zerknęła na niego i wsunęła ręce w rękawy. Zaśmiał się. Czasem była pensjonarsko naiwna.

– Kochanie, to chyba ty naoglądałaś się za dużo seriali. Leszczyński może nawet jest głupi i zbyt często rozumuje kutasem, lecz z pewnością nie wpadłby na to, że ubezpieczyłaś mnie wysoko na życie i planujesz teraz zamach, aby dożywotnio się pławić w luksusie.

Uniosła brew i skrzywiła się kpiąco, po czym znowu usiadła na łóżku. Owinięta w gruby kąpielowy płaszcz frotté wydawała się teraz jeszcze bardziej drobna niż zwykle.

– Nie musiałabym opłacać polisy. Całkowicie wystarczyłby spadek. – Język Violi wysunął się w jego stronę, a policzki napełniły się prześmiewczo powietrzem. – Spójrz na siebie z minimalnym dystansem. Metrykalnie rzecz biorąc, mógłbyś być moim ojcem. To jest twoje czwarte małżeństwo. Nie masz dzieci, a twoi rodzice już dawno pomarli. Z bratem kontaktujesz się dwa razy w roku tylko po to, by mu złożyć życzenia świąteczne...

– Piotr o tym wie? – przerwał jej w połowie wywodu.

– Pewnie nawet nie wie, że masz brata. Nie publikujesz z nim zdjęć na Facebooku, nie wspominasz o jego istnieniu. Nawet nie masz go w kręgu znajomych.

– Sądzisz, że Leszczyński przestudiował Facebooka?

– A dlaczego miałyby tego nie zrobić? Nie bądź śmieszny! Sam powiedziałeś, że ma romans wysokiego ryzyka. Każdy na jego miejscu przefiltrowałby internet i poszukał informacji o tobie. O mnie zresztą też.

– I czego niby mógłby się dowiedzieć z Google'a? Że miałem przed tobą trzy żony? O tym wie. Zna je. Może spokojnie założyć, że nie zostawiłem ich gołych i bosych. Każda z nich dobrze żyje. Wszyscy w mieście wiedzą, że dla żadnej nie byłem oprawcą. Dlaczego z tobą miałbym postąpić inaczej? Gdybyś chciała odejść, też byś otrzymała odprawę. Piotr to wie. Każdy to wie. Nawet dziecko ci powie...

– Przestań!

– Niepotrzebnie popadasz w histerię.

– Nie histeryzuję. Analizuję. To wszystko. I niezależnie od tego, co mówisz, uważam, że Piotr mnie podejrzewa o spisek.

– Spisek? Z kim? Ze mną?

– Nie wiem. Złe słowo. Nie spisek. Knowanie, intrygę, matactwo... Wiesz dokładnie, o co mi chodzi!

– Nie denerwuj się. Próbuję ci jedynie wyjaśnić, że niepotrzebnie się tym przejmujesz. Nie ma podstaw, by ktokolwiek podejrzewał cię o niecne zamiary. Może i nie jesteś wierną żoną, lecz jak sama słusznie stwierdziłaś, uzasadnia to nasza metryka. Stanowimy klasyczny mezalians. Młoda piękna żona, która chce się jeszcze wybawić, i zniedołężniały staruch, którego jedynym pełnosprawnym organem jest portfel.

– Brawo! A zatem myślisz dokładnie tak samo: że to ja jestem w tym układzie jedynym zepsutym ogniwiem. Cyniczną panienką wykorzystującą niecnie twoją starczą demencję. Jedną z tych lasek, które zrobią wszystko dla kasy. To chyba wystarczający powód, aby można było mną gardzić?

Oczywiście miała rację. Dla przechodnia z ulicy nie była nikim więcej jak tylko lejącą na kasę blacharą. Pustą pindą, która wyszła za męża po to, by bez ograniczeń móc robić zakupy. Ale przecież ta diagnoza była prawdziwa: Viola była tutaj wyłącznie dla kasy. Nie musiała się przed nim krygować. Po co? Po co udawała, że chodziło jej o coś innego?

– Co się stało? – Jej pytanie wyrwało go z zamyślenia.

– Nic. – Pokręcił głową i przez chwilę zastanawiał się, czy powinien jej powiedzieć, co sądzi. – Nic. Kompletnie nic.

A zatem nadszedł ten moment. Pierwsza oznaka następującego w niej przełomu. Pierwsza refleksja. Violi nie chodziło o ich małżeństwo, ale wyłącznie o siebie. O własny wizerunek i dorobioną jej przez otoczenie gębę puste, sprzedającej się za kasę dziewczyny. Dopóki tego rodzaju oceny pojawiały się w głowach osób, które nie miały dla niej znaczenia, dopóty mogła je ignorować. I nie bolały jej. Aż do teraz.

– Lubisz go, prawda? – Zmrużył oczy, po czym podszedł do niej powoli. – Lubisz go znacznie bardziej, niż dotychczas twierdziłaś. Zależy ci na nim i na jego opinii. Zakochałaś się...

Słyszał własny syczący głos i zdawał sobie sprawę, że popełnia błąd, ale nie był w stanie zapanować nad gniewem. Głupia krowa! Zadurzyła się jak nastolatka w Leszczyńskim i nagle dostrzegła całą własną płyciznę? To jakiś mroczny żart. Jakaś kpina.

Nie zakładał takiego scenariusza. Ani przez sekundę nie pomyślał, że jej romans z Piotrem może się zakończyć w ten sposób. Miał być seks, nic ponadto. Sterylna pościel i równie higieniczna zmysłowość. Jego żona miała być nażarta i syta. Wolna od popędów, które niosłyby ją w miasto niczym sukę w pierwszym

dniu ciecarki. Miała mieć kochanka tylko po to, żeby nie tworzyć dodatkowych problemów. Aby miała się czym zająć. By nie szukała wrażeń. W końcu również po to, by nie myślała o swej roli i o nim. Aby na salonach mogła się swobodnie uśmiechać, a nie warczeć jak niedopchnięte żony innych prezesów, które przekształcały frustrację w agresję. Od samego początku zakładał, że tak właśnie poprowadzi tę sprawę: odpowiednio ją nakierowując, pozwalając na minimum swobody, wolność ograniczoną długością dobranej przez niego smyczy. Nie przewidział jednego: że wbrew pozorom była durna, sentymentalna i cikliwa.

Odsunęła się od niego niepewnie, a na jej twarzy dostrzegł strach oraz namysł. Zastanawiała się nad czymś naprędce. Rozważała za oraz przeciw. Szacowała ryzyko związane z powiedzeniem mu prawdy i korzyść, jaką mogłoby przynieść jej kłamstwo.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – powiedziała w końcu, a on uśmiechnął się szeroko konstatuując, że usiłowała zyskać na czasie. – Przecież sama powiedziałam ci wcześniej, że już nie chcę się z nim spotykać.

Sprytnie! Bardzo sprytnie! A zatem dlatego rozpoczęła dziś tę całą rozmowę! To dlatego od kilku tygodni przesączała informację, że ostrożność Leszczyńskiego działa jej na nerwy.

– Nie czuję się przy nim dobrze, jeśli chcesz wiedzieć! – warknęła głośniej, ale jej słowna agresja nie poszła w parze z gestami. Zamiast naprzec na niego, cofnęła się znów o pół kroku. – Dał mi odczuć, że jestem zimną, sprzedajną lafiryndą!

– Jest zatem mądrzejszy, niż sądziłem. – Uśmiechnął się złośliwie i ponownie przysunął się bliżej, wykorzystując przestrzeń, jaką pozostawiła mu w defensywie. – Nie myli się przecież, nieprawdaż? Jesteś skłonna dużo zrobić dla kasy. Co przypomina mi obecnie, że zgodnie z umową dostaniesz swój udział w majątku dopiero po pełnych pięciu latach małżeństwa. Jeśli zatem miałbym coś radzić, to abyś schowała do kieszeni swą dumę. Że już o afekcie do łysiego nie wspomnę.

– O czym ty bredzisz?! – podniosła głos i tym razem nie odsunęła się od niego. – Masz paranoję!

– Ja?

– Tak! Ty! Masz manię prześladowczą! Uważasz, że wszyscy dookoła coś knują! Że cały świat kręci się wokół ciebie! Ja, Piotr, ludzie w pracy! Każdy z nas na ciebie nastaje! Ta cała Lena, której nie możesz znieść, bo wydaje ci się mądrzejsza od ciebie. Twój CFO – bo ma dostęp do pieniędzy i wiedzy. Kto tam jeszcze? Laska z HR-ów, która wie, że nawet nie masz matury? O tak! Ona również! Każdy! Każdy, kto się w pobliżu pojawia, ma tylko jeden cel w życiu: zdemaskować cię! Obalić mit, który tak misternie przez lata tworzyłeś. Pokazać światu twą miałość i obnażyć wszystkie twoje kompleksy. Nikt nic innego nie

robi! Wszyscy myślą wyłącznie o tobie!

– Coś ci się pomyliło, dzidziu. – Uśmiechnął się, wymawiając znienawidzony przez nią przydomek. – Nikt z nich nie jest w stanie na mnie nastawać. Są na to za ciency, kapujesz? I ty też jesteś na to za słaba.

– Ja? Być może. – Uśmiechnęła się szeroko. – Twój problem ze mną polega jednak na tym, że nic, ale to nic nie jesteś w stanie mi zrobić. Możesz mnie co najwyżej bardzo grzecznie poprosić, żebym była tak miła i trzymała buzię na kłódkę. A co do nich? Możesz się pocieszać, ile zechcesz, ale każde z nich jest znacznie więcej warte od ciebie. Twierdzisz, że jest inaczej, ale poniżanie ich jest niczym więcej jak leczeniem własnych kompleksów. I tak, kochanie, masz pełne prawo mieć przy nich poczucie niższości. To właściwie nawet nie są kompleksy. Ty się widzisz naprawdę rzetelnie! Nie ma mowy o najmniejszej pomyłce!

– Taaak?!

– Tak. Jesteś zwykłym świniopasem, mój drogi.

– Pierdol się!

Zaśmiała się głośno i teatralnie złapała za brzuch. Na twarzy nie miała już teraz niepewności, przestachu czy chłodnej kalkulacji. Była pewna siebie, rozbawiona i cyniczna. Śmiała się z niego, wyrzucając z siebie wszystkie myśli, które tkwiły w jej głowie przez lata. Poczuł, że wściekłość mąci mu wzrok. Co za pizda! Przez cały ten czas, kiedy sądził, że go lubiła, rozumiała, wspierała, ona odgrywała tylko pełną tolerancji oraz troski panienkę! Brała go pod włos! Swoimi niewinnymi minkami, udawaną akceptacją i pozornie ciepłymi gestami. Uśpiła jego czujność! Sprawiała, że przedkładał ją ponad inne partnerki tylko dlatego, że potrafiła go lepiej rozgrywać. Ta gówniara! Ta głupia cipa...

– Będę się pierdolić, z kim i kiedy zechcę. – Zanim zdążył zareagować, podeszła do niego i poklepała go protekcyjnie po twarzy. – Mogę to robić z każdym ogierem w mieście bez obawy, że ktoś mi to później wypomni. Ostatecznie i tak przecież wszyscy wiedzą, że jestem z tobą wyłącznie dla pieniędzy.

– Tylko spróbuj!

– I co? Co mi zrobisz? Rozwiedziesz się ze mną? Pójdiesz z tym do sądu i przedstawiś tam dowody mej zdrady? Opowiesz o kulisach tego związku ławnikom? – Zachichotała złośliwie. – Wiesz przecież, że ja także będę wówczas składała zeznania. Może opowiemy im wspólnie o wyjazdach do Tajlandii i powodach, dla których zawsze mamy willę z dwoma wejściami? Albo wyjaśnimy, dlaczego widywany byłeś w bardzo mrocznym przybytku pod miastem? A może zechcesz się podzielić szczegółami swej relacji z Krystianem? Osobisty trener? Czy nie trąci to zanadto banałem?

Podniósł rękę i zanim zapanował nad sobą, wymierzył jej silny policzek. Przewróciła się na podłogę. Z pękniętej dolnej wargi oraz kącika ust zaczęła sączyć

się krew. Złapała się za twarz, oblizła usta i z trudnością wstała na nogi.

– Brawo! – wyszeptała, po czym powlekła się do łazienki. – Zachowałeś się jak prawdziwy mężczyzna. – Pokazała mu skrwawiony półprofil, po czym, stając w progu, dorzuciła jeszcze przez ramię: – Nasze małżeństwo uznaję za skonsumowane. Jeśli masz co do tego wątpliwość, z przyjemnością zaraz wezwę lekarza.

Zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Przez moment słyszał jeszcze, jak do umywalki leje się woda, ale w końcu szmer zanikł. Stał w bezruchu, nasłuchując, czy z łazienki nie dotrą do niego jakieś szelesty, ale wewnątrz panowała kompletna cisza. Rozejrzał się po sypialni i nie bardzo wiedząc, co robić, wyszedł w końcu na biegnący przez piętro korytarz. Doszedł powoli do schodów, zerknął na dół i niezdecydowany ruszył dalej przed siebie. Potrzebował spokoju. Chwili na ułożenie sobie w głowie wszystkiego. Czasu na podjęcie trudnych, ale nieodzownych decyzji. Przed godziną jego wizja świata była inna, teraz się wszystko zmieniło. Musiał to uporządkować, przemyśleć, poskładać. Zaplanować co, jak oraz kiedy. Formuła się wyczerpała – co do tego jednego miał pewność. Przyszła pora posprzątać.

Lena

Wysiadła z auta, zatrzasnęła za sobą drzwi i przeszła na tył samochodu, żeby wyciągnąć z bagażnika walizkę. Elegancka torba z emblematami francuskiego kaletnika wyglądała śmiesznie w zestawieniu z parą nowych, ciągle jeszcze błyszczących kaloszy, legginsami i bawełnianym męskim swetrem, który na ten wyjazd pożyczyła od Maksa. Parsknęła cicho pod nosem i rozejrzała się wkoło. Parking podziemny był pusty. Poza jej samochodem stał tu teraz wyłącznie biały Bentley Rafała.

– Idiocyzm! – Jej usta poruszyły się, lecz nie wydały z siebie żadnego dźwięku.

Pociągnęła kabinówkę za sobą i pospiesznym krokiem ruszyła w stronę klatki schodowej. Zmieniła zdanie. Zawróciła i skierowała się prosto do windy.

– Przecież nie będę tego tachać po schodach! – mruknęła szeptem do siebie i potykając się w nieco za dużych kaloszach, dotarła w końcu do wejścia.

Jej stopy nie były przyzwyczajone do takich wielkich przestrzeni. Zawsze upchnięte w ciasne czółenka, teraz czuły się jak w płetwach. Poruszyła się niezgrabnie, czekając, aż winda nadjedzie, i przyjrzała się swojemu odbiciu. W wypolerowanych stalowych drzwiach jej figura wydawała się jeszcze bardziej karykaturalna niż w lustrze. Bez wysokich obcasów wyglądała na przysadzistą i nazbyt szeroką w biodrach. Wielki sweter Maksymiliana nie pomagał. Zwisiał jej z ramion, a podwinięte za długie rękawy sprawiały wrażenie, jakby przed momentem zeszła z pola albo placu budowy. Zachnęła się i wygładziła na sobie ubranie. Mimo iż półgolf syna był na nią wyraźnie za duży, klatkę piersiową miała bardzo mocno opiętą. Dzianina rozciągała się na jej piersiach, optycznie czyniąc je jeszcze potężniejszymi niż zwykle. Koszmar! Absurdalny sen, z którym miała się mierzyć przez tydzień!

Usłyszała kroki za sobą i nie odwracając się, zmusiła się do uśmiechu.

– Cześć! – Rozpoznała charakterystyczny niski głos Pawła i uniósłszy rękę w udawanym geście poprawiania na ramieniu torebki, przysłoniła przedramieniem piersi.

– Cześć! – Odwróciła się w jego stronę i wciąż się uśmiechając, obrzuciła go ciekawym spojrzeniem.

Miał na sobie dziwną, pełną ponaszywanych kieszeni wiatrówkę, szare, nazbyt luźne bojówki oraz wielkie buty z Gore-texu. Uśmiechnęła się szerzej, puściła pasek torebki i odwróciła się do niego frontalnie.

– Tadam! – Zaśmiała się i dygnęła.

– Nawet nic nie mów. – Jęknął, papugując nieudolnie jej ukłon. – Pożyczyłem kurtkę wędkarską od teścia.

Zaśmiali się teraz oboje. W jego towarzystwie poczuła się znacznie lepiej. Przynajmniej nie była jedyną przebraną w cudze ciuchy osobą.

– Ja kupiłam wieczorem kalosze. – Uniosła stopę i zaprezentowała mu swoje nowe huntery. – Pierwsze w życiu. Dasz wiarę?

Mruknął coś pod nosem i pokazał jej, że mogą już wsiadać do windy.

– Ciekawe, co znów wymyślił. Wiesz może, dokąd jedziemy?

Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Nie. Nie udało mi się niczego dowiedzieć. Znasz Agatę. Nawet mi nie powiedziała niczego. Tylko że na pewno będziemy dobrze się bawić.

– Biorąc pod uwagę te stroje, mam poważną wątpliwość, czy nasze definicje dobrej zabawy za bardzo nie różnią się od siebie.

Paweł poruszył brwiami i zaśmiał się cicho pod nosem.

– Może ktoś jej powiedział, że powinna nam urządzić surwiwal? Wiesz, tak jak w firmach doradczych: integracja poprzez wspólne przetrwanie...

– Nawet mnie nie strasz! Mam nadzieję, że nie każe nam nocować w namiotach!

Poruszył głową znacząco, a ona dopiero teraz dostrzegła, że drzwi windy zaczynają się właśnie rozsuwać. W holu biurowca stał już Tusza. W dżinsach i sportowej bluzie z kapturem wydawał się jeszcze bardziej masywny niż zwykle. Obok niego okutana w popielate wełniane ponczo, z nogami obutymi w równie jak jej własne nowe kalosze stała Pola, a na ławce pod ścianą w dresie i butach sportowych rozparł się Daniel Malicki.

– Świetnie! Jesteśmy już prawie w komplecie! – krzyknął energicznie Tusza i przywołał ich gestem do siebie. – Za trzy minuty odjeżdża autobus. Miejmy nadzieję, że maruderzy się jeszcze pojawią!

Przyjrzała mu się uważnie, dbając o to, by usunąć niechęć ze wzroku. Odpowiedział spojrzeniem, uśmiechnął się szeroko i z zadowoleniem pokiwał jej głową.

– Brawo, Lena! Pierwszy raz widzę cię w butach na płaskim obcasie! Bałem się, że przybędziesz na szpilkach!

Zaśmiał się głośno, lecz w jego chichocie nie było typowej złośliwości. Był zrelaksowany, zadowolony i zwyczajnie ucieszony perspektywą wyjazdu. Tak jakby rzeczywiście planował być miły, a ekscytacja podróżą pozbawiła go zwykłej podłości.

– Wiem, że większość z was zapewne musiała wczoraj zrobić zakupy. Bardzo wszystkim przepraszam, że nie mieliście na to dość czasu. – Rozejrzał się po holu i przejechał wzrokiem po innych. – Niestety, Agata organizowała to na ostatnią minutę. Poza tym, gdybym powiedział wam wcześniej, to nie byłoby niespodzianki.

Zerknęła na Pawła, a on spojrzał na nią równie zdumiony. Co się stało?

Dlaczego Tusza zachowywał się dzisiaj w ten sposób? Czy naprawdę usiłował być miły? A może jedynie szykował podstęp i próbował osłabić ich czujność?

– Ktoś chce kawę? – zapytała nieśmiało i rozejrzała się po zebranych.

– Tak! Świetny pomysł! Skoro i tak czekamy na resztę, to przynajmniej możemy się napić! Pomogę ci ją zrobić.

Energiczny entuzjizm Rafała oraz fakt, że nie ofuknął jej za propozycję skorzystania z ekspresu, wprawiły ją w jeszcze większe zdziwienie. Podobnie jak to, że wyjął z jej dłoni walizkę, przeniósł ją w okolice wejścia i zamiast rzucić, ustawił z pietyzmem obok pozostałych.

– To co, Lena? Idziemy?

Skinęła głową i skonsternowana ruszyła za nim do umieszczonej za recepcją kanciapy. Proponując zrobienie kawy, chciała uciec przed spojrzeniami kolegów, a teraz miała wrażenie, że padła ofiarą własnej próżności.

– Jesteś podekscytowana? – spytał znowu, lecz tym razem nie oczekiwał od niej żadnej reakcji. – Ja ogromnie! Już nie mogę się doczekać! – W jego głosie brzmiał prawdziwy entuzjizm. – Strasznie jestem ciekawy, co będziecie sądzić o tym miejscu! Jest malownicze! Zwłaszcza teraz, późną wiosną! Pewnie wszędzie kwitną drzewa i mniszki! I ta zieleń! Nie pamiętam już nawet, kiedy ostatnio byłem na wsi. Czasem mi tego brakuje – czystego powietrza, przestrzeni, spokoju. Tego, że oddychasz i czujesz zapachy. Ziemi, zielska, nawozu i kwiatów. Tego wszystkiego, co w mieście zdaje się nie pachnieć. A może jest po prostu tłumione przez smród spalin i brud chodników?

Kiwnęła głową, obserwując, jak podstawiał papierowe kubki pod ekspres. Nigdy wcześniej nie widziała, aby samodzielnie robił kawę. Zawsze wydawał w tym zakresie dyspozycje, oczekując, że duża, wypełniona mleczną pianą filiżanka pojawi się przed nim niezwłocznie. Dziś jednak operował przy kubkach niby barista w Starbucksie. Z wprawą, której mogła mu jedynie zazdrościć. Umiejętność parzenia kawy nie była jednak tym, co frapowało ją obecnie najbardziej. Znacznie bardziej interesujący był fakt, że Tusza ustawicznie coś mówił. Paplał jak nakręcony. O zapachu koszonej trawy, o porannym słońcu nad wsią i o pianiu wioskowych kogutów. Przez jego głos – poza podnieceniem – przebijała ewidentna tęsknota, rodzaj sentymentu, z jakim ludzie wspominają dzieciństwo, wyidealizowaną przeszłość, w której wszystko z perspektywy czasu wydaje się ładniejsze i prostsze, bardziej zrozumiałe, autentyczne i swojskie.

Zerknęła na niego spod oka i skupiła wzrok na poruszających się wargach. Wilgotnych i pełnych niczym usta kobiety. Wydających z siebie pełne emfazy okrzyki. Jego twarz wyglądała teraz całkowicie inaczej niż zwykle. Policzki nadal były napięte, ale nie sprawiały wrażenia, jakby ktoś je napompował powietrzem. Miały w sobie ten szczególny rodzaj napięcia, który widywała u Leona w sypialni. Biorącego się z podniecenia, niekontrolowanych spazmów mięśni i wypływających

spod ekstazy uśmiechów. Tusza nadal coś mówił. O porannej orce i przyjemnym zmęczeniu, które odczuwa się w ciele po pracy. O rozsypywaniu kurom ziarna, koniczynie i odcieniu pola rzepaku. Skądś to znała. I to ptactwo karmione pszenicą, i ten odcień kwitnących koniczyn. Jeszcze chwila, a opowie o mrówkach...

Jak to się działo, że wyrzucał z siebie te zdania? Dlaczego nie potrafił ich powstrzymać? Dlaczego tak się przed nią obnażał? Owszem, miewał niekiedy pełne pobudzenia stany, w których nie potrafił dojść do końca swych przemów, bo każde wypowiedziane zdanie nasuwało mu kolejne emocje. Wówczas też perorował. W nieskończoność. O biznesie, konkurencji, sprzedaży. Używając podebranych innym słów i posiłkując się cudzymi przemyśleniami. Ale dziś jego słowotok był inny. Autentyczny, banalny, codzienny, tak jakby spodziewane na ten tydzień emocje pozbawiły go umiejętności stwarzania wokół siebie gęstej siatki pozorów. Jakby w zderzeniu z perspektywą wyprawy na wieś stał się na powrót dawnym prostym chłopakiem. Trochę naiwnym w swoich obserwacjach, nieco może egzaltowanym w zachwycie nad urodą natury, ale ujmującym i szczerym.

Uśmiechnęła się do niego, przyjęła dwa kubki z kawą i nie czekając, aż skończy wywód, wyszła z aneksu do holu. Wręczyła kubki Potockiej i Doktorowiczowi, zerknęła na Malickiego i przez szklaną witrynę biurowca zauważyła stojącego na zewnątrz Piotra. Palił papierosa i rozmawiał z jakąś zasłoniętą przez niego osobą. Chyba była to Barbara. Poczekała przez chwilę, aż poruszy się i odsłoni rozmówcę, ale tkwił w miejscu, wydmuchując w bok potężne chmury dymu i gestykulując lekko wolną ręką. Rozczarowana zawróciła w stronę wnęki z ekspresem, wzięła kolejne czekające już na nią na blacie kubki i mruknęła:

– Jesteśmy w komplecie.

Rafał kiwnął głową, nie przerywając zajęcia, a ona ponownie wyszła do holu. Miała nadzieję, że tym razem Piotr się nieco przemieścił i będzie miała szansę rzucić okiem na sportowy ubiór rozmawiającej z nim nadal Barbary. Podążyła kubek Malickiemu i nie odrywając wzroku od szklanej ściany, podeszła powoli do wyjścia. Uchyliła drzwi i przysłaniając się ich futryną, wysunęła rękę na zewnątrz.

– Cześć, Piotr! Padasz Basi kawę? Dla ciebie zaraz przyniosę.

– Baśka jeszcze nie dotarła. – Leszczyński odwrócił się do niej, wyciągnął lewą rękę po kubek i mimochodem rzucił okiem na zegarek. – Jest spóźniona.

Spojrzała na niego z niepokojem i dopiero teraz dostrzegła stojącego obok Marcina.

– Ty też jedziesz? – zapytała nerwowo, dopiero po chwili zdając sobie sprawę z kontekstu rzuconego zbyt pochopnie pytania.

– No, niestety. – Urbański uśmiechnął się do niej boleśnie. – Też uważam, że mógłby mnie już zwolnić z wątpliwej przyjemności spędzenia z nim całego tygodnia. Ale może uznał, że to nie byłoby dość eleganckie.

W jego głosie wyczuła rezygnację zmieszaną z goryczą, jakby nie miał już

siły, by sprzeciwić się Tuszy, ale równocześnie doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że kolejne dni będą dla niego nieprzerwanym pasmem udręki. Może przewidywał, że Rafał postanowił się zabawić jego kosztem, a może zwyczajnie przebywanie w pobliżu prezesa było obecnie najbardziej przygnębiającą perspektywą, jaką był sobie w stanie wyobrazić.

– O, jest Baśka! – Leszczyński przerwał rozmyślenia Leny i pokazał na biegnącą w ich stronę Tomaszewską.

Zerknęła na koleżankę, oceniła jej wygląd i uspokojona zawróciła truchtem do Tuszy. Niepotrzebnie się martwiła. Baśka wyglądała równie kuriozalnie jak ona. Ubrana w mężowską bluzę z kapturem, sprane i nieco zbyt obcisłe džinsy, wciąż odbijające światło nowe sportowe buty oraz naciągniętą na głowę bejsbolówkę bardziej niż siebie przypominała próbującą się ukryć przed tłumem paparazzich gwiazdę filmową. Jej opuchnięta od wczesnej pobudki pozbawiona makijażu twarz była popielata i rozmyta bladością. Bez stworzonych kredką brwi oraz nadającego oczom wyrazistości tuszu do rzęs wyglądała niezdrowo. Bardziej nawet trupio niż ona. No cóż, obie były przecież w tym wieku, gdy pokazywanie się światu bez grubego laserunku na twarzy stanowiło akt bezprecedensowej odwagi. Większej nawet niż opięcie cycków swetrem pożyczonym od syna.

Dotarła do aneksu, złapała dwa kolejne kubki i kiwnęła głową Rafałowi, który – uzbrojony w dodatkowe dwie kawy – wyminął ją i wyszedł na zewnątrz.

– Świetnie! Znakomicie! – zakrzyknął, wyszedł z napojem przed budynek, po czym skłonił się z galanterią przed Baśką. – Basiu, to dla ciebie! Zupełnie nie rozumiem, jak Lena mogła zacząć od mężczyzn.

Zerknął znacząco na zegarek, dając Tomaszewskiej do zrozumienia, że jej spóźnienie nie uszło jego uwagi, po czym ruszył w kierunku busa, wołając do nich przez ramię:

– No! Raz-raz! Pan kierowca nie będzie dłużej czekał!

Zatrzymał się przy samochodzie, zastukał w okno i gdy szofer otworzył drzwi, podał mu kubek z kawą.

– Wsiadamy! – krzyknął zniecierpliwiony i popędził ręką wszystkich wychodzących ze środka. – Bagaże na tył!

Malicki oderwał się od ekipy i z wyraźną nadgorliwością pobiegł do auta. Wsiadł pierwszy, przepchnął się do ostatniego rzędu foteli i rzuciwszy sportową torbę na siedzenie, zajął miejsce przy oknie. Za nim do środka zaczęli wchodzić kolejni: Piotrek, Baśka i Pola. Rozejrzała się nerwowo, odszukała Urbańskiego wzrokiem i bezceremonialnie wcisnęła mu kubek do ręki.

– Marcin, twoja kawa – sapnęła histerycznie, po czym przeszła do środka.

– Lena! Lena! – głos Doktorowicza wyhamował ją i sprawił, że ponownie odwróciła się w kierunku busa. – Mam twoją walizkę!

Skinęła mu głową z wdzięcznością i ruszyła za resztą pasażerów do

samochodu. Gdy dotarła, wszyscy byli już w środku. Tusza zajmował miejsce na przodzie, praktycznie na poziomie kierowcy. W jego dłoni dostrzegła mikrofon. Minęła szefa, zrobiła kilka kroków i rozejrzała się ostrożnie po wnętrzu. W ostatnim rzędzie siedział tylko Malicki. Pozostała część tylnych foteli wypełniona była górą bagaży. Przed Danielem, zbite niczym kury na grzędzie, siedziały Basia i Pola, a po drugiej stronie przejścia rozpierał się wygodnie Leszczyński. Do wyboru pozostały jej tylko dwa miejsca: obok Doktorowicza, który zachęcająco kiwał do niej ręką, oraz przy Marcinie. Zawahała się tylko przez moment. Paweł byłby zapewne lepszym towarzyszem podróży, lecz pozostawienie Urbańskiego samego wydawało jej się nie w porządku.

– Pogadam chwilę z Marcinem – wyjaśniła Pawłowi, odpowiadając na jego gesty zachęty.

W oczach Doktorowicza pojawił się cień zrozumienia.

– No dobrze, moi mili, ruszamy! – wzmocniony mikrofonem głos Rafała wypełnił samochód. – Jest piąta pięć. Na dziewiątą będziemy na miejscu.

Na dziewiątą? Zerknęła z przerażeniem na Urbańskiego, a on wzruszył ramionami i uniósł brwi w bezradności. Cztery godziny jazdy oznaczały, że przez tydzień nie będzie powrotu. Nie mogli liczyć na to, że uda im się wyrwać do domu na wieczór, zadzwonić po taksówkę, poprosić domowników, aby odebrali ich wcześniej z imprezy.

– Zastanawiacie się pewnie, dokąd jedziemy. Nie powiem wam tego teraz, bo nie byłoby niespodzianki. – Tusza zaśmiał się jowialnie, wychylił się z miejsca i zlustrował twarze za sobą. – Widzę na obliczach niepewność! Moi mili! Więcej wiary! Będzie świetnie, zobaczycie! – Zarechotał ponownie. – Mamy przed sobą długie cztery godziny. Szkoda by je było zmarnować, proponuję zatem, abyśmy wykorzystali ten czas nie na drzemkę, ale na coś, co scementuje nasz zespół. Czy ktoś z was ma jakąś propozycję, czym możemy się zająć po drodze?

Rafał ponownie nachylił się w stronę przejścia, a ona z ulgą stwierdziła, że miejsce przy Urbańskim miało swoje zalety. Siedzieli bezpośrednio za Tuszą, co sprawiało, że wychylając się ze swojego siedzenia, nie widział ich twarzy. Marcin miał najlepiej – wystarczyło, by obsunął się lekko w fotelu, a całkowicie zniknął mu z pola widzenia. Ona sama załapywała się częścią ciała do kadru, ale i tak była niezłe ukryta. Gdyby usiadła przy Pawle, przez całą drogę wzrok Rafała koncentrowałby się głównie na niej.

– Nikt? Nikt nie ma żadnego pomysłu?

Tusza nastawał, więc ryzykując, że ją dostrzeże, odwróciła się lekko w fotelu i rzuciła okiem do tyłu.

– Naprawdę nikt? Może Pola? To przecież była twoja koncepcja.

Wyrwana do odpowiedzi Potocka podniosła się i pochyłona lekko rozejrzała się niepewnie po twarzach.

- Może ustalimy zasady? – wydukała w końcu niepewnie.
- Zasady?
- Tak. – Zaczerwieniła się aż po czoło. – Kontrakt. Rodzaj dżentelmeńskiej umowy, która będzie obowiązywać nas wszystkich przez cały czas wyjazdu...
- Świetnie! Znakomicie! – Tusza uklęknął w fotelu i skierował twarz w stronę reszty. – Brawo, Pola! Jaką zasadę proponujesz na otwarcie dyskusji?
- Potocka pokręciła się w miejscu.
- Może... – zaproponowała nieśmiało – że będziemy wobec siebie szczerzy, otwarci oraz zawsze gotowi, by pomóc?
- Bardzo dobrze! – Tusza sprawiał wrażenie autentycznie zadowolonego. – Czy ktoś ma coś przeciw temu?
- W busie panowała kompletna cisza.
- A zatem mamy pierwszą klauzulę kontraktu! Szczerość, otwartość oraz gotowość pomocy! Basiu? Chciałabyś może coś dodać?
- Tomaszewska poruszyła się niespokojnie i zerknęła z obawą na Polę. Tamta kiwnęła lekko głową, uniosła rękę i opierając ją na zagłówku umieszczonego tuż przed nią fotela, sprawiała przez moment wrażenie, jakby próbowała podpowiedzieć coś szeptem.
- Pola! Nie podpowiadaj! – Tusza rozszyfrował jej zachowanie i zaśmiał się wyjątkowo tubalnie. – Basia sobie na pewno poradzi. Wszyscy dążymy do tego samego celu. Każda osoba w tym busie pragnie, by ten wyjazd okazał się owocny, sensowny i miły. Nie chcemy tracić czasu, nieprawdaż? A zatem, Basiu?
- Tomaszewska siedziała teraz czerwona niczym wywołana do odpowiedzi uczennica, która nie odrobiła zadania. W jej oczach widoczny był popłoch, usta składały się w wąską linię, a zaciśnięte na podłokietnikach palce stawały się coraz bielsze.
- Widzę, że Basia potrzebuje więcej czasu. Czy ktoś chciałby ją teraz zastąpić?
- Poczwała, że ogarnia ją wściekłość, i wychyliła się gwałtownie z fotela.
- Ja bym chciała zaproponować, że będziemy się traktować z szacunkiem – rzuciła dobitnie, odwracając się twarzą do reszty.
- Brawo, Lena! Świetnie! A zatem wzajemny szacunek. Czy chciałabyś to jakoś rozwinąć?
- Tak! – warknęła, nie mogąc zapanować nad gniewem. – Chciałabym, abyśmy traktowali się jak dorośli. Z poszanowaniem dla cudzych poglądów, ograniczeń, wieku, płci oraz wyglądu. Żeby nikt w tym gronie nie był stygmatyzowany z żadnego powodu. Nie jesteśmy w przedszkolu, lecz w pracy. Każdy z nas jest wartościowy. Każdy jest cenny dla firmy. Od każdego można się czegoś nauczyć...
- Dobrze, już dobrze – przerwał jej w pół zdania, zniecierpliwiony

gorliwością przemowy. – A zatem, moi mili, szanujemy się. Niezależnie od płci, wieku, defektu. Wszyscy za? No, ja myślę! Zwłaszcza Daniel powinien propozycję docenić...

Zamknęła oczy, mając wrażenie, że się przesłyszała. Czy on pił do orientacji Daniela? Czy przeinaczył jej słowa i odsunął ich ostrze od siebie? Czy nie wyraziła się wystarczająco dobitnie, wytykając mu metody przedszkolne?

– Dziękuję, Leno! – głos Malickiego dotarł do niej z ostatniego rzędu foteli. – To naprawdę znakomita zasada. Ja od razu poczułem się lepiej.

– Akurat nie ciebie miałam, Danielu, na myśli – wstała z fotela i syknęła złośliwie do tyłu. – Ale, oczywiście, masz rację: twój homoseksualizm nie powinien być powodem uprzedzeń. Podobnie jak moja płć oraz wiek.

– Nie sądziłem, że masz tak wielkie kompleksy – Malicki skrzywił się w odpowiedzi.

– Myślę, że każdy ma – odcięła się i opadła na fotel. – Co za palant! – szepnęła do Urbańskiego.

– Kto? Malicki czy... – Poruszył nieznacznie podbródkiem, pokazując na fotel przed sobą.

– Obaj. – Przewróciła znacząco oczami.

– Leno? Chciałabyś jeszcze coś dodać? – Rafał przechylił się przez oparcie i przyłapał ją na grymasie.

– Nie, dziękuję, Rafale. Myślę, że wyczerpaliśmy temat.

– Nie mam takiego wrażenia. Przeciwnie, wydaje mi się, że kwestia wzajemnego szacunku wciąż jeszcze wymaga od nas uwagi. Czy nie uważasz na przykład, że stosowanie nieuprzejmych określeń w odniesieniu do kolegów z zespołu, może być oznaką całkowitego braku respektu?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się do niego złośliwie. – Podobnie jak naśmiewanie się z nich, traktowanie niczym gówniarzy, imputowanie im wad oraz przedstawianie osiągnięć w sposób, który wyraźnie deprecjonuje ich pracę. Temat wzajemnego szacunku rozciąga się również na poszanowanie prywatności kolegów. Ich prawa do życia osobistego, do intymności, do utrzymywania pewnych aspektów życia w sekrecie.

– Postulujesz zatem, abyśmy okazywali sobie taki właśnie, szeroko rozumiany szacunek? – Rafał spojrział na nią spod oka.

– Tak, dokładnie o to mi chodzi.

– Świetnie! Znakomicie! – Tusza uniósł rękę i w geście cezara zwrócił się do reszty: – A zatem, moi mili, nie podglądamy się pod przysznice! Respektujemy swoją intymność. Nie naśmiewamy się z siebie. Nawet wówczas, gdy któreś z nas będzie nieporadne lub głupie. Musimy to uszanować. – Jego palec wskazujący uniósł się jeszcze wyżej. – Oczywiście w myśl tego, co zaproponowała wcześniej Pola, możemy o tym mówić otwarcie oraz oferować swoją pomoc niedoładzie. Ale

zawsze z odpowiednią estymą. – Zawiesił głos i przez chwilę milczał, jakby chciał, aby wszystko, co wcześniej powiedział, odpowiednio wybrzmiało.

Uniosła wzrok i spojrzała nienawistnie na jego podbródek. Jak mogła się dać tak podpuścić? Jak mogła się tak strasznie wystawić? Podszedł ją, bo przez moment zobaczyła w nim prostego, pozbawionego dwuznaczności faceta, zadowolonego z perspektywy wyjazdu i otwarcie cieszącego się, że po latach znów wybiera się na wieś. Idiotka! Powinna wiedzieć, że był wytrawnym aktorem. Znała go przecież i wiedziała, że był zwykłym skurwielem! Dlaczego zapomniała o tym, kiedy tylko zniknął jej z oczu? Dlaczego nie potrafiła wykrzesać z siebie trwającej dłużej niż dobę niechęci? Dlaczego jej nienawiść była tak krótkotrwała? Może powinna zacząć nad tym pracować? Postarać się bardziej? Skupić na tym uczuciu i uczynić z niego azymut?

– Zatem Basia! – Tusza znowu zaryczał w mikrofon. – Z pełnym poszanowaniem twojego wcześniejszego wahania pytam cię teraz ponownie: co od siebie chciałabyś dodać? Oczywiście, jeśli nie wiesz, to nie będę naciskał. Zaakceptuję to i przekażę ci szczerze rozczarowanie.

– Myślę, że warto, abyśmy byli na sobie skupieni... – nieśmiały głos Tomaszewskiej zamarł niepewnie w powietrzu. – No, wiecie... żebyśmy nie bujali myślami w obłokach, nie zagłądali ustawicznie do komórek, nie wracali w rozmowach do pracy. Jeśli dobrze rozumiem intencję, to ten wyjazd ma na celu integrację naszego zespołu...

– Brawo, Basia! – Tusza zakrzyknął z emfazą, a ona poczuła, że robi jej się niedobrze.

Ile razy chciał to jeszcze powtórzyć? Za każdym razem zamierzał puentować ich wypowiedzi tym tym afektowanym stwierdzeniem? Brawo, Lena? Brawo, Basia? Co to, do cholery, znaczyło? Może od razu – zamiast się nimi protekcyjnie zachwycać – zawołały: „Brawo, Rafi!”? Ostatecznie przecież o to chodziło! Chwaląc ich niczym nauczyciel w przedszkolu, ukazywał im własną przewagę, intelektualną przepaść, jaka jego zdaniem istniała pomiędzy nim – wszechmogącym prezesem – a przygłupią i wymagającą zachęty czeredą. Byli tu w gronie doświadczonych, wyrobionych liderów, których on śmiał wrywać do odpowiedzi, wskazywać palcem, rozstawiać jak sztubaków po kątach! Może rzeczywiście ich wypowiedzi naszpikowane były banałem. Ale czy temat tej kretyńskiej, moderowanej przez Rafała rozmowy nie narzucał, by mówili truizmy? Co innego można było powiedzieć? Jakich słów oczekiwał? Co za bęcwał! Przez jego perwersyjną metodę przesłuchań każda cnota wydawała się płaska i głupia. Nawet wyższe wartości wyglądały teraz na naiwne bądź śmieszne.

Wciągnęła głośno haust powietrza i czując, że nie wytrzyma dłużej, zacisnęła dłoń na torebce. Nie zniesie tego! Nie wytrzyma ani jednej minuty! Musi wysiąść! Zaraz, natychmiast! Nawet jeśli miałby ją za to wywalić!

Wstała gwałtownie z fotela, zmierzyła go wzrokiem i otworzyła usta, aby zażądać, by kierowca zatrzymał samochód. Nie zdążyła. Silne szarpnięcie zachwiało ją niebezpiecznie i rzuciło ponownie na fotel. Rozejrzała się ze zdumieniem, szukając powodów tej nagłej turbulencji na drodze. Zerknęła przez okno i kątem oka przechwyciła spojrzenie Marcina. Patrzył na nią, zaciskając równocześnie pięść na jej swetrze. Miękka granatowa dzianina naciągała jej się na piersiach, a dekolt stracił zwykłą symetrię.

– Siedź, nie wstawaj – patrzył na nią, ale mówił w stronę Tuszy. – Ja mam wodę. Zaraz ją wygrzebię z plecaka.

Puścił jej sweter i omijając podejrzliwe spojrzenie Rafała, pochylił się nad podłogą. Zajrzała mu przez ramię i czekała przez moment, aż Tusza przestanie im się gapić na ręce. Kiedy usłyszała, że znów pokrzykuje w mikrofon, spuściła ponownie wzrok i zmierzyła nim uważnie Marcina. Nadal jeszcze poszukiwał czegoś w plecaku. Jego oczy były skupione, skóra na twarzy napięta, a na czole błyskała mu wilgoć. Krótkie włosy ciągle były w porannym nieładzie, ale zamiast przypominać jej syna, skojarzyły się obecnie z kimś innym. W połączeniu z bladą cerą, parą siny obwódka przy oczach oraz wypełniającym pory potem tworzyły obraz uciekającego przed oprawcą bohatera horroru. Potrząsnęła głową w próbie odpędzenia tej myśli, ale ta powróciła po chwili. Nachalnie wypełniała jej umysł, podsuwając kolejne makabryczne widoki. W odpowiednio skonstruowanym horrorze Tusza byłby niewątpliwie mordercą. Wywiózłby ich na jakieś odludzie, by – wypuściwszy w lesie – rozpocząć śmiertelną rozgrywkę. Polowanie na jedno po drugim.

– Chryste! – jęknęła pod nosem, nie zważając na to, że Rafał mógł ją znowu usłyszeć.

Urbański zerknął na nią i zamiast podać jej obiecaną butelkę wody, podsunął jej wnętrze plecaka. W środku na pomiętym wydruku z bankomatu namazana była jakaś wiadomość. Uniosła brwi, spojrzała na niego, po czym, zachęcona skinieniem, nachyliła się, by odcyfrować dwa zdania.

Nie rób głupot. To zwyczajny imbecyl.

Uśmiechnęła się do Marcina i poczuła, że napięcie odpływa. To nie był żaden horror, lecz farsa. Śmieszny mały człowiek prężył się przed nimi jak sztubak. Napinał mięśnie w próbie zaimponowania im siłą, gdyż nie potrafił się zdobyć na więcej. Nie mógł wywrzeć na nich wrażenia intelektem, charyzmą, obyciem. Nie mógł sprawić, że go nagle polubią. Co najwyżej mógł ich szantażować perspektywą zwolnienia. Ta taktyka działała, owszem, ale tylko do pewnego momentu. Gdy przesadzał, traciła skuteczność. To dlatego musiał zmieniać obiekty ataków. To dlatego im czasami odpuszczał. I dlatego dzisiaj zrobił im kawę. Doskonale wiedział, że zatrzyma ich wyłącznie dopóty, dopóki zachowa ten balans.

Gdyby nagle zbyt dokręcił im śrubę, to na pewno solidarnie by wyszli. I to nie byłby ich koniec, lecz jego. To on wówczas zostałby z niczym. To on musiałby się wszystkim tłumaczyć. Pracownikom, kontrahentom, dostawcom. Konkurencji, którą tak bardzo pogardzał, oraz dziennikarzom z miesięczników branżowych. Tak, miałby kłopot.

Złapała Urbańskiego za rękę i ścisnęła mu znacząco nadgarstek. Miał pełną rację; nie powinni się byli przejmować.

Rozluźniła się, opadła głębiej w fotelu i wyjrzała przez okno na zewnątrz. Wyjechali już z miasta i pędzili autostradą na zachód, lecz nie była w stanie stwierdzić, jak daleko od stolicy już byli. Krajobraz nie podpowiadał niczego. Migające zagajniki, dalej pola. Czasem odgrozione płotami z pleksi domy. Zerknęła na zegarek i ze zdumieniem stwierdziła, że dochodziła już siódma. Musieli być znacznie dalej, niż do tej pory sądziła. Ile kilometrów mogli pokonać? Dwieście?

Rozejrzała się dookoła i dopiero teraz zauważyła, że Tusza zakończył nauczycielskie popisy, a siedzący po przeciwnej stronie przejścia Doktorowicz drzemał z głową opartą o szybę. Uniosła się lekko i rozejrzała po tyle minibusa. Malicki miał zamknięte oczy, a w uszach słuchawki. Dziewczyny przed nim szeptały coś do siebie, a rozparty w poprzek siedzenia Leszczyński gapił się bezmyślnie przez okno. Wyprostowała się, sięgnęła do torebki i po krótkiej chwili odnalazła w jej wnętrzu iPhone'a. Odblokowała telefon, dotknęła czubkiem palca ikonę i przez krótką chwilę czekała, aż mapa zaktualizuje ich położenie. Niebieska strzałka zamigłała na żółtej nitce drogi, ale wokół nie pojawiły się żadne napisy. Ściągnęła mapę, przeczytała nazwy okolicznych miasteczek i nie rozpoznawszy żadnej, przełączyła się szybko na pocztę. Poza codziennymi newsletterami oraz zaproszeniem na konferencję branżową nie miała nowych maili.

– No tak. Siódma rano – szepnęła sama do siebie i schowała komórkę do torby.

Zamknęła oczy i poczuła pod powiekami pieczenie. Zdecydowanie powinna się przespać. Ziewnęła, skuliła się w sobie i zaczęła robić ćwiczenia oddechowe, które zwykle pomagały jej zasnąć. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Wdech. Doliczyła do siedmiu, po czym ostatecznie straciła rachubę.

Piotr

Obudziło go nagle szarpnięcie. Samochód zatrzymał się, a niespokojny szmer w jego wnętrzu jednoznacznie obwieszczał, że właśnie dojechali na miejsce. Przetarł oczy, wyjrzał przez okno na zewnątrz i wzdrygnął się pod wpływem widoku. Przed nim rozciągało się gumno. Kilka drewnianych zabudowań, z których jedno wyglądało na zamieszkaną, dwie małe szopy bez okien, nieotynkowany prostokątny budynek z pustaka oraz wyższa od wszystkiego wokół stodoła. Pomiedzy nimi wydeptane klepisko, buda, przed którą leżał pozbawiony psa kawałek łańcucha, oraz rzucone w nieładzie narzędzia rolnicze. Jakieś łopaty, grabie, motyki. Chuj wie, co jeszcze.

– Grubo – mruknął pod nosem i zauważywszy, że inni zaczęli wysiadać, podniósł się powoli z siedzenia.

Tusza już wyszedł na zewnątrz i przeciągając się, demonstrował wszystkim swój zachwyty. Pola rozglądała się niepewnie, jakby po raz pierwszy znalazła się na wsi, a Doktorowicz, wyskoczywszy niezgrabnie na błoto, uśmiechał się cynicznie pod nosem. Przepuścił Malickiego, który z przewieszoną przez ramię torbą paradował właśnie do wyjścia, i zniechęcony zaczął szukać swojej walizki na stosie. Dostrzegł elegancką skórzaną kabinówkę Leny i zmienił zdanie. Nie było do czego się śpieszyć. Równie dobrze, jak tkwić teraz w błocie, mógł się zająć wyładunkiem bagaży. Złapał dwie najbliższe torby i powoli zaczął je wynosić na zewnątrz. Dotarł do drzwi, zerknął na rozciągający się wokół szlam i zamiast podać dziewczynom należące do nich walizki, ustawił je przed sobą na stopniu.

– Stawiam tutaj, żeby się nie zabrudziły – mruknął cicho w kierunku Leny.

Kiwnęła głową i z wyraźnym przerażeniem zerknęła na swoje kalosze. W zasadzie to powinna się cieszyć. Obie z Polą były zdecydowanie lepiej przystosowane do tutejszych warunków niż cała reszta ekipy. Zwłaszcza Daniel – w kolorowych butach do biegania, które teraz do połowy nurzały się w błocie.

Wrócił na tył samochodu i zaczął przenosić do przodu kolejne bagaże, zastanawiając się, do kogo mogła należeć wielka czarna torba, której ciężar niemal wyrwał mu rękę. Nie zauważył jej wcześniej, więc zapewne była własnością Rafała. Potrząsnął nią delikatnie, usiłując sprawdzić w ten sposób zawartość, ale umieszczone w jej wnętrzu przedmioty nie wydały żadnego odgłosu. Wzruszył ramionami i z trudem ją przepchnął do przodu.

– Brawo, Piotr! – Tusza dostrzegł jego starania i klasnął w ręce, dając innym sygnał, aby również zaczęli bić brawo.

Skrzywił się lekko i uciekł do środka. Lena miała rację. To już nie było przedszkole, lecz żłobek. Piaskownica dla raczkujących niemowląt.

Porwał ostatnią, należącą do niego torbę, wrócił do wyjścia i przekraczając

stojące na progu busa bagaże, wyskoczył sprawnie na zewnątrz. Tusza prężył się teraz, rozciągał szeroko ramiona i zachwycił się krajobrazem. Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów i zapalając, rzucił okiem we wskazywanym przez Rafała kierunku. Kilka metrów od nich zaczynało się pole. Pokryte gęstą, sięgającą kolan kukurydzą ciągnęło się aż po horyzont. Płaskie i rozległe. Nieprzerywane ani jednym dachem czy drzewem. Przeróżające w swoim bezkresie. Wzdrygnął się lekko i odwrócił twarz w stronę budynków. Nie były zrujnowane, lecz z pewnością zapuszczone i stare. Z ich układu zgadywał, że drewniany dom na obrzeżu był mieszkaniem gospodarzy. Murowana hala była na to zbyt duża. Zresztą w jej oknach nie dostrzegał zazdrostek, jedynie symetryczne pręty krat. To musiała być stajnia lub chlewik. Miejsce przechowywania najcenniejszych dla rolników zasobów. Pociągnął nosem i sam sobie przytaknął kiwnięciem. Świnie. Charakterystyczny zapach ich gnoju. Zupełnie inny niż ten, który wyczuwało się w oborach lub stajniach. Słodkawo-mdły, pełen amoniaku, wskazujący wyraźnie, że mieszkanki chlewika nie dostawały prebiotyków ograniczających wydzielanie fetoru. Wzdrygnął się lekko i ponownie zaciągnął się dymem. Zapach palonego tytoniu był znacznie bardziej przyjemny niż unoszący się wokół odór świńskich odchodów.

– To nie wygląda na gospodarstwo agroturystyczne. – Paweł stanął tuż przy nim, po czym wyjął własną paczkę marlboro.

– Widzę, że wróciłeś do palenia na serio – skomentował gest kolegi z uśmiechem i wydobyl z kieszeni zapalki.

– Pomyślałem dziś rano, że w tym tygodniu będę potrzebował znieczulenia, więc kupiłem kilka paczek na stacji benzynowej. Do tego trzy flaszki wódki.

Doktorowicz zaśmiał się cicho, a on kiwnął głową i w duchu przyznał mu rację. Gdyby wcześniej o tym pomyślał, to zabrałby przynajmniej piersiówkę.

– Nie, to nie wygląda na gospodarstwo agroturystyczne – zgodził się po chwili milczenia i raz jeszcze rozejrzył się dookoła. – Boję się myśleć, jak dziewczyny zniosą to wszystko.

– Dziewczyny? – Jasne brwi Pawła uniosły się gwałtownie, a na czole pojawił się szereg równoległych poziomych zmarszczek. – Stary, ja się martwię o siebie! Zdarzało mi się jeździć na wakacje pod namiot, ale zawsze z własnym śpiworem!

Rzucił niedopałek w kałużę i przyjrzał się Pawłowi z namysłem. Może miał rację i Tusza zaplanował, że będą wszyscy spali w stodole? Nie, to niemożliwe. Może przed laty mógłby jeszcze wpaść na ten pomysł, ale z pewnością nie teraz. Nie po tym, jak zamieszkał w rezydencji z basenem. Nie przy jego obecnej zażyłości z gabinetami odnowy biologicznej, kosmetyczkami oraz specjami od chirurgii plastycznej. Był na to zbyt wydelikacyony. Zbyt zepsuty dobrobytem i zdecydowanie nazbyt wygodny.

– Niemożliwe. – Pokręcił głową raz jeszcze.

– Mam nadzieję. – Doktorowicz skrzywił się, spojrział na trzymany w dłoni niedopałek i również rzucił go w błoto. – Straszne świństwo. Odzwyczałem się już od tego.

– Chodź, idziemy.

Pociągnął go za rękaw w stronę zbitych w ciasną grupkę koleżanek, które szamotały się z bagażami. Tusza odszedł już od samochodu i w towarzystwie Malickiego maszerował w stronę budynków. Kilka kroków za nimi, objuczony plecakiem i pochylony do ziemi, wolno przemieszczał się Marcin.

– Lena, daj to.

Wyjął Letyckiej walizkę z dłoni i zauważywszy, że Paweł ma torbę na ramię, pozostawił mu do niesienia bagaże pozostałych dwóch kobiet.

Letycka westchnęła z ulgą i ruszyła za nim pospiesznie. Jej przywierające do błota podeszwy charakterystycznie mlaskały, a sposób, w jaki stawiała nogi, wskazywał wyraźnie, że kalosze były na nią za duże. Uśmiechnął się lekko, a ona spostrzegła jego rozbawienie i też odpowiedziała uśmiechem.

– Nie było mojego rozmiaru, a wolałam takie niż żadne.

– Bardzo mądrze. Na wieś najlepsze są gumofilce. – Zachichotał pod nosem, widząc kątem oka, jak ślizga się po powierzchni. – Uważaj, nie przewróć się! – ostrzegł ją, gdy zaczęła niebezpiecznie balansować na mazi. – Podejrzewam, że to, co masz pod stopami, to nie tylko błoto...

Złapała go za łokieć i sapnęła, więc zatrzymał się na moment i poczekał, aż odzyska równowagę.

– Powoli – zaordynował. – Nigdzie nam się nie spieszy.

Skrzywiła się w odpowiedzi i wzrokiem pokazała mu stojącego już w progu domu Rafała. Machał energicznie w ich stronę, dając do zrozumienia, że powinni się pospieszyć.

– Pieprzyć to – mruknął, pochylił głowę i zaczął się wolno posuwać do przodu. – Nie wylądujemy w gnoju tylko dlatego, że na nas macha. Niech sobie macha. Zwolni nas, bo za wolno idziemy?

Kątem oka zauważył jej uśmiech.

– Raczej nie – przyznała. – Ale i tak pochylasz głowę, kiedy to mówisz. I zniżasz głos...

Zwolnił jeszcze bardziej, pozwolił, by pozostali ich wyprzedzili, i gdy w końcu ich plecy odgrodziły go szczelnie od Tuszy, podniósł głowę, spojrział na Lenę i nie ukrywając przed nią swej miny, powiedział bardzo wyraźnie:

– Nie chce mi się z nim gadać.

Uśmiechnęła się znowu, skinęła do niego w milczeniu i gdy był już pewien, że nie skomentuje tego w ogóle, w końcu odezwała się cicho:

– Masz absolutną rację. Mnie też się z nim nie chce rozmawiać. Każdy

kontakt z tym człowiekiem doprowadza mnie do rozstroju. Tylko, niestety, ja nie potrafię się zamknąć. Za każdym razem obiecuję sobie, że już więcej niczego nie powiem, i za każdym razem kończę tak samo: wyrwam się, staję w czyjejs obronie albo zwyczajnie nie jestem w stanie znieść jego toku myślenia. Po prostu muszę. Muszę coś powiedzieć, muszę się odciąć, muszę mu jakoś odpysknać...

– Dajesz się zbyt łatwo podpuszczać. To dziecinne. Jestem pewien, że stać cię na więcej.

– Może... – westchnęła bez przekonania, a on dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przed chwilą sam zabrzmiał niemal jak Tusza.

– Nie w takim kontekście mówiłem... – zaczął się nerwowo tłumaczyć. – Nie miałem zamiaru ci dopieć. Ja naprawdę tak myślę. Pozwalasz mu sobą manewrować. Drażni cię, więc reagujesz jak nastolatka zbuntowana przeciwko rodzicom. Nie potrafisz odpuścić, a właśnie o to mu chodzi. Ma z tego satysfakcję i bekę. Delektuje się myślą, że ponownie cię zdołał rozdrażnić. A przecież kiedy słyszysz, jak ktoś inny plecie androny, to nie reagujesz aż tak alergicznie. Potrafisz to zignorować. Obrócić w żart albo zwyczajnie przemilczeć. Tylko Rafał wyzwała w tobie to nadpobudliwe, agresywne dziewczątko, którym w gruncie rzeczy nie jesteś. I właśnie dlatego uważam, że stać cię mimo wszystko na więcej.

Sapnął, zadziwiony tym, że zdobył się nie tylko na to, aby porozmawiać z Letycką, ale również by pomówić z nią szczerze. Lena miała słuszość: był tchórzem. Nie potrafił odszczeknąć się Rafałowi. Tłumaczył sobie, że nie robi tego, bo nie widzi sensu, aby kopać się z koniem, ale w rzeczywistości bał się konfrontacji z prezesem. Nie umiałby jak Paweł stanąć w obronie Marcina. Nie potrafiłby się przeciwstawiać jak Lena. Za bardzo sobie cenił komfort. Mógł udawać, że było inaczej, lecz w zasadzie tylko o to chodziło. O spokój, bezpieczeństwo, ciepłko. Na myśl, że musiałyby szukać nowej pracy, robiło mu się niedobrze. Przechodzenie przez rekrutację byłoby równie upiorne jak pierwsze randki z kobietą. Opowiadanie o sobie, pokazywanie lepszego profilu, wymiana grzeczności, uśmiechów, uścisków. Dramat. A potem pierwsza faza docierania się. Poznawanie osób, procesów i zasad, wykazywanie się w nowym miejscu, udowadnianie innym, że ciągle jest się jeszcze coś wartym. Niekończące się miesiące koszmaru.

Wzdrygnął się na myśl, że mogłoby go czekać to wszystko. Z dwojga złego wolał już Tuszę. Sinusoidę jego nastrojów, której przez lata udało mu się w końcu nauczyć. Faza maniackalna i depresyjna. Okres pobudzenia i nieuchronnie nadchodzący po nim spadek nastroju. Tygodnie wypełnione tubalnym śmiechem i niewybrednymi, prostackimi żartami, a później zamknięcie się w sobie. Poszukiwanie tropów, dowodów i ofiar, ustawiczna podejrzliwość i przekonanie, że wszyscy przeciw niemu knują. Siana wokół groza, seria nieprzewidywalnych zachowań. I znowu powrót do formy. Nagłe zaangażowanie się w pracę, wzrost

energii, napływ nowych, czasem wręcz genialnych pomysłów. I tak w kółko. W typowym cyklu dwubiegówki.

– A co ty, Piotrusiu, jesteś taki posepny? – pełen udawanej troski głos prezesa wyrwał go z zamyślenia. – Nie martw się, twoja pani poczeka. To tylko tydzień. Na pewno cię w tym czasie nie zdradzi.

– Nie o tym myślałem. – Podniósł wzrok i przejechał nim po Malickim, który dołączył do rżenia Rafała. Daniel umilkł. – Zastanawiałem się nad naturą chorób psychicznych. – Przesunął spojrzenie na Tuszę, starając się bardzo, by nie uciec wzrokiem do dołu.

– Ho, ho! Poważna sprawa! Opowiesz nam w szczegółach wieczorem. – Rafał odwrócił się w kierunku mrocznego przedsionka i zachęcił ich gestem, by weszli. – Oto nasz wspólny przybytek. Właściciele wyprowadzili się z domu na tydzień, by zapewnić nam pełną intymność.

Na środku połączonego przejściem z małą kuchnią pokoju stał duży drewniany stół otoczony ośmioma stołkami. W kącie, nakryty wydzierganą na szydełku narzutą tkwił fotel, obok kredens, dalej bielizniarka i ława. Przez drzwi prowadzące do dwóch sąsiednich izb widać było zasłane starannie szerokie łóżka o rzeźbionych wezłowiach, sprawiających wrażenie, że wykonał je jakiś lokalny rzemieślnik.

– Przytulnie, prawda? – Tusza spojrział na nich z uśmiechem. – Zanim przystąpimy do omawiania planu pobytu oraz rozdysponowywania miejsc przeznaczonych do spania, chciałbym z wami coś jeszcze ustalić.

Przesunął się nieznacznie wzdłuż ściany, przeszedł za plecy Pawła i nad jego ramieniem zlustrował twarze kolegów. Pola rozglądała się uważnie dokoła, Baśka zerkała z niepokojem do kuchni, a Marcin, zrzucawszy z ramion plecak, opadł ciężko na ławkę pod oknem. Malicki uśmiechał się bardzo szeroko, lecz w jego oczach czaiła się teraz niepewność. Twarz Leny nie była widoczna, ale z pochylenia jej głowy zrozumiał, że to miejsce nie przypadło jej specjalnie do gustu. Nic dziwnego. Pokój był sprzątnięty, lecz nawet stąd można było dostrzec obrastające kuchnię ślady przypalonego oleju, a może raczej smalcu, na którym gospodyni smażyła niezliczone kotlety, pozwalając, aby odpryski tłuszczu osiadały na podtrzymującym garnki ruszcie i zmieniały się z czasem w czarne błyszczące narośle. Szyby w oknach były przykurzone i upstrzone kropkami, co do których miał pewność, że stanowią odchody owadów. Wystarczyło przenieść wzrok nieco dalej, aby dostrzec, że emaliowany zlew w kuchni w kilku miejscach był obity, a jego wewnętrzne ścianki dawno już utraciły swą biel. Były żółtoszare, matowe, z rozpełzającymi się z wgnieceń liszajami czarnej pleśni, typowej dla zapuszczonych łazienek. No właśnie, łazienka. Gdzieś tutaj musiała chyba się skrywać? Rozejrzał się, lecz poza drzwiami, które już wcześniej zobaczył, żadne dodatkowe wejście nie było z jego miejsca widoczne. Może i lepiej, bo po tym, co

do tej pory zobaczył, konfrontacja z toaletą mogłaby go przerosnąć.

– Usiądźcie, proszę. – Rafał zachęcił ich gestem i podsunął krzesło stojącej blisko niego Barbarze. – Marcin, przesiądź się również do stołu. Chcę, aby wszyscy się tu teraz skupili.

Urbański podniósł się z trudem i usiadł na wskazanym mu zydłu. Pozostali, ciągle jeszcze rozglądając się uważnie na boki, zaczęli otaczać stół i po kolei wybierać sobie miejsca. Tusza nie opadł na krzesło, lecz krążył dookoła, obserwując ich chwile wahania i kiwając z aprobatą głową, gdy kolejne osoby siadały.

– Świetnie! Znakomicie! Czy wszyscy już siedzą wygodnie? A zatem teraz będzie się trzeba pożegnać.

Zmarszczył czoło i spojrzał na siedzącego naprzeciwko Marcina. Czy to o niego chodziło? Czy Tusza kazał mu tu przyjechać tylko po to, żeby teraz przy wszystkich go zwolnić?

– Od kogo zaczniemy? Może ja? – Rafał zaśmiał się pod nosem jowialnie, po czym sięgnął do kieszeni bluzy i wydobyl z niej całą zawartość. – Vertu. Mogę je od razu wyłączyć. Klucze, gumy do żucia, chusteczka. Kto następny? – Przeniósł wzrok na Daniela i wyraźnie popędził go gestem. – Daniel?

Malicki rozejrzał się dookoła i z nieukrywanym zdumieniem również zaczął grzebać w kieszeniach.

– Klucze, telefon i portfel. – Uśmiechnął się niepewnie, kładąc wszystkie rzeczy przed sobą.

– Brawo, Daniel! Teraz Lena!

Letycka poruszyła się w miejscu, uniosła brwi i wydymając usta, parsknęła:

– Nie mam kieszeni.

– Wyłóż zawartość torebki. – W rękach Rafała pojawił się duży worek foliowy.

– Żartujesz? – Lena parsknęła ponownie i spojrzała na Tuszę jak na wariata.

– Nie, bynajmniej. Wyjmij, proszę, zawartość torebki. – Tusza pakował teraz leżące już na stole przedmioty do trzymanego worka na śmieci.

– Nie ma mowy! – Letycka zapowietrzyła się z oburzenia. – Nie widzę powodu... Nie możesz mnie zmusić do tego!

Tusza odłożył worek, wyrwał Lenie przyciskaną do kolan torebkę i nie dyskutując dłużej, rozsunął energicznie jej suwak.

– Co my tu mamy...? – Przerzucił z satysfakcją znajdujące się we wnętrzu przedmioty. – Portmonetka. Klucze. Tampony... – Zawiesił głos i spojrzał na Lenę dwuznacznie. – Nie wiem jak inni, ale ja jestem pełen podziwu. – Ukłonił się lekko w jej stronę i z szerokim uśmiechem zaczął przekopywać się dalej. – Ibumprom. iPhone. Wizytownik. Szminka, krem i cienie do powiek. Paczka chusteczek. Jakies tabletki. – Zerknął na napis i nie rozpoznawszy nazwy, zaczął otwierać pudełko.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – Letycka zerwała się na równe nogi i wyrwała mu z ręki lekarstwa. – To jakieś żarty?! Jeśli tak, to nieśmieszne!

– Chcę się upewnić, na co są leki i czy są ci rzeczywiście niezbędne. – Tusza przybrał niewinną minę i bez cienia żenady przyglądał się jej wzburzeniu. – Jeśli nam powiesz, na co stosuje się elleste, to oszczędzisz mi czytania ulotki. Wnosząc z nazwy, to chyba specyfik dla kobiet...?

– Jak śmiesz! – warknęła.

Jej twarz była teraz sinopurpurowa, a pokrywający ją rumień spływał powoli na szyję. Oddychała ciężko, jej palce zaciśnięte na tekturowym pudełku bezwiednie je teraz zgniatały.

– Czy to rzeczywiście konieczne? – usłyszał własny głos i w tym samym momencie pożałował, że się odezwał.

Tusza wydał usta, oparł się rękami o stół i zaglądając mu w oczy, zaczął mówić bardzo dobitnie:

– Poczekaj na swoją kolej. Teraz zajmujemy się Leną. – Wyprostował się, odwrócił w stronę Letyckiej i perswazyjnym głosem powtórzył swój wcześniejszy postulat: – Jeśli nam powiesz, co to takiego, to nie będę musiał czytać ulotki.

– To HTZ! Zadowolony?! – W oczach Leny pojawiły się łzy, lecz jej twarz ciągle jeszcze była pełna agresji.

– Hatezet? – Tusza przesylabizował, udając skupienie na dźwiękach. – Lek na menopauzę?

Letycka odwróciła się do niego plecami i wzburzona wyszła z domu bez słowa. Przez krótki moment miał wrażenie, że Pola podniesie się z miejsca i pobiegnie za Leną, ale ona opadła tylko niżej na krzesło i wydała z siebie ciche westchnienie.

– Myślę, że możemy jej na to pozwolić. – Tusza skinął głową, zgarnął z blatu paczkę z tabletkami i wrzucił ją na powrót do torby. – Co my tu jeszcze mamy? Tic taki, snickersy i gumy. Poza tym same śmieci. Że też kobiety zawsze muszą mieć bałagan w torebkach. I jeszcze ta nerwowa reakcja! Jakby faktycznie stało się coś potwornego. A przecież jesteśmy tylko wobec siebie otwarci. Nieprawdaż, Polu? Nie mamy przed sobą tajemnic. Swoją drogą Lena znakomicie się trzyma. Ile może mieć lat, jak sądzicie? Pięćdziesiąt? Może nawet ciut więcej. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak wstydzi się wieku...

Spuścił wzrok, nie mogąc dłużej znieść widoku twarzy Rafała, jego wydętych ust i złośliwych dwuznacznych uśmiechów.

– Proszę bardzo: oto moje kieszenie – mruknął cicho i podsunął Tuszy telefon, kilka monet oraz opatrzoną zdjęciem kartę do metra.

– Świetnie, znakomicie! – Tusza skinął głową i położył mu dłoń na ramieniu. – Czy nie zapomniałeś o czymś przypadkiem?

Wykrzywił usta i niechętnie położył przed sobą otwartą paczkę papierosów

oraz zapałki. W torbie miał tego więcej, ale myśl, że Rafał może mu odebrać marlboro, była mimo wszystko nieznośna.

– Jak myślicie? – Tusza podniósł paczkę, zajrzał do jej środka i przesunął wzrok na siedzących. – Czy naprawdę jest to tutaj konieczne? – Przez chwilę stał w milczeniu, sondując spojrzeniem ich twarze, ale w końcu oddał mu papierosy. – Robię to wyłącznie dlatego, żebyś nie był przesadnie nerwowy. Nie pochwalam twojego nałogu, lecz nie będę się bawił w katechetę.

Porwał wręczoną mu paczkę, schował ją z impetem do kieszeni i wyrywając ramię spod protekcyjnego uścisku Rafała, podniósł się z krzesła gwałtownie. Ignorując niezadowolony pomruk Tuszy, odsunął głośno stołek i nie czekając na kolejny komentarz, ruszył w kierunku wyjścia. Zanim tamten zdążył się znowu odezwać, był już na błotnistym podwórku.

Marcin

– Pojebało go do reszty! – szepnął cicho i ostrożnie przełożył nogę przez próg.

Siedząca na ustawionej wzdłuż ściany domu ławce Lena podniosła twarz i spojrzała na niego zdziwiona, a stojący obok niej Piotr wypuścił z ust chmurę dymu i skinął głową w niemym geście powitania.

– Chryste, Piotr! Przecież rozmawiałeś ze mną dziś rano! Nie zachowuj się, jakbyś mnie wcześniej nie widział!

Leszczyński otrząsnął się i tym razem spojrzał na niego przytomnie.

– Tak, oczywiście, przepraszam! – Potarł dłonią ogoloną głowę i uśmiechnął się pojednawczo. – Siadaj! Ledwo się trzymasz na nogach.

Przewrócił oczami i skrzywił się lekko. To, że miał problemy z chodzeniem, nie oznaczało jeszcze, że musieli go traktować niczym kompletnego kalekę. Dawał sobie radę. Czasem z trudem i zawsze walcząc z bólem, ale posuwał się do przodu.

– Daj spokój, Marcin. – Lena przechwyciła jego grymas i przesunęła się nieco na desce. – Po prostu usiądź.

Skinął głową i powłócząc nogami, dotarł powoli do ławki, po czym, przytrzymując się ściany i prostując silnie grzbiet, zaczął się powoli osuwać. Centymetr po centymetrze pokonywać odległość, jaka dzieliła napięte bólem pośladki od wąskiego drewnianego siedziska.

– Co mówi lekarz? – Letycka spojrzała na niego z niepokojem i dopiero gdy zadała pytanie, wyraźnie ugryzła się w język. – Przepraszam, nie odpowiadaj. To pytanie było nie na miejscu. – Zaczerwieniła się po cebulki włosów i złapała się dłońmi za skronie. – Niczym się od niego nie różnię! Przepraszam! Naprawdę cię bardzo przepraszam!

Poczuł na ciele twardość deski i wypuścił wstrzymywane zbyt długo powietrze. Gwałtowne szarpnięcie bólu tym razem nie nadeszło. Był tylko obolały i sztywny.

– Nie przepraszaj – uśmiechnął się do niej. – Ty też nie. – Przeniósł wzrok w stronę Piotra. – Nie mam żadnej śmiertelnej choroby. Lekarz mówi, że to wszystko wyłącznie ze stresu.

Letycka kiwnęła głową i oparła się ponownie o ścianę.

– Mam nadzieję, że nie zabrał ci lekarstw... – mruknęła cicho pod nosem, po czym znowu zaczęła się robić czerwona.

– Nie, nie zabrał. Chyba był rozczarowany ich brakiem.

– Rozczarowany? Chyba sobie, kurwa, żartujesz?! – Piotr podszedł bliżej, pochylił się lekko i spojrzał mu w twarz bez cienia współczucia. – Grzebie nam po kieszeniach, wywała zawartość torebek i przegląda nasze karty medyczne, a ty

uważasz, że to go rozczarowuje?

Zachichotał pod nosem i rozbawiony przyjrzał się Leszczyńskiemu. Piotr był naprawdę wkurwiony. Jego nozdrza drgały, wargi były lekko rozwarte, a zęby zaciskały się mocno. Wyglądał jak szykujący się do ataku drapieżnik.

– Był rozczarowany, bo jedyne, co miałem, to tramal. Spodziewał się pewnie prozacu.

Cała sytuacja rzeczywiście wydawała mu się teraz zabawna. Biedny Rafuś! Chciał się czegoś o nim dowiedzieć, a dostał mu się jedynie pęk kluczy i trochę tabletek. Na dodatek nie takich, jakich się u niego spodziewał.

– Odbiło ci. – Piotr wyprostował się i spojrzał na niego z politowaniem.

– Wręcz odwrotnie. – Zmrużył oczy i wciąż się uśmiechając pod nosem, rozpiął powoli wiatrówkę. – Bawi mnie to, bo Tusza pokazał swą słabość.

Lena zachnęła się głośno i odwróciwszy się w jego stronę, wycodziła przez zęby:

– Nie pokazał słabości, tylko to, jakim wielkim jest chamem! Potraktował nas jak zwierzęta! Naruszył naszą prywatność! To skandaliczne! Skan-da-licz-ne!

Rozpiął wewnętrzną kieszeń, wsunął w nią dłoń i wydobyl prostokątny listek małych białych tabletek.

– Zgadzam się, że jest chamem, ale ciągle obstaję przy swoim: jest słaby, nędzny, żaloszny i smutny. Gdyby naprawdę miał jaja, to sam by nam przetrząsnął kieszenie. Może nawet kazałby się schylić, aby sprawdzić, czy nie przemycamy kontrabandy w odbycie.

– O kurwa! – Leszczyński uniósł brwi, po czym, kręcąc głową, zrobił kilka kroków z niedowierzaniem. – Jeśli taki w tej firmie jest standard, to faktycznie... Nie bardzo się da dyskutować...

– Mam oczekiwania adekwatne do rzeczywistości, tylko tyle. – Wzruszył ramionami i schował do kieszeni tabletki.

– Co chce w ten sposób osiągnąć?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami ponownie. – Myślę, że nie rozważał tego na wysokim poziomie abstrakcji. Uznał zapewne, że upokorzenie nas będzie zwyczajnie zabawne. Przetestował granice i tyle. Paradoksalnie okazało się, że poza tobą jedną nikt nie zgłosił wyraźnego sprzeciwu. Wszyscy grzecznie opróżnili kieszenie, dali sobie odebrać telefony, a teraz pozwalają mu jeszcze, żeby grzebał im po walizkach.

– Żartujesz?! – Letycka zerwała się z miejsca.

– Nie. Sama idź zobacz. – Przymknął oczy zadowolony, że siedzi na słońcu. – Mnie to wali. Jeśli chce przeglądać moje gacie, to proszę.

Lena dotarła do drzwi, ale zamiast wejść do środka, ostatecznie zatrzymała się w progu. Wyczuł jej zawahanie, uniósł powiekę i poklepał lekko deskę ławki.

– Siadaj. Nie chcesz przecież tego oglądać. Jeśli tam teraz pobiegiesz, dasz

mu tylko dodatkową satysfakcję. Niech sobie sprawdza, co żeśmy zabrali. Niech konfiskuje wódkę, słodycze, iPady... Olej to.

Na jej twarzy dostrzegł dziwną mieszaninę emocji. Była wściekła i upokorzona, jakby ktoś wymierzył jej siarczysty policzek. Ciągłe niepokodzona i nieustannie gotowa do walki. Chciała się powstrzymać i zazdrościła mu spokoju, lecz wewnętrzne rozedrganie nadal nią mocno szarpało. Zaczepnęła głębiej powietrza, zajrzała do domu i przebierając w miejscu nogami, wciąż zastanawiała się, co jeszcze mogłaby zrobić.

– Nic – odpowiedział jej cicho. – Nic nie możesz. Swym oporem nie możesz nic zmienić.

Spojrzała na niego, jakby sens jego słów ciągle jeszcze do niej nie dotarł.

– Ale... jak to...? – wydukała nieskładnie.

– Tak to. – Wzruszył ramionami i raz jeszcze przywołał ją ręką. – Będiesz się z nim szarpała? Zacziesz krzyczeć? To i tak już niczego nie zmieni. Opuść. Po prostu opuść. Nie daj mu satysfakcji.

W jej oczach nie było teraz oburzenia ani wściekłości. Zniknęły upokorzenie, wstyd oraz cała nerwowość. Zamiast nich pojawiło się czyste zdumienie.

– Obawiam się, że Marcin ma rację. – Piotr odwrócił się w ich stronę i rzuciwszy w błoto niedopałek, wyjął z paczki kolejnego papierosa. – Nie mamy na to wpływu. Jedyne, co możemy zrobić, to odciąć się od wszystkiego.

Zdumiony wzrok Leny odkleił się od niego i powędrował w stronę Leszczyńskiego.

– Jak to: nie mamy wpływu? Oczywiście, że mamy! Możemy i powinniśmy go powstrzymać!

Przeciągnął się leniwie i znów przymknął oczy. Letycka była niewiarygodna. Miała w sobie niespożytą energię i nieprawdopodobne wręcz pokłady prawości. Rzadko kiedy spotykał takie osoby, a jeśli już, to na pewno nie w wieku Leny. Mogłaby być jego matką, lecz na poziomie emocjonalnym bardziej przypominała mu siostrę. Młodszą od niego o dziesięć lat bezkompromisową dziewczynkę, dla której świat ciągle jeszcze był czarno-biały. Przeżywającą szok za każdym razem, gdy w jej głowie pojawiała się myśl, że ludzie niekoniecznie są dobrzy.

– Powiedz mi, Lenka – odezwał się cicho, nie unosząc powiek – jak ty się jeszcze ostałaś? Jak to możliwe, że udało ci się osiągnąć to wszystko, dotrzeć do miejsca, w którym jesteś, przeżyć tyle lat w tym drapieżnym biznesie...?

– Jakoś dałam radę, jak widać – mruknęła tonem, który wydał mu się złośliwy. – I w przeciwieństwie do ciebie nie mam problemów z kręgosłupem od czapkowania i ustawicznego kłaniania się innym.

– Auć! To bolało! – Uśmiechnął się w odpowiedzi i ponownie pogрузzył w letargu.

Może miała rację. Tak, z pewnością ją miała. Dolegliwości, które od jakiegoś czasu odczuwał, brały się z tego, że nie potrafił się aktywnie sprzeciwiać. Zaszywał się w swojej skorupie i udawał, że jest ponad wszystko. Po prostu kładł uszy po sobie. Wypierał z mózgu nieprzyjemne wspomnienia i siłą woli zmuszał się do tego, aby zachowywać się tak, jakby się nic nie stało. A przecież działało się. Przykrości nie spływały po nim, lecz niepostrzeżenie wsiąkały mu w ciało. Nasączały sobą coraz bardziej ociążałe mięśnie, odkładały się ołowiem w kościach, sprawiały, że uniesienie nogi wymagało kolosalnego wysiłku. Po zaledwie dwóch latach pracy w tej firmie nie był już sobą, tylko jakąś wielką skamienieliną, organizmem obrośniętym taką warstwą skorupy, że poruszanie się stawało się powoli niemożliwe. I mimo iż pokrywający go pancerz teoretycznie powinien go chronić przed zranieniem, to nie spełniał swej funkcji. Pod nim jego ciało robiło się coraz bardziej wydelikaczone. Było miękkie, pozbawione kręgosłupa i całkowicie bezbronne. Nie był już sobą. Nie był już nawet kręgowcem. Był galaretowatą ostrygą, którą uwierało najmniejsze ziarnko piasku. Mógł sobie tłumaczyć, że dzięki temu tworzy masę perłową, ale prawda była taka, że próbował jedynie pozbyć się drażniącego organizm ciała obcego.

Poczuł, że Lena przysiadła obok niego na ławce, i nie otwierając oczu, wymacał ostrożnie jej rękę. Przesunął palcami po przesuszanej skórze jej dłoni i onieśmielony tym, że odważył się na tę bliskość, gwałtownie ją uściskał. Odpowiedziała tym samym i przysunęła się jeszcze bliżej.

– Może masz rację – szepnęła mu prosto do ucha.

– Nie. Nie mam racji. – Otworzył oczy, które teraz się szklily. – Ty ją masz. Możemy i powinniśmy się w końcu postawić. Problem polega na tym, że ja już nie mam na to dość siły...

Daniel

Wyrżał na zewnątrz i ze zdziwieniem dostrzegł, że Lena trzyma siedzącego obok niej Marcina za rękę, a Leszczyński poklepuje go po ramieniu. Urbański wyglądał na odrobinę skrepowanego, lecz przyjmował przyjacielskie gesty kolegów, pozwalając, aby palce Letyckiej miarowo zaciskały się na jego nadgarstku, jakby właśnie przekazywała mu morsem słowa otuchy. Dłoń Piotra również się poruszała, opadając i wznosząc się nad ramieniem Marcina w rytmicznych klepnięciach. Tak jakby Urbański zamienił się nagle w instrument perkusyjny, na którym Leszczyński postanowił wybijać rytm jakiejś mantry.

Cofnął się odrobinę do środka i ukrywszy się w mroku przedsionka, obserwował ich jeszcze przez chwilę. Scena była dziwna, a ich milczenie dodatkowo zaostrzało ciekawość. O co chodziło? Dlaczego pocieszali Marcina? Czyżby wyznał im właśnie jakąś mroczną tajemnicę o stanie swojego zdrowia? Wstrzymał oddech i wyteżył uwagę w nadziei, że w końcu padnie jakaś wyjaśniająca sytuację uwaga, która pozwoli mu zgadnąć, czego dotyczyło zwierzenie. Milczeli. Leszczyński wykonał jeszcze dwa przyjacielskie klepnięcia, po czym oderwał dłoń od Marcina i odsunął się o pół kroku. Kilka sekund później Letycka zrobiła to samo – poluzowała uścisk i pozwoliła, aby Urbański oparł swą rękę na ławce. Podejrzana intymność minęła, a oni tkwili w bezruchu niczym trójka nieznajomych w poczekalni osiedlowej przychodni, każde skupione na własnych myślach, usiłujące przewidzieć diagnozę, rozważające wpływ choroby na życie.

– Rafał was zaprasza do środka – powiedział, wychylając się lekko na zewnątrz.

Ich twarze momentalnie się spięły i gwałtownie odwróciły ku niemu. Z tą samą nerwowością, z jaką pacjenci poderwaliby głowy na widok wychodzącego z gabinetu lekarza – w nadziei, że wywoła w końcu ich imię. Gdy go dostrzegli, ich miny się zmieniły. Po grymasach rozpoznał bezbłędnie, że każde nim gardziło. Nie był doktorem, którego się spodziewali. Nie był nawet kolejnym pacjentem. Był wrogiem. Przydupasem Rafała. Zwykłą korporacyjną gnidą, która donosiła na innych, łasiła się nieustannie do szefa i sabotowała ich codzienne wysiłki.

– Skończyliście już przeglądać nasze majtki?

W głosie Leny wyczuł agresję i zarzut. Jakby to on, a nie Rafał grzebał jej wcześniej w torebce. Powstrzymał się od warknięcia i skinął tylko głową w milczeniu. Chętnie by jej teraz wygarnął. Chętnie wykrzyczałby, że podobnie jak ona on też robił w tym cyrku za małpę. Jeśli skakał wyżej i zwinniej od innych, to wyłącznie dlatego, że chciał w końcu dostać obiecane przez tresera banana. Ona już swoje porcje zżarła. Pasła się na chiquicie latami, zdążyła obrosnąć tłuszczem i dochrapała się w końcu wszystkiego. Od lat była flagową kapucynką w tym

cyrku, mimo to śmiała go teraz oceniać! Miała czelność zwracać się do niego w ten sposób! Bo niby co? Był jedynym w tym gronie padalcem? Pozostali byli bez winy? Krystaliczni, uczciwi i dobrzy? Niezły dowcip! Każde z nich grało przecież w to samo.

Parsknął cicho pod nosem i nie czekając, aż wejdą do środka, ponownie zanurzył się w cieniu przedsiionka. Głupia krowa! Skoro była taka odważna, to mogła zabrać swoje rzeczy i odmaszerować stąd szosą do domu. W końcu dotarłaby do jakiegoś przystanku. Ale jakoś nie starczyło jej na to odwagi. Jedyne, co potrafiła, to oceniać innych. W najlepszym razie pyskować.

Usłyszał za sobą lepki odgłos odrywanych od błota podeszew i nie mając ochoty na ponowną konfrontację z wykrzywionymi wstrętem twarzami, wszedł pospiesznie do izby. Wszyscy, którzy zostali w chałupie, siedzieli przy stole ze wzrokiem wbitym w paznokcie albo spojrzeniem błędzącym po wielkim czarnym worku na śmieci, wypełnionym teraz po brzegi. Usiadł bez słowa obok Poli i zrobił to samo co reszta.

– No, zapraszamy! – głos Tuszy zaczął dyscyplinować maruderów. – Zajmijcie miejsca, bo chciałbym coś wszystkim powiedzieć.

Uważnie przyjrzał się twarzom wchodzących do pokoju kolegów. Zacięte w wąską linię wargi Leny wskazywały, że ciągle jeszcze obnosi się ze swoją wściekłością. Idący za nią Piotr pochylał głowę, jakby dudrał coś w tej chwili pod nosem, a wlekący za sobą nogi Urbański sprawiał dla odmiany wrażenie bawiącej się znakomicie osoby. Odwrócił wzrok i wbił go ponownie w czarną folię worka na śmieci. Tak było bezpieczniej. Nie to, by jakoś specjalnie przepadał za kolegą Urbańskim, bo szczerze mówiąc, nigdy go przesadnie nie lubił, lecz gdyby Rafał dostrzegł teraz minę Marcina, to wszyscy dostaliby wciry. Lepiej było nie prowokować. Spuścić wzrok i czekać cierpliwie.

– A zatem... – Tusza zawiesił na moment głos, poczekał, aż wszyscy usiądą, po czym sam się podniósł ze stołka. – Doskonale wiecie, jaki jest cel tego wyjazdu. Musimy popracować nad sobą. Jako zespół zarządzający nie jesteśmy zżyci. Brakuje nam wspólnych, jednoczących naszą grupę wartości. Nie współpracujemy, nie wspieramy się. Przeciwnie, jedyne, co obserwuję, to wyłącznie rosnące konflikty. Antagonizmy między osobami, którym powierzyłem najważniejsze funkcje w mej firmie. To mnie boli. Boli, ale również zasmuca. Obserwuję was i nie widzę jedności. Nie widzę siły teamworku. Nie dostrzegam woli współpracy. Jako zespół powinniście być znacznie silniejsi niż zwykła suma jednostek, ale niestety tak nie jest. Jesteście słabi, mierni, bezwartościowi. Nasz pobyt tutaj ostatecznie powinien to zmienić. I mam nadzieję, że tak się stanie, bo w przeciwnym razie konieczne będą zupełnie inne i tym razem już nie ewolucyjne zmiany...

Tusza rozejrzał się czujnie po izbie, a on, wyczuwając przesuwający się po

nich wzrok szefa, uniósł głowę nieśmiało. W tej chwili uciekanie spojrzeniem byłoby najgorszą strategią. Rafał odczytałby je jako niechęć do tego, co mówił, jako brak zgody, opór, może nawet jawne stawianie sprzeciwu.

– Czy zrozumieliśmy się właściwie?

Skinął głową, rejestrując kątem oka, że pozostali zrobili to samo.

– Świetnie! Znakomicie! A zatem jest jeszcze dla nas nadzieja! – Tusza uśmiechnął się jowialnie i usatysfakcjonowany opadł ponownie na krzesło. – Zastanawiacie się zapewne, dlaczego zabrałem wam komórki. Z jakiego powodu przetrząsałem bagaże. Zapewniam was, że nie interesuje mnie wasza bielizna ani to, czy macie dziury w skarpetkach. Chciałem po prostu zapewnić nam wszystkim absolutnie najwyższy komfort pobytu. Dlatego wszystkim odebrałem telefony. Dlatego również mój wylądował w tym oto worze. – Grube palce Rafała zacisnęły się na folii i przesunęły pakunek lekko po stole. – Chcę, byśmy w trakcie tego tygodnia skupiali się wyłącznie na sobie. Na zadaniu, które wam zaraz wyjaśnię, i na tym, aby lepiej się poznać. To czas tylko dla nas. A w zasadzie dla was. Niepowtarzalna szansa, by nie sprawdzać poczty, nie odbierać ustawicznie połączeń, nie komunikować się z nikim spoza naszego grona.

Letycka podniosła głowę i uchyliła usta, jakby planowała mu przerwać przemowę.

– Tak, wiem – Tusza nie dopuścił jej do głosu i ponownie potrząsnął workiem – może zadzwonić kontrahent. Mogą też dzwonić podwładni. Mogą dziać się w firmie rzeczy, o których powinniśmy wiedzieć. Ale wiecie co? Taka jest moja decyzja. Żaden kontrahent nie jest dla mnie ważniejszy od osób, które są tu, w tym pokoju. Żadna sprawa nie jest tak doniosła, by nie mogła przez tydzień poczekać. Poza tym jestem pewien, że przed wyjazdem rozdysponowaliście swoim ludziom zadania. Że każda osoba, która pozostała w firmie, doskonale wie, co ma robić. Jeśli jest inaczej, to powiedzcie mi o tym od razu. Nie zakładałem tego, bo mam was za świetnych ekspertów. Za doświadczonych menedżerów, którzy potrafią delegować zadania. Jeśli jednak się mylę...

Wzrok Tuszy wciąż jeszcze wbity był w Lenę. Na jego ustach pląsał uśmiezek, a uniesione lekko brwi miały oznaczać, że oczekuje jednoznacznej deklaracji Letyckiej.

– Oczywiście, masz rację – zgodziła się z nim przyparta do muru. – Jedyne, co chciałam powiedzieć, to że mogą się wydarzyć jakieś sprawy rodzinne. Moje dzieci są co prawda dorosłe, ale...

– Tak. Bardzo słusznie. – Rafał przytaknął skwapliwie. – Bardzo się cieszę, że nawet teraz myślisz o rodzinach kolegów. Pragnę cię jednak zapewnić, że zająłem się również tą sprawą.

Na twarzach wszystkich odbiło się wyraźne zdziwienie.

– No tak, nie wierzycie. To oczywiste. – Tusza zaśmiał się głośno. –

Zapewniam was jednak, że nie musicie się martwić rodzinami.

– Przepraszam, Raf... – głos Tomaszewskiej złamał się i utknął jej w gardle.
– Tak, Basiu? – Tusza nachylił się wyraźnie w jej stronę i z serdeczną troskliwością zajrzał jej w oczy nad stołem.

– Oczywiście... – wyjąkała. – Wierzymy ci wszyscy na słowo...

– ...ale?

– ...ale... – zawahała się, lecz zachęcona jego spojrzeniem wyrzuciła w końcu z siebie pytanie: – Ale w jaki sposób zaopiekowałeś się moją rodziną? Pytam za siebie, bo jak mówiła już Lena, nie każdy z nas ma identyczną sytuację prywatną – dodała pospiesznie w wyraźnej potrzebie wytłumaczenia własnej śmiałości.

Tusza odsunął się lekko, spojrzał na wszystkich z dystansu i pokiwawszy głową, zaczął cierpliwie wyjaśniać:

– Dziś po południu Agata obdzwoni waszych najbliższych i powiadomi ich o tym, że do końca tygodnia nie będą mieli z wami kontaktu. Nie chcemy przecież, żeby ktoś wpadł w panikę i, nie daj Boże, zaalarmował policję. Otrzymają zatem numer Agaty. Gdyby którekolwiek z nich potrzebowało w tym czasie pomocy, ona zawsze będzie dla nich dostępna. Nie macie mi za co dziękować! Naprawdę! Każdy dobry szef zrobiłby dokładnie to samo. – Rafał uśmiechnął się szeroko. – To naturalne, że troszczę się o was, nieprawdaż? W końcu jesteście grupą najbliższych mi zaufanych ludzi. O kogo innego miałbym dbać jak nie o was?

Tomaszewska skinęła potulnie, a na twarzy Marcina znów zagościł sarkastyczny uśmieszek.

– Skoro zatem wyjaśniliśmy sobie powody, dla których żadne z nas nie będzie miało tutaj komórki...

– Przepraszam, że przerywam... – Urbański wciąż się jeszcze uśmiechał.

– Tak, Marcinie? – Tusza odwrócił się w jego stronę, a w jego głosie pojawiło się zniecierpliwienie.

– A co zrobimy, jeśli komuś z nas coś się stanie? Na przykład przewróci się na podwórku i złamie nogę? Albo się rozchoruje?

Pozostali popatrzyli na Marcina w skupieniu, a potem przenieśli wzrok na Rafała.

– Nie zakładam, by coś takiego nastąpiło. – Tusza poruszył się niespokojnie na miejscu. – Gdyby jednak... No cóż. Gospodarze zostawili nam rower. W sytuacji zagrożenia któreś z nas będzie musiało pojechać po pomoc. Najbliższa wieś znajduje się zaledwie pięć kilometrów stąd. Dla dobrego cyklisty to pestka.

– Nie mam więcej pytań. – Urbański uśmiechnął się szerzej.

– Świetnie! Znakomicie! – Tusza zakręcił się w miejscu, po czym gestem stewarda wskazał na sypialnię po prawej. – Łazienka jest jedna, a wejście do niej znajduje się na końcu pokoju. Z tego względu proponuję zatem, by tę sypialnię

zajęły dziewczyny. Grafik korzystania z prysznicza opracowała Agata. Zostanie zawieszony na ścianie. Bardzo proszę, abyście przestrzegali rozkładu. Każdy oczywiście sprząta po sobie. Mam nadzieję, że to jasne i nie muszę się nad tym rozwodzić. A zatem: w sypialni po prawej mamy Lenę, Basię, Polę, Daniela, w tej po lewej – Piotrkę, Pawła, Marcina i mnie. W każdym pokoju są po trzy łóżka, więc musicie ustalić między sobą, jak śpicie...

Zmarszczył czoło i przez krótką chwilę zastanawiał się, czy się właśnie przesłyszał, czy może to Rafał popełnił oczywistą pomyłkę. Zerknął niepewnie na profil siedzącej obok Poli i dostrzegł w jej twarzy napięcie. Czyżby usłyszała to samo i podobnie jak on zastanawiała się, czy od razu wyjaśnić tę sprawę? Jej brwi uniosły się minimalnie, a górna warga oderwała od dolnej, jakby chciała o coś zapytać, ale Tusza machnął ręką w jej stronę:

– Pytania na końcu. Co do kuchni. Obowiązują te same zasady: każdy tu sprząta po sobie. Możemy wyznaczyć dyżury, jeśli tak wolicie, ale to pozostawmy na koniec. Jeśli chodzi o jedzenie, to nie znajdziecie go w domu, więc proszę nie szperać po szafkach. Zarówno one, jak i spiżarnia zostały celowo opróżnione. Jedyne, co możecie tam znaleźć, to odrobina ziarna rozłożonego po kątach, ale z góry uprzedzam, że to nie pszenica, tylko trutka na szczury. Proszę zatem nie rozgniatać tych nasion na mąkę. – Tusza zaśmiał się głośno, widząc konsternację na ich twarzach, i okrążył stół w ewidentnej potrzebie przyjrzenia się wszystkim zebranym. Nikt się nie odezwał, więc po chwili podjął monolog: – Brak żywności jest elementem naszej gry zespołowej i mam nadzieję, że zmotywuje was do działania. Z tego też względu zarekwirowane zostały wszelkie posiadane przez was słodycze. Jemy tylko to, co uda nam się tutaj pozyskać. Jak? Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Czy do tej części ktoś ma jakieś pytania?

Wzrok Rafała przesunął się szybko po twarzach, po czym zatrzymał się na nim na dłużej. W jego spojrzeniu dostrzegł wyraźne, pełne rozbawienia oczekiwanie i poczuł, że zaczyna się gwałtownie rumienić. A zatem to nie była pomyłka. Został przypisany do pokoju dziewczyn, a Tusza czekał tylko, aby spróbował to przy wszystkich wyjaśnić. Intencja była oczywista: chciał go upokorzyć publicznie, wytknąć homoseksualizm, powiedzieć jakąś złośliwość o gender, może wyjaśnić, że musi dbać o bezpieczeństwo i nienaruszalność cielesną kolegów. Co za skurwiel! Jebany, popierdolony psychopata! Kutas! Zwykły cham i skurwysyn!

Zacisnął mocniej usta w obawie, że wszystkie napływające mu do głowy bluzgi wyleją się z nich niczym niekontrolowane chlusty wymiocin. Było mu niedobrze, ale gorzki posmak na wargach nie przypominał cierpkości rzygowin. Był metaliczny i odrobinę słodkawy. Sprawiał, że latające przed oczami czarne plamy wściekłości zabarwiały się na brunatno, a potem powoli, zaczynając od krańców, zmieniały kolor na bordowy. Przymknął oczy, odetchnął głębiej

i spróbował się opanować.

– Nikt nie ma pytań? – W głosie Rafała pobrzmiwała zachęta. – Proszę! Śmiało!

Podniósł powoli powieki, ale nie odważył się spojrzeć na Tuszę. Zamiast tego zatrzymał spojrzenie na siedzącej naprzeciwko Barbarze. Patrzyła na niego, a jej twarz także była teraz czerwona. Jakby stanowiła odbicie jego oblicza. Jakby stała się chustką Weroniki – zbierającą całe jego upokorzenie, gorycz i wściekłość. Umknął wzrokiem i dopiero teraz zauważył, że wszyscy się na niego gapili. Każda osoba w pokoju przyglądała mu się ze współczuciem. Każda poza Tuszą. Nie potrafił się zmusić do tego, aby spojrzeć na jego facjatę, lecz był pewien, że Rafał triumfuje.

– Nikt? Na pewno? – Tusza zachichotał cichutko.

Może powinien jednak wstać i zapytać? Dać mu tę satysfakcję? Pozwolić, by przy wszystkich rozebrano go z majtek i poddano pod osąd gawiedzi? A może walnąć ręką w stół i oskarżyć Tuszę o mobbing, dyskryminację oraz jawne nękanie? Pociągnąć go do sądu, wyprać brudy publicznie, stać się ikoną ruchu o równouprawnienie lesbijek i gejów?

Otworzył usta i natychmiast je zamknął, bo metaliczny smak rozlał mu się po języku, a odgryziony kawałek wargi przywarł do podniebienia. Chryste! Zakaszał gwałtownie, zakrywając odruchowo twarz prawą dłonią. Gdy ją od siebie odsunął, wewnątrz pokryte było krwią oraz śliną.

– Przepraszam... – wybełkotał, starając się zatamować krwawienie językiem. – Czy ktoś może mi pożyczyć chusteczkę?

Siedząca naprzeciwko Baśka rzuciła się do swojej torebki i zaczęła szarpać za suwak. W końcu trzęsącymi rękami wyciągnęła paczkę clinexów i przesunęła ją ku niemu po stole. Wysunął lewą rękę, ale Pola go uprzedziła i rozrywając folię, zaczęła wydobywać chusteczkę. Zanim zareagował, jej uzbrojona w miękki biały prostokąt dłoni przywarła mu szczelnie do wargi.

– Przepraszamy was na moment – mruknęła w kierunku siedzących. – Daniel, chodź, muszę to obejrzyć przy świetle.

Nie czekając na potwierdzenie, złapała go gwałtownie pod pachę i energicznie uniosła zza stołu, po czym pociągnęła w kierunku przeznaczony dla kobiet sypialni.

– Chodź szybko! Trzeba to przemyć! – powiedziała głośno, jakby chciała, aby ją każdy usłyszał.

– Nic mi nie będzie... – mruknął cicho, gdy zamknęła za nimi drzwi pomalowanej farbą olejną łazienki.

– Zamknij się! Nic teraz nie mów! – Odwróciła się do niego gwałtownie.

Spojrzał na nią i dopiero w tej chwili zrozumiał, że nie była przerażona, lecz wściekła. W oczach nie miała oczekiwanego przez niego współczucia, tylko

zwyczajną zwierzęcą chęć zemsty.

– Stój, kurwa, w miejscu! – warknęła. – Odgryzłeś sobie pół wargi!

Zmarszczył czoło i przez ułamek sekundy zastanawiał się, co planowała zrobić. Nigdy wcześniej nie słyszał, by przeklinała. Nigdy wcześniej nie była też taka wzburzona.

– Posłuchaj... – zaczął powoli, zauważając, że lekko sepleni.

– Nie odzywaj się! Przecież mówiłam! – Nachyliła się bliżej i w skupieniu zaczęła odrywać mu od twarzy chusteczkę. – Kurwa mać! Będziesz musiał to splukać. W ranie masz kawałki papieru.

Odwrócił się w stronę umywalki i zdziwiony spojrzał w wiszące ponad nią lustro. Dolna warga krwawiła. Jej prawy kraniec był poszarpany i rozpulchniony niczym mięso posiekane na tatar. Odchylił ją delikatnie. W przestrzeniach między zębami miał krew, a w śluzówce – wielką krwawą dziurę po ciele, które sobie bezwiednie wygryzł.

– Jasna cholera! – Jęknął.

– Wypłucz to wodą!

Potocka przysunęła się bliżej i odkręciła oznaczony niebieskim kolorem kurek. Pochylił się, nabrał wody w dłoń i ostrożnie zaczął ją siorbać. Rana piekła, a warga zaczynała drętwieć. Przepłukał usta i wypluł zawartość do umywalki. Zabarwiona czerwienią woda uciekła odpływem, a odgryzione resztki tkanek osiadły na ściankach zlewu.

– Chyba się zaraz porzygam. – Własny głos wydał mu się teraz płaczliwy.

– Jeszcze raz!

Rozpłakał się, zanim zdołał podnieść zebraną w dłoniach wodę do ust. Warga paliła, ale to nie ona bolała go obecnie najbardziej. Bolały go głowa, serce, żołądek, bebechy. Każdy centymetr ukrytego w ciele jelita, każdy organ wewnętrzny, każda pierdolona komórka. I na dodatek ten smak! Żelazisty i gorzki smak upokorzenia, który spływał mu po języku. Specyficzny smak bezsilności znany mu z dzieciństwa i kojarzący się z wykrzywioną gniewem twarzą ojca, wiszącym na klamce paskiem oraz przerażeniem matki, gdy próbowała go usprawiedliwiać. Pola wyglądała tak samo. Zbyt przestraszona, aby złapać oprawcę za rękę, a równocześnie zbyt empatyczna, by ze spokojem patrzeć, jak rzemień paska metodycznie garbuje mu skórę. Niepogodzona i bezradna zarazem. Załkał głośno i pozwolił, by go objęła. By miarowe kołysanie jej ramion ukołoło rozgoryczenie, żal i frustrację.

– Już dobrze. Już dobrze. Już dobrze... – powtarzała miarowo jak mantrę. – Wszystko będzie dobrze. No już. No już. Już. Spokojnie.

Miękkość jej głosu i sposób, w jaki go głąskała po włosach, sprawiły, że rozczulił się jeszcze bardziej nad sobą. Nad dorosłym Danielem, który przygryzł sobie wargę, usiłując powstrzymać zalew słów niepokornie pchających mu się na

usta, i nad jasnowłosym chłopcem, który buntował się przeciw trenowaniu zapasów.

– Daj, przemyjemy ci usta. – Pola odsunęła go delikatnie od siebie i podtrzymując za brodę, uniosła mu nieco głowę. – No, daj. Proszę...

Nie chciał płakać. Nie chciał się jeszcze bardziej rozrzewniać. Nie chciał, aby go takim widziała. By spuchnięte i czerwone powieki opowiedziały wszystkim historię jego słabości. Tuszy, Lenie, współczującej mu ostentacyjnie Barbarze, śmiejącemu się pod nosem Urbańskiemu i uciekającemu wzrokiem za okno Piotrowi. Nie chciał być sensacją poranka. Pośmiewiskiem dla całej ekipy. Rozmazgajoną panienką słusznie przypisaną do sypialni dla dziewcząt.

– Co ja mam zrobić? – jęknął cicho i bezradnie spojrzął jej w oczy.

– Na początek umyj twarz zimną wodą. Nie mogą cię w tym stanie zobaczyć. Musisz się uspokoić.

Skinął głową i posłusznie zaczął ochlapywać się wodą.

– Dobrze. – Przerwała mu czynność, zakręcając kurek i podsuwając ręcznik. – Teraz się wytrzyj.

Posłusznie przesunął przetartym, zszarzałym kawałkiem frotté po twarzy i zerknął niepewnie do lustra. Jego oczy ciągle były czerwone, a warga wyraźnie spuchnięta.

– Jest w porządku. – Pola objęła go od tyłu ramieniem.

– I co teraz? – Odwrócił się powoli w jej stronę. – Mam udawać, że nic się nie stało i przez tydzień dzielić z wami sypialnię?

Wzruszyła ramionami bezradnie. Rozumiał ją. Co niby miała zrobić?

– Nie wiem – szepnęła w końcu. – Musisz sam zdecydować. Jeśli mogę cokolwiek powiedzieć, to tylko że wieczorem pozostali panowie będą ci z pewnością zazdrościć.

Parsknął i spojrzął na nią z niesmakiem. Naprawdę tak uważała? Że oglądanie ich trzech w dezabilu było aż tak zajmujące? Że Piotrek, Paweł lub Marcin chcieliby zyskać tego rodzaju atrakcję?

– Nie o to mi chodzi! – zachnęła się głośno i odwróciła do niego plecami. – Sądziś, że jestem aż taką idiotką? A może, że uważam się za Miss Universum?

– Nie wiem. To ty powiedziałaś.

Potocka złapała za klamkę i otwierając drzwi, po raz ostatni odwróciła się w progu.

– Nie bądź kretyńcem! Naprawdę, nawet teraz, po wszystkim, co dzisiaj się stało, wciąż chciałbyś dzielić z nim pokój? Przez tydzień zasypiać w towarzystwie jego czerstwych dowcipów? I jako pierwszą rzecz rano wysłuchiwać egotycznych popisów? Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, to jestem pewna, że każdy z chłopaków chętnie się z tobą zamieni. Idź! Sprawdź!

Otworzyła przed nim drzwi i zniecierpliwionym gestem pokazała mu drogę

na zewnątrz. Przemierzył kilka dzielących go od niej kroków i z wahaniem zatrzymał się w progu.

– Masz rację. Przepraszam.

Uniósł ramiona w próbie objęcia jej, ale wymknęła mu się zwinnie i energicznym krokiem zaczęła przemierzać sypialnię. Po stanowczej dynamice jej ruchów poznał, że ją bardzo rozzłościł. Że wściekłość, którą przed minutą ciągle jeszcze czuła do Tuszy, przekształciła w niechęć do niego. Jednym idiotycznym grymasem przekreślił całe ciepło, jakie mu okazała w łazience, i z pozycji bliskiego kolegi znowu cofnął się na miejsce dla świni. A raczej wieprza, dla którego nie warto było tracić pereł i czasu.

Pola

Siedzący przy stole spojrzeli na nią w milczeniu. W ich wzroku wyczuła wyraźne, choć niewypowiedziane pytanie.

– Nic mu nie będzie. – Wzruszyła ramionami i ciężko opadła na krzesło.

Dostrzegła wymianę spojrzeń, która nastąpiła między Leną i Pawłem, zarejestrowała podniesione w zdziwieniu brwi Tomaszewskiej oraz unoszące się w uśmiechu kąciki ust Urbańskiego. Każde z nich reagowało na jej słowa inaczej, ale wszyscy wydawali się zaskoczeni, a ona nie potrafiła po ich minach odgadnąć, czy chodziło o przegryzioną wargę Daniela, czy może o lodowate brzmienie jej głosu.

Zmierzyła wzrokiem siedzącą przy przeciwnym krańcu stołu Letycką. Biedna Lena. Zagubiona w świecie własnej wyobraźni artystka przekonana, że jest bardziej wartościowa od innych. Skupiona wyłącznie na budowaniu własnego wizerunku i usiłująca zachować szacunek do siebie poprzez pozbawione praktycznego znaczenia okrzyki, które miały świadczyć o buncie, a w rzeczywistości były bezwartościową namiastką oporu. Przypominająca wystrojoną w szeleszczące skrzydła husarię, która szarżuje na czołgi, choć w głębi duszy wcale nie chce umierać za sprawę. Ot, po prostu, tak rozumie znaczenie słowa „honor”; jako stawanie do walki, ale już niekoniecznie zwycięstwo.

Przesunęła wzrok na Piotra i skrzywiła się z niesmakiem. Szkoda. Był naprawdę przystojnym mężczyzną. Na dodatek wcale niegłupim. Byстрыm, dowcipnym, z dużą dawką autoironii. Idealnym materiałem na ojca jej dziecka. Zwłaszcza gdyby mieli córeczkę. Ostatecznie dziewczynkom wybaczają się strachliwość i słabość. Dawało się im prawo do odczuwania trwogi przed przemocą, wulgarnością oraz uczuciowym zacięciem, traktując ich bojaźliwość jako dowód delikatności oraz dobroci. Gorzej, gdyby miała z nim syna, obciążonego po ojcu genem tchórzostwa, który Leszczyński tak usilnie próbował maskować i którego – pomimo starań – nie potrafił ukryć przed światem. Gdyby miała urodzić mu chłopca, to z dwojga złego wołałaby już oddać się Tuszy...

Urbański? Ten z kolei przesadził z lekami. Jego głupawy chemiczny chichot powoli zaczynał ją drażnić. Marcin obserwował obecnie świat poprzez szybę. Delektował się ulgą oraz własnym pozornym dystansem, jakby wierzył, że utrzyma ten stan dożywotnio, jakby nie pojmował, że jego organizm przyzwyczai się w końcu do serwowanej mu dawki i upomni się o dodatkową tabletkę.

Westchnęła i spod oka zerknęła na resztę. Doktorowicz, Tomaszewska, wracający z łazienki Malicki – każde na swój sposób próbowało przetrwać ten moment. Paweł – uciekający z tego miejsca myślami, skupiony na własnej rodzinie, kalkulujący, ile jeszcze musi przetrwać, nim ostatecznie zdecyduje się

odejść. Barbara – przygnębiona i defetystyczna, jakby nie wierzyła, że cokolwiek uda się zmienić. Pogodziona z losem i przerażona perspektywą czekającego ich wszystkich tygodnia. No i Daniel. Sławny Daniel Malicki. Gotowy zagryźć kolegów, byle tylko zyskać przychyłność prezesa. Zdeprawowany swą ambicją dworzanin. Nadskakujący, usłużny, skłonny przełknąć każdą obelgę tylko po to, by udowodnić sobie i światu, że mimo wszystko uda mu się przebić na szczyty. Wbrew prognozom rodziny, małomiasteczkowemu rodowodowi oraz temu, że przecież był gejem.

Co ona tutaj robiła? Dlaczego jeszcze tkwiła w tym chorym folwarcznym układzie? Przecież widziała, rozumiała i czuła. Miała krystaliczną, niezmaconą świadomość. A jednak była taka sama jak reszta; zbyt ambitna, by odejść, i za słaba, aby coś zmienić. Tłumaczyła sobie, że wszędzie jest dokładnie tak samo, lecz w gruncie rzeczy nie wierzyła w tę ponurą diagnozę. Nie chciała się poddać i wysłać światu sygnału, że nie podołała zawodowym wyzwaniom. Bo przecież tak dokładnie by było; gdyby zdecydowała się rzucić tę pracę, to już do końca życia każdy cholerny rekruter przepytowałby ją o powody decyzji. Każdy węszyłby problem. Dla każdego stałoby się oczywiste, że była do tej pracy za słaba. Większość podejrzewałaby, że zwyczajnie została zwolniona, a ci nieliczni, którzy uwierzyliby, iż odeszła na własne życzenie, doszukiwaliby się mrocznych i dwuznacznych kontekstów. Niewidocznych na pierwszy rzut oka defektów. Winy, która tkwiła gdzieś w niej, a nie w Tuszy.

Tusza... Tusza ciągle coś mówił. Gapił się na Daniela i wilgotnymi, wypełnionymi kolagenem ustami formułował zdania, których sensu nie umiała uchwycić. Straciła wątek? A może, jak mu się to często zdarzało, znowu o czymś bełkotał? Z werwą i pasją, które podrywały słuchaczy, lecz nie niosły żadnego przekazu?

Skupiła się na moment, lecz wciąż nie mogła zrozumieć. Doktorowicz miał słuszność: trzeba było stąd uciekać myślami. Tkwić przy stole, lecz nie uczestniczyć w tym wszystkim. Udać się na emigrację wewnętrzną. Zamknąć głowę w kasku astronauty, licząc na to, że się nie rozszczelni i uchroni ją przed dezintegracją w kosmicznej próżni, która panowała dokoła.

Przymknęła oczy i zaczęła szukać azylu we własnym, pełnym kolorowego pluszu mieszkaniu, pośród świec, unoszącej się w sypialni muzyki, wypełnionego głosem Stinga eteru. Bez skutku. Twardy stołek pod pośladkami, dochodzący zza drzwi zapach wsi i chłód podłogi, który przedostawał się przez gumowe podeszwy kaloszy – wszystko to czyniło próbę ucieczki z tego miejsca niemożliwą.

– Pola? Pola! – głos Tuszy wyrwał ją z zamyślenia, sprawiając, że podskoczyła nerwowo na krześle. – Dobrze się czujesz?

Rafał stał obok i przyglądał się jej uważnie.

– Tak. Wszystko w porządku – mruknęła i poczuła, że się rumieni. – Nic mi

nie jest. To pewnie z głodu.

Wymyślone na poczekaniu kłamstwo ewidentnie mu się spodobało, bo pokiwał tylko głową z namysłem i oderwał od niej uwagę.

– No tak, oczywiście. Pewnie żadne z was nie zjadło przed wyjazdem śniadania, a ja was tu trzymam głodnych i na dodatek straszę, że w kuchni nie ma nic do jedzenia. Na szczęście to nie do końca jest prawda... – Rafał zawiesił głos, okrążył stół, po czym zachęcił ich gestem, by wstali. – Idziemy! Pokażę wam gospodarstwo, a przy okazji wytłumaczę zasady.

Wymaszerował energicznie na zewnątrz i zatrzymał się przed domem w oczekiwaniu, aż wszyscy zbiorą się na podwórzu.

– Pamiętajcie, o czym rozmawialiśmy na ostatnim posiedzeniu zarządu?

– O Lady Gadze...? – prześmiewczy szept Malickiego dotarł do niej zza pleców.

– Tak, Danielu, o tym również. – Rafał skrzywił się lekko i przesunął wzrokiem po twarzach w oczekiwaniu na prawidłową odpowiedź.

– O nowej strategii dla naszej firmy, która odzwierciedla zmieniające się modele życia społecznego oraz nowe nawyki konsumpcyjne – wyrecytowała Letycka jak prymus.

– Tak, Leno, prawie dobrze. O nowej strategii, na którą jako zespół nadal nie jesteśmy gotowi. O tym, że tkwimy w skorupie naszych przekonań, nie potrafiąc się odważyć na zdecydowane nonkonformistyczne decyzje. O tym, że się nie lubimy, nie rozumiemy i nie wspieramy, co czyni realizację strategii niemożliwą. O tym, że brakuje wam chęci albo umiejętności, by kwestionować status quo, co sprawia, że wszystkie istotne dla rozwoju firmy inicjatywy muszą wychodzić ode mnie.

Wyczuła moment, gdy z pierwszej osoby liczby mnogiej przeszedł na drugą, i stłumiła ciężkie westchnienie. Zawsze stosował ten manewr; rozpoczynając przemowy, uwzględniał siebie w zbiorze nieudaczników, by już po chwili zmienić retorykę na oskarżycielską. Tak jakby stał ponad nimi, nie uczestnicząc w tym, co się działo. Jakby zajmował w ich grupie jakieś szczególne miejsce, którego uprzywilejowanie nie brało się z faktu, że był prezesem i właścicielem tej spółki, lecz wynikało z jego ponadludzkich, niemalże boskich walorów. Przemawiał do nich niczym Bóg wszechmogący. Wszechwiedzący i wolny od skazy.

– Pola zasugerowała, że powinniście się lepiej poznać i zintegrować, a ja się zgadzam z tą tezą. – Tusza skłonił głowę w jej stronę. – Jak zawsze jednak brakowało mi w tym pomysle odwagi. Bezkompromisowego pójścia za ciosem.

Uśmiechnęła się pod nosem i tym razem wydobyła z siebie ledwo dosłyszalne parsknięcie. Oczywiście, jej pomysł był dobry, ale nie dosyć genialny. Podobnie jak inni oferowała samorodki koncepcji, które dopiero jego umysł potrafił oszlifować w brylanty.

– To, czego wam wszystkim brakuje, to nie tylko wzajemna lojalność, sympatia i wsparcie, ale też coś zdecydowanie większego. Nie potraficie przekraczać granic. To moja wina. Tak, mówię to z całą pokorą! Moja wina, bo pozwoliłem wam zgnuśnić. Dałem wam ciepłe posadki, dobre wynagrodzenia i spokój. Doprowadziłem do tego, że obrośliście tłuszczem, oderwaliście się od rzeczywistości, biznesu i firmy. Od prawdziwego życia. Nie rozumiecie ani tego, czym się tak naprawdę zajmujemy, ani nawet czym jest de facto nasz produkt. Siedzicie przed laptopami, łązicie po miękkich dywanach, operujecie w arkuszach Excela. Nawet Piotr, który odpowiada za proces produkcji, nie brudzi sobie rąk pracą. Nawet on nie dotyka prawdziwej materii, a co dopiero reszta z was, zamknięta w higienicznych gabinetach albo sterylnych laboratoriach, w których udajecie jedynie, że pracujecie.

Uniosła brwi i zerknęła na stojącego tuż obok Doktorowicza. Jego twarz nie wyrażała, więc przesunęła wzrok na Barbarę. Tomaszewska była zdziwiona. Stojący obok niej Marcin przestał się na moment uśmiechać, za to kąciki ust Leny uniosły się subtelnie. W jej wzroku dostrzegła protekcyjne rozbawienie.

– Tak, Leno, mówię również o tobie. – Tusza zauważył grymas Letyckiej i zrobił w jej stronę dwa kroki. – Myślisz, że nasza firma to papier – umowy, zamówienia, oferty. Chodzisz na lancze z dyrektorami handlowymi, załatwiasz nam nowe kontrakty i, przyznaję, zwykle to robisz skutecznie. Ale czy potrafisz przekonać ich czymś innym niż ceną? Czy wiesz, co się kryje pod numerami naszych towarów? Czym jest kiełbasa, czym salceson, a czym szynka lub polędwica wieprzowa? Nie, znasz to wszystko wyłącznie ze sklepu, gdzie leży na półce opakowane w elegancką, opatrzoną naszym logo folię próżniową. Nie rozumiesz natomiast, co tak naprawdę skrywa styropianowa tacka, na której ułożone są pokrojone maszynowo kotlety. Nie pojmujesz wagi tego, co w naszej firmie robimy. Nie czujesz tego!

Letycka przestała się uśmiechać, cofnęła się o pół kroku i oparła plecami o ścianę.

– Spokojnie! – Tusza podszedł do Leny jeszcze bliżej i położył dłoń na jej ramieniu. – To nie zarzut. To fakt. Podobnie jak faktem jest, że Paweł wie, co prawda, ile kilogramów tuczniaka należy przerobić w fabryce, by zarobić na tym kwotę x, lecz podobnie jak ty pewnie nigdy nie widział warchlaka. – Odszedł od Letyckiej i przysunął się do Doktorowicza. – I oczywiście można by uznać, że kalkulator mu wystarcza do pracy. Ostatecznie ma przecież liczyć pieniądze...

Oddalił się od nich kilka kroków i w milczeniu przechadzał się wzdłuż szeregu, jakby był teraz przemawiającym do uczniów trenerem albo musztrującym kadetów dowódcą.

– Nie podoba mi się ten stan – warknął po chwili milczenia. – Nie podoba mi się, że nie szanujecie swej pracy. Nie akceptuję waszego wydelikacenia,

przeintelektualizowania ani poczucia wyższości. Tego, że czujecie się lepsi od innych tylko dlatego, że skończyliście studia i dostaliście własny gabinet. Nie ma we mnie zgody, aby takie osoby zarządzały moim majątkiem. Koniec z tym! Rozumiecie? Zero tolerancji dla takiej wygodnickiej postawy! Dla zadzierania nosa i jawnego okazywania braku szacunku wszystkim tym ludziom, którzy utrzymują wasze rodziny i pozwalają, byście mieszkali w swych eleganckich penthouse'ach! Dosyć!

Twarz Tuszy była teraz czerwona i lekko wilgotna. Mówił do nich, lecz wyłącznie o sobie. O targających nim kompleksach, o poczuciu niższości, o wewnętrznym przekonaniu, że wszyscy nim skrycie gardzili. O rozgoryczeniu, że nie dość go fetują. Nie dość służalczo okazują mu wdzięczność za byt, który im tak szczerze zapewniał.

Schyliła głowę i spojrzała na czubki swych butów. Jego przemowa nie zapowiadała niczego dobrego. Nie chodziło o integrację zespołu, o wspólne spędzenie czasu, nawet nie o to, by ubrudzili sobie ręce, pracując na roli. Szykował dla nich coś więcej. Przygotował karę i postanowił im ją wymierzyć. Odreagować wszystkie wypełniające go po brzegi emocje, dać upust własnej frustracji, udowodnić im – oraz sobie – że jest jedyną w tym gronie osobą, która dzierży faktyczną władzę. Bała się nawet zgadywać, co ich czekało. Igrzyska śmierci? Jakiś rodzaj sadystycznej i łamiącej morale zabawy? Tygodniowy obóz pracy? A może zbiorowa głodówka?

Miała ochotę zerknąć na twarze sąsiadów, lecz nie odważyła się unieść spojrzenia. Może i lepiej. Co mogłaby teraz z ich mimiki wyczytać? Że podobnie jak ona rozważali gorączkowo wszelkie możliwe scenariusze? Że żalowali, iż nie wzięli zwolnień lekarskich? Że z przerażeniem myśleli o wrzuconych do czarnego worka komórkach, które kierowca pakował właśnie do auta? Ciągłe mieli szansę, by pobiec. Wyrwać mu z rąk ten pakunek, odzyskać telefony, może nawet wrócić do domów. A jednak żadne z nich – mimo iż myśli te kłębiły im się teraz po głowach – nie odważyło się nawet poruszyć. Stali niczym stado baranów. Spetryfikowani usłyszana przemową oraz podsuwanymi im przez wyobraźnię wizjami. Jak w obozie, getcie, gułagu. Opanowani psychozą strachu, a równocześnie wciąż jeszcze liczący, że wszystko się dobrze zakończy.

– W tamtym budynku jest chlew.

Uniosła głowę i zobaczyła, że Tusza pokazuje na spory barak z pustaków.

– Dla każdego z was jest tam świnia. Tuczniak przeznaczony na rzeź. Taki sam jak te, które trafiają do naszego zakładu. Poza trzodą nie znajdziecie tutaj niczego. Nie ma ziarna, żadnej paszy, mieszanki. Nic, co moglibyście wsadzić do pyska. – Rafał zachłysnął się gniewem, a jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. – Jeśli chcecie jeść, to musicie sobie zabić świniaka. Każdy swojego. Ostatecznie nie jesteście przecież aż tak solidarni, aby dzielić się zdobyczą. – Jego

głos brzmiał teraz bardzo prześmiewczo. – Podtrzymamy tę zasadę i tutaj: nie zarzniesz, nie zeżresz. Proste. Tak przecież zawsze robicie. A teraz przekonamy się wspólnie, na ile to jest dobra strategia. – Zaśmiał się dziko i odwrócił się do nich plecami. – Narzędzia znajdziecie w komórce. Wszystko, co może się okazać przydatne. – Ruszył w stronę chlewu i po kilku krokach rzucił im spojrzenie przez ramię. – Nie idziecie?

Spuściła głowę i przez moment znowu przyglądała się butom. Własnym kaloszom i wciąż błyszczącym hunterom Letyckiej, traperkom Pawła i kolorowym sneakersom Daniela. Tkwiły w miejscu, nie odrywając się od błota. Przesunęła wzrok dalej, na trepy Piotra, trzewiki Marcina i białe pepegi Baški. One też były jak przyspawane. Z utyłanymi burą mazią brzegami i grudkami gliny na zwisających żałośnie sznurówkach. Trwały w bezruchu, jakby ciągle jeszcze nie były w stanie uwierzyć.

– Chodźcie – mruknęła. – Lepiej już mieć to za sobą.

– To się nie dzieje naprawdę! – usłyszała za sobą sapnięcie Daniela i zwolniła, aby mógł ją dogonić.

– Przeciwnie. – Uśmiechnęła się gorzko. – Wciąż uważasz, że dzielenie z kobietami sypialni jest najgorszą rzeczą, jaka cię tutaj spotkała?

Spojrzał na nią bez słowa, a ona skinęła głową, przyjmując nieme przeprosiny, które przekazał jej wzrokiem.

– Tak jak już powiedziałem! – ryknął Rafał, odwracając się na pięcie w ich stronę. – W gospodarstwie nie znajdziecie ziemniaków, ziarna czy paszy. Świnie ostatni raz jadły wczoraj wieczorem. Niedługo zaczną robić się głodne...

Zatrzymała się pół kroku od niego i słuchała z uwagą. Idący za nią zrobili to samo. Po urywanych dźwiękach ich oddechów poznawała, że czekają w napięciu na puentę.

– Czy ktoś widział kiedyś głodną świnię i jest w stanie to reszcie wyjaśnić? – Tusza zaśmiał się głośno i poszukał wzrokiem Marcina.

– Nie widziałem, ale wiem, co się stanie. – W dochodzącym zza pleców głosie nie wyczuła rozbawienia, jakie wcześniej nie opuszczało Urbańskiego. – Świnie robią się agresywne. Będą hałaśliwe, niebezpieczne, w końcu zaczną się kąsać nawzajem. Jeśli nie stoją w osobnych boksach, to zaczną sobie odgryzać ogony, potem uszy.

– Brawo, Marcin! Na coś się przydały te studia. – Tusza zaśmiał się złośliwie i poklepał się dłonią po udzie. – I nie, nie są w osobnych boksach. Kazałem umieścić je razem. Ostatecznie ma to być zabawa ucząca, więc warto, byście mogli poobserwować zachowania społeczne świniaków. Nie różnią się przesadnie od naszych. Świnie to inteligentne zwierzęta. Czasem myślę, że znacznie mądrzejsze od ludzi.

– O kurwa... – dobiegł ją zza pleców szept, ale nie była w stanie przypisać

go do żadnej osoby. – No to żeśmy awansowali!

Rafał najwidoczniej również to usłyszał, bo jego twarz wykrzywiła się w gwałtownym grymasie.

– A co? Sądziście, że tak bardzo różnicie się od wieprza? – Zaśmiał się głośno, lecz w jego śmiechu nie było teraz rozbawienia czy złośliwości. Był gniew. – Nie, kurwa! Nie jesteście! Nie różnicie się niczym od trzody! Dopóki jesteście naźarci, potraficie tłumić swój instynkt. Lecz wystarczy, byście poczuli zagrożenie, ba!, byście zaczęli przeczuwać, że coś może was pozbawić posiłku, a już się zaczynacie podgryzać! Zapominacie o swoich przeintelektualizowanych ideałach, wsadzacie w kieszeń obnoszoną na sztandarach moralność, tracie resztki człowieczeństwa! Nagle inni przestają się liczyć! Nie polujecie w stadzie, nie organizujecie się, nie podążacie za swoim przywódcą, tylko obgryzacie sobie ogony! Cała wasza etyka to gówno! Pierdolety dla ubogich! Jedno wielkie kłamstwo i błaga! I powiem wam coś jeszcze, o czym Marcin niestety zapomniał: zabicie głodnej, rozwścieczonej świni nie należy do prostych czynności. Więc jeśli osobiście miałbym coś radzić, to byście poszli po obuchy od razu. Póki jeszcze macie szansę na obiad. Bo z każdym kolejnym dniem będzie trudniej...

Nie czekając na kolejne reakcje, Tusza odwrócił się do nich plecami i energicznie ruszył w stronę komórki.

– A! Jeszcze jedno! – Zatrzymał się w pół kroku, po czym zerknął raz jeszcze przez ramię. – Jesteście humanistami, nieprawdaż? Grupą eleganckich, wysublimowanych wrażliwców. Z pewnością nie chcecie, by zwierzęta cierpiały. Nie chcecie się przyglądać, jak doskwiera im głód ani jak krwawia, bo silniejsze osobniki zżarły im ogon lub uszy. Jesteście przecież na to zbyt ludzcy...

Rafał

Wszedł do chlewu i rozejrzał się po wnętrzu, próbując przyzwyczać wzrok do półmroku. Po jaskrawym świetle wiosennego poranka wnętrze budynku wydawało się całkowicie ciemne. Mimo rzędu okratowanych okienek, które biegły wzdłuż ściany frontowej, z początku nie zobaczył niczego. Jedynymi bodźcami, jakie w tej chwili do niego docierały, był ciężki zapach świń oraz dźwięki, które wydawały w nadziei, że przyniosł im paszę. Oparł się plecami o ścianę i przez chwilę trwał tak w bezruchu. Wkurwili go. To nie była zwykła irytacja, jaką często w stosunku do nich odczuwał. Był wściekły. Rozdrażniony ich przerażonymi minami i bezwolnością, z jaką mu się poddawali. Rozjątrzony wbitymi w ziemię spojrzeniami i całkowitym brakiem oporu. Zakładał, że mimo wszystko spróbują mu się przeciwstawić. Że sprowokuje ich do działania. Potrzebował tej konfrontacji, by dać upust swoim emocjom. Chciał, żeby wrzeszczeli. Może nawet aby któreś dało mu w końcu po ryju. Ich brak reakcji rozczarowywał. Udowadniał, że byli jeszcze słabsi, niż sądził. Nie to, że pozwoliby im tutaj na wiele. O nie, nie zamierzał dopuścić do tego, by chwilowa rebelia przekształciła się w rewolucję. Nie o to mu przecież chodziło. Mieli się zbuntować, to wszystko. Pokazać, że wciąż jeszcze wyznaczają wokół siebie granice. Prowokował ich, licząc, że podniosą głowy, a on będzie mógł zmiażdżyć im karki. Przeliczył się.

– Kurwa! – mruknął pod nosem i skrzywił się z wyraźną pogardą. – Kurwa mać, co za banda!

Oderwał plecy od ściany i przeszedł powoli w stronę zbitego w ciasną grupkę stada, które, pokwikując, wystawiało ryje przez pręty. Świnie były młode i drobne. Żadna nie ważyła więcej niż jakieś czterdzieści kilogramów. Przykucnął przy nich i wystawiwszy rękę, pozwolił, żeby go obwąchały. Ich nozdrza były wilgotne i chłodne. Przesuwały się po jego dłoni w nadziei, że wyczują zapach jedzenia. W głodnym, nerwowym, pełnym wyrachowania teście szczodrości. Cofnął rękę i podniósł się z kucek, po czym rozejrzał się raz jeszcze po wnętrzu i przeszedł do tylnych drzwi, które niewidoczne były z podwórka. Nacisnął klamkę i pchnął je mocno przed siebie. Otworzyły się z cichym szcęknięciem, pozwalając, aby wyjrzał na zewnątrz. Z tyłu budynku był mały wybieg porośnięty gdzieśgdzie kępami młodej trawy, z przymocowanym do niskiego stalowego ogrodzenia korytem na wodę. Obok niego stał niewielki elektryczny podnośnik, stara wanna na metalowej konstrukcji, pod którą dostrzegł resztki wypalonego drewna, a na trawie – kilka europalet w charakterystycznym brązowym kolorze. Skinął głową i zawrócił do drzwi prowadzących na błotniste podwórze. Dostrzegł grupę stojących i znowu poczuł, że niebezpiecznie mu rośnie ciśnienie. Malicki szepotał coś właśnie do Poli, a ona słuchała go bez przesadnej uwagi, błędząc

wzrokiem pomiędzy chlewem a stojącymi tuż obok szopami. Leszczyński palił, wydmuchując dym w górę, a tkwiący obok niego Urbański drapał się bezmyślnie po głowie. Lena była odwrócona plecami, a przyklejona do jej boku Barbara perorowała z przejściem półgłosem. Zauważyła, że patrzy na nie, i zamilkła w pół słowa, więc uśmiechnął się do niej złośliwie i raz jeszcze objął wzrokiem ich wszystkich. Kogoś mu brakowało. Pawła? Tak, Doktorowicz gdzieś zniknął.

Wyszedł na zewnątrz i ignorując ich spojrzenia, ruszył w kierunku domu. Powoli, nie spiesząc się, przemierzył podwórko, odliczając kroki, które dzieliły go od domostwa. Piętnaście, dwadzieścia, czterdzieści dwa. Odetchnął głębiej, wytarł buty w wycieraczkę przed progiem i już spokojniejszy wszedł do środka. W przedsionku i izbie nie było nikogo, więc zajrzał do sypialni przeznaczonej dla mężczyzn i widząc, że i tam nie ma Pawła, przeszedł przez izbę raz jeszcze. Wszedł do pokoju dla kobiet i przez otwarte drzwi zlustrował wnętrze łazienki. Był sam. Wzruszył ramionami, zawrócił do sypialni i wybrał dla siebie łóżko w narożniku pokoju. Podniósł stojącą na środku torbę i umieścił ją ostrożnie na przetartej, ale czystej pościeli. Wygrzebał ze środka stare czarne bojówki, flanelową koszulę w kratę oraz parę butów na zmianę i zaczął się powoli przebierać. Było już prawie południe. Jeśli chciał zjeść kolację, to musiał się teraz pospieszyć. Nie, nie przywiózł dla siebie jedzenia. Mógłby, owszem, ale byłoby to zbyt łatwe. Nie mówiąc już o tym, że każde z nich mogłoby mu to później wyrzucać. A tak? Mogli o nim myśleć, że jest bestialskim, pozbawionym skrupułów potworem, ale z pewnością nie hipokrytą. Wsiadł razem z nimi na wózek i wbrew temu, co na ten temat sądzili, nie zamierzał się teraz wycofać.

Starannie złożył zdjęte ubranie, zawiązał buty i podniósł się z łóżka, po czym rzucił torbę na deski. Zmienił zdanie, podniósł ją raz jeszcze i ustawivszy z powrotem na łóżku, wypakował całą zawartość. Wszystko, łącznie z bielizną.

– Proszę bardzo! – mruknął z satysfakcją do siebie. – Niech nie myślą, że mam coś do ukrycia.

Zwinął torbę i upchnął ją w narożnik przy łóżku. Obok położył zestaw hantli oraz mniejsze ciężarki do ćwiczeń. Ubrania przeniósł na stojącą pod ścianą komodę, a buty ustawił w równym rzędzie poniżej. Zadowolony z siebie obrzucił pomieszczenie spojrzeniem i podwijając rękawy, ciężkim krokiem wyszedł z pokoju. Dotarł do drzwi, zatrzymał się na moment w przedsionku i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. W czasie, kiedy on się przebierał, pozostali już się rozpierzchli. Wałęsali się po podwórzu samotnie albo dwójkami i rozglądali się dookoła jak znudzeni turyści w skansenie. Uśmiechnął się pod nosem i skierował się ponownie do chlewu. Niech robią, co chcą. Pewnie będą się tak snuli przez kolejne dwa dni. Potem, gonieni głodem, wyruszą szukać zeszłorocznych ziemniaków, gnijącej kapusty lub szczawiu. Zaczną kombinować, co włożyć do garnka. Będą przetrząsać budynki, sprawdzać, jak smakuje sok z brzozy, rozważać

zjedzenie pędraków. W końcu któraś dziewczyna przyrządzi sałatkę z mleczy, a pozostali będą jej zazdrościć. Zachichotał pod nosem i zerknął na nich z wyższością. Byli żałośni niczym osioł przy dwóch pełnych żłobach. Udawali, że są lepsi od niego, ale wystarczyło odrobinę poczekać, by w końcu się przekonali, że nie różnią się wcale od zwierząt.

Chciał im pomóc. Naprawdę chciał. Szczerze mówiąc, miał nawet z początku wątpliwość, czy z tym wyjazdem to nie przesada. Agata potrafiła być nadgorliwa. W swojej nieustającej chęci usatysfakcjonowania go posuwała się czasem o krok za daleko. Kiedy po raz pierwszy przedstawiła mu pomysł imprezy, miał poważne zastrzeżenia do proponowanej przez nią formuły. Własnoręczny ubój? Nawet dla niego brzmiało to nazbyt drastycznie. I nie, nie chodziło o świnię. Przecież właśnie od tego zaczynał. Od hodowli i własnoręcznego szlachtowania świńiaków. To były początki jego kariery. Od noża rzeźnika aż po stołek prezesa. A jednak... Od lat już tego nie robił. Nigdy również za tym nie tęsknił. Ręczne oprawianie świni było ciężką fizyczną robotą. Nieprzyjemną, brudną, cuchnącą. Nie chciał wracać do tamtych czasów. Ani czuć ciepłej juchy na skórze, zeskrobywać sierści ze sparzonego w kadzi tuczniaka, wybebeszać go i nurzać rąk w wylewających się ze środka jelitach. Ta praca zawsze była dla niego dość wstrętna. Wykonywał ją dlatego, że musiał. Bez szczególnej chęci, jedynie dla pieniędzy. Gdy tylko zyskał taką możliwość, zatrudnił do tego człowieka.

Tak, pomysł Agaty był kontrowersyjny i budził w nim liczne opory. W przeciwieństwie do niej miał świadomość, jak wygląda zarznięcie zwierzęcia. Jeśli chciała mu się tą koncepcją podlizać, to nie trafiła. Był zniesmaczony. Uważał, że zorganizowanie zawodów rzeźniczych nie udowodni niczego poza tym, że był wykoślawionym psychicznie dewiantem. Psychopatą. Tak, psychopatą. Zmienił zdanie dopiero na tamtym spotkaniu. Obserwując ich miny, kiedy mówił o sukience z kotletów i Anthonym Hopkinsie wcinającym wieprzową wątróbkę. To był żart. Choć może nie? Sam już tego w tej chwili nie wiedział. Ot, po prostu, oglądał jakiś portal plotkarski, zobaczył Gagę w kapeluszu z karkówki i zwyczajnie go to rozbawiło. Może nawet nie było to głupie? Może na takim żarcie rzeczywiście by mogli coś ugrać? Kontrowersyjne? I owszem, ale wszyscy by o nich mówili. Wyróżniliby się, pokazali odwagę, odeszli od idiotycznych, popieranych przez Daniela kampanii, w których rodzina się spotyka przy grillu albo świątecznym stole wypełnionym po brzegi kiełbasą. Taka reklama to przeżytek. Kto jak kto, ale Daniel powinien to rozumieć. Ostatecznie przecież był gejem, więc powinien mieć gust i wycucie. Tak czy owak, to właśnie wtedy, dokładnie w tamtym momencie, widząc ich zniesmaczone miny oraz pełne powątpiewania uśmieszki i wysłuchując steku bzdur na temat oczekiwanych gospodyń domowych, zrozumiał, że Agata ma rację. Nie mieli pojęcia, skąd się biorą pieniądze na ich pensje. Nie czuli tego. Pojmowali to jak rachunek całkowity – na

wysokim poziomie abstrakcji, w oderwaniu od przyziemnej materii. Bez wnikania w to, co się kryło za prezentowaną w reklamie kiełbasą. Ich zmysł estetyczny cierpiał na myśl, że sprzedawali zabijane przemysłowo zwierzęta. Buntował się przed wizją nałożonych na ciało kotletów. Wzdrygał w zderzeniu z perspektywą obyczajowego skandalu czy choćby podstawowym niezadawanym sobie przez nich pytaniem: skąd się brał ten świąteczny kabanos? Byli bandą hipokrytów, nic więcej. O tyle niesmacznych, że ich dobrobyt miał swoje korzenie w chlewie. Nie akceptowali tego. Stwierdzenie, że to on jest rzeźnikiem, było łatwiejsze do przełknięcia. Tylko on, Tusza. Właściciel ubojni, zakładów mięsnych i adekwatnego do branży nazwiska.

Wtedy, na spotkaniu, jedyną osobą, która odczytała prawidłowo jego intencje, był Piotr. Pomysł reklamy rozbawił go dokładnie tak, jak powinien rozbawić ich wszystkich. Nie wierzył w to, że Lady Gaga zgodzi się w niej wystąpić, ale sam zamysł uznał za naprawdę zabawną. Dlaczego? Bo wyrósł na terenie fabryki, bo zaczynał jako menedżer na linii, bo miał okazję dotykać w życiu mięsa, zanim całkowicie ostygło. To Leszczyński utwierdził go w tej decyzji.

Minął bez słowa kręcąc się wokół budynku Tomaszewską i wszedł do środka, po czym zamknął za sobą drzwi. Na jego widok świny zaczęły kwiczeć, lecz tym razem zignorował ich głodne chrząkania. Przeszedł szybko do tylnego wyjścia, otworzył je na oścież, a następnie zawrócił, zdjął zasuwę z oddzielającej tuczniaki od reszty chlewu kraty i klepiąc je po zadach, zaczął powoli wypędzać na zewnątrz. Zrozumiały jego zachętę i z głośnym kwiczeniem pobiegły w stronę wybiegu. Jeden po drugim docierały do drzwi i pochylając nisko głowy, wyskakiwały na zewnątrz, gdzie zaczynały obwąchiwać podłoże, ryć w mokrej glinie w wygłodniałym poszukiwaniu korzeni i zaglądać niespokojnie w koryto. Odciał im drogę powrotu, przeszedł przez chlew i ponownie pojawił się z frontu. Na jego widok Barbara podskoczyła nerwowo.

– Przestraszyłeś mnie – wyjaśniła.

Wzruszył ramionami i nie wdając się w rozmowę, skierował kroki do najbliższej, zamkniętej na skobel komórki. Włazł do środka i w dochodzącym z zewnątrz świetle spróbował się rozeznac w wiszących na ścianie narzędziach. Dostrzegł elektryczny ogłuszacz, kilka ręcznych piłek do drewna, zestaw noży o dłuższych i krótszych ostrzach oraz parę szczotek ryżowych. Zebrał to wszystko, wrzucił do stojącego pod ścianą metalowego wiadra i raz jeszcze przeszukał wnętrze. W kącie odkrył parciane taśmy, kilka plastikowych kubłów oraz stalowy pręt zakończony dwoma hakami. Wywłókł wszystko na zewnątrz i zaczął przenosić metodycznie za szopę. Wrócił po metalowe wiadro i przy okazji zabrał gruby zwój szlaucha. Obszedł komórkę, dotarł pod wybieg, po czym zrzucił przyniesione przedmioty na ziemię. Zawrócił ponownie i ignorując fakt, że Tomaszewska przyglądała się jego wędrówkom z uwagą, wszedł do drugiej szopy, skąd po chwili

wyniósł spore naręczce porąbanego starannie drewna. Z trudem doniósł je na miejsce i klękawszy, zaczął układać pod starą żeliwną wanną. Wyprostował się w końcu, ocenił zgrabny stosik i wzdychając, zawrócił do szopy. Potrzebował jeszcze zapalek, termometru i szmaty. Znalazł wszystko pod służącym do majsterkowania stołem i zadowolony skierował się na powrót do wanny. Wpiął szlauch w wystający ze ściany kurek, napełnił kadź do połowy, a następnie zaczął rozpalać ognisko.

– Kurwa! – zaklął pod nosem, bo drewno było wilgotne i zamiast płonąć, dymiło tylko charakterystycznym żywicznym zapachem.

Może powinien poszukać starych gazet? Tylko gdzie? W żadnej z komórek nie dostrzegł nawet kawałka papieru. Może w domu albo na strychu. Uniósł się z kolan i zde gustowany popatrzył, jak unoszący się z polan dym zaczyna rzednąć, a w końcu całkowicie się rozwiewa. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu natchnienia, dostrzegł wyglądającą zza węgła Baškę i wydał usta w niesmaku. Szpiegowała go? Nie miała odwagi, by podejść? Bała się zapytać, co robił? Cóż za dziecinada! Przecież by jej nie zjadł, gdyby pojawiła się obok. Przeciwnie. Uznałby, że jako jedyna miała dość rozumu, aby chcieć się czegoś nauczyć. Nikt poza nim nie miał doświadczenia w zabijaniu świniaków. Tylko u niego mogliby cokolwiek podpatrzeć. Jeśli to rozumiała, to oznaczało, że zachowała jakieś resztki rozsądku. Ale po chuja ukrywała się za węglem? Dlaczego zerkala na niego niepewnie? Sądziła, że ją pogoni? A może obawiała się ocen ze strony swoich mniej pragmatycznych kolegów? Może uznała, że jeśli dostrzegą, iż obserwuje go w trakcie pracy, to utraci w ich oczach szacunek? Że uznają ją za kolaboranta i lizusa?

– Chuj z tym! – parsknął gniewnie pod nosem i odwrócił się do niej plecami.

Musiał znaleźć jakiś sposób, by skutecznie rozpalić pod wanną. To było najważniejsze. Właśnie to, a nie chore podchody Baški. Chciała go podglądać, to proszę! Może nawet się czegoś nauczy!

Klepnął się dłonią w czoło i zawstydzony własną bezmyślnością pobiegł truchtem do szopy. Zgodnie z przewidywaniami w kącie, zawinięty w worek foliowy, stał pięciolitrowy kanister z benzyną. Porwał go z miejsca, wrócił do wanny i zaczął polewać polana. Zakręcił ostrożnie baniak, odstawił go na bezpieczną odległość, po czym raz jeszcze spróbował rozpalić ognisko. Tym razem płomienie buchnęły, a wokół uniósł się charakterystyczny zapach spalin.

– Czasem bywam kompletnym idiotą...

Uśmiechnął się do siebie pod nosem i dopiero po kilku sekundach zorientował się, że Tomaszewska przysunęła się bliżej. Nie ukrywała się już i z pewnością musiała go słyszeć, bo rysy jej twarzy rozluźniły się lekko, a na ustach pojawił się uśmiech.

– Wszystkim nam się zdarza – mruknęła nieśmiało, jakby bała się, że ją

zaraz ofuknie.

Skinął głową i spróbował się do niej uśmiechnąć.

– Mogę spytać, co robisz? – Zachęcona podeszła jeszcze bliżej i przyglądała się przez moment płomieniom.

– Będę zarzynał świnie. Nie mam zamiaru razem z wami przez tydzień głodować.

Wzruszył ramionami i ofuknął się w duchu. Po co się przed nią tłumaczył? Po co w ogóle to mówił? Jakby z góry zakładał, że dla niego zasady są inne, a świnie mogą być świniom nierówne.

– Jeśli ci to nie przeszkadza, to chciałabym móc popatrzeć. Nigdy nie widziałam, jak się to robi. Nie mam o tym najmniejszego pojęcia – wyrzuciła z siebie szybko, jakby obawiała się, że zaraz jej przerwie. – Nie wiem nawet, czy sama będę potrafiła to zrobić, ale jeśli nie popatrzę, to nigdy się tego nie dowiem.

– Bardzo rozsądnie – pochwalił ją cicho i zaczął sprawdzać, jak się uruchamia podnośnik. – Twój koleś nie mają aż tyle rozumu.

– Są zaskoczeni, to wszystko.

Oderwał wzrok od włącznika i spojrzał na nią uważnie. Żartowała czy kpiła? Zaskoczeni byli wyjazdem. Teraz byli... No właśnie? Przygnębieni? Wściekli? Niepewni? Nie miał pojęcia, co czuli, lecz to raczej nie było zaskoczenie.

– Miałaś sporo racji... – Tomaszewska przysunęła się bliżej. – Wiesz, gdy mówiłaś, że jesteśmy przeintelektualizowani i kompletnie oderwani od życia...

– Powiedziałem coś podobnego? – Przesunął włącznik i obserwował ruch podnośnika.

– Tak. I to niestety jest prawda.

Odczekał na moment, aż ramię uniosło się na pełen swój wysięg, wyłączył silnik i zerknął na nią z namysłem. Głupia krowa! Próbowwała go podejść! Uważała zapewne, że wystarczyło drobne pochlebstwo, aby znowu przyjął ją w łaski. Niewiarygodne! Naprawdę go tak nisko ceniła, że nie potrafiła z tym nawet odczekać? Musiała tak nachalnie wlażyć mu prosto do dupy? Czy nie mogła zwyczajnie popatrzeć, trzymając przy tym głowę na kłódkę? Nieco subtelniej pozyskać jego przychylność? Nie! Musiała to spać tandetnym i niesmacznym kadzeniem! Chryste! Była jeszcze gorsza niż reszta!

Zacisnął dłonie w pięści i odsunął się od niej bez słowa. Owszem, czasem lubił, kiedy go publicznie chwalono. Miewał okresy, gdy branie go pod włos przynosiło zamierzony rezultat. Wiedział o tym znacznie lepiej od innych. Gdy nie był w formie, łaknął wszelkich oznak sympatii. Chciał, by go wszyscy lubili, by podziwiali jego mądrość, doceniali geniusz, zazdrościli sukcesu. Delektował się tym. Czerpał z ich zachwyty energii. To mu pomagało. Często, lecz, na Boga, nie teraz! W każdym innym kontekście, lecz nie teraz, gdy próbował ich upokorzyć!

Zauważyła jego reakcję i spłonila się po cebulki włosów. Jej usta rozchyliły

się lekko, ale zamiast rzucić jakieś usprawiedliwienie, przełknęła tylko ślinę. Kretynka! Durna, pozbawiona inteligencji emocjonalnej pizda! Niech spierdala! Niech stąd idzie i wypłacze się Lenie!

Poczuł, że wściekłość zaczyna nim mocno potrząsać, więc odwrócił się do niej plecami, stanął przy ogrodzeniu i przez moment przyglądał się świniom. Zarznięcie tuczniaka wymagało spokoju oraz precyzji. Nie był w stanie tego zrobić, dopóki był taki wkurwiony. Głupia cipa! Po cholere tu za nim przylazła?! Po co ciągle tu stała?! Chciała się podlizać? Nie wyszło!

– Wypierdalaj! – ryknął, odwracając się w miejscu gwałtownie. – Wypierdalaj! – krzyknął po raz drugi i dopiero wówczas zauważył, że zdążyła bezszelestnie zniknąć. – Głupia pizdo! – mruknął ciszej i odwrócił się ponownie ku świniom.

Fakt, że go nie usłyszała, wprawił go w jeszcze większą wściekłość. Tak jakby świadomość, że mimo wszystko potrafiła odczytywać jego nastroje, zadziałała niczym płachta na byka. Jak śmiała odejść, zanim on ją odprawił?! Jak śmiała tak tchórzliwie spierdolić?! Kopnął leżące obok plastikowe pojemniki i z satysfakcją obserwował, jak toczyły się po schnącym błocie aż do ogrodzenia. Zainteresowane ich ruchem świnię podbiegły do stalowych prętów i zaczęły wysuwać przez nie ryje. Ich pochrząkiwania rozwścieczyły go jeszcze bardziej, więc kopnął najbliższą w pysk i z zadowoleniem patrzył, jak skuliła się w sobie i spinając pośladki, umknęła. Nie spuszczać jej z oczu, pochylił się nad wiadrem, wyjął z jego wnętrza ogłuszacz i włączywszy go, zaczął iść wzdłuż ogrodzenia. Jego świnia dotarła już na drugi kraniec wybiegu, lecz gdy tylko go zobaczyła, uciekła ponownie i wpadła pomiędzy inne, jakby liczyła na to, że stado ją przed nim uchroni. Przeskoczył przez ogrodzenie, rozepchnął zbite w grupę zwierzęta i rozpoznał ją w końcu po brązowych cętkach na grzbiecie oraz pysku rozkwaszonym kopniakiem.

– No i co? – Zaśmiał się głośno. – Sądziłaś, że potrafisz mi umknąć?

Wysunął w jej stronę pręt ogłuszacza i zerknął odruchowo na wskaźnik. Urządzenie było naładowane i gotowe do użycia. Wystarczyło, by je przyłożył jej teraz do głowy, a potem nacisnął guzik. Spróbował to zrobić, ale tucznik znowu uciekł. Przebił się jakoś między innymi wieprzkami i zataczając się, zaczął biegać histerycznie dokoła.

– Jasna cholera!

Przysiadł na ogrodzeniu, obserwując nerwowy trucht świni. Po kilku sekundach zorientowała się, że przestał ją gonić, i zaczęła się uspokajać. Jej ruchy były powolniejsze, a z mięśni zadu powoli zniknęło napięcie. Odczekał jeszcze moment i powoli się zsunął na ziemię. Idąc ostrożnie w stronę zwierząt, obserwował, jak ryją w glinie pyskami. Jedna ze świń odkopowała coś właśnie i z donośnym mlaskaniem pożerała swe znalezisko. Pozostałe, zachęczone

wydawanymi przez nią odgłosami, zbliżyły się do niej i również zaczęły ryć. Dostrzegł między nimi swoją wybraną i gdy pochyliła nisko łeb, przysunął jej paralizator do czaszki. Poczowała jego dotyk, lecz na ucieczkę było już za późno. Krótki dźwięk uruchomionego przyciskiem mechanizmu, ostatnie chrząknięcie, kilka spazmatycznych ruchów i charakterystyczny, znany mu doskonale odgłos przewracającego się na bok zwierzęcia. Pozostałe świnie rozpięchły się spłoszone, a on przeszedł przez wybieg, wsunął rękę między pręty i chwycił stojące po drugiej stronie ogrodzenia wiadro. Przyciągnął je do siebie, a następnie wydobyl ze środka dwudziestocentymetrowy nóż o wąskim ostrzu i ostrej końcówce. Chwycił go wprawnie i nie czekając dłużej, zawrócił do leżącego na boku tuczniaka. Przyklęknął, przejechał wolną dłonią po szorstkiej, upstrzonej brązowymi plamami sierści i zlokalizowawszy właściwe miejsce, wepchnął cały brzeszczot do środka. Świnia szarpnęła się gwałtownie, a jej tylne racice zaczęły kopać w powietrzu. Przytrzymał ją ręką, docisnął do podłoża i przesunawszy sprawnie ostrze, rozciął nabrzmiałą tętnicę. Odsunął się, żeby krew nie zabrudziła mu butów, i rzucił nóż na rosnącą za ogrodzeniem trawę. Przez moment patrzył, jak zwierzę się wykrwawia, ale widok szybko zasłoniły mu inne, zwabione zapachem tuczniaki. Ich pyski pochyliły się nad kałużą, a wielkie różowe języki zaczęły zlizywać juchę wsiąkającą w podłoże. Odwrócił się zniesmaczony, przesadził ogrodzenie i dopiero teraz zauważył, że pod ścianą siedzi Barbara.

– Kazałem ci wypierdalać – powiedział beznamiętnie i cicho.

– Kazałeś, owszem. – Wzruszyła ramionami, spojrzała mu prosto w oczy, po czym podniosła się z miejsca i powoli podeszła do ogrodzenia. – Czy one ją oplakują? – Wskazała głową w stronę świń, które tłoczyły się nad zwłokami.

– Nie bądź sentymentalną idiotką! Zlizują jej krew. Mówiłem wam przecież, że...

Tomaszewska zgięła się wpół i zanim dokończył zdanie, zwymiotowała gwałtownie na trawę. Zerknął na skład wymiocin i uśmiechnął się lekko pod nosem. Może nie była aż tak głupia, jak sądził? Ostatecznie przyszła tutaj, żeby popatrzeć na to, co robił, a przed wyjazdem zjadła całkiem obfite śniadanie. Pragmatyzm? Mądrość życiowa? Szósty zmysł? Obojętne. Wykazała się przebłyskiem geniuszu.

Barbara

Wytarła usta i zawstydzona odszukała go wzrokiem. Stał pod ścianą chlewika, przyglądając jej się z uśmiechem.

– Przepraszam – mruknęła, mając nadzieję, że oszczędzi jej złośliwości.

Wzruszył ramionami, jakby nic się nie stało, i nie zwracając na nią dłużej uwagi, obszedł wybieg dla zwierząt. Przez kilka minut obserwowała jego ruchy, próbując odgadnąć, co teraz robi ze świnią. Układał na trawie jakieś przedmioty, oglądał z uwagą parciane pasy, w końcu zajrzał do wanny, pod którą rozpałił ognisko. Jego czynności sprawiały wrażenie przypadkowych, ale miała pewność, że wiedział dokładnie, co robi. Ani jedna chwila nie została zmarnowana na namysł. Poruszał się bez wahania i pewnie, zgodnie ze znanym wyłącznie sobie rytuałem, który dla widza mógł wydawać się tajemniczy czy niezrozumiały, lecz dla niego był naturalny i prosty.

Przesunęła spojrzenie na wybieg i zauważyła, że świnie straciły już zainteresowanie leżącym na boku tucznikiem. Tylko jedna ryła wciąż dookoła w nadziei, że krew, która wsiąkła w podłoże, da się z niego wciąż jeszcze wydobyć. W końcu nawet ona odbiegła. Tusza miał rację. Była sentymentalną idiotką, jeśli sądziła, że stado będzie ją oplakiwać. Nie różnili się w niczym od zwierząt. Gdyby odeszła z pracy, pamiętaliby o niej przez tydzień. Może krócej. Może tylko tak długo, ile trwałoby rozdzielanie między siebie jej miejsca parkingowego, samochodu służbowego lub nieporysowanego iPhone'a. Nie miała tutaj przyjaciół. Może nawet nie miała kolegów. Byli współpracownikami, to wszystko. Uprzejmymi na tyle, na ile wymagał tego od nich pragmatyzm. Udawali przed sobą sympatię, wrażliwość i zainteresowanie, ale była to wyłącznie gra. Pełna pompatycznych pustych gestów, przerysowanych grymasów, nienaturalnych ruchów. Kiedy tylko schodzili ze sceny, magia pryskała. Nie musieli nawet wracać do domów, zmywać makijaży czy zdejmować kostiumów. Wystarczyło, by znaleźli się za kulisami, poza zasięgiem wzroku innych, a ich maski błyskawicznie spadały. Nie było już przyjacielskich uśmiechów, poklepywania się po ramieniu, pytań o dzieci oraz plany na weekend. Rozwodzenia się nad urodą nowej torebki czy butów. Nie było najmniejszej łączącej ich więzi. Niczego, co utrzymywałoby kontakt.

Odwróciła spojrzenie od wykrwawionego tuczniaka i przeniosła je na Rafała, który przygotowywał sobie właśnie podnośnik. Na jego twarzy odbijało się skupienie na pracy. Nie było zaprzatających uwagę emocji, podskórnych przeżyć i komplikujących działanie rozważań. Była tylko ta jedna czynność: przymocowywanie metalowego drążka do haka. Prostota i wolność od abstrakcyjnego myślenia. A może raczej bezmyślność? Tak, dokładnie, całkowita

puszka umysłu. Automatyczność gestów, które płynęły z pamięci jego mięśni, nie z mózgu. Gdyby na jego miejscu był teraz ktokolwiek z nich, to z pewnością krygowałby się pod oblepiającym go ściśle spojrzeniem. Wiedząc, że jest obserwowany, reżyserowałby wyraz swej twarzy, głębię spojrzenia, napięcie czoła. Każdy gest, krok, poruszenie. Najmniejsze nawet napięcie mięśni. Tusza był wolny od takiej pokusy. Może nawet nie pamiętał już, że siedziała bez ruchu pod ścianą. A może po prostu jej obecność nie miała dla niego znaczenia. Tak czy inaczej, pozostał sobą. Prostym chłopem, który zarznął świnie i zamierzał ją wypatroszyć.

Podniosła się z miejsca i powoli zaczęła iść w stronę rozciągającego się za gospodarstwem pola rzepaku. Jaskrawa żółć kwiatów ciągnęła się aż po horyzont, a jej intensywność sprawiała, że bardzo szybko zaczęły boleć ją oczy. Zmrużyła powieki i z zaskoczeniem stwierdziła, że wcześniej nie była sobie w stanie wyobrazić ani tego miejsca, ani tego, co będą tu robić. Nie zastanawiała się, dokąd jada, nie rozważała, co się może wydarzyć. Tak jakby nie miała własnej woli. Jakby sama była niczym więcej jak zapakowaną do autobusu walizką. Kazali jej przyjść na miejsce zbiórki, więc przyszła. Kazali wsiąść do busa, to wsiadła. Chcieli, aby otworzyła torebkę oraz pokazała zawartość walizki – prosiła bardzo. Wykonała polecenia bez uśmiechu, ale również bez większego oporu. I nawet przez ułamek sekundy nie zastanowiła się, czego sama właściwie by chciała. A przecież nie chciała tu być z tymi ludźmi. Gdyby tylko mogła wybierać, byłaby teraz w domu, wtulona w ciepłe plecy Marka, który od kilku dni nie podnosił się z łóżka, pogrążony w rozrywającej jej serce apatii. Gładziłaby go po włosach, tłumaczyła, że wszystko jest dobrze i że znajdzie nową pracę znacznie szybciej, niż mu się obecnie zdawało. Gdyby mogła wybierać, zrobiłaby mu naleśniki z syropem klonowym i przekonała, żeby choć wyszedł na taras. A jednak zamiast tam, była tutaj. Z przywiezioną z domu małą torbą, w którą wrzuciła wyłącznie wymienione przez asystentkę Tuszy przedmioty. Karnie i bez szemrania wykonywała polecenia służbowe. Ba, nawet więcej: wyszła przed szereg i usiłowała zyskać uznanie szefa, asystując mu przy zabijaniu świniaka. Tylko po to, aby dostrzegł jej dozągoną lojalność i nie wpisał jej nazwiska na listę tych osób, dla których od przyszłego miesiąca nie będzie już miejsca w zespole. Przełknęła dumę i skalkulowawszy, że lepiej trzymać z nim niż z resztą stada, łąsiła się do niego w pozbawiony subtelności sposób.

Odwróciła się na pięcie i spojrzała w stronę chlewu. Rafał krzątał się właśnie wokół zabitej świni, a ona widziała jedynie trzymany przez niego parczany pasek, którym manewrował przy tylnych nogach zarzniętego tucznika. Nie musiała podchodzić, aby wiedzieć, że podwiesi go za racice i – manewrując podnośnikiem – przeniesie do kadzi z wrzątkiem. Potem wyciągnie, zeszkobie resztki sierści, rozetnie brzuch, a następnie wyjmie wnętrzności. Czy naprawdę

chciała to oglądać? Nie, gdyby mogła wybierać...

– Jestem głupia! – skonstatowała półgłosem i ruszyła wzdłuż pola rzepaku.

Nie musiała na to patrzeć. Nie musiała w tym uczestniczyć. Nie musiała z nim nawet rozmawiać. W zasadzie nic nie musiała. Mogła poszukać roweru, dojechać do sąsiedniej wsi i zadzwonić stamtąd do domu. Poprosić syna, aby wziął taksówkę i zwyczajnie po nią przyjechał.

Dotarła do końca zabudowań, obeszła dom i zatrzymała się na moment. Dopiero teraz zauważyła, że na skraju gospodarstwa w równych rzędach rosły jabłonie. Ich korony obsypane były różowymi płatkami, które pod wpływem wiatru spadały na trawę, tworząc na niej jasny, poprzątkany zielenią kożuch. Dlaczego nie widziała ich wcześniej? Rozejrzała się dookoła w nagłym przebłysku świadomości, że nie dostrzegала dotychczas niczego. Ani jabłoni, ani ustawionych w półokrąg uli, ani wielkich krzewów porzeczek. Jedyne, co do tej pory zauważała, to błoto na podwórzu, wykrzywioną twarz Rafała, opuchniętą wargę Daniela oraz chłęczące krew świnię. No i rzepak. Tylko dlatego że jego kolor raził ją w oczy.

Podeszła do pierwszej linii drzew i wciągnawszy w płuca powietrze, zanurzyła się w cieniu. Miała czas. Nie musiała się spieszyć. Mogła poczekać, aż Michał skończy lekcje, i dopiero wtedy po niego zadzwonić. Mogła również zrobić to jutro. Teraz miała ochotę postać pod tymi drzewami, dotknąć pni, usiąść na trawie, popatrzeć, jak płatki obsypują się powoli na ziemię.

– Pięknie, nie?

Podskoczyła nerwowo i się rozejrzała. Głos należał do Pawła, lecz nigdzie go nie widziała.

– Tak, bardzo – odpowiedziała niechętnie w kierunku, z którego padło pytanie.

– Patrzyłaś, jak Tusza zabija świniaka? – Doktorowicz wychylił się zza pnia, za którym siedział, i spojrzał na nią z uśmiechem.

– Tak. – Skrzywiła się lekko. – Szczerze mówiąc, chciałam mu się podlizać – wypaliła i z satysfakcją dostrzegła, że uprzejmy uśmiech Pawła zniknął. – Mój mąż stracił pracę w zeszłym tygodniu i nie mogę sobie pozwolić na to, by Tusza uznał, że jestem zbędna albo nie wykazuję się dostatecznym entuzjazmem.

Doktorowicz odwrócił wzrok i ponownie oparł się o drzewo. Jego grubo ciosana twarz straciła swój zwykły jowialny wyraz. Porośnięty jasnym zarostem podbródek opadł, a otoczone białymi, niemal przezroczystymi rzęsami niebieskie oczy zmrużyły się bardzo wyraźnie. Gardził nią, to oczywiste. Rozgniewała go, wyłamując się z szeregu, nadskakując szefowi i na dodatek przyznając się do tego otwarcie. Czuł do niej niechęć i nie silił się nawet, by przywdziewać skrywającą to maskę. Cóż, widocznie się pomyliła. Przystawali grać nie tylko wtedy, kiedy nikt ich nie obserwował. Wystarczyła odrobina szczerości, by wydobyć z nich

prawdziwe uczucia.

– Rozumiem cię. Też mam obsesję, by zapewnić bezpieczeństwo rodzinie.

Naprawdę to powiedział? Przyjrzała mu się uważnie i zrobiła w jego stronę pół kroku w nadziei, że jeśli spojrzy mu w oczy, to będzie w stanie ocenić, na ile w tej chwili był szczery.

– Czasem popadam w tym w okropną przesadę – dodał i uciekł jej wzrokiem. – Wiesz, oszczędzanie na „czarną godzinę”, ustawiczny strach, że zostaniemy tylko z pensją Beaty, myślenie, że jeśli stracę tę pracę, to nikt mnie już nie zatrudni... – Gapił się teraz na swoje dłonie, rozgniatając między opuszkami palców zebrane z trawy płatki.

Kucnęła obok i przez chwilę obserwowała, jak traciły swój blady róż, stawały się niemal bezbarwne, a w końcu zamieniały w przypominające rozgniecionego robaka wilgotne wałeczki.

Usiadła ostrożnie na ziemi, a potem, opierając się z początku na łokciach, zaczęła opadać na trawę aż do momentu, gdy poczuła podłoże pod głową.

– Wiesz, chciałabym tu chwilę poleżeć, potem poszukać roweru, pojechać do sąsiedniej wsi i zadzwonić stamtąd do syna.

– Brzmi całkiem dobrze – mruknął i niezdarnie położył się obok. – Myślisz, że rower jest jeden?

– Pewnie nie. W takim gospodarstwie każdy zazwyczaj ma swój.

– Poszukam z tobą. Też bym się chętnie przejechał.

Przekręciła się nieco i przyglądała mu się przez moment z uwagą. Leżał z zamkniętymi oczami, oddychając głęboko jak we śnie. Na jego twarzy dostrzegła piegi oraz jasne, niewidoczne z daleka włoski. Niektóre były grubsze od innych, a pory, z których wyrastały, przypominały małe kratery, inne były delikatne i cienkie. Na nosie i policzkach widziała teraz spłycone przez czas blizny po trądziku młodzieńczym, pomiędzy brwiami – dwie pionowe zmarszczki, a na szyi, w miejscu, które zwykle skrywał kołnierzyk koszuli, cienki srebrny łańcuszek.

– O co chodzi? – spytał, nie unosząc powiek.

– Nic. Gapię się. Nigdy wcześniej nie miałam okazji, żeby ci się dobrze przyjrzeć.

– To miłe. Pracujemy razem... jak długo?

– Nie wiem. – Opadła na trawę i zaczęła gapić się w niebo. – Ale już pewnie niedługo. Zamierzam poprosić syna, by przyjechał tu po mnie taksówką.

Doktorowicz nie skomentował jej planów, więc przez chwilę leżała w milczeniu. W pewnym sensie ten brak reakcji trochę ją nawet zabolął. Liczyła na to, że popatrzy na nią z podziwem, przykłaśnie jej planom ucieczki lub przynajmniej zacznie ją przekonywać, że powinna tu zostać do końca. On jednak milczał, jakby podjęta przez nią decyzja nie miała najmniejszego znaczenia.

– Dlaczego nic nie mówisz? – spytała w końcu, nie mogąc dłużej znieść

ciszy.

– A co miałbym niby powiedzieć? Pobłogosławić cię na drogę czy, może przeciwnie, odradzać? Skoro twierdzisz, że podjęłaś decyzję, to po co mam mówić cokolwiek?

Poderwała się nerwowo do pozycji siedzącej i potrząsnęła nim gwałtownie za ramię.

– Popatrz na mnie!

– O co ci chodzi? – Otworzył oko i uśmiechnął się z rozleniwieniem.

– Nie wierzysz, że to zrobię?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo. – Przymknął powieki, ale wciąż się wyraźnie uśmiechał. – Dobrze czasami pomarzyć, ale sama przecież mówiłaś, że nie stać cię na to, żeby Tusza wyrzucił cię z pracy. Więc nie, nie wierzę. Myślę, że nie po to patrzyłaś, jak zabija się świnię, żeby teraz stąd zwyczajnie odjechać.

– A nie sądzisz, że to, co widziałam, mogło mnie skłonić do takiej decyzji?! – krzyknęła nieco zbyt głośno i ponownie szturchnęła go w ramię. – Nie uważasz, że mogłam zmienić zdanie i nie chcieć w tym dłużej uczestniczyć?

– Nie. Sądzę, że zabijesz świniaka. Może jutro, a może pojutrze. Jeśli jesteś mądra, to raczej szybciej niż później.

– I co?! – krzyknęła ponownie. – Wybebeszę go i oprawię? A potem zrobię sobie schabowe?!

– Pewnie nie, bo nie znajdziesz panierki. – Jego głos był nadal spokojny. – Raczej wykorzystasz słoninę i na niej coś sobie podsmażysz. Może szynkę, a może wątróbkę. Nie wiem. Trudno mi zgadywać, co lubisz.

– Jesteś nienormalny! – Wstała i popatrzyła na niego z wściekłością.

– Nie. Jestem realistą. Podobnie jak ty, moja droga. Każde z nas spróbuje ukatrupić świniaka. I wiesz, co jeszcze? – Otworzył oczy i uśmiechnął się bardzo szeroko. – Nie podzielimy się zdobyczą z innymi.

Paweł

Odczekał na moment, gdy demonstracyjne tupanie stało się ledwo dosłyszalne, uniósł się na łokciu i z uśmiechem patrzył, jak zaglądała do kolejnych budynków. Mógł jej w sumie powiedzieć, żeby oszczędziła sobie fatygi, bo żadnego roweru nie było, ale obserwowanie jej teraz sprawiało mu mściwą satysfakcję. Popisywała się przed nim oburzeniem, lecz w gruncie rzeczy wcale nie zamierzała wracać do domu. Chciała jedynie poprawić sobie nastrój, przekonując samą siebie, że stać ją było na sprzeciw. Ale przecież z nich wszystkich to właśnie ona była najgorliwszym wyznawcą osiąganego przez uległość sukcesu.

Zastanawiał się czasem, czy jej postawa brała się z hipokryzji, strachu, czy ze zwykłego znużenia. Być może miała taki charakter, a może wpojono jej w dzieciństwie przekonanie, że należy być posłusznym i grzecznym. A może – i ten scenariusz też wielokrotnie rozważał – bezwzględna potulność była jej osobistą formą radzenia sobie z Rafałem. Ostatecznie poddawanie się jego woli zapewniało bezpieczeństwo i spokój. Stosując mimikrę, mogła przetrwać latami – bez obaw, że nagły podmuch emocji zmiecie ją z firmamentu ich firmy. Gdy Tusza zaczynał szumieć, ona natychmiast pochylała się z wdziękiem, ustępując mu z drogi i pozwalając, by fala uderzeniowa znalazła sobie inną przeszkodę. Z reguły Lenę, rzadziej Daniela lub Piotra.

Parsknął pod nosem na myśl o tym, jak Tomaszewska będzie się dziś wieczór skarżyła. Jak zapewni Polę i Lenę o nieprzepartej chęci ucieczki, a potem westchnie teatralnie i wymruży coś na temat rąk, które niestety miała związane. O tak, rzeczywistość bardzo często pętała jej dłonie. Biedna, pozbawiona możliwości ruchu Basieńka! Zakładniczka okoliczności!

Wciągnął głośno powietrze, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy od tygodnia jest wściekły. Cała agresja, którą przez ostatnie godziny spychał na dno świadomości, zaczynała buzować. Był zły na siebie, na Tuszę, na wszystkich.

Poruszył się niespokojnie, zmarszczył czoło i rozejrzał dookoła. Było za późno, by wrócić do bezmyślnego stanu, w jakim udało mu się wcześniej pograć. Co zrobić? Zabrać torbę i ruszyć z powrotem piechotą czy zacząć się przyzwyczajając do myśli, że będzie musiał zarznąć świniaka? Jeśli to pierwsze, to powinien ruszyć już teraz, póki Rafał był zajęty, a wczesna pora dawała mu szansę na dotarcie do wioski przed zmrokiem. Jeśli jednak planował tu zostać, to powinien pogadać z Leszczyńskim i spróbować z nim zawrzeć przymierze. Piotr był tutaj jedyną osobą, która byłaby w stanie mu pomóc. Dziewczyny były na to za słabe, Daniel – bardziej wydelikacowany niż one, a Marcin... cóż, Marcin był wrakiem człowieka. Jeśli ktokolwiek w ich gronie miał jakiegokolwiek szansę na to, aby zabić tuczniaka, to wyłącznie ich dwóch: on i Piotrek Leszczyński.

Podniósł się z trawy i ruszył w kierunku podwórka w nadziei, że dostrzeże gdzieś połyskującą w słońcu czaszkę i wysoką, przystojną sylwetkę. Na ławce przed domem siedzieli Pola z Marcinem, na skraju pola dostrzegł przechadzającą się bez celu Letycką, a pod płotem – opartego o nierówne sztachety Daniela. Gdzie się podział Leszczyński?

Zatrzymał się na środku podwórka i niezdecydowany przejechał wzrokiem po wszystkich. Jeśli nie Piotrek, to Lena. Nie wyglądała na wysportowaną i silną, lecz na tle pozostałych ona jedna miała w sobie resztki energii. Jakiś rodzaj zacięcia, który teraz ujawniał się w ruchach i sprawiał, że jej marsz wzdłuż niekończącego się pola kukurydzy wydawał się mimo wszystko sensowny. Wsadził ręce w kieszenie i szybko ruszył w jej stronę. Zamachała do niego, więc przyspieszył do truchtu i dogonił ją po minucie.

– Gdzie się chowałeś?

– Siedziałem pod drzewem. Przyszła Baśka i zrujnowała moją słodką bezmyślność, więc koniec końców uznałem, że chyba pora się ruszyć.

Letycka uśmiechnęła się szeroko i poruszyła lekko głową, wskazując kierunek, w którym powinien popatrzeć.

– Wygląda na to, że asystując Rafałowi, straciła wiarę w swoje możliwości rzeźnicze. Zdaje się, że szuka roweru.

– Nie znajdzie go. – Zaśmiał się sardonicznie.

– Wiem. Sama już wcześniej sprawdziłam. Nawet gdyby gdzieś był, to i tak by już była spóźniona. Ustaliliśmy, że jeśli go w ogóle znajdziemy, to Daniel pojedzie do wioski. Jest najbardziej wysportowany z nas wszystkich.

– Daniel? Serio?

Wyczuła zawartą w jego pytaniu insynuację i zaśmiała się cicho pod nosem.

– Okoliczności się zmieniły. Może i Malicki jest świnią i największym w naszym gronie lizusem, ale ciągle jeszcze jest wściekły za przydzielenie go do babskiego pokoju. Potraktował to bardzo osobiście.

– Jakoś mu nie bardzo współczuję. Przynajmniej zyskał okazję, by zweryfikować swój stosunek do Tuszy. Akurat ciebie powinno to cieszyć najbardziej.

Lena zatrzymała się na moment i odwróciła w stronę pola. Na jej twarzy pojawił się namysł.

– Paradoksalnie nie odczuwam żadnej satysfakcji – szepnęła. – Mam wrażenie, że wszystko wymknęło się spod kontroli. Tusza przesadził i z Danielem, i z przeszukaniem naszych toreb, i z całym tym cholernym wyjazdem. Nie wiem, co jeszcze chce zrobić, ale to już nie jest niewinny żart. To psychopatyczna zabawa. – Spojrzała mu w oczy, jakby poszukiwała w nich odpowiedzi.

– Nie mam, kurwa, pojęcia, co będzie – przyznał cicho i poruszył bezradnie rękami.

– Zamierzasz...? – zawiesiła głos, jakby nie potrafiła dokończyć pytania.

– Czy zamierzam zabić świnie? Nie wiem, ale zastanawiam się nad tym. Na poziomie racjonalnym wydaje się to jedynym sensownym rozwiązaniem.

– Ale...? – Zerknęła na niego, a w jej wzroku dostrzegł, że była autentycznie ciekawa, co powie.

– Ale nie podoba mi się ten pomysł. Nie dlatego, że mam jakieś moralne opory przed zabiciem i zjedzeniem tucznika. To byłoby idiotyczne. Ostatecznie z tego właśnie żyjemy. Nie jestem też wegetarianinem, żrę na co dzień kotlety, a moja pensja bierze się z tego, że inni też jedzą mięso. Nie o to chodzi. Po prostu nie podoba mi się myśl, że po raz kolejny miałbym zrobić coś, czego on ode mnie oczekuje. Mogę wykonywać polecenia, gdy dotyczą moich zadań służbowych, ale nie to i nie tutaj. Są granice. To już nie jest przestrzeń firmowa. To wykracza poza zakres naszych zwykłych relacji. Tu nie chodzi już o to, że ja jestem podwładnym, a on szefem. Och, wiesz przecież, o co mi chodzi!

– Wiem. Chce mieć nad nami pełnię władzy. Nie tylko w firmie, lecz wszędzie.

– Tak. – Skinął głową. – Bardzo źle się stało, że pozwoliliśmy mu zajrzeć do naszych bagaży. To naruszyło dotychczasowe granice, a on będzie posuwał się dalej. Jeszcze moment i zdejmie drzwi do toalety, uzasadniając to potrzebą całkowitej transparentności załatwianego tam przez nas biznesu. Choć w zasadzie już traktuje nas niemal jak bydło.

– Chyba raczej jak trzodę. – Zaśmiała się perliście i głośno.

– Tak.

Nie podzielał jej rozbawienia, ale myśl, że coś potrafiło ją jeszcze rozbawić, była mimo wszystko krzepiąca.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Że nie ma dobrego wyjścia. Jeśli przez tydzień będziemy głodować, to co zyskamy? Utwierdzimy go w przekonaniu, że jesteśmy bandą pozbawionych charakteru wymoczków. Nawet jeśli dla nas taki rodzaj oporu będzie dowodem na to, że posiadamy charakter, on tego nie zrozumie. Będzie triumfował. Zyska powód, by nas jeszcze gorzej traktować. W jego świecie zabicie świni to oczywisty dowód męskości. Nie potrafisz lub nie chcesz tego zrobić? Diagnoza jest prosta: jesteś patałachem. Nadwrażliwym intelektualistą i babą. Bez urazy...

– Ale jeśli zabijemy te świnie i do końca wyjazdu będziemy się radośnie gościli przy grillu, to...

– ...będziemy najedzeni, lecz padnie ostatni bastion – skończył niecierpliwie jej zdanie.

– Nie tylko. Akceptując tę konwencję zabawy, staniemy się tacy sami jak Tusza. I choćbyśmy nie wiem jak próbowali przed sobą udawać, że to była integracja, survival albo chuj wie co jeszcze, to i tak gdzieś tam w środku

będziemy się czuć jak kutasy.

– Fakt.

– Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, że po czymś takim wrócimy po prostu do domów, zapomnimy o sprawie i w poniedziałek, jak gdyby nigdy nic, wszyscy pojawimy się w biurze.

– Może on ma w gruncie rzeczy rację? Może faktycznie nie nadajemy się do tej pracy?

– Bo...?

– Bo on chce mieć wokół siebie osoby, które byłyby w stanie potraktować to w kategoriach dobrej zabawy. Sam nie wiem. Pewnie są tacy ludzie. Może gdyby lepiej poszukał, to udałoby mu się takich zatrudnić?

– I co? Znaliby się na sporządzaniu sprawozdań finansowych? Albo na biotechnologii? Byliby specami od logistyki, sprzedaży, marketingu i zarządzania zasobami ludzkimi? Nie żartuj!

– Nie żartuję. Jestem pewien, że znalazłby takich.

– Tylko co wtedy?

– Jak to: co? Miałby to, czego pragnie!

Lena zachichotała, a on spojrzał na nią, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Wiesz, Paweł, myślisz typowo po męsku. – Wykrzywiła się, patrząc w jego stronę.

– Dokładnie tak samo jak Rafał! – parsknął gniewnie, uświadamiając sobie, że śmiała się z tego co, a nie jak do niej mówił.

Zachichotała znowu i protekcyjnie wydeła usta.

– A co? Nie?

– Nie, właśnie nie. Tusza nie myśli po męsku. On myśli emocjami, jak baba. – Uśmiechnęła się szeroko i uniosła kilkakrotnie brwi z dwuznacznym uśmiechem, którego kontekstu nie pojął. – Mam nawet podejrzenia, dlaczego jest taki... labilny. – Zauważyła jego powagę i przestała błaznować. – No dobra, zostawmy ten temat. Moje domysły są kompletnie nieistotne dla sprawy. Ważne natomiast jest to, że Rafał zachowuje się jak kobieta, która otacza się brzydszymi od siebie koleżankami po to tylko, by poprawiać sobie samopoczucie. Gdyby Tusza znalazł i zrekrutował takie osoby, o jakich mówisz, to byłby zadowolony przez chwilę. A potem co? Utraciłby palmę pierwszeństwa. Przestałby być taki niezwykły, bo wszyscy dookoła byliby prości, brutalni, bezwzględni. Już by się nie wyróżniał. Nie byłby bardziej męski od reszty tylko dlatego, że ma sylwetkę zapaśnika i chlubną przeszłość rzeźnika. Tusza wygląda obecnie jak facet wyłącznie dlatego, że za tło służy mu nasza banda wymoczków. Ja – niedoszła pianistka. Marcin – poskręcany lękami wrażliwiec. Pola – psycholog społeczna, którą rajcuja artykuły na temat „sztuki skutecznego feedbacku”. Baśka – wykształciuch bez kręgosłupa. Piotrek – a może raczej Piotruś Pan – facet bez

krztyny odwagi, który nie ma nawet typowo męskiego hobby. Nie jest kibicem, nie obstawia zakładów, jeździ metrem, bo samochody go w żadnej mierze nie kręca. I jeszcze ty – mistrz Excela, pan liczykrupa, z którego żony i garnituru przez lata można się było naśmiewać. Świetny w swej roli, ale nie rywal. Mam mówić dalej?

– Nie, już nie musisz. Pojąłem. – Wykrzywił usta, dotknięty nieco jej przytykiem, że naprawdę nie byłby w stanie stanąć w szranki z Rafałem. – Choć nie do końca rozumiem powody, dla których twoim zdaniem Tusza miałby mieć jakiegokolwiek kompleksy. Zwłaszcza na punkcie swej siły. Jeśli już, to chyba raczej z powodu braku obycia?

– Na tym tle ma je również, ale w tym obszarze łatwiej jest mu się mimo wszystko ukoić. Ostatecznie osiągnął sukces bez dyplomu z Oksfordu, co w jego mniemaniu przesądza o małej wadze edukacji. A kiedy się nam przygląda, to tylko utwierdza się w tej opinii, bo wrażliwość i wykształcenie czynią nas bardziej podatnymi na brutalne, pozbawione finezji zagrywki. W ich obliczu jesteśmy bezbronni. Nie potrafimy się zniżyć do pewnego poziomu, a niektórych zachowań nie jesteśmy w stanie przewidzieć, odczytać i pojąć. I koniec końców wychodzi na to, że wszystkie te szkoły, którymi się tak bardzo chlubimy, są psu na buty. Nie tylko nie pomagają, ale wręcz szkodzą. I na dodatek jeszcze nasi rodzice musieli za nie słono zapłacić. A to już jest kosmiczne frajerstwo.

– Skoro tak sądzisz, to po co kształcisz swe dzieci? – Skrzywił się do niej złośliwie z pełną świadomością, że użyty w tej chwili argument jest chybiony i niezwiązany z tematem. – Jeśli tok myślenia Rafała jest prawidłowy, to zamiast opłacać czesne, powinnaś zostawić dzieciakom spadek albo dać im te pieniądze na rozruch własnego biznesu.

– Błagam cię, Paweł! – Letycka zgromiła go wzrokiem. – Naprawdę chcesz w ten sposób rozmawiać?

– Nie – przyznał po chwili. – Szczerze mówiąc, idąc tu, szukałem sojusznika, który pomoże mi zabić świniaka. Ale po twojej przemowie nie jestem już pewien, czy faktycznie zamierzam go zarżnąć. Może powinienem wypisać wniosek o urlop albo wręczyć Rafałowi swoją rezygnację?

– Nie przyjąłby żadnej z tych rzeczy.

– Oczywiście, że nie. – Skrzywił się i wzruszył ramionami. – A ty co zamierzasz? Bo nie powiedziałaś mi...

– Ja?

– Tak, ty.

– Czy ja wiem...? – zastanowiła się na głos. – Jeszcze przed dwiema godzinami byłam tak wściekła, że w zasadzie to mogłabym zabić. Świnię lub Tuszę, bez różnicy. Ale odrobinę mi już przeszło. Może jak zrobię się głodna, to znowu zacznę życzyć mu śmierci? Wiesz, zastanawiałam się nad tym, jaką świnię wybrać do rzezi. Rafał wydał mi się największą. – Zaśmiała się cicho i bez

przekonania. – Przez moment nawet fajnie było sobie wyobrażać, jak go zbiorowo tłuczemy. Moglibyśmy go potem zjeść. Jak Hannibal. Albo zakopać na polu...

– Albo nakarmić nim świnię – podsunął jej usłużnie rozbawiony nieco jej morderczym wyznaniem.

– Tak, to nawet byłoby lepsze. Posililibyśmy się jego najlepszymi partiami, a resztę rzucilibyśmy świniakom. Skoro jesteśmy dla niego niczym więcej jak tylko zwykłym stadem wieprzów, to byłaby w tym jakaś perwersyjna logika, nieprawdaż?

– Przewrotne i bardzo kuszące. – Zaśmiał się głośno i żartobliwie przymrużył oko. – Jak będziesz już na to gotowa, to daj mi znać. Piszę się na współuczestnictwo.

– O czym mówicie? – głos Leszczyńskiego dotarł do nich zza pleców, a jego niespodziewane pojawienie się obok sprawiło, że oboje podskoczyli ze strachu. – Na co się piszesz?

Zerknął pytająco na Lenę, a ona kiwnęła głową i rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

– Szukałem cię, bo liczyłem, że zawiążemy przymierze i wspólnie zabijemy świniaka – zaczął wyjaśniać, zachęcony jej lekkim skinieniem. – Ale spotkałem Lenę i po krótkiej rozmowie doszliśmy do wniosku, że jest tylko jeden godzien naszych wysiłków osobnik. Na tyle dorodny, by wykarmić nie tylko nas, ale również pozostałe świniaki.

– Brzmi obiecująco. – Piotrek złapał w lot dowcip. – Sam bym się chętnie przyłączył, lecz niestety...

– Jesteś wegetarianinem? – Lena zerknęła na Leszczyńskiego spod oka.

– Ani wegetarianinem, ani buddystą.

– A zatem na pewno smakoszem. – Zachichotała.

– Owszem, tak, ale nawet jego umiałbym właściwie przyrządzić. Jest stary, to prawda, lecz w odpowiednim procesie długotrwałego duszenia w końcu musiałby skruszeć.

Lena parsknęła, Piotrek zaczął chichotać, a on przez moment zastanawiał się, jak to się stało, że wciąż jeszcze byli w stanie się śmiać. Czy rzeczywiście przekroczyli już granicę absurdu i czarny humor był jedyną adekwatną reakcją? A może mimo wszystko nie byli aż tak wrażliwi?

– Dlaczego zatem nie zamierzasz się do nas przyłączyć?

– Nie mogę. Chciałbym, lecz niestety nie mogę. Byłbym pierwszym podejrzanym w tym gronie. – W głosie Piotra zabrzmiała nagła powaga. – Nie chcę wchodzić w szczegóły. Musicie mi uwierzyć na słowo.

Twarz Leny spięła się, jakby nagle uderzył ją fakt, że ich rozmowa przestała być żartem. Spojrzał na nią i lekko pochylił głowę, dając do zrozumienia, że nie myliła się w diagnozie. Tak, rozmawiali poważnie. Humorystyczna forma nie

zmieniała w żaden sposób faktu, iż każde z ich trójki myślało obecnie tak samo: zniknięcie Tuszy rozwiązałyby ich wszystkie problemy. Skończyłyby się szykany, nieustanne przytyki, podważanie ich kompetencji i publiczne umniejszanie wartości. Nie byłoby gier salonowych, korytarzowych plotek, napuszczania jednego na drugie. Umarłaby kultura donosicielstwa, wszędobylskich podsłuchów i szcurzej walki o prymat. Każdy skoncentrowałby się wreszcie na sobie. Na własnej pracy i sprawach. Na robieniu tego, za co im wszystkim płacono. Bez konieczności trawienia godzin na jałowych rozważaniach, co jeszcze się może wydarzyć, i próbach rozwikłania poplątanej nad miarę fabuły firmowych rozgrywek. Boże! Jaka to byłaby ulga iść do pracy, robić swoje i wracać! Nie zastanawiać się nad tym, czy Tusza będzie w dobrym nastroju, kogo weźmie na tapetę, nad kim postanowi się pastwić. Ot, po prostu, każde szłoby spokojnie do biura. Bez bólu brzucha, trzęsących się rąk oraz lęku spinającego przeponę. Może nawet Marcin znowu zacząłby chodzić normalnie, a Daniel przestał pić wieczorami? Może Pola w końcu zaszłaby w ciążę ze spotkanym przypadkowo facetem? Może Tomaszewska przestałaby być hipokrytką? A on? On nie czułby już nigdy potrzeby, aby wynieść z biura ryzę najtańszego papieru.

– Ehem... – chrząknął lekko, by odpędzić tę wizję.

– Taaaa... – mruknął przeciągle Piotrek.

– Przeróżające. Jeśli teraz w ten sposób myślimy, to co będzie, powiedzmy, w środę...? – Lena spojrzała na nich niepewnie.

– W środę zapewne uznamy, że zjemy go bez konieczności duszenia. – Skrzywił się cynicznie i potarł dłonią czoło. – Może nawet będziemy chcieli zrobić carpaccio.

Z oczu Letyckiej zniknęło przejęcie. Wyglądała na zde gustowaną.

– Nie powinniśmy tak nawet rozmawiać! Nie powinniśmy myśleć w ten sposób!

Jej reakcja go zagniewała. Przecież to ona pierwsza zaczęła fantazjować, że zbiorowo dokonują morderstwa.

– Przepraszam. – Skuliła się pod jego miażdżącym spojrzeniem. – Masz rację, to był mój pomysł. I dlatego właśnie tak mnie to teraz przeraża. Nie brzydzę się wami, lecz sobą.

– Nie pierdol! – warknął i raz jeszcze spojrzał na nią krytycznie. – Nie zachowuj się jak Tomaszewska! Przestań w końcu udawać, że jesteś taka świętojebliwa! Miałaś te myśli i przy nas możesz się przyznać. Kto ich nie miał w tym gronie? Ja? Piotrek? Kurwa mać! Każde z nas wiele razy marzyło, że skurwiel wreszcie wpada pod tramwaj! Może nie rozważaliśmy wcześniej tego, żeby wypruć mu flaki, ale wszyscy życzyliśmy mu śmierci. Czasem mniej, czasem bardziej bolesnej. Fantazjowaliśmy, jak cudownie by było, gdyby Tusza w końcu kopnął w kalendarz. Nie robiłaś tego? Nie wierzę! Oczywiście, że tak! Jedyna

różnica polega na tym, że teraz, w tej sytuacji zaczęliśmy myśleć, że może nie ma sensu czekać na zderzenie z tramwajem. Zwłaszcza że statystycznie rzecz biorąc...

– Oczywiście, że to robiłam! Ale to były czysto hipotetyczne fantazje! Myślałam raczej o jego zniknięciu niż o tym, że miałby umrzeć.

– Och! Jakie to humanitarne! – Zachłysnął się gniewem i nachylił z wściekłością w jej stronę. – Czyli marzyłaś, że znika? Bez szczegółów? Ot, po prostu przestaje pojawiać się w biurze? Emigruje gdzieś pewnie? Kupuje bezludną wyspę, zamyka się w aśramie w Nepalu albo postanawia przenieść się na stałe na Bali? Raj, beztroska, obopólna bezgraniczna szczęśliwość?! Brawo, Lena!

Skrzywiła się boleśnie na brzmienie ostatniego zdania, a on zaśmiał się cynicznie pod nosem. Przeszkadzało jej wszystko, co tylko kojarzyło się z Tuszą, ale równocześnie twierdziła, że nie marzyła o tym, by umarł? Kogo chciała oszukać? Jego, Piotrka czy siebie?

– Masz rację: wiele razy życzyłam mu śmierci – przytaknęła w końcu zgnębiona. – Chcesz to raz jeszcze usłyszeć? Tak, wiele razy ukatrupiałam go w myślach na mniej lub bardziej drastyczne sposoby. To przynosiło mi ulgę. Pozwalało żyć dalej. Ale nigdy, powtarzam, nigdy nie czułam pokusy, żeby naprawdę to zrobić. Aż do dzisiaj. Aż do naszej rozmowy. To zawsze była dla mnie abstrakcja. Film, kompletna fikcja. A teraz? Chcesz wiedzieć, co czuję teraz? Jestem głodna! I gdy Piotrek mówi o powolnym duszeniu, to mam w nozdrzach zapach potrawki! Wyobrażam sobie smak tego mięsa! Moment, gdy nadziewam je na widelec, kładę na języku i czuję w ustach aromat. Moje ślinianki pracują. I nie, nie przeszkadza mi wcale, że zamiast schabu pożeram szynkę z Rafała. Przeciwnie! Delektuję się smakiem! A nienawiść, którą do niego odczuwam, jest niezwykle aromatyczną przyprawą. I dlatego właśnie... dlatego, do kurwy nędzy, tak bardzo mnie to wszystko przeraża! Dlatego chcę, byśmy zakończyli tę rozmowę! Bo jeśli pociągniemy ją dalej, to...

Popatrzył na nią z pełnym akceptacji, ciepłym uśmiechem. Więc jednak wyrzuciła to z siebie. Wypowiedziała potworności, które każde z nich w sobie nosiło i do których nie mieli odwagi się przyznać. Które kamuflowali czarnym humorem. Dobra stara Lena! Była prawdziwym żołnierzem!

Przysunął się do niej i nie oglądając się na Piotrka ani inne znajdujące się na podwórku osoby, objął ją w pasie, po czym mocno przycisnął do siebie. Szarpała się przez moment, jakby sądziła, że jego gest jest kolejną napaścią, ale w końcu przytłoczona ciężarem jego ramion poddała się uściskowi. Jej broda oparła mu się o ramię, dłonie schwyciły go w pasie, a usta przesunęły się powoli do ucha.

– Dziękuję – szepnęła i zwiotczała mu w objęciach.

– Drobiazg. Teraz będzie ci lepiej – odszepnął w długie jasne pasma jej włosów. – Wyrzuciłaś to z siebie. Może nawet nie będziesz dłużej chciała go zabić.

– Nie jestem taka pewna – mruknęła sceptycznie.

– Ja też nie – przytaknął rozbawiony, poluził uścisk i powoli wypuścił ją z ramion. – Ale przynajmniej teraz będziesz wiedziała, że nie jesteś w swej rzeźniczej żądry osamotniona. Na Piotrkę nie możemy liczyć – w sumie nie rozumiem dlaczego – ale jeśli o mnie chodzi, to zawsze chętnie podam ci tasak.

Zaśmiał się w próbie obrócenia wszystkiego w żart. Może niepotrzebnie tak mocno naciskał? Nie zasługiwała na to. Każdy, ale nie ona. Jeśli chciał odreagować, to powinien był podręczyć Barbarę lub wbić szpilę w miękkie podbrzusze Daniela.

– Przepraszam. – Chwycił jej rękę i uściśnął palce znacząco. – Jestem wściekły i odreagowałem na tobie.

Potrząsnęła głową.

– Miałeś rację. I wiesz co? Jest mi lepiej. – Uśmiechnęła się do niego i przeniosła wzrok na obserwującego ich w milczeniu Piotra. – A teraz powinniśmy wymusić zeznania na koledze Leszczyńskim. Nie wiem, jak ciebie, ale mnie bardzo interesuje powód, dla którego wykręca się od udzielenia nam stosownej pomocy. Jak to powiedział? Że byłby pierwszym podejrzanym o zbrodnię?

Leszczyński odsunął się od nich, jakby miał zamiar dać nogę, ale Letycka była szybsza i w dwóch zwinnych ruchach błyskawicznie zastąpiła mu drogę.

– Mów! – zażądała ze śmiechem. – Nie powiesz nic gorszego niż to, co Paweł wydusił już ze mnie.

– Nie mogę. Naprawdę nie mogę.

– Gówna prawda! Jasne, że możesz!

Obserwował twarz Leszczyńskiego i ze zdziwieniem stwierdził, że Piotr zaczyna się rumienić. Czerwień wypłynęła mu na policzki i sunęła powoli po skroniach aż do ogolonej czaszki. Drugi rumień piął się po szyi, ogarniając coraz większe przestrzenie. W końcu połączył się z burgundem twarzy.

– Opuść mu – powiedział spokojnie do Leny. – Chyba rzeczywiście nie może.

Jego mózg pracował w tej chwili na najwyższych obrotach. Co mogło spowodować, że Leszczyński aż tak się przestraszył? Nigdy wcześniej nie widział go w takim stanie i nie podejrzewałby nawet, że Piotr może się aż tak zdenerwować. Za każdym razem, gdy działo się coś, co teoretycznie powinno mu podnosić ciśnienie, Piotrek zamykał się w sobie i z pełzającym po ustach uśmiechem rzucał jakąś cierpką uwagę. Tym razem było inaczej. Jakby trafili przypadkiem w jego naprawdę czuły punkt.

Lena odsunęła się od Piotra, a on jeszcze przez moment rozważał gorączkowo, jaki mroczny sekret mógł ukrywać przed nimi Leszczyński. Był uprzednio karany? Miał z Tuszą zatarg? A może robił dziwne interesy, które ktoś mógłby powiązać z potencjalną śmiercią Rafała? Brał łapówki? Sprzedawał mączkę kostną hodowcom? Łamał przepisy sanitarne? A może fałszował faktury?

– Sypiam z jego żoną – syczący szept Leszczyńskiego przerwał mu rozważania i wyrwał chrapliwy, pozbawiony sensu okrzyk z ust Leny. – Od kilku miesięcy mam z nią romans.

– O kurwa... – mruknął w odpowiedzi i we własnym głosie zauważył nutę podziwu. – Tusza wie?

– Nie sądzę – tembr głosu Piotra zdradzał wątpliwość.

Osobiście wcale mu się nie dziwił. Nawet jeśli Rafał nie był pewien, to z pewnością coś podejrzewał. Rzucona przed tygodniem uwaga, że Leszczyński mógłby zerznąć mu żonę, nagle przestała być tak bezsensowna.

– Wystarczy! – Lena złapała ich obu za ręce i pociągnęła za sobą do domu. – Wystarczy już zwierzeń na dzisiaj. Chodźcie, poszukamy herbaty. Pora zacząć oszukiwać żołądek.

Poddali się obaj jej woli i niespiesznie poszli do domu.

– Naprawdę będziesz piła herbatę? Po tym jak...

Lena zgromiła go wzrokiem, jakby obawiała się, że znowu wróci do tematu szlachtowania prezesa.

– Nic nie mówię! Sugeruję jedynie, że napiłbym się czegoś innego... – Poruszył znacząco brwiami i uśmiechnął się dwuznacznie pod nosem.

– Przemyciłeś coś? – W głosie Leny zabrzmiała chytra nadzieja.

– Dobrowolnie oddałem butelkę. Nie szukał dalej. – Zaśmiał się głośno i przyciągnął ją bliżej do siebie. – Wy macie swoje mroczne sekrety, a ja coś, co jest bardziej praktyczne: drugie dno w mojej torbie podróżnej.

Rafał

Naciągnął poduszkę oraz kołdrę na głowę i jęknął. Mimo wepchniętych w uszy zatyczek i odbierającej mu oddech grubej warstwy puchowej pościeli ciągle jeszcze je słyszał. Krzyczały z głodu. Desperacko, dramatycznie, chrapliwie. Ich przeciągłe kwiczenie przypominało teraz płaczliwe miauczenie kota, beczenie kóz lub rozpaczliwe rżenie konia, który w biegu zwicznął pęcinę. Na odgłos zwierzęcego skowytu nakładały się dźwięki przepychania oraz chaotycznego stępu racic. Uderzenia ciał o odgradzające je stalowe barierki, pełne agresji grzmoty głów w wypełnione tylko wodą koryta oraz stłumione, lecz mimo wszystko wyraźne szuranie pyskami po ziemi. Nie musiał stać przy wybiegu, aby wiedzieć, co teraz robiły. Oszalałe z głodu próbowały się wydostać na wolność, sforsować ogrodzenie, przedostać się do ogrodu i znaleźć w nim cokolwiek, co mogłyby pożreć. Było im obojętne, czy rzucą się w łan kukurydzy i tratując ją dziko, będą wcinały łykowate, ostre łodygi, czy raczej wpadną do lasu, gdzie w ściółce będą szukały przegniłych zeszłorocznych żołądździ. Wystarczyło cokolwiek, co choć na chwilę zagłuszyłoby dzikie ssanie w jelitach.

Usiadł na łóżku, rozejrzał się po pogrążonym w ciemnościach pokoju i dostrzegł sylwetkę Piotra, który w bezruchu siedział przy oknie. W jego ogolonej starannie łysinie odbijało się padające przez okno światło księżycy, a przysunięta do twarzy dłoń rozżarzała się na czerwono za każdym razem, gdy zaciągał się papierosem. W normalnych warunkach kazałby mu przestać, wysłał na zewnątrz, opierdolił, że wszystkich ich truje. Tak, w normalnych warunkach na pewno tak właśnie by zrobił. Ale teraz nie było normalnie, a on mimo obfitej kolacji nie znajdował w sobie dość siły, by się niepotrzebnie konfrontować z podwładnym. Zerknął na pozostałe dwa łóżka. Doktorowicza nie było w pokoju, a na posłaniu Marcina dostrzegł zwinięty w kłębek kształt ciała. Urbański przyciskał dłonie do uszu, a jego ciałem wstrząsały miarowe szarpnięcia. Może płakał, a może miał dreszcze – w ciemnościach trudno to było rozstrzygnąć. Oparł się o ścianę i po raz kolejny zaczął zastanawiać, czy nie powinien tego wreszcie zakończyć. Obdzielić ich swoją świnia, a resztkami nakarmić zwierzęta. Zapchać im pyski, zyskując w zamian sen oraz ciszę.

Dlaczego nie przewidział tego wcześniej? Dlaczego założył, że mimo wszystko zdobędą się na to, by pozabijać kupione w tym celu tuczniaki? Sądził, że podjęcie decyzji zajmie im dzień, góra dwa. Że potraktują to jak zabawę. Niekonwencjonalną, mroczną, brutalną. Może okrutną albo wręcz psychopatycznie bestialską, ale jednak, mimo wszystko, zabawę. Cóż, był idiotą. To, co jeszcze cztery dni temu było oczywistością, dziś przestało już takie się wydawać. Byli zacięci w swoim oporze, jakby się wszyscy zmówili. Jakby postanowili mu coś

udowodnić. Jakby to oni chcieli go złamać. Być może od początku tak było? Może pierwszego dnia zawarli w tym względzie przymierze? Może gdy zastał ich wówczas pijanych, nie znieczulali się wódką, lecz opijali podjętą decyzję? Kiedy wszedł do chałupy i zaczął roztopiać lój na patelni, żeby usmażyć sobie kolację, otoczyli go ścisłym kordonem. W ich oddechach czuł nienawiść, agresję, chęć zemsty. A jednak nie robili niczego. Ustawili się wokoło i przyglądali w milczeniu, jak przesuwiał mięso na tłuszczu. Wciągali w nozdrza unoszące się po kuchni zapachy i uśmiechali się złowieszczą pod nosem. Stał wprawdzie do nich plecami, lecz wyczuwał całą ich wściekłość maskowaną nieudolnie jowialnym rozbawieniem pijaka. To nie wódka ich tak rozśmieszała, tylko plan, jaki wówczas uknuli.

Ten wyjazd był złym pomysłem i niepotrzebnie się na niego zgodził. Uległ szepczącej mu w ucho Agacie oraz własnym, nazbyt popędliwym emocjom. Chciał pokazać im miejsce w szeregu, uzmysłwić, jacy są słabi, udowodnić swój prymat nad grupą. Chciał, by zgięli karki i przyjęli tę karę z pokorą. By wbrew sobie zeszedł do poziomu instynktu, zapomnieli o swej ludzkiej naturze, zrozumieli, czym jest głód, docenili to, co im dawał, i doznali oświecenia w zderzeniu z pozbawioną lukru naturą. Chciał ich zmienić. W wielu wymiarach i na wiele sposobów. Każdego inaczej, lekarstwem specjalnie dla niego dobranym. Chciał, żeby Lena przestała się panoszyć jak pańcia i ubrudziła sobie ręce po łokcie. Pragnął ją uciszyć i zmusić do fundamentalnej życiowej refleksji. Sprowadzić do roli walczącego o przetrwanie zwierzęcia. To samo planował osiągnąć z Barbarą. Lunatykującą po biurze i przytakującą wszystkim dokoła. Wypowiadającą na głos swoje zdanie tylko wówczas, gdy miała pewność, że nie różni się od opinii reszty. Ona też, tak jak Lena, miała w końcu zamknąć jadaczkę, wykrzesać z siebie chęć walki, nauczyć się od Letyckiej odwagi, a równocześnie pokazać tej drugiej wartość dyplomatycznego milczenia. Daniel miał dostać cios w splot słoneczny i przetestować własne granice. Obudzić w sobie samca mordercę. Choć trochę odciąć się od tej gejowskiej miękkości, która sprawiała, że wydawał się śliski jak piskorz. Marcin z kolei miał się odbić od dna. W ostatnim porywie chęci życia dostrzec piękno w samym fakcie istnienia. Piotr i Pola powinni się otworzyć na innych. Zauważyć ludzi wokoło i wychynąć z psychicznego pancerza. Porzucić pełną inercji pozę na rzecz uczestnictwa w zdarzeniach. Na koniec Paweł. Paweł, który musiał spokornieć. Docenić pracę nie przez pryzmat otrzymywanych co miesiąc przelewów, lecz w kontekście tego, co robił. Zrozumieć niezwykły walor tego, że mógł spędzać całe dni przy biurku, w bezpiecznej drugiej linii, bez konieczności zanurzania rąk w jeszcze ciepłych zwierzęcych odchodach i równie wstrętnej tkance robionego przez ich firmę biznesu. Tak, każde z nich miało tu przejść metamorfozę. Wyjść poza strefę komfortu, porzucić rozleniwienie, zrezygnować z ustawicznego utyskiwania na życie. Dojrzeć, zyskać perspektywę,

a na koniec zrozumieć i jego.

Opadł na łóżko i ponownie naciągnął kołdrę na głowę. Po co się oszukiwał? Po co dorabiał ideologię do wszystkiego, co tutaj się działo? Przecież to bzdura! Nie przywiózł ich na wieś, aby doświadczyli życiowej przemiany. W każdym razie nie takiej, o jakiej teraz rozmyślał. Chciał ich zmienić, lecz na gorsze, nie lepsze. Chciał ich zmiażdżyć, połamać im karki, udowodnić, że są bandą pozbawionych charakteru złamasów. To dlatego były świnie, nędzna izba, głód i deptanie godności. To z powodu odczuwanej do nich nienawiści przetrząsnął im kieszenie, torebki i bagaże. Nie z ciekawości, co mają w nich pochowane, lecz wyłącznie z rozszalałego, kłusającego mu trzewia popędu, domagającego się, aby wytrącił ich z równowagi i doprowadził do ostateczności. Krzyczącego mu przez całą drogę do ucha, że nie ma takiej dawki upokorzenia, której nie chciałby im wszystkim zapodać.

Głosy w jego głowie uspokoiły się dopiero, kiedy zaczął ćwiartować świnie. Cała jego agresja skanalizowała się w tej czynności i przeniosła na wiszącą na wisięniku tuszę. Kiedy skończył ją parcelować i zapakował do przemysłowej, stojącej w rogu chlewu lodówki, gdy zamknął ją na klucz i wrócił do domu się umyć, nie czuł już gniewu. Był spokojny, gotowy na rozmowę, może nawet na przeprosiny. Gdyby tylko byli na to wówczas otwarci, zaproponowałby, że podzieli się z nimi mięsem, i pozwolił zdecydować, co chcą zrobić z pozostałymi świniakami. Tak, był skłonny do ustępstw, spragniony towarzystwa, chętny do banalnych pogwarek. Chciał się najeść, pośmiać, odpocząć. Może nawet nieco lepiej ich poznać. Pożartować o dupie Maryni i dowiedzieć się, co u nich słychać. Mieć poczucie, że dzieląc się z nimi posiłkiem, zyskuje ich dozgonne oddanie. Rodzaj bałwochwalczej czci, którą będą go od tej pory otaczać. Niczym wodza, który upolował dla plemienia bizona.

Ale oni nie chcieli rozmawiać. Okrążyli go i w milczeniu patrzyli na ręce, jakby nie był ich przywódcą, tylko zwykłym złodziejem. W ich oddechach czuł alkohol i złowieszczość, a pogardliwe złowróźbne parsknięcia spadały mu na plecy niczym lodowate krople deszczu. Już po minucie był mokry. Spocony ze strachu i przerażony perspektywą tego, co z pewnością chcieli mu zrobić. Może zamiast świń postanowili pozbyć się jego? Może czekali na moment, aż łój stopi się na patelni, żeby pchnąć go od tyłu i przycisnąć mu policzek do rozgrzanego dna żeliwnego naczynia? A może zwyczajnie chcieli dać mu w łeb pustą butelką po wódce, zamknąć związanego w stodole i trzymać tam aż do niedzielnego poranka? Sami w tym czasie raczyliby się zarżniętą przez niego świnia, a jemu pozwolili głodować. Skazaliby go na los, który on przygotował tu dla nich.

Ich obecność go przerażała, lecz nie miał odwagi, by się odwrócić i sprawdzić, czy rzeczywiście wszyscy tu byli. Na podstawie zagłuszanych przez odgłos skwierczącej słoniny oddechów szacował, że zgromadziła się większość.

W powietrzu poza kwaskowatym zapachem ich oddechów unosił się aromat kwiatowych perfum Letyckiej i mydlana woń wody po goleniu, której używał Doktorowicz. Pozostałych osób nie był w stanie rozpoznać, lecz miał niemal stuprocentową pewność, że w kuchni znajdował się również Leszczyński. Pewnie także Malicki, Potocka, Urbański. Jeśli kogokolwiek mogło brakować, to zapewne wyłącznie Barbary.

Przez dłuższą chwilę udawał, że ich obecność mu nie doskwiera. Przesuwał machinalnie drewnianą łyżką po dnie patelni, lecz cała jego uwaga skupiona była na liczeniu ich nierównych oddechów. Cztery? Pięć? Czyżby wyłamała się nie tylko Barbara? Sięgnął po przygotowane na blacie kawałki mięsa i skorzystał z okazji, by odszukać ich odbicie w szybie okiennej. Bez skutku. Dostrzegł jedynie rząd kwitnących na różowo jabłoni oraz jaskrawą zieleń wiosennej trawy. Rzucone na patelnię mięso zaskwierzało, a drobne krople tłuszczu rozprysnęły się gwałtownie, parząc mu dłonie oraz policzki. Nie cofnął się. Nie potarł nawet powieki, na której wylądował parzący okruch świńskiego łoju. Wolał to niż perspektywę przywarcia plecami do piersi którejś zestojących tuż za nim osób. Przewrócił kawałki mięsa i ponownie oparł się pokusie cofnięcia o pół kroku. Pokrojona w kostkę szynka błyskawicznie traciła różowy odcień, a on wpadał w coraz większą panikę. Tak jakby fakt, że kolacja będzie wkrótce gotowa, nie kojarzył się z przyjemnością, lecz z groźbą. Gdyby miał w tamtej chwili wybierać, wolałby nie jeść, niż stanąć twarzą w twarz z tymi ludźmi. Jeśli planowali zrobić mu krzywdę, to chciał, by zrobili to szybko, kiedy tkwił odwrócony plecami, zdrętwiały ze strachu, udający, że nie zauważa, co knują. Niech już robią, co chcą, tylko niech go nie trzymają dłużej w tym strachu! Niech nie każą, by oglądał ich twarze! Niech pozwolą mu zachować resztki ludzkiej godności!

Jęknął cicho na samo wspomnienie tamtego wieczoru i zauważył, że siedzący przy oknie Leszczyński oderwał wzrok od księżyca i przesunął nim po pokoju. Zamknął oczy w nadziei, że Piotr nie zauważy, iż nie spał, nie powiąże jęku z nim i nie domyśli się, jak bardzo się teraz bał. Nie, to już nie był zwykły strach. To było paraliżujące zwierzęce przerażenie. Takie samo jak wtedy przy kuchni. Nieopuszczające go nawet na chwilę, nietracące nic ze swojej atawistycznej intensywności, ale równocześnie trwające zbyt długo, aby był w stanie ciągle zachowywać czujność.

Piotr poruszył się lekko, zapalił kolejnego papierosa i ponownie wyjrzał przez okno. Jego łysina nadal świeciła odbitym blaskiem księżyca, a przystojny profil przypominał te, które Rzymianie odlewali na srebrnych denarach. Twarz Leszczyńskiego była beznamiętna i równocześnie skupiona. Kojarzyła mu się teraz z wypatrującym ofiary jastrzębiem lub innym drapieźnikiem, który pozornie wydaje się rozleniwiony, lecz w rzeczywistości szykuje się właśnie do skoku. Nigdy wcześniej nie sądził, że kiedykolwiek będzie bał się Piotra. Gdyby tak było,

nie podsunąłby go przecież Violetcie. Nie zaryzykowałby, że Leszczyński zyska powód, aby go znienawidzić. Teraz już było za późno. Kolejny błąd. Kolejna nieprzemyślana decyzja.

Przekreślił się na łóżku i starając się nie wydawać odgłosów, uniósł się lekko na łokciu. Marcin spał, a jego ciałem nie wstrząsały już drgawki. Leżał spokojnie, w całkowitym bezruchu. Doktorowicz nie wracał, więc zapewne nie było go w chacie. Może nie mógł znieść przeraźliwego świńskiego skowytu i poszedł na spacer? Nieważne. Nie było go również wówczas, gdy obrócił się w końcu od kuchni. Zniknął jak pozostali. Nie wiedzieć kiedy, jak ani dlaczego. Wyparował, pozostawiając po sobie nikłą smugę mydlanego zapachu. Dlaczego wyszedł? Dlaczego wszyscy zniknęli? Postanowili go wystawić na próbę? Straszyć? Doprowadzić do skraju? A może nigdy ich w tej kuchni nie było? Może ich obecność była tylko wyrzutem sumienia, a wrogie, dochodzące znad ramienia parsknięcia podsuwała mu wyobraźnia? Może kiedy gniew w nim przestał buzować, a rozsądek zaczął brać górę nad emocjami, po raz pierwszy zrozumiał konsekwencje własnej decyzji? Był tutaj sam, bez pomocy, w otoczeniu siedmiu wrogich mu osób, które podobnie jak świny zaczynały zachłystywać się głodem. W otoczeniu agresywnych, pobudzonych nadmiernie zwierząt, nie ludzi. Sprowadzonych do roli bestii jedną nieopatrzoną decyzją, z której nie potrafił się teraz wycofać.

Opuścił się z powrotem na łóżko i wyprostował nogi. Na zmianę planów było już teraz za późno. Mógł to wszystko odwołać, ale powinien był to zrobić od razu. Przygotować dla nich wszystkich kolację i udawać, że wcześniej żartował. Tak, wtedy jeszcze miał szansę, by wyjść z twarzą z tej sytuacji. Gdyby zrobił to teraz, uznaliby to za akt desperacji. Za wynik lęku przed tym, co jeszcze się mogło wydarzyć. W końcu – za własną wygraną. A on? On byłby z kretesem przegrany. Straciłby pozycję, by już nigdy jej nie odzyskać. Udowodniłby własną słabość, podatność na naciski, niekonsekwencję w decyzjach i szarpiącą nim emocjonalną labilność. Nigdy nie udałooby mu się odbudować utraconego szacunku. Od tej chwili żadne z nich nie odczuwałoby już przed nim respektu. Lęku, który przez lata pozwalał mu na despotyzm.

Nie powinien był tego rozważać! Po co przypominał sobie o strachu? Po co analizował to wszystko? Zostały im zaledwie trzy dni. Trzy dni, które spędzą na bieganiu z drabiną po okolicy w nadziei na znalezienie ptasich gniazd, na przetrząsaniu miedzy w poszukiwaniu zeszłorocznych ziemniaków, dyskusjach, czy dzika brukiew jest, czy nie jest jadalna, oraz wpychaniu sobie w usta bawełnianych wacików do demakijażu. Tak, odnotował to wszystko. Triumf na twarzach, kiedy Lena odkryła za sadem mały zagon rzodkiewek, euforię, z jaką powitali wiadomość, że Piotr znalazł pięć małych jajek, oraz rozczarowanie, kiedy po rozbiciu skorupki okazało się, że wewnątrz już były pisklęta. Podjętą przez

Tomaszewską próbę samodzielnego ogłuszenia świniaka i podkulony ogon, z jakim po godzinie wróciła do domu. Unoszący się z jej włosów odór świńskich odchodów oraz wielkie sińce na nogach w miejscach, w których tuczniaki uderzyły ją ryjami. W gruncie rzeczy miała szczęście, że żaden jej nie ugryzł. Kiedy pojawiła się w chlewie w porze karmienia, nie miała szansy, by samodzielnie przytrzymać świniaka. Każdy z nich ważył tyle, co ona. Każdy miał nadzieję, że nie przysła z ogłuszaczem, lecz z paszą. Każdy trącał ją pyskiem, a gdy pojmował, że nie miała ze sobą mieszanki, reagował agresją. Mogły ją z łatwością stratować. Powinna się cieszyć, że skończyło się na zwykłych siniakach.

Nadal nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie zrobili tego wspólnie. Uparli się, żeby głodować? Chcieli coś udowodnić? Zademonstrować swoją odrębność? Bo przecież nie opór moralny. W ich gronie nie było wegetarian. Wszyscy jedli mięso, wszyscy potrafili gotować. Z pewnością niejednokrotnie opraciwali drób albo ryby. Wystarczyło jedynie się skrzyknąć, zjednoczyć siły, ustalić plan, odwrócić uwagę świniaków jakąś rzuconą im przegniłą marchewką. Odżałować te cholerne rzodkiewki, dziką brukiew, spleśniałego ziemniaka. W ostateczności wybrać spośród siebie kogoś, kto zwabi je w narożnik. Wybrać najmniejszego, najmniej ruchliwego tuczniaka. Otoczyć go i przytrzymać. Na sekundę. Na ułamek sekundy. Ale nie, oni nie współpracowali ze sobą. Nie potrafili się dogadać i nawet tutaj nie umieli sobie zaufać. Tak jakby nie wierzyli, że razem mogą coś zdziałać.

Może zatem niepotrzebnie się martwił? Przy ich samolubnym, skupionym wyłącznie na sobie podejściu nie byłiby w stanie się skrzyknąć, a tym bardziej zrobić mu krzywdy. Ich jedność trwała krócej niż smażenie na patelni słoniny. Zbijali się w grupki i rozmawiali ze sobą, ale nigdy nie szło za tym działanie. Gdy tylko pojawiały się nowe impulsy, rozpraszały się ponownie jak ptaki. Każde uciekało w swą stronę. Bez planu, zamysłu, cienia organizacji. Nie było w ich grupie lidera. Nikogo, kto byłby w stanie przyciągnąć pozostałych do siebie, nadać ich działaniom jakikolwiek sensowny kierunek, zarządzić coś, a potem wyegzekwować to konsekwentnie od wszystkich. Gdy obserwował ich w biurze, sądził, że to Lena była naturalnym przywódcą. Że jej energia, entuzjazm oraz gładkość mówienia byłyby w stanie skupić dookoła wyznawców. Pomylił się. Ona tylko gadała. Nie potrafiła ich mobilizować do pracy. Cała jej para szła w gwizdek i roznosiła się wokół w świszczących, pełnych oburzenia sapnięciach. Owszem, gdy znalazła ten zagon rzodkiewek, nie zatrzymała tej wiedzy dla siebie. Okazała im wszystkim lojalność i podzieliła znalezisko po równo. Mogła się najeść do syta, ale wykazała się altruizmem. Tylko czy to predestynowało ją do roli liderki? Czy na dłuższą metę zaskarbiło jej wdzięczność zespołu? Nie, wręcz przeciwnie. Dowiodło, że była frajerką. Wierzącą w demokrację i socjalizm idiotką. Zmarnowała swoje wszystkie rzodkiewki dla ludzi, którzy nic nie dali jej w zamian. Którzy, kiedy była na zewnątrz, zakradali się do jej torby, by wyžerać

bawełniane waciki. Którzy nawet nie zaproponowali, że pomogą jej zabić świnie.

Zachnął się pod nosem. Byli tacy słabi. Miały, smutni, pozbawieni ducha walki, a nawet zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Każde z nich – może poza tą naiwną Letycką – grało wyłącznie na siebie. A równocześnie, mimo całego kierującego nimi egoizmu, ich wykoślawiony indywidualizm był na tyle silny, że nie pozwalał na przejście dowodzenia. Woleli być sterem, żeglarzem, okrętem niż wszechwładnym kapitanem na statku.

Agata miała rację. Ten wyjazd obnażył wszystkie bolączki, na jakie cierpiała ich spółka. Zespół zarządzający nie potrafił skutecznie zarządzać. Nawet sobą, co dopiero innymi. Był garstką słabeuszy, którym on, w całej swej naiwności, powierzył stery swej firmy. Kurwa mać! Jakie to smutne! Jakie tragiczne i przerażające zarazem! Otaczali go ludzie, którym nie mógł zaufać na tyle, by delegować na nich cokolwiek. Wymagający ustawicznego wskazywania kierunku, nadzoru i opierdolu. Bez tego nie potrafili funkcjonować. Rozsypywali się, kiedy tylko zostawiał im minimum swobody. Tak jak tutaj, jak teraz. Pozbawieni jego przywództwa woleli zdychać z głodu, niż wykrzesać z siebie coś więcej.

Przeciągnął się w pościeli i uśmiechnął się szeroko w ciemnościach. Pełzające mu wcześniej po grzbiecie przerażenie zniknęło bez śladu. Czuł się dobrze i wiedział już, co robić. Nie musiał się obawiać, snuć teorii spiskowych, rozważać, jaką grę prowadzili. Po powrocie do firmy poprosi Agatę, aby umówiła go z head hunterem. A potem metodycznie ich wszystkich wymieni. Pozbędzie się niepotrzebnego, ciągnącego go ku ziemi balastu. Znajdzie ludzi, którzy potrafią brać sprawy w swoje ręce i będą mieli w sobie ikrę odróżniającą pana od wasala. Dla tu obecnych nie było dłużej miejsca w zarządzie, a on – po tym, co miał szansę tu zobaczyć – zadba o to, by odeszli z jego firmy w niesławie. Nie pozwoli, by ktokolwiek na rynku sądził, że to oni podjęli decyzję. Zrujnuje im reputację. Nie z powodu mściwej satysfakcji, lecz wyłącznie dlatego, by uchronić innych przedsiębiorców przed błędem. Przed idącymi w miliony kosztami ujmowania tych ludzi na listach płac.

Żadne z nich nie nadawało się do pracy w biznesie. Żadne nie posiadało cech niezbędnych do osiągnięcia sukcesu. Ich wybór, zatrudnienie i trzymanie w firmie przez lata były serią tragicznych w skutkach pomyłek. Wina, którą gotów był wziąć na swe barki, przyznając się do tego publicznie i posypując sobie głowę popiołem. Tak, robi to! Jak Boga kocha, to robi! Przyzna przed całym światem, że popełnił kolosalny błąd, dając się zaślepić ich elokwencji, ogłądzie oraz dowożonym przez lata wynikom. Zadba o to, by każdy w mieście wiedział, że ich osiągnięcia były wyłącznie tkaną z kłamstw zasłoną pozorów. Iluzją, fałszerstwem i ściemną! To nie oni pchali jego firmę do przodu. Jej rozwój był tylko jego zasługą. Efektem wymyślonej przez niego strategii oraz energii, jaką wkładał w swój biznes. Nie pomagali mu przy tym. Więcej nawet: sabotowali tę pracę. Obciążali zdrowy

organizm niczym żerujący na jego tkance pasożyt. Gdyby nie oni, firma byłaby jeszcze silniejsza, miałyby lepsze wyniki, wyższą efektywność i zapewne też światową renomę. Nie zauważał tego dotychczas, bo zbyt był zajęty ciągnięciem tego wózka samotnie. Niczym koń pociągowy, który nie ma szans na to, by się odwrócić i dostrzec, że na wóz wdrapało się mu stado opasłych darmozjadów.

Nakrył dłonią usta, żeby stłumić chichot. Plan był świetny. Znacznie lepszy niż dziecinna w gruncie rzeczy zabawa, jaką zorganizowała im tu asystentka. Był w nim ten rodzaj subtelnej brutalności, jaką osobiście lubił najbardziej. Nic dosłownego i dosadnego. Sama delikatność i elegancja. Jak w polityce. Niszczycielska siła zakamufLOWANA w niedopowiedzeniach, insynuacjach i grymasach. W rzucanych z boleścią na twarzy westchnieniach i prezentowanym wszystkim zdegustowaniu własną osobą. Nie było na świecie nic równie smacznego i wyrafinowanego zarazem jak samobiczowanie oraz obnoszenie się z fałszywą skruchą za własne rzekome winy. Demaskowanie wad, co do których dla każdego było jasne, że są wyjątkowymi, nieskalanymi pychą przymiotami charakteru.

To w sumie dziwne, że nigdy nie wpadł na pomysł, by zostać politykiem. Miałby szansę. Gdyby zechciał, z łatwością porwałby tłumy, stając się archetypem silnego przywódcy narodu, który do wszystkiego doszedł sam. Ojca założyciela, który wynurzył się przed laty z rynsztoka i zbudował imperium na odpadkach wygrzebanych z kloaki. Który bez niczyjej pomocy wspiał się na szczyt, udowodnił swą wartość, a teraz podawał pomocną dłoń poszukującym jego wsparcia rodakom. Gotowym wziąć naród pod skrzydła, tak jak przez lata brał pod nie nieudolnych pracowników. Niezwykłym, bo łączącym wizjonerstwo z pokorą, biznesowy pragmatyzm z wielką troską o ludzi, ciężką pracę z zaufaniem do swoich podwładnych. Zaufaniem tak wielkim, że ocierało się czasem o zaślepienie. Jak nie przymierzając wtedy, gdy musiał zwolnić cały zespół zarządzający, bo po latach malwersacji i oszustw lojalna asystentka zdarła mu z oczu łuskę. Czy sam by na to wpadł? Pewnie tak. Kiedyś, w końcu, być może. A może nie, bo przecież – jak każdy szczerzy, prostolinijny, lojalny i prawy człowiek – zakładał symetryczność relacji. Widział w innych ludziach wyłącznie dobro, nawet jeśli go w sobie nie mieli. Był niczym kochający rodzic, który cierpliwie znosi rozbrykanie swych dzieci i nigdy ich nie bije, lecz karci. Stanowczym, a jednocześnie przepelnionym miłością i wierzącym w nawrócenie głosem...

Wizja go upajała. Sprawiała, że czuł zawrót głowy oraz pełne ekscytacji mrowienie na plecach. On, Rafał Tusza. Prosty żołnierz biznesu i równocześnie niezmożony przywódca. Cezar w wieńcu laurowym na skroni. Spowity w purpurę i złoto nowy zbawca narodu. Był do tego stworzony i nie musiał już dłużej udawać, że rozwój firmy zaspokajał jeszcze jego ambicje. Biznes już dawno przestał mu wystarczać do szczęścia. Chciał czegoś więcej. Nie tylko strachu podwładnych czy

wyników finansowych, które byłyby przedmiotem zazdrości konkurencji. Pragnął, by skupiały się na nim spojrzenia. By fetowano jego przenikliwość, mądrość życiową, niezwykłość. Nie chciał dłużej być jednym z tłumu. Niezauważanym przez ludzi, starzejącym się zbyt szybko kolesiem. Nadeszła pora, żeby sięgnąć po więcej. By pokazać się światu i dostrzec w jego oczach podziw, którego nie okazywali mu opłacani wysoko najbliżsi.

Kim oni w gruncie rzeczy byli i czy w czymkolwiek wydawali się lepsi od niego? Viola wyróżniała się jedynie urodą. Poza nią nie posiadała niczego. No, może szczyptę życiowego sprytu, ale nawet co do tego miał już wątpliwości. Zwłaszcza po ostatnim występie. Zaskoczyła go, i to wszystko. I nie, nie swoją przenikliwością, lecz wyłącznie bezgranicznym tupetem. Bezcelnością, która podsunęła jej pomysł szantażu. Ciekawe, czym planowała go straszyć. Co takiego mogłaby na jego temat ujawnić? Że z nią nie sypiał? Że ich małżeństwo było transakcją? Serio? Zaśmiał się w duchu i pokręcił głową w geście totalnej niewiary. Jeśli sądziła, że był gejem, to była głupsza, niż myślał. A chyba właśnie to próbowała mu imputować? Żalosa, pozbawiona wyobraźni pannica, potrafiąca wysnuwać wyłącznie takie wnioski, jakie sam jej usłużnie podsuwał. Oderwana od rzeczywistości i zacofana w poglądach niczym przyodziana w moherowy beret staruszka. Przekonana, że oskarżenie o sodomie może go skłonić do wypłacania jej dożywotniej renty. Kretynka dostrzegająca wyłącznie najbardziej oczywiste scenariusze i niepojmująca faktu, że świat się zmienił, a ujawnienie orientacji seksualnej nie było już żadną ujmą. Czy naprawdę sądziła, że gdyby był gejem, to musiałyby to ukrywać? Przed kim i po co? Homoseksualizm mógłby mu się w gruncie rzeczy przysłużyć. Czyniłby go pożądanym towarzyszko i znacznie bardziej nowoczesnym. Nadawałby mu ten dopełniający rys, którego wciąż mu brakowało. Przełamywałyby wizerunek odpowiednią dawką miękkości, elegancji i szyku. Nie rozumiała tego, bo w przeciwieństwie do tego, co o sobie sądziła, nie była przesadnie inteligentna. Podobnie jak reszta otaczających go osób zamknęła swój umysł na bodźce. Dawał jej wszystko – pieniądze, komfort, swobodę. Co potrafiła z tym zrobić? Nic. Nawet przez moment nie powstała jej w głowie myśl, by wykorzystać tę szansę do zdobycia czegoś więcej niż kasy. Mogła się uczyć, podróżować, rozwijać, a potrafiła jedynie nieustannie biegać po sklepach i pytlować wieczorami w słuchawkę. Nawet kochanka musiał jej sprowadzić do wyra, bo sama nie potrafiłaby wybrać. Gdyby nie Piotrek, spędzałaby wieczory z jakimś napakowanym trenerem fitnessu, który dostrzegałby w niej wyłącznie nieograniczoną siłę nabywczą. Leszczyński przynajmniej doceniał jej piękno...

No właśnie, Leszczyński. Kolejny życiowy patałach zadomowiony w ciepłej inercji, niezdolny do walki, jeśli ta miałaby oznaczać rezygnację z odrobiny komfortu. Konformista, tchórz, facet bez zasad. Gorszy nawet od potakującej ustawicznie Barbary, którą choć odrobinę można było rozgrzeszać jej troską o syna

i typowo kobiecym brakiem odwagi. Pola – taka sama jak oni. Robiąca niewinne minki, lecz w gruncie rzeczy najgorsza z całej tej bandy. Wierna wyznawczyni psychologicznej manipulacji, którą na potrzeby własnego ego nazywała umiejętnością wywierania wpływu na innych. Wyrzucająca pracowników jak śmieci, za to w gęstej woalce z wymówek. Przekonująca samą siebie, że nie jest winna niczemu. Lena, Paweł i Marcin? Nieco więcej wari niż reszta. Minimalnie bardziej odważni, odrobinę wrażliwsi, ciupkę mniej egoistyczni. Za to poskręcani szarpiącą ich neurastenią. Zużyci psychicznie i poszukujący ukojenia w samoudręczeniu. Tak jakby wciąż jeszcze wierzyli, że męczeństwo uczyni z nich świętych. Na koniec Daniel. Biedny, zagubiony chłopaczek, leczący swe kompleksy karierą, zdeterminowany, by się przedrzeć na szczyty. Przekonany, że szklany sufit jest jedynym, co go ogranicza w rozwoju. Wciąż jeszcze niepotrafiący docenić niczego poza wizytówką i przekonany, że awans jest ważniejszy niż życie prywatne. Co gorsza, fatalnie liczący. Gdyby tylko znał podstawy rachunku prawdopodobieństwa, gdyby obliczył szanse na to, że jako gej po raz drugi spotka kogoś takiego jak Andrzej, to rzuciłby tę pracę w cholerę.

Poczuł, że nerwowość powraca, a gniew go ponownie zaślepia. Myśl, że wszyscy oni mieli się za lepszych od niego, trawiła mu trzewia piekącym do żywego płomieniem. Gdy tylko docierało do niego, jak bardzo nim wszyscy gardzili, miał ochotę zetrzeć zadufany uśmiezek z ich twarzy.

– Pierdolcie się! – szepnął pod nosem, nie zważając na to, że Leszczyński go może usłyszeć. – Pierdolcie się! – powtórzył ton głośniejszy.

Piotr nawet nie drgnął. Tkwił przy oknie w całkowitym bezruchu. Może drzemał w pozycji siedzącej?

– Głupie pizdy i złamane kutasy! – mruknął wrogo, obserwując sylwetkę przy oknie. – Pierdoleni nieudacznicy!

Leszczyński się nie poruszył, więc zerwał się z łóżka, wsunął stopy w stojące na podłodze buty i nie siląc się na zachowanie ciszy, wybiegł z chaty na zewnątrz. Rozejrzał się w nadziei, że na ławce przy wejściu dojrzy Pawła i na nim skanalizuje wyniesione ze środka napięcie, ale Doktorowicza nie było. Walnął ręką w ścianę i ruszył w kierunku chlewu. W ciągu ostatniej godziny świnie ucichły. Znużone i wyczerpane spały teraz niespokojnie, pochrząkując płacliwie z odczuwanego przez sen bólu. Pędzony jakąś sadystyczną, niezrozumiałą nawet dla niego potrzebą dotarł do podłużnego budynku, otworzył drzwi i wymacując stopą drogę, przeszedł przez jego wnętrze. Zatrzymał się przed ogrodzeniem wybiegu i gwałtownie uderzył w nie dłonią. Leżąca najbliżej świnia zerwała się z przerażeniem, zrzucając z siebie pysk innej. Lawina ruszyła i po zaledwie kilku sekundach wszystkie tuczniaki znów były na nogach. Przepychały się w jego stronę, próbowały trącać go ryjami przez szpary i przeciągłym skowytom dopominały się o jedzenie. Ich kwik był jeszcze bardziej niehumaniczny niż poprzednio. Słyszając go, uśmiechnął się pod

nosem, kopnął silnie kilka wysuwających się między prętami pysków i gdy dźwięk jeszcze się wzmógł, wyszedł niespiesznie na zewnątrz.

Marcin

Obudziło go szarpanie za ramię i nerwowy, nieco zbyt gwałtowny głos Poli:

– Marcin! Wstawaj! Obudź się w końcu! – Potocka pochylała się nad nim, nie przestając go pociągać za rękę. – Wstawaj!

– O co chodzi? – zapytał nieprzytomnie. – Coś się stało?

– Rafał prosi, żebyśmy się wszyscy zebrali.

Przetarł oczy, po czym spojrzał na nią z wyraźnym zdziwieniem. Była rozczochrana po nocy i wciąż jeszcze ubrana w welurowy szary dres przeznaczony do spania. Wokół jej oczu biegły bordowe obwódki, a białka były przekrwione. Na bladej skórze dostrzegł warstwę nałożonego wieczorem kremu, który częściowo wytarł się w poduszkę. Jego grubsze pokłady nadal zalegały na czole oraz w bruzdach koło nosa. Mimo nawilżenia jej cera wyglądała niezdrowo. Dopiero teraz, gdy nachylała się nad nim, zauważył, że miała piegi. Delikatne i jasne, zwykle niewidoczne pod pudrem. Oprócz przebarwień jej twarz pstrzyły popękane naczynka krwionośne. Ich siateczka widoczna była na szczytach policzków, powiekach oraz podbródki. Przesunął spojrzenie na szyję i niechcący zajrzał jej w dekolt. Suwak bluzy nie był dociągnięty do końca, więc w szczelinie dostrzegł jej piersi. Nie były duże, lecz jędrne, pokryte jasną skórą o wyraźnej aksamitnej miękkości. Nie widział sutków, ale wiedział, że są niewielkie i blad różowe. Podobne do tych, jakie miała jego pierwsza dziewczyna. Ona również była naturalną blondynką. Też miała piegi, długie szczupłe nogi, wąską talię oraz piersi, które chowały się w dłoni. I tak samo jak Pola uwielbiała miękkie tkaniny.

Oderwał od niej wzrok i skrępowany niespodziewaną intymnością, jaką wytworzyła między nimi ta chwila, zaczął się podnosić z pośłania. Poza Moniką od kilku lat nie widywał kobiet bezpośrednio po wstaniu. Taki rodzaj bliskości zarezerwowany był obecnie dla żony i teraz niejako automatycznie nadał ich relacji nowego, osobistego wymiaru. Potocka przestała być obca. Z koleżanki przeobraziła się nagle w pulsującą życiem kobietę. Posiadaczkę piersi, sutków, nóg oraz piegów. Ciągle jeszcze pachnącą pościelą.

– Czego chce? – spytał cicho tym samym głosem, jakim zwykle mówił do żony.

– Nie wiem. – Puściła jego ramię i prostując się, odsunęła się nieco do tyłu. – Czy to ważne? Chce, byśmy się spotkali przy stole.

– Ciekawe po co. – Wzruszył ramionami, naciągnął na siebie rzuconą na podłogę bluzę i zrezygnowawszy z włożenia butów, zaczął się dźwigać na nogi. – Czyżby przygotował śniadanie?

Spojrzała na niego z politowaniem, a jej usta wygięły się w zabarwioną ironią podkówkę.

– Pospiesz się. Jesteś w pracy – rzuciła oschle, lecz w jej głosie nie było typowego przejęcia, jakie zwykle wyczuwał, gdy próbowała dyscyplinować pracowników. Były tylko znużenie i drwina.

– Inni już się zebrali? – spytał od niechcienia i przeciągnął się ostrożnie.

– Tak, wszyscy siedzą przy stole.

Odwróciła się na pięcie, po czym wyszła z pokoju, a on ponownie rozpostarł ramiona. Przeciągnięcie się nie bolało. Przeciwnie, było bardzo przyjemne. Lepsze nawet niż przypadkowa intymność z Potocką. Miało w sobie rozleniwienie i jakąś nieujętą jeszcze w słowa obietnicę dobrego poranka. Tak jakby rzeczywiście czekało już na niego śniadanie. Sok z pomarańczy, tost oraz jajko. Kawa i poranna gazeta. Słońce, plaża, lenistwo. Jak na wakacjach. Uśmiechnął się i ponowił raz jeszcze ćwiczenie. Tym razem śmieiej, bez lęku przed bólem, w normalnym geście, jaki wykonywał co rano, zanim mięśnie przestały go słuchać. Nic. Żadnego napięcia. Żadnych skurczy, paraliżujących spazmów czy tików.

– Sprawdźmy raz jeszcze – mruknął do siebie i pochylił się lekko do przodu.

Ból się nie pojawił. Jedyne, co czuł, to lekka sztywność mięśni typowa dla człowieka, który przed momentem podniósł się z łóżka.

– Nieźle. – Uśmiechnął się pod nosem i zadowolony z przebiegu eksperymentu postanowił włożyć trampki. – Całkiem nieźle.

Leki ewidentnie działały. Po blisko miesiącu terapii zaczynał to w końcu odczuwać. Od dwóch dni jego stan znacząco się poprawił. Paradoksalnie, bo przecież w otaczających go obecnie warunkach zdecydowanie powinno być gorzej. A jednak nie. Było dobrze. Owszem, miewał jeszcze napady paraliżującego bólu, ale przebiegały one znacznie krócej i mniej dotkliwie niż do tej pory. Wczoraj te incydenty zdarzyły mu się tylko dwukrotnie. Jakby cierpienie nie mieszkało już w jego układzie nerwowym, a jedynie wpadało czasami z wizytą. A zatem lekarz miał rację. Nie chodziło o żadne śmiertelne schorzenie, lecz o zwykłą depresję lękową.

– Jaki jestem durny... – westchnął i pochylił się głębiej, by zawiązać sznurówki.

Jak mógł w ten sposób pomyśleć? Jak po tym wszystkim, co przeżył, miał czelność, by nazywać to zwykłą depresją? Przecież stres mógł go zabić! Przecież kilka razy rozważał, czy nie powinien się powiesić na kłamce! Fantazjował o przedawkowaniu tabletek i rozważał, czy nie spisać testamentu. Przez ostatnie miesiące był całkiem pewien, że Monika go w końcu zostawi, że nie wytrzyma dłużej jego ustawicznego, pełnego przykurczy kalectwa. Że będzie miała dość męża, którego trzeba wozić do pracy, pomagać mu się myć, a czasem niemalże podcierać. Że to wszystko ją zmęczy. I szczerze mówiąc, miałyby prawo. Nie winiłby jej, gdyby straciła cierpliwość ani nawet gdyby poszła z kimś innym do łóżka. Nawet teraz ciągle jeszcze nie był mężczyzną. Ból w krzyżu zelżał, nogi

stawiało się łatwiej, a tiki w rękach całkowicie zniknęły, ale nadal nie mógł nawet marzyć o seksie. Najzwyczajniej by mu nie podołał.

– Idziesz? – Głowa Poli wsunęła się przez drzwi do sypialni.

– Tak. Po co ta cała nerwowość?

Uśmiechnął się do niej i celowo spowalniając ruchy, zaczął się przemieszczać do wyjścia.

Rzeczywiście wszyscy już się zebrali. Paweł i Piotrek palili papierosy, nie zważając na to, że innym to może przeszkadzać. Lena kiwała się nerwowo na krześle niczym dziecko pogrążone w chorobie sieroczej, a siedzący obok niej Daniel starał się uspokoić ją szeptem. Uśmiechnął się, obserwując tych dwoje, i ponownie pomyślał o Poli. Wszystko to było dziwne. On i Potocka, Malicki i Lena. Nawet Doktorowicz z Leszczyńskim. Tajemnicze, trudne do pojęcia układy napięć i pojawiające się znikąd sojusze, zaprzeczające grawitacji siły wzajemnego ciężenia, które tylko pozornie negowały prawa fizyki, wyrastając z niby nieistotnych niuansów: zapuszczonego w dekolt koleżanki żurawia, dzielonej z kumplem paczki papierosów lub – jak w przypadku Daniela – spania z kimś w jednym pokoju. Biedny Tusza! Gdyby przewidział, że Letycka może się sprzymierzyć z Malickim, to pewnie sam zdecydowałby się spać z dziewczynami. Napuszczanie tej dwójki na siebie stanowiło przecież jego główną rozrywkę. Rafał nie kibicował w tych starciach żadnemu. Wystarczała mu przyjemność obserwacji, jak naparziali się na arenie, oraz możliwość unoszenia lub opuszczania kciuka w werdykcie. A teraz co? Para jego ulubionych atletów zwarła się nie w morderczym, lecz przeciwnie, braterskim uścisku. Na Zeusa! Gdy Cezar to dostrzeże, gotów jeszcze spalić tę budę! Lub wymienić ich wszystkich na konie. Tfu, nie na konie, lecz świnie! Takie, które będą z nim radośnie i swawolnie ucztować.

Zaśmiał się głośno i ściągnął na siebie spojrzenia siedzących, ale w żadnym z nich nie dostrzegł ani krzty rozbawienia. Wszyscy byli jednakowo zgnębieni, a ich oczy wydawały się szkliste. Przez sekundę zastanawiał się, czy nie rozbawić ich swoją orwellowską paralełą, ostatecznie jednak uznał, że porównanie ich do zwierząt w zapuszczonym folwarku byłoby aż zanadto prawdziwe.

– Dzień dobry – powiedział i zamiast usiąść przy stole, zaczął się powoli przechadzać.

– Cześć – odburknął Doktorowicz.

– Czy ktoś wie, o co tu chodzi?

Potrząsnęli bezradnie głowami.

– Gdzie jest nasz drogi prezes?

– W kuchni.

Stłumiony głos Barbary sprawił, że spojrzał na nią uważniej. Była blada. Praktycznie zielona. Wyglądało na to, że z nich wszystkich najgorzej znosiła

głodówkę. Paznokcie miała poobgryzane, wargi popękane, a w jej oczach czaiło się desperackie szaleństwo. Uniósł brwi w zdziwieniu i obszedł stół, żeby przyjrzeć się z bliska kolegom. Po nikim z wyjątkiem Tomaszewskiej nie było jeszcze widać fizycznych skutków poszczenia. Byli zmęczeni, to wszystko. Rozdrażnieni z niewyspania, zirytowani sytuacją, niektórzy wręcz wyczerpani, ale żadne nie miało zapadniętych policzków, wychudłych palców czy wystających obojczyków. Żadne poza Barbarą.

Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na nią raz jeszcze. Może miała szybką przemianę materii, a może jej organizm był przyzwyczajony do bardzo regularnych posiłków? Może dodatkowo spalał ją stres, który w normalnych warunkach zjadałaby obecnie batonem? Podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. Uniosła głowę i zerknęła na niego przelotnie. Bez nadziei ani jakiegokolwiek emocji.

Dziwne. On sam nie czuł głodu. Przez pierwsze dwa dni ssało go lekko w jelitach i był nawet moment, kiedy sądził, że nie wytrzyma już dłużej, ale potem wszystko minęło. Wydawał się nieco bardziej pobudzony niż zwykle, w nocy odczuwał dreszcze i szybciej marzył, lecz poza tym czuł się dobrze. Był spokojny, nie popadał w apatię, miał nawet siłę żartować. Jego myśli weszły na wybitny poziom abstrakcji. Jak chociażby przed chwilą, gdy bujały po *Folwarku zwierzęcym*, zaczepiając po drodze o Kaligulę, Nerona i odzianego w strój gladiatora Daniela. Tak, było mu dobrze i lekko. W pewnym sensie nawet łatwiej niż zwykle. Tak jakby jego głód nie był głodem, lecz oczyszczającym organizm detoksem. Ale może ta reakcja nie była typowa? Może zawdzięczał ją lekom? Może, paradoksalnie, zdiagnozowana wcześniej depresja lękowa pozwalała mu teraz to przetrwać?

Drzwi do kuchni otworzyły się gwałtownie i na progu pojawił się Tusza. Uśmiechał się, ale w jego oczach czaiły się błyski. Wszyscy przy stole zamarli, a on sam zatrzymał się mimowolnie w pół kroku. Abstrakcyjne myślenie zniknęło i w głowie kołatało się teraz jedno powtarzające się niczym mantra pytanie: po co, do cholery, ich zebrał? Po co? Po co? Próbował znaleźć odpowiedź, ale jedyne, co przychodziło mu do głowy, to chęć ogłoszenia im czegoś. Może tego, że właśnie wszystkich zwalniał?

– Witam, witam! – ryknął jowialnie Rafał. – Jak się spało?

Wypuścił powietrze i spojrzał na Tuszę z niesmakiem. Nie, nie zamierzał ich zwalniać. Chciał się jedynie zabawić. Ponaigrawać się z nich przy śniadaniu, poobserwować, jak przetykają ślinę i jak robią się coraz bardziej zieleni. Z typowym dla siebie sadystycznym zacięciem pragnął delektować się wywołaną w nich wszystkich udręką.

– Znakomicie. – Oddał mu uśmiech w nadziei, że swym dobrym nastojem choć troszeczkę pokrzyżuje mu szyki. – A tobie?

– Świetnie! Doprawdy wspaniale! – Tusza zachwycił się z wyraźną

emfazą. – Nic się nie równa z czystym wiejskim powietrzem! I ta cisza! W mieście nigdy nie jest tak cicho.

Zgromadzeni przy stole unieśli lekko głowy i spojrzeli bezradnie po sobie.

– Nie chcecie chyba powiedzieć, że przeszkadzało wam świńskie kwiczenie? – Tusza oparł się o futrynę i przyglądał się wszystkim drwiąco. – Nie wierzę! Naprawdę? Ale przecież, moi mili, to wy sami wybraliście ten podkład muzyczny! Więc zakładam, że czerpicie przyjemność z tych dźwięków!

Lena uniosła lekko podbródek i spojrzała gniewnie na Tuszę. Przez krótki moment zdawało się, że mu nawet odpysknie, ale w końcu zrezygnowała. Jej usta się zamknęły, a głowa opadła.

– Lena chciała pewnie powiedzieć, że nie sprawia wam radości kwiczenie. – Tusza dostrzegł jej próbę i zinterpretował to odpowiednio. – Myli się jednak, nieprawdaż? Przecież właśnie po to głodzicie Bogu ducha winne zwierzęta. Koniec końców i tak ktoś je w końcu zabije i przerobi na przepyszne kiełbaski. Lecz przynajmniej zdążą się przed śmiercią naśpiewać...

Rafał zaśmiał się głośno i zawrócił do kuchni. Przez moment kręcił się nerwowo przy blacie, aż w końcu znów ruszył w stronę stołu. Tym razem w obu rękach niósł ogromne wypełnione bekonem półmiski.

– Wybaczcie, że otworzyłem w kuchni okno, ale trochę się nadymiło. Pewnie chcielibyście sobie chociaż powąchać?

Postawił oba naczynia przed sobą, usiadł, po czym chwycił w palce pierwszy podsmażony kawałek i z sadystycznym uśmiechem położył go na języku. Mlasnął donośnie i przesunawszy wzrokiem po wszystkich zebranych, zatrzymał go na Barbarze.

– Chcesz powąchać? – zapytał, a ona jeszcze bardziej pobladła. – No, nie wstydz się! Chodź, powąchaj!

– Nie, dziękuję.

– Może jednak? – zachęcił ją i zamachał kolejnym plasterkiem.

– Powiedziała już chyba, że nie chce?! – warknął, nie mogąc znieść dłużej widoku wilgotnych, wyginających się w uśmiechu ust Tuszy. – Głuchy jesteś?!

Rafał przeniósł na niego wzrok i z rozbawieniem odchylił się na zydelku.

– Marcin, Marcin... – Pogroził mu żartobliwie palcem. – To bardzo nieładnie, gdy ktoś krzyczy w ten sposób na szefa.

– Wal się! – mruknął pod nosem i odwrócił się do Tuszy plecami.

– Lepiej mu! – W głosie Rafała wyczuł delikatne nuty niezadowolenia. Wciąż jeszcze udawał, że jest rozbawiony jego niesubordynacją, ale warknięcie ewidentnie nie przypadło mu do gustu. – Widzicie? Naprawdę mu lepiej! Czyli zwolennicy głódówki mają rację co do jej leczniczych walorów. Kolega Urbański jest na to najlepszym dowodem! – Tusza zamilkł i jedynym dźwiękiem, jaki teraz słyszeli, było donośne mlaskanie, które już po sekundzie okazało się bardziej

irytujące niż najzłośliwsze zdania, jakie byłby z siebie w stanie wyrzucić. – Sami popatrzcie. – Zaczął znowu z pełnymi ustami. – Przechadza się z werwą, prawie się nie garbi, nawet nóżkę przestał już za sobą pociągać. I na dodatek staje w obronie kobiety! Zuch! Prawdziwy junak!

Zerknął na siedzących przy stole kolegów, by ocenić, co o tym wszystkim myśleli. Baśka nadal była zielona, a jej mina świadczyła o tym, że walczy z mdłościami. Z kolei na twarzy Leny pojawił się lekki rumieniec. Nie kiwała się już na krześle, lecz w skupieniu obserwowała rozwój wydarzeń. Siedzący obok niej Daniel popatrywał to na Tuszę, to na niego, jakby chciał się upewnić, że dobrze rozumiał rozgrywkę. Paweł był wyraźnie zdegustowany, a fakt, że krzywił się, obserwując prezesa, podpowiadał mu, że chodziło o donośne mlaskanie. Leszczyński gapił się w sufit w ostentacyjnej pozie, mającej wskazywać na to, że ma wszystko w dupie, a usadowiona obok Piotra Potocka patrzyła teraz prosto na niego. W jej wzroku dostrzegł ostrzeżenie i prośbę. Jakby nie wiedziała do końca, jakiego arsenału argumentów ma użyć, by wymusić na nim milczenie. Zignorował jej spojrzenie, odwrócił się ponownie do Tuszy i spytał:

– Po co chciałeś nas widzieć? Masz jakąś sprawę?

Rafał uśmiechnął się szeroko, rozpostarł ramiona i odpowiedział mu wyjątkowo serdecznie:

– Stęskniłem się, moi mili! To miał być wyjazd integracyjny, a wy zdajecie się mnie unikać! Jem samotnie posiłki, co już samo w sobie świadczy o niecywilizowanych manierach. Przecież jesteśmy rodziną! A rodzina zbiera się przy stole!

– My? Rodziną? – zachnął się i zaśmiał Tuszy w twarz. – Nie bądź śmieszny. Jak na ciebie patrzę, to myślę, że twoi rodzice musieli być chyba rodzeństwem.

Usłyszał własne słowa i przez dłuższą chwilę nie mógł uwierzyć, że rzeczywiście je wypowiedział. Jak mógł palnąć coś tak potwornego? Nawet do Tuszy. Zwłaszcza do Tuszy! Co mu się stało? Po co w ogóle się kłócił? Odbiło mu przez tę całą głódówkę? A może fakt, że przez moment poczuł się lepiej, sprowokował go do takiej reakcji?

Zerknął niepewnie na Polę, dostrzegł, że jest biała jak papier, po czym nabrał głębiej powietrza. Miał dość tego miejsca! Rafała, Potockiej, ich wszystkich! Po co niby miałby być grzeczny? Po chuja miał kłaść uszy po sobie? Przecież i tak planowali go zwolnić. Więc czego jeszcze miałby się obawiać? Że Rafał nagle się wścieknie? Że go skrzyczy, zwyzywa, uderzy? Zaśmiał się głośno, odwrócił gwałtownie i ignorując przerażone spojrzenia kolegów, podszedł powoli do Tuszy.

– Brakuje ci ciętej riposty? – Zaśmiał się znowu i teatralnie chwycił pod boki.

Dopiero teraz, gdy skupił na nim spojrzenie, dostrzegł, że Tusza zrobił się

czerwony. Jego oczy były zmrużone, dłonie zaciśnięte w pięści, a urywany oddech sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał eksplodować. A jednak, mimo swojej całej wściekłości, mimo rozszalałego wkurwienia, które rozlewało mu się obecnie po żyłach, nie potrafił nic z siebie wykrztusić. Jakby słowa nagle zamarły mu w gardle. Jakby szok, że ktokolwiek miał odwagę z niego żartować, całkowicie odebrał mu mowę.

– No co? Nic nie powiesz? – Pochylił się nad nim przekonany, że Tusza zaraz zerwie się z miejsca i w braku słów dosięgnie go w końcu pięściami.

– Pierdol się, gnoju! – warknął Rafał, lecz jego odpowiedź nie świadczyła o tym, aby się zdołał pozbierać.

Uśmiechnął się do Tuszy, teraz już pewien, że rzeczywiście miał rację, a prezesowi zabrakło riposty. Wszystkie wywody, które szef tak często przed nimi wygłaszał, wszystkie jego dowcipy, złośliwostki, szykany – żadna z tych rzeczy nie była spontaniczną reakcją. Przygotowywał je wcześniej. Układał w głowie, cyzelował, dopieszczał. Uczył się na pamięć, zakładając, że nikt mu nigdy nie przerwie. I do tej pory faktycznie tak było. Pozwalali mu tokować bez końca, przyjmowali wszystko, co mówił, i bezgłośnie czekali, aż skończy. No cóż, nie tym razem.

– Zaszło ci w gardle? Może powinieneś czymś przepić? – Spojrzał na niego triumfująco i uśmiechnął się bardzo szeroko. – A może kawałek bekonu?

Sięgnął po leżący na skraju półmiska plasterek, zamachał nim w powietrzu, papugując gest Rafała, a następnie podsunął mu go pod nos.

– Pięknie pachnie, co? Otwórz buzię! Wszyscy chętnie posłuchamy, jak mlaszczesz!

– Marcin, daj spokój – skarciła go Lena.

– Co przepraszam?! – Odwrócił się do niej i uniósł brwi, by okazać zdumienie. – Nie chcesz patrzeć, jak Rafuś pożera?! Przecież po to nas tutaj zgromadził!

– Nie zniżaj się do tego poziomu... – szept Letyckiej był ledwo słyszalny.

– Do jakiego, kurwa, poziomu?! – ryknął i przejechał spojrzeniem po reszcie. – Co ty bredzisz?! Do jakiego poziomu mam się twoim zdaniem nie zniżać? Do tego, na którym karmię ukochanego szefa bekonem, czy do tego, gdzie po czterech dniach głodu patrzę bez słowa, jak ten chuj wpierdala śniadanie? A może do tego, na którym należy odwrócić wzrok, kiedy kutas proponuje Tomaszewskiej wachanie? O którym poziomie mówisz? Wyjaśnij mi to, proszę, łaskawie.

Lena potrząsnęła głową bezradnie.

– Skoro nie wiesz, to przestań się wtrącać! Siedź i słuchaj, jak nasz prezes przepięknie nam mlaska. Jeśli chcesz, to możesz nawet powąchać.

Odwrócił się w stronę Rafała, chwycił go za żuchwę i korzystając z chwili

przewagi, jaką dało mu zaskoczenie, wcisnął mu plasterek go gardła.

– Jedz, bo wystygnie!

Tusza zerwał się z miejsca, odepchnął go gwałtownie i wypluł wsadzony mu w usta kawałek.

– Marcin ma rację. – Tomaszewska podniosła się z miejsca. – Siadaj i jedz. Nie chcę wachać, ale chętnie popatrzę.

Jej wsparcie go zaskoczyło. A zatem nie była aż taka uległa, jak wszyscy sądzili.

– W sumie to nie taki zły pomysł. – Doktorowicz też się podniósł i odsunawszy krzesło, skierował się do wyjścia. – Musisz to zeżreć. – Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami, odcinając Tuszy ewentualną drogę ucieczki. – Sam przecież ustaliłeś zasady: każdy musi zjeść swoją świnię. Jeśli to teraz zostawisz, to któreś z nas może się nie oprzeć pokusie. Sam rozumiesz, że nie mamy najsilniejszej konstrukcji...

– Chociaż mięso zjedz... – Z końca stołu cicho odezwał się Daniel, wprawiając pozostałych w osłupienie. – No co?! – dorzucił obronnym tonem, udając, że ich zaskoczenie miało inne podłoże niż w rzeczywistości. – Mama mi zawsze mówiła, że mięsa nie należy marnować...

– Popierdoliło was dokumentnie! – Tusza pokręcił głową w niedowierzaniu. – Jesteście chorzy na głowę!

– Nic nie szkodzi. Tak czy owak, planowałeś nas zwolnić. – Uśmiechnął się, widząc, że Rafał opadł na zydeł, i dopiero kiedy spuścił go z oczu, zauważył, że pozostali zamarli. – Chyba nie jesteście zdziwieni? – Zaśmiał się głośno i ponownie spojrzał na Tuszę. – Rafał, zaprzeczysz?

Tusza sięgnął po plasterek, włożył go w usta i zaczął powoli przeżuwać. Jego policzki uniosły się nieznacznie, a na wargach pojawił się sardoniczny uśmiezek. W końcu przełknął, kiwnął głową i pokazał im zęby w szerokim, zabarwionym złościwością grymasie.

– Brawo, Marcin! – Parsknął śmiechem, po czym sięgnął po kolejne kawałki bekonu.

Jadł teraz łączywie i demonstracyjnie, oblizując się, mlaszcząc, połykając coraz większe kęsy. Mimo pełnych ust ciągle jeszcze się śmiał. Jego przepona poruszała się rytmicznie w kolejnych paroksyzmach chichotu, tak jakby myśl, że komukolwiek z nich udało się przeniknąć jego plan, wydawała mu się szczególnie wesoła.

– Może zmienię zdanie... – wybelkotał w końcu przez wypełniające mu usta jedzenie. – Może jednak ciebie zatrzymam.

Tusza spojrzał na niego i znów zachichotał. W kącikach oczu miał teraz łzy rozbawienia. Jego twarz znowu była czerwona, ale tym razem rumieniec nie brał się z gniewu, lecz z powstrzymanego zbyt długo rechotu. Przycisnął dłoń do ust,

parsknął i dostrzegłszy, że opluł sobie rękę, znów zaczął dziko chichotać. W jego rozweseleniu było coś chorobliwego. Jakiś rodzaj nieokiełznania, nad którym nie potrafił już zapanować. Powtórzył ostatnie zdanie, zaśmiał się znowu i odchyliwszy głowę do tyłu, zaczął wsuwać w usta kolejne długie plasterki. Jeden po drugim upychał je sobie w policzki, bardziej niż całą sytuacją ubawiony odstawianą przez siebie pantomimą. Wymacał dłonią ostatni, leżący na skraju półmiska kawałek, ponownie odchylił głowę i niczym młody pelikan włożył go sobie prosto do gardła.

Barbara

Nie spuszczała z Tuszy wzroku, obserwując czujnie zmieniający się kolor jego skóry i zaczerwienienie, które pojawiło mu się na białkach. Naczynia krwionośne pęczniały z wysiłku, a zebrana w kącikach oczu wilgoć zaczynała spływać po policzkach, które nie były już rumiane, lecz fioletowe niczym mucet biskupa. Usta miał otwarte, a w ich wnętrzu dostrzegła nieprzełknięte, częściowo tylko pogryzione kawałki bekonu oraz zwijający się w trąbkę język, którym usiłował wypchnąć z gardła zawieszony w jego wnętrzu plasterek.

Jego gesty straciły dotychczasową prześmiewczość i bardziej niż ruchy mima przypominały obecnie desperackie machania tonącego. Kątem oka zarejestrowała nerwowe poruszenie Leny oraz dłoń Pawła, która opadła na ramię Letyckiej, aby przytrzymać ją silnie na miejscu. Zerknęła na twarz Doktorowicza, zauważyła na niej bezwzględność i przesunęła wzrokiem po pozostałych. Daniel również się gapił na Tuszę, lecz w przeciwieństwie do Pawła, Leny oraz jej samej nie pojmował jeszcze tego, co widział. Skupienie na twarzy Piotra wskazywało, że dochodził właśnie do odpowiedniej konkluzji. Pola zwiesiła głowę i nie sposób było odgadnąć, czy odwracała akurat wzrok, czy może tkwiła w tej pozycji od dawna. Urbański natomiast miał na twarzy dziki, pełen wściekłości grymas, który równie dobrze mógł być reakcją na krztuszącego się Tuszę, jak odbiciem targających nim wcześniej emocji.

– On się dławi! – Leszczyński poskładał w końcu dramatyczne gesty Rafała w skierowaną ku nim wszystkim wiadomość i nerwowo zerwał się z miejsca. Odepchnął stojącego mu na drodze Pawła, w dwóch szybkich susach znalazł się za plecami prezesa i rozłożył ramiona w jasnym zamiarze podźwignięcia go z miejsca.

– Odsuń się! – warknął Marcin i odepchnął Leszczyńskiego od Tuszy. W jego grymasie nie było już teraz zagadki. Wiedział dokładnie, co się dzieje, i podobnie jak Paweł nie zamierzał dopuścić, by ktokolwiek przerwał tę scenę.

– Zwariowałeś?! – Piotr wyprostował się, dostrzegł minę Marcina i odczytawszy jej znaczenie, oddał cios. – On się dusi! Przepuść mnie! Trzeba mu pomóc!

– Zostaw go! – parsknął ponownie Urbański i mimo że uderzenie było mocne, nie przesunął się nawet o jotę.

– Co się dzieje?!

– Przestańcie!

Głosy Daniela i Poli zabrzmiały niemal równocześnie. Potocka podniosła się z krzesła, Malicki wykonał jakiś niezrozumiały gest, a Lena uwolniła ramię spod obciążającej je dłoni Doktorowicza i zerwała się szybko na nogi.

– Jak to: co się dzieje! Zadławił się! Nie widzicie?! – Leszczyński ponownie

spróbował sforsować stojącego mu na drodze Marcina.

Odwróciła się w stronę Doktorowicza, wymieniła z nim spojrzenia i zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, zauważyła nieme skinienie. Paweł ruszył szybko do przodu, chwycił Leszczyńskiego za ramię i szarpnął nim w swoją stronę.

– Odsuń się! Nie słyszałeś? Wracaj na swoje miejsce!

Przerażony wyraz twarzy Piotra ustąpił na moment miejsca zdziwieniu. Dopiero po ułamku sekundy Leszczyński pojął, o co chodziło, a jego twarz wykrzywiła się w paroksyzmie wściekłości.

– Pojechało was?! Puść mnie!

Piotr wyrwał ramię z uścisku i raz jeszcze podjął próbę przedostania się za plecy Rafała.

Tusza stawał się siny. Wydobywające się z jego gardła odgłosy były mieszaniną pochrząkiwania, kaszlu i śmiertelnego rżenia.

– Piotr ma rację... – odezwała się cicho Letycka, lecz w jej głosie nie było pewności. – Przepuście go...

– Nie! – Potocka przerwała Lenie w pół słowa i sama ruszyła do Tuszy.

– Jesteś na to za słaba! – Leszczyński krzyknął w jej kierunku i ponownie zaczął napierać na stojącego mu na drodze Marcina.

– Tak ci się tylko wydaje.

Pola stanęła za plecami Urbańskiego, szepnęła mu coś do ucha, a następnie chwyciła Piotra za rękę. Zanim się zorientował, Urbański wymierzył mu cios w splot słoneczny, a stojący za nim Paweł, wykorzystując moment, gdy ten się złożył wpół, poprawił mu z łokcia w kręgosłup.

– Co się dzieje?! – nerwowy dyszkant Malickiego powiłał zadane już wcześniej pytanie.

Odwróciła się w jego stronę, zmierzyła go wzrokiem i siłąc się na spokój, wyjaśniła mu bardzo powoli:

– Tusza się zakrztusił, a Leszczyński usiłował mu pomóc. – Daniel wciąż zdawał się nie rozumieć, więc rozejrzała się dookoła i dodała dobitnie: – Niestety takie próby mogłyby jedynie zaszkodzić. Macie rację – zwróciła się do Marcina, Pawła i Poli – musimy jeszcze chwilę poczekać. Może w końcu uda mu się odkaszlnąć.

Opadła na taboret i z zadowoleniem przyglądała się bezruchowi, który zapanował w pokoju. Jediną poruszającą się w tej chwili sylwetką był wstrząsany paroksyzmami kaszlu Rafał. Pozostali zamarli i nawet zgięty w pasie, opierający się dłońmi o kolana Leszczyński jedynie sapał z wysiłkiem.

– Rafale, czy dobrze się czujesz? – Nachyliła się nad stołem i zajrzała w rozszerzone przerażeniem źrenice Tuszy. – Może powinieneś unieść rękę? – Własny głos wydał jej się obcy. Słyszała pobrzmiwające w nim nuty okrucieństwa, cynizmu i zadowolenia oraz sadystyczne tony, które nigdy wcześniej

nie opuściły jej gardła.

Tusza charknął coś w odpowiedzi, po czym zaczął unosić ramiona.

– Bardzo dobrze – pochwaliła go tym samym tonem. – Dasz radę wstać?

Jego spojrzenie było w nią wbite jak w ostatnią deskę ratunku. Chwytał się jej słów niczym tonący brzytwy i posłusznie wykonywał rozkazy, nie wyłapując stojącej za tym spokojem intencji. Podniósł się z taboretu, uniósł ramiona nad głowę i zacharczał. Drobne kawałki nasiąkniętego śliną bekonu wyleciały mu z ust na podbródek.

– Świetnie! Znakomicie! Powtórz to, proszę, raz jeszcze. – Uśmiechnęła się zachęcająco, po czym przeniosła wzrok na Marcina. – Poklepiasz go lekko po plecach? Tylko ostrożnie. Tak, by nie zrobić mu krzywdy.

Urbański zmrzączył oczy, przysunął się bliżej i powoli przyłożył swoją dłoń do łopatek Rafała, po czym powtórzył ten gest wielokrotnie.

– Przestańcie! – rozległ się histeryczny głos Leny i znowu wszyscy zamarli. – Rozumiem powody, dla których nie chcecie mu pomóc, ale to, co robicie...

– Lena ma rację. – Doktorowicz wykorzystał moment, gdy Letycka nabierała powietrza, i uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Najlepiej zostawmy go w spokoju. Nie znamy się na tym i nie potrafimy mu pomóc...

Paweł przerwał i zauważywszy, że Leszczyński zaczyna się powoli prostować, uniósł obie pięści.

– Oskarżają nas o nieudzielenie pomocy! – Po uderzeniu w brzuch głos Piotra stał się bardziej chrapliwy. – Pójdziemy za to siedzieć!

– Dlatego mu właśnie pomagam – odcięła się szybko. – Marcin, klepnij go troszkę mocniej. Tak, żeby wszyscy widzieli.

– Chryste! To chore! – Malicki się złapał za głowę.

– Nie mogę na to patrzeć! – zawtórowała mu Lena. – Wystarczy! Trzeba mu pomóc! Piotr! Zrób coś!

– Nie może – włączyła się do rozmowy Potocka. – Zgodnie z regulaminem bhp w razie wypadku stanowiącego zagrożenie dla życia pracownika należy wykonać telefon alarmowy. Pierwszej pomocy może udzielić świadek wypadku posiadający odpowiednie przeszkolenie z ratownictwa medycznego. W razie braku takiej osoby na miejscu zdarzenia nie należy przemieszczać ofiary ani samodzielnie usuwać wbitych w nią ciał obcych. W razie krwawienia stosować należyty ucisk ponad miejscem zranienia, a w przypadku omdlenia – ułożyć ofiarę w pozycji bezpiecznej, w której należy ją utrzymywać do czasu pojawienia się na miejscu ratownika medycznego – wyrecytowała na jednym oddechu. – W naszym gronie nikt nie przeszedł szkolenia. Nawet Piotr, choć powinien. Kilkakrotnie wysyłałam ci maile w tej sprawie – spojrzała na Leszczyńskiego znacząco. – Jako dyrektor produkcji miałeś obowiązek odbyć kurs pierwszej pomocy medycznej. Ponieważ

tęgo nie zrobileś, nie mogę dopuścić, abyś teraz kogokolwiek ratował.

– Żartujesz?!

– Nie. Jeśli to zrobisz, a Rafał... – zawahała się na moment, po czym przesunęła wzrokiem po wszystkich. – Jeśli Rafał umrze w wyniku twoich działań, to będę musiała to zgłosić w prokuraturze i zeznać, że jego śmierć jest wynikiem twojej niekompetencji.

– To jakieś jaja! – Leszczyński pokręcił głową w niedowierzaniu.

– Zaryzykujesz? – Pola uśmiechnęła się w jego stronę kąśliwie.

– Zamknijcie się wszyscy! – Daniel uderzył dłonią w stół. – Nie widzicie, że przestał oddychać?

Przeniosła wzrok z Potockiej na Tuszę i dostrzegła, że Malicki ma rację. W czasie, gdy Pola przemawiała, ręce Rafała opadły i chociaż trzymał się jeszcze na nogach, to jego usta przestały się histerycznie poruszać. Nie było już słyhać chrapliwego rżężenia, a zaszklony wzrok znieruchomiał i był teraz wbity w powałę. Tak jakby w ostatnim podrygu życia Tusza kierował swe spojrzenie ku górze. Można by pomyśleć, że modlił się przed śmiercią.

Stojący wokół Rafała odsunęli się odruchowo, jakby świadomość tego, co właśnie się stało, popchnęła ich do ucieczki. Pola zrobiła krok do tyłu, Doktorowicz odchylił się gwałtownie, a Urbański cofnął trzymaną na plecach Tuszy dłoń. W momencie, gdy oderwał ją od łopatek Rafała, ten zatoczył się bezwładnie, przewrócił stojący za nim zydeł i osunął się z łoskotem na ziemię. Jego prawa ręka zawiesiła się na moment na blacie, potraçała stojący na nim pusty półmisek, a następnie opadła ciężko na ciało.

– Jezu... – szepnął Leszczyński, po czym zrobił pół kroku do przodu i zerknął nad ramieniem kolegi na leżącą bez ruchu sylwetkę. – Zabiliście go...

Nikt się nie odezwał. Przez chwilę miała nawet wrażenie, że nikt nie był w stanie oddychać. To, co jeszcze przed momentem wydawało się sadystyczną zabawą, rodzajem zabarwionego okrucieństwem odwetu i nieniosącą żadnych poważnych skutków przepychanką, teraz już nie wydawało się śmieszne. Wymykało się prostym ocenom. Nagle, w ciągu kilku sekund dzielących komunikat, że Tusza przestał oddychać, od momentu, kiedy zwałił się głośno na ziemię, z rozwścieczonych, nienawidzących szefa podwładnych zmienili się w grupę morderców. Tak, morderców. Piotr miał całkowitą rację w tym względzie. Nie potrafiła znaleźć innego słowa, które określałoby lepiej to, kim się stała. Była bezwzględna zabójczynią. Naigrawała się z Tuszy, zrobiła z jego agonii farsę i nie tylko pozwoliła, by umarł, ale wręcz przyłożyła do tego rękę. Każdym wypowiedzianym tu słowem i każdą kierowaną do Marcina zachętą.

Zamknęła oczy, nie mogąc znieść widoku wykrzywionych strachem twarzy, niepewności w oczach kolegów i ich drgających ze zdenerwowania dłoni. Przewróconego taboretu i bezwładnego worka mięsa, w jaki nagle zamienił się

Rafał. Jego bezbronności oraz bezruchu. Otwartych, wbitych w przestrzeń oczu, rozchylonych ust ze spływającą z nich strużką śliny, fioletowej twarzy, wciąż jeszcze spiętej wysiłkiem. Chciała to wszystko odciąć. Wymazać z siebie. Przekonać swój mózg, że zapisane w pamięci obrazy nie były niczym więcej jak dręczącym ją nocnym koszmarem. Wybrykiem podświadomości, która domagała się krwawej wendety i zaspokajała tę żądzę wytwarzanymi we śnie wizjami.

Opadła na krzesło, ukryła twarz w dłoniach i oparłszy się łokciami o blat stołu, trwała przez moment w bezruchu. A może w nadziei, że obudzi się w końcu i przekona, że to wszystko jedynie jej się śniło?

Nikt z obecnych w pokoju nawet nie drgnął. Nie wyczuwała żadnego poruszającego powietrze gestu, nie słyszała szmerów ani oddechów. Jedyne, co do niej docierało, to stłumione odgłosy kwiczących z głodu świń, coraz bardziej dramatyczne, płaczliwe i beznadziejne. Coraz bardziej nasączone bólem. Przycisnęła dłonie mocno do skroni, ale dźwięki nie zniknęły. Nie były dającymi się odgonić głosami, jakie czasem wywoływała w jej głowie migrena. Nie były szumem zdenerwowania, który płynął z jej organizmu, kiedy serce waliło, a wzburzona strachem krew pulsowała donośnie w aortach. Były realne, dochodziły zza okien. Pełne rozpacz i gniewu. Już nie świńskie, lecz ludzkie. Zawodzące głośno i domagające się jej pełnej uwagi. Przetykane chrapliwymi pochrząkiwaniami oraz niskim, niemal agonialnym rżeniem. Takim samym jak to, które przed momentem wydawał z siebie Rafał. To ona prowokowała te dźwięki. To ona była odpowiedzialna za każdy unoszący się w powietrzu ton tego krzyku. To przez nią te zwierzęta płakały. Dlatego że nie potrafiła ich zabić.

Jak to się stało, że nie podołała temu zadaniu, a równocześnie była w stanie obserwować dramatyczną agonię Rafała? Jak to możliwe, że zamiast świni zdecydowała się zabić człowieka? Tak, zabić. Nie było co do tego dyskusji. Zamordowała go z zimną krwią i cynicznym uśmieszkiem. W sposób pragmatyczny, bezwzględny i przemyślany. Niedostępny dla niej, kiedy poszła zmierzyć się ze stadem rozbieganych tuczników.

– Co robimy?

Pozbawiony barwy szept Leny dotarł do jej uszu, lecz nie zmobilizował jej do otwarcia oczu. Było jej obojętne, co ustalą. Nie, to nieprawda, nie było. Chciała, żeby zrobili cokolwiek, byle tylko Tusza zniknął z podłogi, zanim ponownie uniesie powieki. Chciała, by w bezszelestny, tajemniczy sposób pozbyli się jego ciała. By uprzątnęli świat ze wszystkich mogących jej go przypominać drobiazgów.

– Wyjdźmy na zewnątrz – głos Doktorowicza wydawał się beznamiętny. – Nie będziemy nad nim tak stali.

Ktoś nacisnął na klamkę, drzwi skrzypnęły i do chaty wtargnęły chłodne fale porannego wiosennego powietrza. Wciągnęła je w nozdrza i poczuła ulgę. Kwik świń zyskał na intensywności, lecz tłumili go obecnie szuranie stóp oraz odgłosy

przesuwających się w stronę wyjścia kolegów, szelest ich ubrań, stukot podeszw, głuchoe dźwięki wydawane przez dłonie opierające się o ściany.

– Basiu, idziesz? – odezwała się do niej Pola. – Chodź! Nie siedź tutaj!

Uniosła powieki, rozejrzała się po pokoju i powoli podniosła się z krzesła. Musiała iść. Zjednoczyć się z nimi. Ustalić coś, aby zatrzeć swą winę. Swą? Ich? Bez znaczenia. Zrobili to. Wspólnie. Niemalże zgodnie i z pewnością niesłuchanie skutecznie. Dokładnie tak, jak zawsze chciał tego Tusza – w zjednoczonym wspólnym celem zespołowym działaniu.

Paweł

Zerknął na wychodzącą z domu Barbarę i widząc, że jest jeszcze bardziej blada niż wcześniej, pokazał jej miejsce na ustawionej pod ścianą ławce. Potrząsnęła głową, po czym ciężko przysiadła na progu.

– A zatem? – Rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy wszyscy na niego patrzą. – Co robimy?

Ich twarze wydały mu się bezmyślne i pozbawione wyrazu niczym oblicza ludzi pogrążonych w śpiączce, których widywał czasami w szpitalu, w którym pracowała Beata. Nie ślinili się, nie byli podłączeni do podtrzymującej życie aparatury, a z ich gardeł nie wystawały rurki intubujące, ale ich stan był równie beznadziejny jak tamtych. Tomaszewska wydawała się w najgorszej formie, lecz stan pozostałych nie odbiegał przesadnie od jej stuporu. Zarówno Letycka, jak i Leszczyński trwali w całkowitym bezruchu, a ich twarze świadczyły wyraźnie, że oboje nadal są w szoku. Najwidoczniej i dystans Piotra, i energiczność Leny były wyłącznie pozami, które sprawdzały się w znajomych, kontrolowalnych przez nich warunkach i zanikały, gdy rzeczywistość zaczynała im się wymykać. Zerknął na Urbańskiego, a następnie przesunął wzrokiem po Poli oraz stojącym tuż obok Malickim. Paradoksalnie najlepiej trzymał się Marcin. Jako jedyny oddawał mu teraz spojrzenie i ewidentnie czekał na chwilę, kiedy wreszcie do niego przemówi. W Danielu brak było tej gotowości. Jakby ciągle jeszcze nie był się w stanie nadziwić, że Tusza przed momentem padł trupem. Pola z kolei wydawała się apatyczna i wycofana. Błądziła wzrokiem po zaschniętych kałużach błota, jakby nie potrafiła spojrzeć mu w oczy z obawy, że postawi jej zarzut.

– No dobrze... – zaczął cicho, mając nadzieję, że jego głos wyrwie ich w końcu z letargu. – A zatem co teraz robimy?

Nikt nie odezwał się słowem, choć wszyscy poruszyli się niespokojnie na miejscach.

– To może ja zacznę? – zaproponował, wiedząc, że właśnie na to czekali. – Nie mamy jak wezwać pomocy ani kogokolwiek zawiadomić o sprawie. Któreś z nas mogłoby pewnie wyruszyć do wspomnianej wioski, ale nikogo nie możemy stąd wypuścić samego. Nie wiem nawet, czy ktokolwiek nadaje się do tego, by wykonać w tej chwili telefon. Z różnych przyczyn... – Zawiesił głos, dostrzegając nagłe skinienie Barbary. Słuchała go teraz uważnie i rozumiała ukrytą w jego słowach sugestię. – Dla własnego bezpieczeństwa musimy być pewni, że wszyscy patrzymy na tę sytuację tak samo... – dodał po przerwie i zauważył, że Tomaszewska ponownie skinęła. Dostrzegł milczącą zgodę we wzroku Marcina i Poli, niechętny grymas na ustach Letyckiej oraz potakiwanie Daniela. W końcu zatrzymał wzrok na Leszczyńskim. – Czy wszyscy się co do tego zgadzamy?

Piotr spojrział na niego wrogo i po chwili głośno się zachnął:

– Co ty pierdolisz?! Tusza się zadławił bekonem, a wy powstrzymaliście mnie, gdy próbowałem uratować mu życie. Dzięki wam facet teraz nie żyje, a to, o czym mówisz, nie dotyczy bynajmniej oceny tej „sytuacji”, tylko ustalenia wspólnej wersji wydarzeń. Wymyślenia scenariusza, który was wszystkich wybieli!

– Naprawdę?

– Tak. Bądźmy szczerzy. Nie musimy przed sobą udawać – w głosie Leszczyńskiego pojawiły się nutki agresji. – Chcieliście, żeby zdechł, a teraz boicie się konsekwencji! Bo nagle do was dotarło, że to już nie jest prowadzona półżartem rozmowa, w której beztrąsco rzucacie, że od lat już życzyście mu śmierci! – Leszczyński zaczął wrzeszczeć na Lenę. – To już nie dowcip, którego będzie można się wyprzeć! Proszę, Leno! Oto masz, czego chciałaś! Gnoj nie żyje! Jestem pewien, że wreszcie się cieszysz!

– Chcesz absolutnej szczerości? – przerwał Piotrowi, stając między nim i Leną i odtrącając gwałtownie oskarżycielsko wysunięty palec, którym Leszczyński dziobał powietrze. – Skoro tak, proszę bardzo! Nie myślcie sobie, że Piotruś jest aż tak kryształowy – zwrócił się do reszty zebranych. – Rzucił się na ratunek bynajmniej nie z troski o Tuszę!

Twarze Daniela, Baśki i Poli spięły się w nagłym zdziwieniu, a on zrobił znaczącą przerwę, by jeszcze bardziej zaostrzyć ciekawość.

– Zamknij się! To nie ma związku ze sprawą! – Leszczyński zrobił w jego stronę pół kroku.

– Ależ ma! – Cofnął się lekko i oddał mu groźne spojrzenie. – Chciałeś go ratować, bo bałeś się o własną dupę! Bo z nas wszystkich tylko ty jeden miałeś obiektywne powody, żeby życzyć mu rychłej śmierci! Więc nie pierdol teraz o swoim altruizmie, tylko przyznaj się do wszystkiego! No! Dalej! Śmiało! Powiedz wszystkim, dlaczego go chciałeś ratować! Dlaczego uznałeś, że jeśli się skurwieli wykończy, to podejrzania padną na ciebie!

– Przestań, Paweł! – zaoponowała gwałtownie Lena. – Każdy z nas miał „obiektywne powody” oraz motyw, żeby pozbyć się Tuszy. Każdy chciał zachować pracę i każdy z nas go nie znosił.

– Owszem. – Skinął głową w jej stronę. – Ale nikt poza Piotrem od miesiący nie pukał mu żony! – Rozejrzał się triumfalnie dokoła i z satysfakcją dostrzegł, że informacja wywarła odpowiednie wrażenie.

– To jeszcze nie oznacza, że Piotr faktycznie chciałby go zabić.

– Oczywiście, że nie – zgodził się z Leną ponownie.

– Ale gdyby Rafałowi cokolwiek się stało, to w oczach policji... – Malicki skinął głową w nagłym przypływie zrozumienia. – Nasze pobudki nie były aż takie klarowne...

– Jakie to ma teraz znaczenie? – Tomaszewska podniosła się z progu

i spojrzała na niego z niesmakiem. – Piotr go nie zabił, więc nie widzę związku ze sprawą. Mieliśmy ustalić, co z tym teraz robimy, a nie zajmować się plotkowaniem. Jeśli nie pamiętacie, to w domu leży trup. Musimy zdecydować, czy żyjemy z nim do niedzieli, czy ruszamy po pomoc do wioski. W obu przypadkach musimy mieć wspólną wersję wydarzeń. Różnica jest tylko taka, że jeśli będziemy tu siedzieć, to to też będzie wymagało wyjaśnień. Każdy normalny człowiek spyta, dlaczego nie zawiadomiliśmy natychmiast policji.

– To akurat jest proste: nie mieliśmy telefonów. Kierowca zabrał komórki ze sobą i zapewne je w niedzielę przywiezie. Wszystko zatem jest jasne: taką przyjęto formułę wyjazdu.

– Formuła jednak nie tłumaczy faktu, dlaczego nikt z nas nie poszedł wzdłuż drogi i nie zaczął szukać pomocy.

– Nie wiemy, gdzie dokładnie jesteśmy, dokąd iść ani gdzie są najbliższe domy. – Malicki wzruszył ramionami.

– No nie wiem... – głos Barbary zabrzmiał wyjątkowo sceptycznie. – Mnie to nie do końca przekonuje, choć na pewno na naszą korzyść działa to, że... – zawahała się i zamilkła.

– ...że umarł z przyczyn naturalnych? – dokończył zdanie i uśmiechnął się do niej szeroko.

– Tak – potwierdziła ponuro.

– No cóż, wszystko jest kwestią oceny.

– Jak to? Przecież zrobią mu sekcję. – Zerknęła na niego niepewnie, jakby obawiała się, że umknął jej jakiś niuans.

– Jasne. Będą nas również maglować. Przesłuchają każdego, sprawdzą naszą przeszłość, relacje z Tuszą oraz ewentualne motywy. Może wówczas uznamy, że zwalenie winy na Piotra jest dla nas najbezpieczniejsze? A może będzie dokładnie odwrotnie? Może któreś zezna, że Piotrek usiłował go uratować, ale reszta go powstrzymała? Albo ktoś chlapanie, że Marcin wepchnął mu do gardła plasterki...?

– To nie ja go doprowadziłem do zadławienia! – obruszył się Urbański.

– Ty tak twierdzisz. Może Piotr ocenia to inaczej? Może widział, jak wariat na lekach antydepresyjnych, który notabene miał być po powrocie zwolniony, otworzył prezesowi usta, wepchnął mu w nie morderczy plaster bekonu i spowodował tym samym, że ofiara przestała oddychać? A następnie nie pozwolił mu na to, by szefa heroicznie ratował? Może zapamiętał również cios w splot słoneczny, który mu wymierzyłeś?

Oczy Urbańskiego otworzyły się szerzej, a jego pewność siebie zniknęła. Skrzywił się i pochylił gwałtownie, a sposób, w jaki się złapał za plecy, wskazał wyraźnie, że roztoczona przed nim wizja zadziałała mu na wyobraźnię i spowodowała nagłe ukąszenie bólu.

– W porządku. – Lena machnęła ręką, jakby chciała dać znać, żeby

przestał. – Wszyscy rozumiemy już, o co ci chodzi. Co teraz? Masz jakieś propozycje?

– Nie.

– Jak to: nie?! – parsknęła oburzona. – To po co o tym wszystkim nam mówisz?

Wzruszył ramionami i spojrzał na nią jak na małą dziewczynkę. Jej obecne oburzenie było śmieszne, podobnie jak przekonanie, że w tak krótkim czasie byłby w stanie cokolwiek wymyślić.

– Teraz mamy właściwy punkt startowy do dalszych rozważań. I tyle.

Letycka otworzyła usta, by dorzucić jakąś ciętą uwagę, ale Potocka powstrzymała ją gestem.

– Paweł ma rację. Musimy to trzeźwo ocenić. Tak jak osoby postronne.

Uklonił się przed nią z wdzięcznością, a ona odpowiedziała skinieniem i spojrzała znacząco na Lenę.

– To nie jest moment na popędliwość. Powinniśmy być rozważni. Znaleźliśmy się wszyscy w obliczu klasycznego dylematu więźnia. Jest nas siedmioro. Każdy może próbować obciążyć pozostałych i diabli wiedzą, co z tego na koniec wyniknie.

– Nie przesadzacie przypadkiem? – Malicki uniósł brwi i rozłożył szeroko dłonie. – Po co mielibyśmy siebie obciążać? Tusza się zadławił i umarł. Po co ktokolwiek miałby mówić coś więcej? W ogóle ta dyskusja jest chora. Człowiek, którego znamy, leży martwy przy stole. Nie dociera to do was? Nie obchodzi was, że nie żyje? To nie jest żadna intelektualna zagadka! Tusza umarł! Rozumiecie?! Umarł! Nie żyje! Nie ma go i już nigdy nie będzie... – głos Daniela się załamał, a jego ramiona zadrgały nerwowo. Przez chwilę próbował się uspokoić, ale bez skutku. Jakby wypowiedziane zdania dopiero teraz uświadomiły mu to, co się stało.

– Posłuchaj uważnie, kolego – podszedł do niego i złapał go za roztrzęsiony podbródek. – Doceniamy twoją wrażliwość i głębokie pokłady empatii, ale doświadczenie nas nauczyło, że nie możemy sobie zaufać. A ty akurat jesteś tutaj najslabszym ogniwiem. Masz tendencję do skarżenia na innych i to ze znacznie mniej ważnych pobudek niż ochrona swego tyłka przed pierdłem. Więc daruj sobie teraz te bzdety.

Malicki wytrzymał jego spojrzenie, lecz na twarz wypłynął mu krwisty, gwałtowny rumieniec.

– Sądzisz, że nie wiem, że kablowałeś Rafałowi na Lenę? – syknął cicho na ucho Danielowi. – Tusza nie był przesadnie dyskretny. – Puścił jego brodę i odwrócił się w stronę reszty. – Czy ktoś jeszcze chciałby w tej chwili zapłakać? Albo urządzić zbiorowe czuwanie?

Żadne się nie odezwało, więc wrócił na swoje miejsce w okręgu i wzrokiem oddał głos Poli.

– Nie wiem, co robić – wybąkała niepewnie i zerknęła na pozostałych.

– Ja wiem. – Tomaszewska podniosła dłoń jak prymuska. – Na początek musimy go przenieść.

Spojrzał na nią z nieskrywanym zdziwieniem.

– Nie będziemy się tutaj naradzać. Musimy usiąść i spokojnie pogadać. I wreszcie coś zjeść – zaordynowała głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Paweł i Piotr, wy go wyniesiecie na zewnątrz. Ja mu przeszukam kieszenie. Gdzieś musi mieć klucz do lodówki.

– Mówisz serio?

– Jak najbardziej. Nie ma powodu, byśmy dalej niczego nie jedli. Wy – pokazała palcem na resztę – idziecie się ubrać i za moment spotykamy się w kuchni.

Uśmiechnął się pod nosem, widząc, jak szczeka Leny powoli osuwa się na dół. Przez moment sądził nawet, że Letycka z czymś znowu wypali, ale ona skupiła się, zmarszczyła czoło i ostatecznie skinęła głową, po czym bez słowa ruszyła do środka. Dwa kroki za nią poszli Pola, Marcin i Daniel. Zerknął na Piotra, zauważył jego lekkie skinienie i przepuściwszy go przodem, wszedł w głąb mrocznego przedsionka. Tomaszewska zamykała ich pochód.

Lena

Za dużo. Tych emocji było dzisiaj za dużo. To, co stało się z Tuszą, a czego wciąż jeszcze nie potrafiła nazwać po imieniu. To, że pozwolili mu umrzeć, i okrucieństwo, z jakim to wspólnie zrobili. Ten straszny moment, kiedy zwałił się na posadzkę, i jeszcze bardziej makabryczny, gdy Leszczyński z Pawłem próbowali go dźwignąć. Wykrzywione twarze, co do których nie była pewna, czy odbijają w sobie przerażenie, czy raczej bezwzględność. Propozycja Baški, by nie czekając nawet, aż zwłoki dobrze ostygną, zjedli wspólnie śniadanie, i boleśnie pragmatyczna przemowa Pawła przed domem. Wymiotujący do zlewozmywaka Piotrek i jej łzy, co do których nie potrafiła obecnie odgadnąć, czy leją się z powodu Rafała, Leszczyńskiego, czy może wyłącznie swojego. Oszołomienie w oczach Daniela, Urbański leżący na łóżku oraz Pola, która ją gładziła po włosach. Świadomość, że ciało Tuszy spoczywa gdzieś w pobliżu na ziemi, porzucone przez nich jak bezwartościowy strzęp mięsa. Perspektywa mrocznego momentu, kiedy wrócą ponownie do domów. Chwili, na którą do tej pory czekała, a która teraz niosła z sobą konieczność wyjaśnienia światu tego, co tutaj się działo. A potem? Potem niesienie w sobie tego wspomnienia. Przez lata. Może nawet do końca życia? Wyrzuty sumienia i nocne koszmary. Niedające się zatrzeć poczucie winy i świadomość własnego bestialstwa. Kłująca w oczy prawda, że nie tylko nie różnili się w niczym od Tuszy, ale wręcz wzniesli się na niedostępne dla niego wyżyny okrucieństwa.

Jak będzie mogła z tym żyć? Jak spojrzy w oczy dzieciom? Co powie, gdy spotka się z Leonem? Jak zapewni matkę, że jest wartą jej uczuć córeczką? Czy w ogóle będzie w stanie tam wrócić? Pójść do pracy, uśmiechać się do sąsiadów? Czy kiedykolwiek odważy się wejść do biurowca i usiąść przy biurku opłaconym przez Tuszę? Spojrzeć w twarz jego żonie? Jak zdoła pójść za trumną w kondukcje? Co powie, kiedy ktoś ją o niego zapyta? Jak ubierze w słowa to wszystko? Czym wytłumaczy?

– Jak my teraz będziemy z tym żyli? – wyszeptała cicho do siebie.

– Nie wiem – głos Poli zadudnił jak w studni.

Uniosła głowę i spod spuchniętych powiek zerknęła na twarz koleżanki. Potocka nie płakała. Jej twarz była zaszępią i ponura. Pozbawiona życia, koloru i ciepła.

– Nie mam pojęcia – powtórzyła Pola chrapliwie. – Nie chcę nawet tego rozważać.

Potocka spuściła wzrok i wolną dłonią pogłaskała leżącego na podłodze Piotra po nieogolonym szorstkim policzku.

– Co mu się stało?

Obejrzała się za siebie i dostrzegła stojącą w drzwiach do kuchni Barbarę. Pola powtórzyła jej ruch, zerknęła przelotnie przez ramię i bez słowa wróciła do poprzedniej pozycji.

– Głód, adrenalina, wysiłek...

Tomaszewska odsunęła się od framugi, weszła do środka i przekroczywszy nogi Piotra, położyła mięso na blacie.

– Myślcie sobie, że jestem bezlitosna i pozbawiona jakichkolwiek humanitarnych uczuć... – Barbara zawiesiła głos w ewidentnej nadziei, że zaprzeczą – ale jeśli zaraz czegoś nie zjemy, to zaczniemy padać jak muchy.

Nie odezwała się do niej. Pola również milczała. Tylko Leszczyński poruszył się niespokojnie, jęknął cicho i otworzywszy oczy, spojrzał nieprzytomnie przed siebie.

– Leż jeszcze. – Baśka spojrzała na niego z góry. – Jeśli chcesz, to podamy ci wodę.

Mruknął coś niewyraźnie, więc wyjęła z szafki szklanekę, napełniła wodą z kranu i bez słowa podała ją Poli.

– Lena, musisz mi pomóc. Nie mamy wiele czasu. Nie możemy czekać, aż ten kawał się w całości upiecze. Pokroimy go na maluteńkie kawałki i spróbujemy je podsmażyć.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się Tomaszewskiej z niedowierzaniem. Jak ona była w stanie to zrobić? Jak w obecnej sytuacji potrafiła myśleć o głodzie?

– No, rusz się! – Barbara zniecierpliwiła się jej apatią i podnosząc głos, zaczęła przywoływać ją ręką. – Nie poprawi mu się, jeśli nie zje! Rozumiesz?

Skinęła głową i niezbornie podniosła się z kolan.

– Skoro rozumiesz, to bierz deskę i szatkuj! Twoje łzy nie pomogą nikomu. Co najwyżej tobie. Więc przestań się mazgać i pomóż.

W głosie Basi wyczuła irytację i pretensję, że pozwoliła sobie na chwilę słabości. Tak jakby okoliczności nie uzasadniały tego, że płakała. A może fakt, że okazywała wrażliwość, stawiał w złym świetle Barbarę? Tak, może to o to chodziło. O kontrast, który między nimi powstawał. O przepaść, która dzieliła obecnie Tomaszewską od siedzącej niczym pieta Potockiej. I od niej samej – ulegającej rozrzewnieniu nad sobą. Pola i ona były teraz niczym oplakujące śmierć syna kobiety. Pogrzebowe płaczki, stroskane matki, święte madonny bez skazy. Tomaszewska wyłamywała się ze schematu. Była jak skupiona na codzienności Marta z przypowieści o dwóch siostrach. Mniej boska i paradoksalnie również mniej ludzka.

Przyjęła z jej dłoni nóż do filetowania i sięgnęła do szuflady po deskę. Pretensje Barbary były uzasadnione. Nie powinni nikogo stawiać poza nawiasem tylko dlatego, że reagował inaczej niż reszta.

– Myślisz, że możemy to wykorzystać?

Baśka pochyliła się lekko w jej stronę i pokazała pokrywającą patelnię warstwę tłuszczu, który pozostał po podsmażonym przez Rafała bekonie. W jej głosie i geście widać było wahanie. Jakby obawiała się, że inni mogą źle ocenić ten pomysł i że fakt wykorzystania pozostałości po ostatnim śniadaniu Tuszy czynił z niej jeszcze bardziej zwyrodniałą osobę.

– Oczywiście. – Skinęła głową i uśmiechnęła się do niej krzepiąco. – Nikt nie będzie wybrzydzał. Nie stać nas na grymasy.

Tomaszewska odetchnęła, postawiła naczynie na palniku i przyłączyła się do krojenia. Przez dłuższą chwilę pracowały zgodnie połączone wspólnym zajęciem oraz wykryształizowaną misją nakarmienia wszystkich obecnych. Ich skupienie przerwał dopiero ruch na podłodze i cichy, zachrypnięty głos Piotra:

– Już mi lepiej, ale ciągle czuję się słabo.

Odwróciła się w jego stronę, przyjrzała, jak wstawał niezgrabnie z podłogi i korzystając z pomocy Potockiej, zaczął się powoli prostować.

– Musisz coś zjeść – wyjaśniła. – Basia ma rację. To wszystko z nadmiaru adrenaliny i głodu. Wykończymy się, jeśli dalej nie będziemy nic jedli.

Leszczyński zerknął na nią z namysłem, po czym skinął pokornie głową, a obserwująca jego reakcję Tomaszewska odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Poczekaście na nas przy stole – odezwała się w końcu Barbara, wrzucając pierwszą porcję mięsa na skwierczący na patelni tłuszcz. – Zaraz do was przyjdziemy. Pola, czy możesz zaprosić resztę?

Potocka mruknęła i wyprowadziła Leszczyńskiego pod ramię.

– Wiem, co na mój temat sądzicie, ale to nieprawda. Nie chodzi tylko o to, że sama jestem głodna, choć jestem. Po prostu...

Objęła Baśkę ramieniem i przyciągnęła na moment do siebie.

– Wiem. Nie musisz się wcale tłumaczyć. Troszczysz się o nas.

Tomaszewska odsunęła się i zaczęła grzebać w podsmażającym się mięsie.

– Zawsze, kiedy jestem zdenerwowana, sprzątam, gotuję lub piorę. Nie potrafię nad tym zapanować. To jakaś bezwarunkowa reakcja. Natychmiast muszę coś zrobić.

– Typowo kobiece. – Uśmiechnęła się do niej łagodnie. – Dawniej też tak miałam. Teraz wchodzę do wanny, a potem kładę się w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę. Od kiedy Leon się wyprowadził, nie muszę już przed nikim udawać. Mobilizować się do niczego. Mogę po prostu leżeć, lizać rany i płakać.

Barbara zastygła na chwilę, po czym odwróciła się delikatnie w jej stronę.

– Nie wiedziałam... – szepnęła. – Nie wiedziałam, że już nie mieszkasz z Leonem. Bardzo mi przykro.

Wzruszyła ramionami w pozornym bagatelizowaniu rozpadu swojego małżeństwa. Skąd niby Basia miałaby o tym wiedzieć? Przecież nie rozmawiały na niezwiązane z biznesem tematy. Nie zwierzały się sobie z sekretów. Spotykały się

w pracy, omawiały tylko to, co było w danej chwili konieczne, a potem rozbiegały się w przeciwnych kierunkach.

– Mieszkam teraz sama – mruknęła. – Dzieci wyprowadziły się z domu, a Leon... Cóż, Leon uznał, że ma dość bycia z babą-maszyną.

Baśka zachłysnęła się oburzeniem i zerknęła na nią spod oka.

– Palant! Jak mógł coś takiego powiedzieć?

– Uznał, że zatraciłam kobiecą wrażliwość. – Wzruszyła ramionami ponownie. – Że z delikatnej pianistki, w której się kiedyś zakochał, zmieniłam się w dyrektora. Sama rozumiesz, że trudno mi to było negocjować...

– Idiota! Nie wiem, jak możesz go bronić!

– Nie bronię go. Po prostu podaję ci fakty. – Wykrzywiła się gorzko i wyjąwszy Baśkę z dłoni drewnianą szpatułkę, zamieszała zawartość patelni. – Ta praca na pewno mnie bardzo zmieniła, to nie podlega dyskusji. A Leon miał pełne prawo, by nie akceptować następującej we mnie przemiany. Rozjechaliśmy się, ot i tyle.

– Jak możesz o tym mówić w ten sposób? – Baśka pokręciła głową. – To wcale nie jest w porządku. Robiłaś to wszystko dla niego. Dla niego i dzieci. By zapewnić im byt oraz przyszłość...

Uśmiechnęła się i nie przestając mieszać, pomyślała, że były podobne. Mogły się różnić wyglądem, temperamentem czy reakcją na sytuacje stresowe, ale co do pryncypiów były zgodne niemal jak siostry. Tak, robiła to wszystko dla dzieci i męża. Dokładnie tak jak Barbara. Obie tkwiły w korporacyjnym kieracie nie z powodu pozbawionych limitu ambicji. Nie dla stanowisk, wizytówek i kasy. Dla synów, córek i mężów. Dlatego że pragnęły oferować im więcej i więcej.

– Czasem myślę, że Michał wolałby, abym spędzała z nim więcej czasu w dzieciństwie, zamiast zarabiać na jego lekcje tenisa. – Przez głos Basi przebiegała wątpliwość. – Ale wiesz... Nie potrafiłam się nigdy powstrzymać. Wydawało mi się, że jeśli nie osiągnę sukcesu, jeśli zostanę jedną z matek domowych, to gdy dorosnie, nie będzie mnie szanował. Że gdy będzie musiał powiedzieć w szkole, że mama jest, przykładowo, kierowniczką referatu w urzędzie, to będzie się wstydził rodziny. Poza tym zawsze sądziłam, że jeśli nie będę intensywnie pracować, to stracę jakąś szansę dla siebie. Tłumaczyłam sobie, że dziecku zdążę to jeszcze zrekompensować, a okazja awansu może się nie powtórzyć. Że jeśli nie sięgnę po nią teraz, to kiedy?

– Tak, wiem. I jeszcze ten rodzaj myślenia, do którego nie lubię się przyznawać, ale który też niewątpliwie był bodźcem: co sobie inni pomyślą? To okropne, wiem, ale ja w ten sposób rozumowałam. Że dla ludzi przestanę się liczyć, jeśli nie będę zajmować odpowiednio eksponowanego stanowiska. Że przestaną mieć dla mnie czas, bo niczego nie będę mogła dać w zamian. Żadnego społecznego prestiżu, żadnej, iluzorycznej nawet szansy na to, że im kiedyś

pomogę. Bałam się alienacji. Zawodowej i towarzyskiej. Poczucia przegranej i samotności...

– Paradoks.

– Tak, paradoks. Robiłam wszystko, by się przed tym uchronić. A teraz co? Jestem samotna. Wracam do domu, kładę się do łóżka i naciągam kołdrę na głowę. Nie mam przy sobie nikogo. Nie mam nawet chęci, by spotykać się z tą rzeszą znajomych. Bo w gruncie rzeczy wiem, że jestem dla nich warta tylko tyle, ile akurat mogę załatwić...

– Wiesz, czego boję się najbardziej? – Basia przejęła drewnianą łyżkę i zaczęła przekładać usmażoną szynkę na talerz. – Nie tego, że nas oskarżą. Nie, że pójdziemy do pierdła, jak kolokwialnie ujął to Paweł. Nawet nie wyrzutów sumienia...

– Nie? Zatem czego? – Zerknęła na nią z uwagą.

– Boję się tego, że dalej będzie tak samo.

– To znaczy?

– Nie wiem jak ty – Basia nachyliła jej się do ucha – ale ja oskarżałam o wszystko Rafała. Obarczałam go winą za swoje zmęczenie, wypalenie i stresy. Za to, kim jestem. A raczej za to, kim w tej pracy się stałam. A teraz? Jego już nie ma. Teoretycznie wszystko powinno się zmienić. Lecz czy to prawda? Może tylko przerzucałam własne błędy na niego? Może to nie on, ale ja byłam winna?

Skinęła głową. Może w pewnym sensie Tomaszewska miała rację, mówiąc, że Tusza stanowił zasłoną dymną ich wad i usprawiedliwiał ich najgorsze instynkty? Ale czy zawsze i na pewno tak było?

– Nie. – Potrząsnęła głową z namysłem. – To nie tak. Nie do końca. Być może jesteśmy winni, bo ulegaliśmy własnej próżności, ale Rafał nie był żadnym kozłem ofiarnym. Był zwykłym ściwierem. Tak, wiem, że nie powinnam mówić teraz o nim w ten sposób, ale taka niestety jest prawda. Nie był dobrym szefem ani tym bardziej dobrym człowiekiem. Wyżywał się na nas, dokuczał wszystkim, upokarzał nas, poniżał i dręczył. Stworzył nam środowisko pracy, w którym musieliśmy stać się bezwzględni, by przetrwać. Czy wiesz, że nie myślałam nigdy o tym, że popełnię błąd, nie zdołam się wyrobić w terminie albo że coś mi zwyczajnie nie wyjdzie? Nigdy! Cały mój stres brał się z lęku przed Tuszą. Przed tym, co powie, jak wyśmieję, że zwolni. Nawet nie. Raczej że nie zwolni, lecz miesiącami będzie mnie dręczył. Wychodząc do pracy, trzęsłam się ze strachu, że go rozdrażnię, sprowokuję lub nie dość zadowolę. Bardziej niż na wykonywaniu zadań skupiałam się na unikaniu jego huśtawki nastrojów i lawirowaniu w skomplikowanej sieci donosicieli. Ja, pięćdziesięcioletnia kobieta z dorobkiem, pozwalałam traktować się jak gówniarę. Ciągać za warkocze niczym zaszczuta drugoklasistka, którą koledzy wybrali sobie do zabaw. Więc nie, Basiu, nie zgadzam się z tobą. My się nie zmienimy, to prawda. Nadal będziemy

niewolnikami swojej ambicji oraz źle rozumianej troski o bliskich, ale nic już nie będzie takie samo. Z tego prostego powodu, że ten skurwiel zwyczajnie nie żyje.

Skończyła, dostrzegła, że Baśka patrzy na nią z uśmiechem, i zarumieniła się zawstydzona. Może nie powinna była tego mówić? Może jak zawsze wyszła za daleko przed szereg? Po co się tak uzewnętrzniała? Dlaczego nie potrafiła się powstrzymać od nazwania Tuszy skurwielem? Dlaczego znowu, po raz nie wiadomo który, uległa potrzebie, by wygłosić pełną zaangażowania przemowę? Czy ktoś ją o to prosił? Czy naprawdę nie potrafiła się zamknąć?

– Daj spokój! – Tomaszewska poklepała ją lekko po ręce. – Powiedziałaś na głos to, co wszyscy w głębi serca myślimy, tylko nigdy nie mieliśmy w sobie dość odwagi, by to w końcu z siebie wyrzucić. Ale wiesz co? Pierdolić tę całą poprawność! Tusza był, jak to mówisz, skurwielem. A ja jestem głodna i mam zamiar zjeść jego świnię. Nie zamierzam się dłużej tego wstydzić ani udawać, że ubolewam nad tym, co się stało. Szczerze mówiąc, jest we mnie głębokie przekonanie, że jego śmierć była prawdziwie karmiczna. Fiut zadławił się własną podłością.

Barbara wymaszerowała energicznie z kuchni, a ona odprowadziła ją wzrokiem. Potrzebowała jeszcze chwili dla siebie. Krótkiego momentu samotności, by zastanowić się nad tym wszystkim i zdiagnozować własne uczucia. Myślenie w kategoriach karmy miało w sobie pociągający urok. Sprawiało, że to, co spotkało Rafała, stawało się naturalnym skutkiem jego zachowań. Rodzajem boskiej interwencji wszechświata. Nie zbrodnią, lecz karą.

Gdy kilka minut później dotarła do jadalni, z satysfakcją stwierdziła, że przy pełnym talerzu dylematy jej kolegów zniknęły. Może słyszeli prowadzoną przez nie rozmowę, a może sami doszli do wniosku, że Tusza ściągnął to nieszczęście na siebie. A może też po prostu postawiony na stole półmisek zmienił im nagle optykę? Powód był teraz nieważny. Zjednoczeni z zadowoleniem przeżuwali obsuszone smażeniem kawałki. Spokojni i szczęśliwi, że w przeciwieństwie do Tuszy oni wciąż jeszcze żyją.

Daniel

Szynka była przesuszona i twarda, lecz jej smak nie miał sobie równych. Obudzone ślinianki pracowały na najwyższych obrotach, szczęki zaciskały się łapczywie, a wyposzczony żołądek domagał się jak najszybszego przełknięcia. Powstrzymał się od tego i dokładnie pogryzł pierwszy kawałek, tłumacząc sobie, że tak będzie zdrowiej, rozsądniej, bezpieczniej. Po obejrzeniu z bliska dramatycznej agonii Tuszy zachłanna żarłoczność kojarzyła mu się wyłącznie z bezdechem i fioletowym odcieniem na twarzy. Znacznie bardziej przerażającym niż powolna śmierć z zagłodzenia. Rozejrzał się po pomieszczeniu i zauważył, że pozostali również przeżuwali w skupieniu. W powolnych ruchach ich ust był rodzaj namaszczenia i oględności, jakby wszyscy bali się tego samego. Lena, która właśnie usiadła do stołu, skubała kawałek mięsa przednimi zębami, odrywając od niego pojedyncze cienkie włókienka. Paweł położył kęs na języku i obracał go w ustach ostrożnie, a zuchwa Poli poruszała się niczym prasa i rozgniatała mięso między trzonowcami aż do momentu, gdy zmieniło się w papkę. Piotrek przełknął właśnie pierwszy kawałek i na jego twarzy pojawiła się ulga.

– Jezu, jak dobrze – szept Leszczyńskiego przerwał panującą w pokoju ciszę i sprawił, że wszyscy na niego spojrzeli. – Miałaś rację – zwrócił się do Barbary – byłem straszliwie głodny. Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo. – Zarumienił się ze wstydu, jakby w jego wyznaniu kryło się coś więcej niż proste stwierdzenie faktu, a Baśka machnęła ręką, bagatelizując to, co próbował jej obecnie powiedzieć. – Przepraszam... – rzucił w jej stronę i skruszony spuścił wzrok na swe ręce. – Zachowałem się jak idiota.

Tomaszewska ponownie skinęła dłonią i ignorując fakt, iż wszyscy przyglądają się pytająco ich dwojce, sięgnęła po drugi strzęp szynki. W jej zachowaniu wyczuwał pewną rezerwę. Przyjęła przeprosiny, ale ciągle jeszcze miała Piotrowi coś za złe.

– To co robimy? – Letycka poruszyła się na krześle i zapytała odrobinę zbyt głośno, jakby chciała rozproszyć wiszącą wciąż w powietrzu niezręczność. – Czy ktoś ma jakiś pomysł?

– Może jednak wezwiemy policję? – zaryzykował pytanie i niespokojnie zerknął na Pawła. – Przysięgam, że nie wystawię nikogo.

– Nie wracajmy już do tego pomysłu. – Doktorowicz spojrział na niego z namysłem. – Nawet jeśli teraz jesteśmy przekonani, że nikt pozostałych nie zdradzi, to w dłuższej perspektywie ta ocena może jeszcze się zmienić. I nie chodzi mi wyłącznie o ciebie. Każdy z nas może ulec podobnej pokusie. Nawet ja. Wystarczy, by na szali położono dobro mojej rodziny, a nie zawaham się nawet przez chwilę. Taka jest prawda.

Skinął głową ze zrozumieniem i przejechał wzrokiem po reszcie. Wszyscy zgadzali się z Pawłem.

– A zatem co? Co możemy zrobić, żeby uniknąć takiego ryzyka? – zastanowił się na głos i raz jeszcze wrócił spojrzeniem do Pawła. – Przecież w końcu i tak wyjdzie na jaw, że Tusza leży martwy w komórce. Zyskamy trzy dni, tylko tyle.

– Musimy pozbyć się ciała – odezwał się ponuro siedzący w kącie Urbański i wsunął w usta kolejny kawałek mięsa. – Jeśli zrobimy to razem, to każdy z nas będzie umoczony tak samo.

Zaśmiał się głośno i spojrzał na Marcina jak na szaleńca. Czy naprawdę sądził, że jeśli zakopią Rafała w ogródku, to rozwiąże to ich wszystkie problemy? Jeżeli tak, to chyba stracił rozum doszczętnie.

– Z czego się śmiejesz? – warknął na niego Urbański.

– Z tego pomysłu. Na razie wciąż mamy szansę, że policja zrobi mu sekcję i stwierdzi naturalną przyczynę zgonu. Jeśli go zakopimy, to jedynie potwierdzimy swą winę.

– Kto mówił o zakopywaniu? – Marcin był zirytowany. – Na pewno nie ja. A poza tym jak długo nie ma ciała, tak długo nie ma zabójstwa. Powiemy, że Tusza gdzieś zniknął. Wstaliśmy rano, jego nie było i uznaliśmy, że wrócił do domu. Że pewnie w nocy ktoś po niego przyjechał.

– Mówisz serio? – Przestał się uśmiechać i poszukał wzrokiem sojuszników przy stole. – Przecież uznają go za zaginionego. Będziemy ostatnimi osobami, które widziały go żywego, więc to nas złączą od razu maglować. I co powiemy? Że zniknął? Tak po prostu? I nikt z nas niczego nie widział? A potem co? Przez lata będziemy się trzymać tej wersji?

– Mniej więcej. Może nawet któreś z nas przypomni sobie, że widziało, jak wymykał się nocą? A inne, że słyszało warkot silnika? – Urbański wzruszył ramionami i znowu zaczął przeżuwać.

– Myślę, że Marcin ma rację.

Bezgranicznie zdumiony przeniósł wzrok na Potocką. Pola? Ona również myślała w ten sposób? Ona też nie dostrzegła idiotyzmu tego pomysłu i ryzyka, jakie za sobą pociągał?

– Wyjaśnij mi, proszę, jakie w tym widzisz korzyści. – Skrzywił się lekko w jej stronę.

– Co najmniej kilka – odparła spokojnie. – Po pierwsze, nie sądzę, by ktokolwiek zajadł go szukał. Z pewnością nie żona, nieprawdaż? – Zerknęła znacząco na Piotrkę. – Może Agata, ale i to nie jest pewne. W przeciwieństwie do tego, co na jej temat sądzicie, nie jest mu taka oddana. Po prostu sobie z nim radzi. Po drugie, Tusza zawsze miał bardzo dziwne pomysły. Zostawienie nas tutaj pasowałoby do reszty zagrywek. Po trzecie: brak ciała. Jeśli to dobrze zrobimy, to

nikt go nigdy nie znajdzie. I na koniec ryzyko: jeżeli rzeczywiście zrobimy to wspólnie, to szansa, że ktoś z nas się później wygada, będzie jednak znacząco niższa niż teraz. Przynajmniej ja to w ten sposób oceniam. Więc skoro pytasz, to zdecydowanie popieram Marcina.

Uniósł brwi w zaskoczeniu. Poparcia dla szaleńczego pomysłu Urbańskiego mógł się spodziewać ze strony Pawła lub Piotrka. Akceptacja ze strony Poli była niespodziewana. Podobnie jak to, że zarówno Lena, jak i Barbara wymieniły spojrzenia i pokiwały ostatecznie głowami.

– Jestem jedynym przeciwnikiem tego kuriozalnego konceptu? – spytał retorycznie, bo z min kolegów jasno wynikało, że pozostali są zgodni w ocenie.

– Jeśli chcesz, to możemy głosować – odezwała się Lena. – Ale myślę, że bardziej niż na demokracji zależy nam na zgodności. Więc ja osobiście wolałabym cię jakoś przekonać, niż zmuszać do czegoś, czemu jesteś przeciwny. Tylko wtedy będziemy mieć gwarancję, że w przyszłości nikt nie będzie się próbował wyłamać.

– Nikt, czyli ja? – Zaśmiał się sardonicznie pod nosem. – Czy ty, Lenka, zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Dyskutujemy tutaj nad sposobem pozbycia się ciała, a ty stosujesz jakieś przedziwne eufemizmy. Powiedz wprost: ciągle się boisz, że okażę się gnidą. Nazwij swój lęk po imieniu.

– W porządku, Danielu – w jej głosie wyczuł delikatne nuty ironii. – Skoro ci na tym zależy, to tak: obawiam się, że wbijesz mi nóż prosto w plecy. Wiele razy wystawiałeś mnie Tuszy i nie widzę powodu, dla którego obecnie miałabym uwierzyć ci wyłącznie na słowo. A skoro tak, to muszę doprowadzić do sytuacji, w której będziesz tak samo winny jak reszta i zwyczajnie nie będzie ci się opłacało podpierdolenie nas na policji. Czy teraz to brzmi dość przejrzyście?

– Czy ja was dobrze rozumiem? – Podniósł się zza stołu i zaczął się powoli przechadzać. – Gdyby nie ja, to nie byłoby żadnego ryzyka? Chodzi wyłącznie o mnie? Rozważacie pozbycie się ciała tylko dlatego, że macie mnie w swoim gronie? – Parsknął i pokręcił głową w niedowierzaniu. – Nieprawdopodobna historia! Stałem się wrogiem publicznym!

– Nie przesadzaj. – Leszczyński wzruszył ramionami. – Może Lena ma jakieś osobiste doświadczenia, które sprawiają, że nie ufa właśnie tobie. Ja, szczerze mówiąc, nie personalizuję w ten sposób swoich obaw. Dla mnie każdy z obecnych może...

– ...okazać się świnia? – przerwał mu w połowie zdania.

– Nie tak chciałem to ująć, ale owszem, można również w ten sposób.

– Rozumiem.

– Daniel, a czy ty ufasz wszystkim? – Pola spojrzała na niego badawczo. – Każdej z zebranych tu osób?

– Nie, nie ufam! Tyle że ciągle uważam, iż w ten sposób pogorszymy sytuację. Na razie nikt tu nie zrobił nic złego. Możemy o wszystkim powiedzieć.

No, okay, przemilczałbym niektóre szczegóły, ale to wszystko. Rafał się zadławił i tyle. Koniec tematu. Mogło nas przy tym nie być.

– I wierzysz w to, że wszyscy powiemy to samo? – Potocka uśmiechnęła się do niego cynicznie. – Serio?

Wrócił na swoje miejsce. Może miała rację. Może nie powinien naiwnie zakładać, że nikt nie spróbuje tego zwalić na niego? Przecież Lena jasno dała do zrozumienia, że wciąż ma do niego żal o to, że rozmawiał na jej temat z Rafałem. Dlaczego teraz nie miałyby się za to odegrać? A Paweł? On również uważał go za czołowego donosiciela w firmie i z łatwością przekonałby innych, że najbezpieczniejszym scenariuszem dla wszystkich będzie, jeśli to jego obciążą odpowiedzialnością za nieudzielenie Tuszy pomocy. Gdyby ich szóstka zawarła przymierze w tej sprawie, to jego słowo przeciwko ich zgodnym zeznaniom nie miałyby żadnego znaczenia. Mógłby mówić prawdę, relacjonować przebieg wydarzeń, ale i tak nikt by nie dał mu wiary.

– Dobrze. – Skinął głową i zerknął w kierunku Potockiej. – Zgadza się.

– Wystarczyło przez moment pomyśleć.

Znow zabrzmiało to dość sarkastycznie, lecz obecnie już mu to nie przeszkadzało. Miała rację, że wcześniej nie myślał. Może był zwyczajnie naiwny, a może to ona, z pozycji dyrektora personalnego, lepiej odczytywała sytuację? Może jako psycholog potrafiła sprawniej od niego diagnozować istniejące podziały, układy sił, animozje? Tak czy owak, wyświadczyła mu swym pytaniem przysługę.

– No dobrze. Zatem jak to zrobimy? Ktoś ma pomysł?

– Nie możemy go zwyczajnie zakopać – odezwał się Urbański ponuro i spojrzał na niego, jakby nawiązywał teraz do tego, co wcześniej powiedział. – Nie ma gdzie. Pola są orane, na podwórzu ziemia jest za bardzo ubita. Poza tym właściciele zorientowaliby się, że gdzieś wykopaliśmy dziurę.

– A może... – Lena zawahała się i spojrzała uważnie na Pawła. – Pamiętasz naszą rozmowę? W pierwszym dniu? Zanim...

– Świnie? – Doktorowicz skojarzył w sekundzie.

– Tak. Jak myślicie? – Letycka rozejrzała się po pozostałych. – Są już chyba dość głodne?

– Jezu! – Tomaszewska pobladła, a jej sięgająca właśnie po mięso ręka zawisała w powietrzu. – Nie mówicie chyba poważnie?

– Dlaczego nie? Przez trzy dni zżarłyby go pewnie w całości.

Twarz Baški zrobiła się niemal zielona.

– Nie! – zaoponował gwałtownie Leszczyński.

– Dlaczego nie? – powtórzyła pytanie Letycka. – Przecież na filmach pokazują...

– Na filmach pokazują również, że można nieboszczyka rozpuścić

w wannie – zachnął się Piotrek.

– A nie można?

– A uczyli cię w szkole chemii? Szybciej rozpuściłabyś wannę niż trupa. Zwłaszcza taką z tworzywa.

– A co złego jest w świniach?

– Chryste! Przestańcie! – Tomaszewska zerwała się z miejsca.

– To jest złego, że musielibyśmy go rozebrać i najlepiej jeszcze poćwiartować. – Leszczyński parsknął i spojrzał na Lenę z protekcyjną wyższością. – Zdjąć mu obrączkę i sygnet oraz wyrwać mu zęby, żeby ich potem nikt nie znalazł w odchodach. Jeśli jesteś na to gotowa, to proszę bardzo, *be my guest!*

– A w całości go nie zjedzą? – Lena nie dawała się łatwo pokonać. – Przecież mają zęby. Mogłyby go chyba rozszarpać?

– Dosyć! – Baśka trzasnęła pięścią w stół i zgromiła Letycką spojrzeniem. – Powiedziałam już, żebyś przestała! Nie zrobimy tego w ten sposób! Rozumiesz? Nie w ten sposób!

– Lena ma sporo racji – odezwał się cicho Marcin, a Paweł pokiwał głową. – To nie jest wcale zły pomysł.

– To jest bardzo zły pomysł! – Piotr popatrzył na niego ze złością.

– Z tymi zębami rzeczywiście może być ciężko, ale reszta wydaje się możliwa do przeprowadzenia. – Doktorowicz uniósł brwi. – Może powinniśmy to jednak rozważyć?

Obserwował ich dyskusję w milczeniu, zastanawiając się, czy pomysł z nakarmieniem świń rzeczywiście był taki zły, jak przed momentem wykrzyczał to Piotrek. Może nie należał do najprostszych, ale dawał szansę na sukces. Owszem, był makabryczny i osobiście podzielał w tym względzie niesmak Barbary, ale znalezienie lepszego wyjścia wydawało się niemożliwe. W jaki inny sposób mogli całkowicie pozbyć się Tuszy? Przepuścić go przez stojącą w stodole młocarnię? Poszukać w okolicy jakiegoś stawu rybnego? Zakopać w zagajniku przy drodze?

– Świnie odpadają. – Potocka potrząsnęła głową w namyśle. – Nawet nie dlatego, że musielibyśmy wyrwać mu zęby...

– Czy możecie już nie wizualizować mi tego?! – Ponownie wrzasnęła Baśka.

– Kiedy po nas przyjadą, tuczniaki muszą być głodne. – Pola zignorowała jej uwagę i dalej snuła swój wątek: – Jeśli ktoś je zaraz potem zabije, to powinny mieć puste jelita.

– Owszem, to rzeczywiście jest jakiś argument. – Doktorowicz przychylił się niechętnie do tezy.

– Może zdążą go strawić? – Lena rozejrzała się niepewnie po twarzach. – Zostało siedem świń. Tusza waży jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów. Jak długo wieprz może trawić dziesięć kilo mięsa? – zamilkła, dopiero teraz uświadamiając

sobie braki bronionej tak zaciekle koncepcji. – No dobra, może macie rację – dodała niechętnie i rozłożyła ręce bezradnie. – Ale skoro nie w ten sposób, to ja nie mam innego pomysłu.

– Dlaczego tak komplikujecie? – Piotr wzruszył ramionami i spojrzał na nich niczym na bandę wyrostków. – Są setki sposobów na skuteczne pozbycie się ciała, a wy wymyślacie scenariusze godne Thomasa Harrisa.

– Wymień choćby trzy, byśmy mieli coś do wyboru. – Uśmiechnął się drwiąco do Leszczyńskiego.

– Możemy go zakopać. Ważne, żeby bardzo głęboko. To się wydaje najprostsze.

Przewrócił oczami, by dać Piotrowi do zrozumienia, co sądzi na temat pomysłu. Przecież rozmawiali już o tym. Ustalili, że nie ma bezpiecznego miejsca, w którym mogliby wykopać wielki dół, nie zwracając przy tym niczyjej uwagi. Nie o tej porze roku, kiedy pola były już porośnięte.

– Niestety w pobliżu nie ma chyba cmentarza – ciągnął Leszczyński, ignorując jego grymasy. – Gdyby był, sprawa wyglądałaby w sumie dość prosto. Jakoś byśmy go tam dowlekli i wrzucili do istniejącego grobowca.

– Świetny plan, ale może trzymajmy się tego, co mamy. Doceniam twoją pomysłowość, lecz nie widzę tu nigdzie katakumb.

– Chcesz prostego, skutecznego sposobu? – Piotr podszedł do niego, nachylił się i wykrzywiając się złośliwie, zajął mu w oczy. – Szambo.

– Szambo?

– Tak, kurwa, szambo! Taki podziemny betonowy pojemnik przeznaczony zazwyczaj na ścieki. Ten sam, do którego wpadają gównienka!

– Wiem, co to jest szambo!

– Serio? A wiesz, jak wygląda jego zawartość? W gospodarstwach rolnych w szambie znajduje się wszystko: woda po sparzeniu zarżniętych wieprzy, resztki z uboju, odchody i chemikalia. Garbniki, które rolnicy wykorzystują do wyprawiania skór, saletra, nawozy, mydliny z prania oraz brudna woda z kąpiel. Wszystko! Żrące, cuchnące i ciepłe. Rozkład następuje błyskawicznie, a same gazy, które się tworzą, mogłyby zabić człowieka.

– Genialne! – Doktorowicz spojrzał w stronę Leszczyńskiego z szacunkiem. – Naprawdę, kurwa, genialne!

Piotr kiwnął głową w podziękowaniu za pochwałę, po czym spojrzał triumfalnie na innych.

– I co najważniejsze, nie musimy nic robić. Po prostu go wrzucimy do środka. Żadnego wysiłku, krwi, ćwiartowania. Minimalny kontakt z denatem.

– Brzmi dobrze. – Letycka uśmiechnęła się lekko. – Choć trochę żałuję, że jednak nie zjedzą go świnię. Wiem, wiem – machnęła ręką w stronę Barbary – ale sama musisz przyznać, że byłoby w tym coś perwersyjnie adekwatnego.

– Dla mnie szambo brzmi lepiej. – Baśka wykrzywiła się gorzko. – Doceniam metaforyczność twojego rozwiązania, ale symbolizm to za słaby argument.

– Kto jest za szambem? – przerwała dyskusję Pola. – Wszyscy? Świetnie. Zatem wiemy już, co zrobimy.

– Czy na pewno? – Urbański potarł czoło z namysłem. – Ktoś z was orientuje się, gdzie jest wąż? W takim miejscu mogą mieć nawet dwa szamba. Nie zdziwiłbym się również, gdyby mieli przydomową oczyszczalnię.

– Jeden wąż jest obok chlewu. – Tomaszewska podniosła rękę. – Tuż przy tej starej wannie, w której Rafał sparzał świniaka. Z wanny biegnie metalowa rura do studzienki. Sama widziałam...

– Zatem gdzieś musi być druga. Służąca do odpompowywania, a nie do wlewania odpadów. – Leszczyński spojrzał przelotnie na Baškę i skinął w jej stronę z uznaniem. – Zapewne gdzieś z frontu, gdzie szambiarka może łatwo podjechać.

– Sorry, może to głupie pytanie... – przerwał Leszczyńskiemu nieśmiało – ale czy nie powinniśmy skorzystać z tego wjazdu przy chlewie? Tak na wszelki wypadek... Jeśli zaczną wypompowywać zawartość, to...

– Słusznie – przytaknął skwapliwie Piotrek. – Bardzo słusznie, Danielu. Nie chcemy, żeby zapchał im rurę.

– Kurwa! – przeklął pod nosem Paweł.

– Co? – Wszyscy odwrócili się w jego stronę, a ich głosy zabrzmiały niemal równocześnie. – Coś nie tak?

– Po prostu, kurwa mać, w głowie mi się to nie może pomieścić!

Uśmiechnął się gorzko i skinął głową. Doktorowicz miał pełną rację. Kurwa mać było jedynym określeniem, jakie mogło oddać tę scenę. Fakt, że dwie godziny po uczestniczeniu w czyjejś agonii, dwie godziny po tym, jak patrzyli, jak znana im osoba umiera, siedzieli tutaj i konwersowali o szambie, wymykał się jakimkolwiek ocenom. Pozbywanie się trupa nagle stało się naturalnym obszarem ich zainteresowań, idealnie pasującym do późnego śniadania, a leżące w szopie ciało Tuszy przestało być zwłokami i niedostrzegalnie przekształciło się w odpad. Istotny tylko o tyle, o ile mógł zapchać rurę szambiarki. Kurwa mać! To wykraczało poza normalność! Ten pragmatyzm, ten spokój, ta zimna logika rozumowania – wszystko to było patologiczne. Czyniło z nich psychopatów.

Wciągnął głęboko powietrze i zauważył, że Paweł robi to samo.

– Kurwa mać? – spytał go z lekkim wzdrygnięciem.

– Kurwa niewiarygodna jebana mać! – odpowiedział Doktorowicz z nerwowym chichotem.

Lena parsknęła dzikim śmiechem, Pola uśmiechnęła się do nich półgębkiem, Leszczyński uniósł brwi, a Marcin zakreślił wielkie kółko na czole. Paweł już nie dusił w sobie rechotu. Śmiał się teraz histerycznie i uderzał się dłonią po udzie,

a jego śmiech wypełniał cały pokój, zagłuszał dochodzące z zewnątrz kwiczenie świń i odbijał się echem po domu. Zawtórował mu głośno, nie potrafiąc zapanować nad ogarniającą go nagle głupawką. Lena złożyła się wpół i przysłaniając dłonią usta, próbowała się uspokoić, lecz rozbawienie było zaraźliwe i nie dawało się łatwo pokonać. Po chwili wszyscy się śmiali. Dziko, szaleńczo, z pełną świadomością uczestnictwa w godnym pióra Mrożka kompletnym absurdzie.

Pola

Położyła się na łóżku i nasłuchiwała przez chwilę dochodzących z jadalni odgłosów. Ktoś szurał krzesłem, ktoś pokastywał, a pozostali cicho szeptali. Ich głosy składały się na delikatny, trudny do wychwycenia pogwar, który tonął w dochodzących zza uchylonego okna pokwikiwaniach świń. Obróciła się na bok i naciągnęła poduszkę na głowę. Bodźców było zbyt wiele, by mogła skoncentrować się choćby przez chwilę. A przecież powinna się skupić. Rozważyć to wszystko, zastanowić i spróbować dotrzeć do uczuć, które tłumiał nadmiar wydarzeń. Ale chociaż odłączyła się na chwilę od grupy, chociaż puchowa poduszka tłumiała większość odgłosów, jej głowa wydawała się pusta. Ciekawe. Czy ludzie, których okoliczności zmusiły do robienia okropieństw, zawsze się czuli tak samo? Czy wszyscy mieli w sobie tę pustkę?

Przypomniała sobie Meryl Streep wydającą córkę oprawcom. *Wybór Zofii*. Tak, to dokładnie to samo. Mniejsze zło? Brak skrupułów? Nieludzki dramat? Antygoną? Bestialstwo? Co czuła Zofia? Jak udało jej się z sobą wytrzymać? A może... Może ona również nie czuła niczego? Tylko próżnię. Zasypywaną codziennie pozbawionymi sensu gestami. Wypełnianą kolejnym wyjściem, spotkaniem, imprezą. Nowym mężczyzną, butelką wina lub zdobytą w komisie sukienką?

Nie nadawała się na matkę. Nigdy nie powinna mieć dzieci. Natura była mądra, kiedy pozbawiała ją tej możliwości. Zbyt wiele było Zofii na świecie. Zbyt wiele matek, którym wydawało się, że dziecko w końcu poruszy w nich struny czułości. Może jej potrzeba, może cała ta walka o macierzyństwo też była takim wołaniem o pomoc? Próbą pozyskania czegoś, co zbliżyłoby ją do pełnej emocji osoby?

Wzdrygnęła się i zerwała z posłania. Nie mogła o tym myśleć! Nie przyszła tu po to, by stwierdzić, że kolejne nieudane zabiegi *in vitro* były tylko dosadną wskazówką od losu!

Podeszła do okna i niewidzącym wzrokiem zaczęła się gapić na zewnątrz. Kompletne nic. Zero. Brak uczuć, rozterek i lęków. Tylko ona. Jej dobro, wygoda, spełnienie. Nic więcej. Nic ponad rozszałały nad miarę egotyzm.

– Ej, co się stało? – Urbański wyrósł nagle tuż obok i nachyliwszy się lekko, zajrzał jej prosto w oczy.

– Nic. Zupełnie nic – poruszyła delikatnie wargami.

– To czemu płaczesz? – Ramię Marcina oplotło ją w pasie.

– Ja? – wyszeptała zdziwiona. – Ja nie płacę.

Przyciągnął ją do siebie, zmusił do przytulenia i pogładził delikatnie po włosach.

– Nie płacz.

– Nie płaczę – powtórzyła ochryple i zapadła mu się głębiej w ramiona. – Ja nie potrafię płakać.

– Co ty bredzisz? Usiądź. – Posadził ją siłą na łóżku, przejechał dłonią po twarzy i podbiwszy palcem podbródek, zmusił, by spojrzała mu w oczy. – Wyglądasz jak moja pierwsza dziewczyna. Dziś rano po raz pierwszy to zauważyłem. Masz takie same jasne piegi jak ona... – zawahał się przez chwilę. – I takie same piersi. – Uśmiechnął się przepraszająco, kończąc myśl.

Potrząsnęła głową. O czym on mówił? Piegi? Piersi? Pierwsza dziewczyna?

– Nic nie czuję – wydusiła z siebie wyznanie. – Nic. Kompletnie. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Mam w sobie pustkę i jedyne, co przychodzi mi obecnie do głowy, to to, że nigdy nie powinnam mieć dzieci. Jestem psychopatką. Pozbawionym ludzkich uczuć potworem.

W jego oczach dostrzegła zdziwienie.

– Skoro nic nie czujesz, to jak wytłumaczyć, że płaczesz? – Przechylił lekko głowę i ponownie zerknął jej w oczy.

– Użalam się nad sobą. To wszystko. Zwyczajnie jest mi przykro, że nie potrafię już niczego odczuwać.

Zaśmiał się cicho i raz jeszcze objął ją ramieniem.

– To chwilowe. Nikt dziś nie jest sobą, ty również. Zachowujemy się tak, żeby przetrwać. Instynktownie odcinamy się od emocji i skupiamy na działaniu. Tylko to jeszcze trzyma nas w pionie.

– Skąd wiesz? Może wcale tak nie jest? Może właśnie w tej krytycznej, trudnej psychologicznie sytuacji przestaliśmy się w końcu maskować? Może zasłona opadła i każdy z nas pokazał swe prawdziwe, niepolukrowane oblicze? – wyrzuciła z siebie wszystkie dręczące ją wątpliwości. – Może do tej pory w codziennych sytuacjach nie mieliśmy okazji sprawdzić swoich granic? A teraz? Teraz wszystko jest wyraźne i proste. Przez lata uważałam się za wrażliwą osobę, ale było to wyłącznie złudzenie. Po prostu nie miałam okazji, żeby wcześniej dostrzec w sobie bestialstwo. Ja już nawet nie jestem maszyną. Jestem zła. Jestem... – Brakło jej słów, więc przerwała i przyglądając mu się intensywnie, próbowała odgadnąć, czy na pewno ją dobrze zrozumiał.

– Sam fakt, że masz te wątpliwości, świadczy o tym, że nie jesteś potworem. Gdybyś rzeczywiście nim była, to żadna z tych myśli nigdy nie powstałaby w twoim umyśle.

– To dysonans poznawczy – przerwała mu niecierpliwie. – Moje wyobrażenia o sobie rozjechały się z tym, czego obecnie doświadczam. I trudno mi zaakceptować...

– Wiem, co to dysonans poznawczy. – Uśmiechnął się do niej łagodnie. – I uwierz, nie masz go teraz. Winisz się za śmierć Tuszy. Uważasz, że powinniśmy

byli mu pomóc. Czujesz się podle i starasz się sobie poradzić. A najlepszą metodą jest zwalenie całej winy na własną psychopatię, bo na nią nie miałabyś wpływu. Jeśli ci ulży, to mogę tej teorii przyklasnąć. Potwierdzić, że nikt z nas nie potrafi odczuwać emocji, a potem jeszcze pokazać ci masę korzyści płynących z takiej diagnozy. Tylko po co? Żebyś przez sekundę się lepiej poczuła? Bez sensu. Prawda jest taka, że zachowaliśmy się wszyscy potwornie. Mogliśmy uratować mu życie. Albo przynajmniej spróbować. Nie zrobiliśmy tego, bo nikt z nas go przesadnie nie lubił. Nie, nie tak. Bo nienawidziliśmy tego gnoja od serca. A teraz? Teraz musimy z tym żyć. Zaakceptować jakoś fakt, że jesteśmy mściwi, podli i mali. Może udałoby nam się mu pomóc, a może nie. Może i tak by się w końcu zadławił. Nie dowiemy się tego. Całe życie będziemy w sobie to dźwigać. Nie fakt, że umarł, ale to, że nie udzieliliśmy mu pomocy.

– Nienawidziłeś go?

– Sam już nie wiem. Może. Pewnie tak. Ale mogłem to inaczej rozwiązać. Mogłem pójść na terapię, zmienić pracę i w końcu o nim zapomnieć. Złe zrobiłem. Bardzo źle.

Skinęła głową. Urbański miał rację. Mieli cały wachlarz możliwości. Dlaczego tego nie dostrzegali? Dlaczego cały czas uważali, że znajdują się w sytuacji bez wyjścia? Wystarczyłoby odejść. Po prostu się odsunąć od Tuszy.

– Nienawidziłam go – przyznała. – Miałam mu za złe, że odarł mnie z dziecięcych ideałów, że zaprzepaścił moją niewinność i wypaczył sens mojej pracy. Uważałam, że to przez niego stałam się ubraną w sztywny garnitur zasad panią, która nie pomaga pracownikom, lecz tworzy durne prezentacje, przygotowuje wypowiedzenia i wyrzuca ludzi z roboty. Może w pewnym sensie tak było. Na początku... Ale przecież... to ja, ja, a nie Tusza, robiłam to wszystko. On mi tylko płacił. A ja wykonywałam bez szemrania polecenia. Byłam zadowolona, gdy mi udzielił prokury, i szczęśliwa, że traktował mnie jak istotne ogniwo. Podobało mi się to. Tak naprawdę to się sama skurwiłam. On mnie do niczego nie zmuszał. Stałam się zwykłą pizdą, bo podobały mi się moje pieczętki. Poczucie mocy sprawczej. Przynależność do elitarnego klubu ludzi zarządzających tą firmą.

Marcin pochylił głowę i uśmiechnął się smutno pod nosem.

– Każdy z nas robił to samo.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – I szczerze mówiąc, nie chcę się zasłaniać innymi.

– W porządku. Ale wiesz, że tak było. Ta ambicja, aby piąć się na szczyty, jest wpisana w specyfikę biznesu. Nie naszego, każdego. W każdej firmie jest dokładnie tak samo. Jeśli chcesz iść do góry, jeśli pragniesz osiągać sukces, to musisz się nakręcać w ten sposób. Kariera to władza, a władza to elitarność. Czujesz się ważniejszy i lepszy, bo masz tę symboliczną pieczętkę, siłę sprawczą,

która z niej płynie, oraz złotą kartę klubową. Zaspokajasz własną próżność, to prawda, ale również drzemiącą w każdym potrzebę istotności. Tłumaczysz sobie, że kompromisy się skończą, gdy w końcu posiadasz władzę i będziesz mógł samodzielnie decydować. Ale tak się nie dzieje, bo im wyżej jesteś, tym bardziej boisz się stracić swoją pozycję, wizerunek i kasę. Więc nie pozwalasz sobie na ludzkie odruchy, a jeśli już, to tylko wtedy, gdy nie mają praktycznego znaczenia i nie mogą ci w żaden sposób zagrozić. Nie chcesz spadać. Nie chcesz się pożegnać z tym wszystkim, co z trudem przez lata osiągnąłeś. Nie chcesz nawet ryzykować. Walczysz więc o przetrwanie na szczycie, wbijasz pazury i trzymasz się kurczowo stołka, bo jego utrata wydaje ci się nie do odrobienia.

– Może...

– Na pewno! Przemyślałem to kiedyś w szczegółach. Dlaczego tu jestem? Po co przyjechałem, skoro Rafał i tak dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie jest ze mnie zadowolony i zamierza wkrótce mnie zwolnić? Właśnie dlatego. Żeby nie spaść. W jakiejś chorej nadziei, że może coś się jeszcze odmieni. Że może on jednak zmieni zdanie. A nawet jeśli nie, to że zyskam dość czasu, żeby znaleźć nową pracę, zanim mi wręczysz wypowiedzenie. Nie zostałem w domu, nie złożyłem mu na biurku rezygnacji, nie uciekłem na zwolnienie lekarskie. Trwałem. Zacietrzewiony w swojej potrzebie utrzymywania się na fali, której nie potrafiła przerwać nawet diagnoza, że mam depresję lękową. Śmieszne, co?

– Raczej straszne.

– Może straszne, ale czy nie tego nas uczyli na kursach z zarządzania? Że mamy być twardzi, niezatapialni, dominujący, konkurencyjni, ambitni oraz głodni sukcesu? Czy nie przekonywali nas, że agresywność popłaca? Czy nie mówili, że musimy być asertywni? No to właśnie dzisiaj byliśmy. Asertywnie odmówiliśmy szefowi pomocy. Uznaliśmy, że tak będzie z korzyścią dla nas, i bez przesadnych skrupułów wykrzyczeliśmy swoje „nie”. Czy nie tego od nas chciał w gruncie rzeczy? Sama pomyśl. Czy cała stosowana przez niego ostatnio indoktrynacja nie miała prowokować właśnie takich zachowań? Dokładnie tak było. Chciał agresywnej watahy podwładnych zagryzającej wspólnego wroga i dzisiaj, po latach rozczarowań, w końcu spełniłmy jego marzenie. Stanęliśmy na wysokości zadania, sprostaliśmy oczekiwaniom, zamieniliśmy się w prawdziwe harpie biznesu. A że z tragicznym dla niego skutkiem? No cóż, takie życie. Za słabo wbił pazury w wierzchołek piramidy i na dodatek zapomniał, że powinien mieć sojuszników. Dał się zwieść iluzorycznej pewności, że nie utraci pozycji, bo jest przecież właścicielem tej firmy. Błąd.

– Przestań. Wszystko, co mówisz, brzmi jak jedno wielkie usprawiedliwienie. To, że od liderów biznesu oczekuje się asertywności, nie oznacza jeszcze, że mają zabijać.

– Zabiłaś kogoś? Bo ja nie. – Urbański wzruszył ramionami i popatrzył na

nią z politowaniem. – Jedyne, co zrobiłem, to powstrzymałem się od działania.

– Wychodzi na to samo.

– Jeśli mówimy o skutku, być może. Ale nie masz w tym względzie pewności. Może gdybym klepnął go mocniej, toby w końcu odkrztusił ten bekon. A może nie? Ja tego nie wiem.

– To jest straszne, co mówisz.

– To jest znacznie mniej straszne, niż postawiona przez ciebie diagnoza, że się nie nadajesz na matkę. Ja widzę rzeczywistość taką, jaka ona jest, a ty jej nadajesz dodatkowe znaczenia. Niepotrzebnie. Owszem, zrobiliśmy coś paskudnego, ale to nie ma związku z tym, czy kiedykolwiek będziesz mieć dzieci. Jeśli będziesz, a życzę ci tego, to dzisiejsze doświadczenie tylko ci może w tym pomóc.

– W jaki niby sposób?

– Bardzo prosty. Przekonując do tezy, że w sytuacjach krytycznych kierujesz się zdrowym egoistycznym instynktem. Że mając wybór pomiędzy dobrem osobistym a przetrwaniem osobnika, który temu dobru zagraża, podejmujesz trafną decyzję. Nawet jeśli to trudne i dramatyczne w skutkach, zawsze wybierasz siebie. Takie podejście jest zdrowe. Chciałbym, żeby moja matka tak miała. Żeby zawsze stawiała na siebie. Zyskałbym wtedy absolutną gwarancję, że zagryzie każdego, kto ośmieli się zagrozić jej dzieciom.

Pokręciła głową z niedowierzaniem i przez chwilę milczała, pozwalając, by jej umysł oswoił się z tą teorią. Może na poziomie biologicznym miał słuszość, a może tylko zgrabnie nagiął rzeczywistość, by uczynić ją łatwiejszą do zaakceptowania?

– Marnujesz się – spuentowała.

– Ja?

– Tak, ty. Bardzo się marnujesz w tej pracy. Zamiast siedzieć w laboratorium, powinieneś zostać wykładowcą, politykiem albo prezesem.

Urbański zachichotał.

– No co? Potrafisz doskonale przemawiać! – obruszyła się, widząc jego rozbawienie. – Nie każdy ma taki zmysł obserwacji, a jeszcze mniej osób potrafi ładnie ująć to w słowa.

– Śmieję się, bo powiedziałaś, że powinienem zostać prezesem. W obecnych okolicznościach brzmi to nieco dwuznacznie. – Zachichotał ponownie. – Może sobie tego wcześniej nie uświadamiałem, a tak naprawdę tylko o to chodziło?

– Chciałbyś.

– Pewnie, że chciałbym. Niestety, nie jestem aż taki przebiegły. Z ubolewaniem muszę to przyznać.

– Dziękuję, że do mnie zajrzałeś.

– Nie ma sprawy. – Urbański podniósł się z łóżka. – Mam nadzieję, że

czujesz się lepiej.

- Paradoksalnie tak. Choć szczerze mówiąc, zupełnie nie pojmuję dlaczego.
- Złóż to na karb moich oratorskich zdolności.
- Oczywiście.

Ruszyła za nim w kierunku wyjścia i zanim zdążył przekroczyć próg, złapała go jeszcze za ramię. Zatrzymał się i odwrócił z zainteresowaniem w jej stronę.

- Co sądzisz o pomysle z szambem? – szepnęła konspiracyjnie.
- W jakim sensie? Czy jest dobry? Myślę, że tak. Piotr ma rację, że w takich warunkach rozkład postępuje bardzo szybko. To nie tylko kwestia mikroorganizmów, ale również związków chemicznych i temperatury.
- Domyślam się, ale nie o to pytałam.
- A o co?

Zawahała się przez chwilę i dopiero gdy dostrzegła w jego twarzy pozbawione uśmiechu skupienie, odważyła się sformułować pytanie:

- Myślisz, że oni to rozważają na serio? Przepraszam, że pytam, może to głupie, bo przecież brałam udział w rozmowie, ale... nie jestem w stanie stwierdzić, czy to były tylko żarty, czy może... Wiesz, po tym jak Paweł zaczął się śmiać... Może to jakiś zbiorowy wic? Albo histeryczny sposób odreagowania? Nie mam pojęcia, co myśleć...

– Szczerze? – Nachylił się do jej ucha. – Cała rozmowa była tak absurdalna, że też nie potrafię ocenić.

Pociągnęła go silniej za rękaw i zmusiła, aby jeszcze na moment ukrył się za drzwiami sypialni.

- Ale to był przecież twój pomysł! – syknęła, kiedy zeszli z oczu siedzącym wciąż przy stole osobom. – To ty podsunąłeś to rozwiązanie!

– A ty mnie pierwsza poparłaś. – Poruszył znacząco brwiami. – To mnie nieco zaskoczyło. W sumie nawet chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Powiem ci pod warunkiem, że ty wyjaśnisz mi swoje motywacje – zgodziła się bez wahania.

– Asertywność i walka o władzę. Teraz, kiedy wszyscy już wiemy, na co nas stać – a jak sama widzisz, na wiele – zacznie się pozbawione skrupułów konkurowanie o stołek prezesa. To już nie jest tylko kwestia przetrwania, ale szansa, by po grzbietach innych wdrapać się jeszcze wyżej. Moje plecy mogłyby tego nie wytrzymać, więc uznałem...

- Rozumiem. – Skinęła głową, zgadzając się w duchu z jego tokiem myślenia.

Tak, rzeczywiście miał rację. Śmierć Tuszy otwierała całkiem nowe perspektywy. Szklany sufit w postaci prezesa, który równocześnie był właścicielem firmy, niespodziewanie zniknął. Żadne z nich nie brało wcześniej takiej możliwości pod uwagę. Ale teraz...? Teraz znajdowali się w całkiem innym miejscu i kwestią

czasu był moment, gdy zawodnicy staną w szranki o zwolniony fotel Rafała. A wtedy? Wtedy nieuchronnie poleje się krew. Każdy chwyt stanie się dozwolony, bo nikt nie zrezygnuje z niepowtarzalnej szansy na awans. Nikt poza nią, bo jako dyrektorka HR-u nie miała najmniejszych widoków na przejęcie schedy po Tuszy. A pozostali? Tak, niektórzy mogli liczyć na to, że przynajmniej w okresie przejściowym spadkobiercy powierzą im stery. Czarnym koniem wydawał się Paweł. Ostatecznie znajdował się najbliżej koryta. Lena również. Pracowała w firmie najdłużej, a dział handlowy był dla ich spółki kluczowy. No i Piotrek, który znał produkcję od podstaw. On również mógł mieć szansę na awans. Tym większą, że ostateczne słowo w tej sprawie będzie teraz miała Violetta.

– A co z tobą? – Marcin przerwał jej robiony na szybko przegląd sukcesorów. – Jakie ty miałaś powody?

– Wstyd się przyznać, lecz nie pomyślałam o walce o władzę, choć to przecież naturalne i to właśnie ja powinnam była rozważać sytuację w tych kategoriach... – Zarumieniła się z zakłopotania.

– Dlaczego ty?

– Pracuję w kadrach, pamiętasz? – Zaśmiała się z zażenowaniem. – To powinna była być pierwsza myśl w mojej głowie. Planowanie sukcesji i zastanawianie się, czy mamy w swoich zasobach odpowiednich kandydatów, czy raczej będziemy musieli ich szukać na zewnątrz. Dlatego mi wstyd, że nie pomyślałam o tym w ten sposób...

– Wygląda na to, że znów sama siebie rozczarowałaś. – Zachichotał w odpowiedzi. – Z którejkolwiek strony spojrzysz, za każdym razem wychodzi na to, że nie jesteś psychopatką. A zatem?

– Chciałam uniknąć jatki. Nie tej wynikającej z walki o władzę, tylko raczej z chęci przetrwania. Uważam, że jeśli nie zrobimy czegoś wspólnie, to bardzo szybko się ze sobą skłócimy. Zaczną się wzajemne oskarżenia i przrzucanie winy z jednej osoby na drugą. Wcześniej czy później to się wymknie spod kontroli. I nie, nie mówię wyłącznie o Danielu. A raczej wcale nie o nim. Pierwszą osobą, która rzuciłaby kamieniem, byłby Leszczyński, który wypracował sobie odpowiedni mandat moralny, by obciążać teraz wszystkich odpowiedzialnością za to, że nie pozwolili mu pomóc. A prawda jest taka, że gdyby rzeczywiście chciał uratować Tuszę, to nie udałoby ci się go powstrzymać. Nie zrozum mnie źle – zarumieniła się ponownie – nie dlatego, że nie jesteś dość silny, tylko...

– He, he, no jasne – wyskandował. – Nie jestem w dobrej formie, to oczywiste. Chyba masz rację. Nie pomyślałem o tej stronie medalu. Ale tak, zaczęłoby się polowanie na czarownice i wynik tej gry byłby bardzo, ale to bardzo niepewny. Zwłaszcza dla mnie.

– Obawiam się, że dla wszystkich. Raczej by nie było wygranych.

– Wracamy?

– Tak.

– I namawiamy ich na to szambo?

– Chyba nie mamy wyboru. Nie mam szans wspiąć się na tron po Rafale, lecz nie zamierzam skończyć w kiciu tylko dlatego, że wygłosiłam jakąś głupią przemowę na temat szkolenia z pierwszej pomocy.

– Słusznie.

Urbański pożegnał ją lekkim schyleniem głowy i nie czekając, aż ruszy za nim, wrócił do stołu i zgrabnie się włączył w rozmowę. Oczekała jeszcze chwilę, poszła w kierunku łazienki i poprawiwszy włosy przed lustrem, niespiesznym krokiem skierowała się do jadalni. Szynka zniknęła z półmiska i towarzystwo wydawało się teraz znacznie bardziej spokojne. Na twarzach nie dostrzegła już histerycznego rozbawienia, niepokoju czy szoku, lecz sytość i wyraźne skupienie. Spojrzała ponad stołem na Marcina i uniosła kącik ust w półuśmiechu. Odpowiedział grymasem, który potwierdzał postawioną kilka minut wcześniej tezę. Korporacyjna gra o tron właśnie się rozpoczynała.

Lena

Rozejrzała się po podwórzu i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, postawiła torbę na ławce, po czym usiadła obok i wyciągnęła nogi przed siebie. Przez moment w skupieniu przyglądała się stopom, próbując odgadnąć, dlaczego błyszcząca guma jej nowych kaloszy pokryta była teraz białym pudrowym nalotem. Przesunęła palcem po cholewce, lecz zabrudzenie było odporne. Cóż, trudno, spróbuje doczyścić to w domu. Jeśli w ogóle jeszcze będzie miała chęć na jakikolwiek kontakt z tym strojem. Gumowce były wygodne, to prawda, podobnie zresztą jak legginsy i rozciągnięte swetry po Maksie, ona tęskniła już jednak za śliskim jedwabiem sukienek. Za granatową kiecką z lejącej tkaniny i katującymi stopy szpilkami. Na szczęście już dziś będzie w domu. Poleży w wannie, zanurzy się w egipskiej bawełnie pościeli, otworzy butelkę wina, posłucha ulubionej muzyki. Zadzwoi do dzieci i upewni się, że u nich wszystko w porządku. I zje wreszcie coś normalnego. Jakieś owoce. Może sałatkę lub jogurt. Cokolwiek, co nie smakuje jak mięso.

Usłyszała szmery na progu chaty i pospiesznie zerwała się z miejsca. Na myśl, że będzie musiała z kimkolwiek rozmawiać, robiło jej się niedobrze. Od trzech dni ciągle wałkowali to samo: co powiedzieć, jak się zachować i jak po powrocie rozdzielić obowiązki prezesa. Za każdym razem myślą przewodnią prowadzonych w nieskończoność dyskusji było rozgrabienie schedy po Tuszy i nawet gdy uzgadniali oficjalną wersję wydarzeń, to każde z nich rozważało skrycie tylko to jedno. Tak jakby fakt, że Rafała między nimi nie było, nie niósł już z sobą żadnych dramatycznych skojarzeń, a jedynym dostrzegalnym efektem była otwierająca się droga na szczyty.

Skrzywiła się pod nosem z niesmakiem i ruszyła energicznie do chlewu. Z dwojga złego lepiej było słuchać pokwikiwań tuczników niż powtarzanych w kółko deklaracji kolegów, że wiedzą, co robić, i coraz mniej zawołanych zapewnień, iż żaden z nich nie zamierza być szefem tyranem. Ona również uległa na początku pokusie, przyznawała to obecnie ze wstydem. Zajęcie miejsca Rafała wydawało się adekwatnym ukoronowaniem jej kariery. Nadawała się do tego. Miała kompetencje, dryg, rozeznanie. Mogła pokierować tą firmą i niewątpliwie potrafiła to zrobić. Gdyby tylko otrzymała tę szansę, wprowadziłaby ich spółkę na nowe tory. Zarządzałyby uczciwie, dojrzałe i mądrze. Troszczyłyby się o ludzi, zapewniła należny im spokój. Widziała siebie w gabinecie prezesa i sądziła, że pozostali też ją tam dostrzegą. A jednak nie. Każde z nich myślało w ten sam sposób o sobie. Każde było przekonane, że jest idealnym następcą Rafała. Każde pragnęło insygniów władzy, poparcia reszty i namaszczenia na króla tuczników. Czy to dziwne? Nie. Rozumiała ich ambicje jak własne. Ostatecznie nie różnili się

niczym od siebie. Zawsze chcieli mieć więcej, a nadzieja, która urodziła się wraz ze śmiercią Rafała, dla każdego z nich była obecnie tożsama. Wcześniej, gdy życzyła mu śmierci, myślała tylko o tym, że jego zniknięcie pozwoliłoby jej odzyskać radość życia i spokój. Wyobrażała sobie siebie – zrelaksowaną, szczęśliwą, latającą po biurze na skrzydłach bez troski, uśmiechającą się do ludzi, realizującą bez przeszkód zadania. A teraz? Tusza umarł, lecz ten zgon nie przyniósł ze sobą spokoju. Przeciwnie, jego śmierć skomplikowała rzeczywistość narastającą w nich wszystkich żądzą władzy oraz idącą krok za nią potrzebą kaperowania sojuszników. Wyciskania głosów niczym w amerykańskim Kongresie. Najlepszy w tej rozgrywce paradoksalnie okazał się Paweł. Pozyskał już wsparcie Barbary, Poli oraz Marcina. Aktualnie przekonywał Daniela, mając go wizją podwyższonego dwukrotnie budżetu i obietnicą dozgonnego sojuszu. W stosunku do Piotra stosował całkiem inną strategię: regularnych napomnień o Violi. Leszczyński milczał, lecz ona wiedziała, że i tak ostatecznie go poprze. Nie z przekonania, ale ze zwykłej obawy.

Czy była rozczarowana, kiedy Paweł ją wyprzedził w wyścigu? Bez wątplenia. I – co równie oczywiste – nie mogła mu tego okazać. Musiała się uśmiechać z rezerwą, prezentować obojętność i spokój. Udawać, że nie dotykała jej jego wygrana, a w głębi duszy nadal mieć nadzieję, podsycaną wiarą w to, że nie do nich należy ostateczna decyzja. Że nawet jeśli teraz Doktorowicz uzurpuje sobie tę władzę, to gdy pył już nieco opadnie, spadkobiercy Tuszy przyjrzą się wszystkiemu krytycznie i podejmą pragmatyczną, opierającą się na kompetencjach kandydatów decyzję. Wybiorą ją, a nie Pawła.

Zatrzymała się i przetarła dłonią powieki. Oczy bolały ją od niewyspania i słońca. Teraz również od patrzenia na okaleczone ciała tuczników. Tak jak przepowiadał to Tusza, żaden z nich nie miał ogona. Ich wielkie niegdyś uszy nie opadały już na oczy, lecz krwawiły w strzępach, poszarpane brutalnie przez towarzyszy niedoli. Najsłabszy osobnik miał mocno pogryzione pośladki i, zaszczuty przez stado, chronił się w narożniku, odwracając się zadem ku prętom. Poczula dla niego współczucie. Biedak. Pokąsany przez swoich, wybrany na atakowaną zbiorowo ofiarę, bardziej niż świnię przypominał jej obecnie człowieka. Podeszła bliżej i przyjrzała mu się z uwagą. W jego oczach był popłoch, ale również coś na kształt rezygnacji. Tak jakby uświadomił już sobie, że w starciu z nacierającą na niego gromadą miał zerową szansę przetrwania.

Wzrok jej się zmącił, więc odwróciła się szybko plecami. Rozczulenie, empatia, wrażliwość, wyniesione na nieznaną jej do tej pory poziom, sprawiające, że funkcjonowała teraz niczym człowiek z zaatakowanymi przez wirus nerwami. Kolejny rykoszet po śmierci Rafała. Niespodziewany, niechciany, złowrogi. Pozbawiający ją determinacji i siły, sprawiający, że wołała oddać pole, niż stanąć ponownie do walki. A miało być przecież tak pięknie. Miała być spokojna,

zrelaksowana, radosna. Nic z tego. Potworna agonia Tuszy stała się obciążeniem, którego nie potrafiła podźwignąć. Zapadła się w nią niczym kamień, który teraz ciągnął ją na dno.

Potrząsnęła głową, próbując odgonić osaczające ją rozczerzenie. Musiała wziąć się w garść. Śmierć Tuszy nie przyniosła ukojenia, lecz otworzyła dodatkowe mroczne rewiry. Jego zadławienie stanowiło przestrożę: w każdej chwili ona również mogła zejść z tego świata, zwinąć się w ułamku sekundy...

Jak to w ogóle możliwe, że w zderzeniu z tą śmiercią nikt nie myślał o nieuchronności, fatum, absolutie czy Bogu? Czy nie taki powinien być kierunek ich wewnętrznych rozważań? Czy nie powinni odczuwać lęku o siebie, zmieszanego z nieprawdopodobną wdzięcznością za życie? A jednak nie. Nie dostrzegali tego. Ona również. Aż do tej chwili. Musiała się zmierzyć ze spojrzeniem zapędzonej w kozi róg świni, by zrozumieć, jak wielkie miała szczęście, że żyła.

Nigdy nie zazdrościła Tuszy jego stołka, bogactwa czy władzy. Miał wszystko. Każdą z rzeczy, o której człowiek może zamarzyć. Był zdrowy, zamożny pozbawiony trosk o codzienność. Miał piękny dom, młodą żonę i szerokie grono znajomych. Nigdy jednak nie wierzyła, by rzeczywiście czuł się szczęśliwy. Bo mimo całego osiągniętego sukcesu gdzieś w głębi Rafał był mroczny. Niepogodzony z sobą, pełen kompleksów, niepewny. Ukrywający szarpiące nim lęki za kolejnymi symbolami statusu. Umarł, nie zaznawszy spokoju. Niezrealizowany jako człowiek, rozedrgany aż do chwili agonii, zapętlony w swym wadliwym sposobie myślenia. Nie chciałaby umrzeć w ten sposób – z przekonaniem, że nie osiągnęła spełnienia. Gdyby to ją miał udusić plasterek bekonu, wołałaby myśleć, że przeżyła dane jej lata szczęśliwie. Czy tak było? Być może. Tylko: być może. Miała dzieci, najcudowniejsze, jakie mogłaby sobie wymarzyć. Dawno temu miała również Leona. Wielką miłość i równie potężną namiętność. Pełne magii noce, pierwsze randki, białą suknię z welonem i poczucie, że świat będzie zawsze im sprzyjał. Rodzinne święta i wiosenne śniadania w ogrodzie. Zbyt rzadkie wspólne wakacje, które teraz – z perspektywy czasu – wydawały się nieskażoną twardym słowem sielanką. Ale tak przecież nie było. Wiedziała o tym, lecz czas zatarł w jej pamięci wszelkie niepotrzebne utarczki. Wszystko, co złe, rozplynęło się w niebyt, wyparte przez powracający pod powieki obraz krztuszącego się Tuszy.

Paweł miał rację: będzie znakomitym następcą Rafała. Nie ma zamiaru z nim konkurować ani sabotować jego wysiłków. Zamiast tego skoncentruje się na czymś innym. Spędzi więcej czasu z dziećmi, zacznie chodzić do teatru, na spacer, do kawiarni, kina i parku. Pojedzie na safari, do Wietnamu, Nepalu, Australii. Spróbuje się pogodzić z Leonem. Zacznie na nowo. Dzień po dniu będzie się skupiała wyłącznie na jednym: aby kiedyś, gdy tchawicę zapcha jej plasterk

bekonu, nie żałować w życiu niczego.

Otarła oczy i niespiesznie ruszyła z powrotem. Było jej źzej. Jakby uronione przypadkowo łzy pozbawiły ją niesionego przez ostatnie godziny ciężaru, a śmierć Rafała nabrała wreszcie właściwego wymiaru. Zyskała sens, popychając ją we właściwym kierunku.

Uśmiechnęła się do siebie, rozejrzała dookoła i zauważywszy opadające z jabłoni obłoki płatków, zamiast do domu skierowała się w stronę sadu. Wdychając ciężkie od wilgoci poranne powietrze przesycone zapachami zielska i ziemi, myślała teraz wyłącznie o jednym: że żyje. Trwa, istnieje, doświadcza. Czuje dochodzące do komórek ciepło słońca, podmuch wiatru oraz parność bijącą od trawy. Zdjęła sweter i z zadowoleniem opadła na nieskoszone kępy murawy, pozwalając, by różowe płatki kwiatów opadały jej z drzew na ramiona. Zamknęła oczy, pograżyła się w letargu i trwała tak aż do momentu, gdy dotarł do niej przeciągły, głośny krzyk Basi:

– Lena! Lena!

Uniosła powiekę i z niechęcią zerknęła ku chacie. Tomaszewska stała na progu i rozglądała się po podwórzu. Podniosła się na łokciu, odczekała na moment, aż tamta zerknie w kierunku sadu, po czym pomachała jej ręką.

– Tutaj jestem!

Baśka ruszyła w jej stronę nerwowym truchtem, którego widok zniweczył cały osiągnięty do tej pory błogostan.

– Spakowałaś się? – Tomaszewska przysłoniła sobą przenikające przez gałęzie promienie słoneczne i nachyliła się nad jej twarzą.

– Tak – mruknęła w odpowiedzi. – Moja torba już stoi na ławce.

– Jak myślisz, o której po nas przyjadą? – W głosie Barbary pobrzmiwało wyraźne napięcie. – Tak strasznie się denerwuję!

– Nie wiem. Pewnie niedługo.

– I co wtedy będzie? Co będzie, jeśli nas o niego pytają?

– Nic nie będzie. Powiemy to, co uzgodniliśmy, i nareszcie wrócimy do domów. Powinnaś się cieszyć, że wracasz.

– Za bardzo się denerwuję! – Baśka szczerknęła zza zaciśniętych w napięciu szczęk i opadła tuż obok na trawę. – Nie mogę się uspokoić!

– Musisz. Jeśli będziesz się tak zachowywać, to zaczną coś podejrzewać.

– Nie potrafię kłamać!

Zaśmiała się głośno i po raz pierwszy od przybycia Barbary spojrzała jej w oczy życzliwie.

– Potrafisz. I to po mistrzowsku. Jak każde z nas. – Skinęła głową uspokajająco, ciągle jeszcze uśmiechając się do niej szeroko. – Poza tym zawsze możesz milczeć. Niech Paweł to za nas załatwi. Ty tylko potakuj.

– Chryste! To mnie wykończy! Nie masz może czegoś na uspokojenie?

– Tabletek? Nie, nie mam. Spytaj Marcina, może jemu coś jeszcze zostało.

– Już pytałam. Nie ma.

– A Daniel?

– Co: Daniel?

– Jego również pytałaś? Myślę, że może coś mieć, bo zawsze był bardzo nerwowy. W najgorszym razie poproś Piotrka o papierosa. Jeśli nigdy nie paliłaś, to nikotyna może cię mile oszołomić. Prawie jak jeden głębszy.

Basia spojrzała na nią ze zdumieniem i rozchyliła usta, by coś powiedzieć, lecz ostatecznie zmieniła zdanie. Przez dłuższą chwilę trwała w całkowitym bezruchu, aż w końcu zaczęła się podnosić na nogi.

– Zazdroszczę ci – szepnęła na odchodnym. – Jesteś jedyną osobą, po której nie widać, że się denerwuje.

– Bo się nie denerwuję.

– Tym bardziej ci zatem zazdroszczę. – W oczach Baśki pojawił się podziw. – Nawet Paweł zrobił się niespokojny.

– Pewnie dlatego, że gra teraz o wysoką stawkę – mruknęła cicho pod nosem.

– Możliwe. Osobiście uważam, że nie do końca się do tego nadaje, ale nie chcę mu robić przykrości. Skoro mu to poprawia samopoczucie, to mogę mu okazywać poparcie. Co mi szkodzi?

– I ty twierdzisz, że nie potrafisz kłamać? – zaśmiała się cicho w odpowiedzi.

– Przecież to nie my będziemy decydować, kto zostanie kolejnym prezesem. – Basia wzruszyła ramionami. – To nie są demokratyczne wybory.

– Słusznie.

– Gdyby były, to głosowałabym na ciebie. – Tomaszewska uśmiechnęła się szerzej.

– Serio? – Spojrzała na nią z rezerwą, wyczuwając nadmierną przywilność.

– Jasne!

– To bardzo miło z twojej strony. – Przymknęła powieki, nie mogąc znieść dwulicowych uśmiechów Barbary. – Jestem głęboko wzruszona.

Tomaszewska wychwyciła najwidoczniej sarkazm w jej głosie, bo poruszyła się nerwowo i wydała z siebie niski chrapliwy okrzyk. Otworzyła oczy, by przyjrzeć się jej twarzy, i ze zdumieniem stwierdziła, że Baśka nie patrzy teraz na nią.

– Jada! Jada po nas!

Usiadła i zerknęła w stronę, którą wskazywała ręka Barbary. Rzeczywiście, na prowadzącej w stronę gospodarstwa szutrowej drodze pojawił się biały bus, który zbliżał się powoli w ich stronę.

– Zatem pora się zbierać.

Wstała z trawy, podniosła rzucony wcześniej sweter i nie oglądając się na koleżankę, ruszyła w stronę ławki przed domem, czując, że zaczyna jej się udzielać emanująca z Tomaszewskiej nerwowość. Jej dłonie były zimne, a pod pachami wyczuwała lodowatą przemoczoną tkaninę. Zerknęła na podkoszulek i upewniwszy się, że ma rację, naciągnęła na siebie pulower. Samochód był coraz bliżej i rozpoznawała już teraz siedzącego za kierownicą mężczyznę. Tego samego, który przywiózł ich tu przed tygodniem. Obok niego siedziała druga, wyglądająca z zaciekawieniem przez boczne okno osoba.

– Jasna cholera! – mruknęła do siebie i truchtem pobiegła do domu. – Agata! – powiedziała szeptem do stojących w progu chaty kolegów. – Agata z nim przyjechała!

Paweł pobladł, Pola zacisnęła usta w wąską linię, a Daniel rozejrzał się nerwowo dookoła, jakby rozważał wszystkie drogi ucieczki.

– Serio? – Leszczyński przepchnął się przez ich grupkę i wychylił się ostrożnie na zewnątrz. – O kurwa! Rzeczywiście!

– Co robimy?! – szepnęła do niego.

– To, co ustaliliśmy wcześniej.

Skinęła lekko głową i w momencie, gdy bus zaparkował, odwróciła się w stronę podwórka.

– Dzień dobry! Jak się macie? – Agata wyskoczyła ze środka i z uśmiechem przejechała wzrokiem po wszystkich. – Podobał się wyjazd? Odpoczęliście trochę?

Pokiwali niemo głowami i pozwolili jej się obejrzeć.

– Opaliliście się! – wykrzyknęła asystentka z emfazą i zaczęła się przepychać do środka. – Świetnie! Wiedziałam, że się wam tutaj spodoba! Prawdziwa sielanka, co? Typowa zabita dechami wieś! – Przeszła przez sieni, zajrzała do kuchni i ruszyła w kierunku sypialni. – Jesteście spakowani? Nikt niczego nie zostawił?

Z duszą na ramieniu przemieszczali się za nią, obserwując, jak otwiera szuflady w komodach, zagląda pod łóżka oraz sprawdza zawartość szaf i kredensu.

– Wygląda na to, że nic nie zostało. – Agata odwróciła się w końcu w ich stronę i uśmiechnęła się szeroko. – A zatem? Zrobię siku i zaraz ruszamy! Jeśli ktoś jeszcze chciałby skorzystać z toalety, to jest to ostatni dzwonek.

Asystentka Tuszy wparowała do łazienki, a oni spojrzeli po sobie niepewnie. Nikt się nie odezwał, lecz niewypowiedziane pytanie wisiało w powietrzu, domagając się odpowiedzi. Daniel potrząsnął lekko głową, rozłożył dłonie i skierował na innych spojrzenie. Leszczyński wzruszył ramionami, Pola podniosła wysoko brwi, a Paweł wykrzywił twarz w wyraźnym grymasie bezradności.

– Chcecie iść do łazienki? – spytała ich cicho i gdy zaprzeczyli, wygoniła wszystkich gestem na zewnątrz. – To się wynoście do busa!

Skinęli głowami i nie czekając na moment, aż Agata się znowu pojawi,

szybko ruszyli do wyjścia. Wskoczyli na zewnątrz, porywając w biegu ustawione w przedsiönku bagaże i nie oglądając się za siebie, zaczęli biec w stronę auta. Szła za nimi, obserwując ich chaotyczne ruchy i rzucane dookoła pełne popłochu spojrzenia. Wyglądali teraz jak dzieci, które rodzic przyłapał na psocie. Ich skupienie na dźwiganiu walizek było równie nienaturalne co przyjmowane na twarze grymasy pozornej niewinności. Dekonspirował ich każdy gest, każde wbite w ziemię spojrzenie, każde mimowolne napięcie mięśni.

– Dzień dobry! – zajrzała do busa i przywitała się grzecznie z kierowcą. – Pewnie chciałby pan chwilę odpocząć?

Mężczyzna spojrzał na nią przyjaźnie i uśmiechnął się słabo pod nosem.

– Pani Agata chce jak najszybciej wracać do domu. Nie pozwoliła mi nawet wysiąść.

– Proszę się nie przejmować Agatą. – Oddała mu uśmiech. – Po tylu godzinach jazdy należy się panu przerwa. Niech pan rozprostuje nogi, napije się czegoś i zje w spokoju drugie śniadanie. Nigdzie nam się nie spieszy.

Facet kiwnął głową z wdzięcznością i podniósł się powoli z fotela. Przepuściła go w drzwiach i kiedy odszedł na bezpieczną odległość, machnęła ręką na innych. Zebrali się wokół niej i w milczeniu czekali, co powie.

– Wsiadajcie do auta i przestańcie w końcu robić te miny! – syknęła cicho w stronę kolegów, po czym pokazała im ręką na drzwi samochodu. – No, już!

Zaczęli wchodzić do środka i usadawiać się gęsto w tylnych rzędach. Wspięła się po schodkach ostatnia, rozejrzała i miała zamiar znów im zwrócić uwagę, lecz jej wzrok zatrzymał się na leżącym pod fotelem czarnym worku na śmieci. Sięgnęła po niego, rozerwała folię i zajrzała do wnętrza, po czym wsunęła rękę i wymacując zawartość, zaczęła wyjmować kolejne przedmioty, pokazywać je reszcie i oddawać zgłaszającym się właścicielom. Twarze siedzących rozluźniły się nieco, a ich oddechy stały się spokojniejsze. Uruchamiali kolejno wyłączone przez tydzień telefony, wkładali w kieszenie odzyskane klucze do domów i, rozproszeni chóralnym dźwiękiem nadchodzących wiadomości tekstowych, sprawiali dokładnie takie wrażenie, jakie wcześniej próbowała uzyskać. Skinęła głową z zadowoleniem, usiadła w drugim rzędzie i rejestrując kątem oka zbliżającą się do auta Agatę, zaczęła robić to samo co reszta. Zanim jej iPhone zdążył się uruchomić, zreflektowała się jeszcze, zerknęła na zawiniętą w czarną folię komórkę Tuszy i zwinnym gestem wepchnęła ją ponownie pod fotel.

Asystentka zamachała energicznie w stronę kierowcy i zagoniła go do samochodu.

– Wszyscy są. Możemy jechać.

Mężczyzna skinął, zamknął drzwi i przekręciwszy kluczyk w stacyjce, niespieszenie ruszył do przodu. Agata naciągnęła na siebie pas, zapięła go starannie, po czym oparła się o szybę i zaczęła obserwować krajobraz.

Paweł

Zatrzymał samochód dwie przecznice od domu i wyłączył silnik. Od chwili, gdy wyruszyli ze wsi, minęły już cztery godziny, on jednak nadal nie potrafił odnaleźć sensu w przedziwnym zachowaniu Agaty. Niemożliwe, żeby nie zauważyła nieobecności Rafała, dlaczego zatem ostentacyjnie ją zignorowała i pozwoliła im wrócić do domów? Dlaczego nie zadała ani jednego naturalnego w tych okolicznościach pytania? Dlaczego nie dociekała, nie pytała, co przez ten tydzień robili, nie proponowała im przystanku na obiad? Z jakiego powodu w ogóle pojawiła się na wsi? Po co zmarnotrawiła osiem godzin na bezsensownej jeździe w dwie strony? I czy to możliwe, by to, co odkryła, potwierdzało jedynie jej tezę?

Poruszył się niespokojnie w fotelu i nie mając lepszego pomysłu, sięgnął po iPhone'a, żeby zadzwonić do Piotra. Może on miał już jakąś teorię? Może odgadł, o co w tym wszystkim chodziło?

– Cześć, Paweł! – głos Leszczyńskiego odezwał się w słuchawce zaraz po tym, jak nacisnął właściwą ikonę. – Coś się stało?

– A nie? – warknął nerwowo. – Ty niby wiesz, co mam sądzić o całej tej sprawie?

– Nie – głos Piotrka niósł z sobą pogłos, jakby rozmawiał z pustego holu. – Poczekaj, wchodzę do budynku. Zaraz wjadę do siebie na piętro. Wtedy porozmawiam swobodnie.

– Połączyć nas z resztą ekipy?

– Zrób to – zgodził się lakonicznie Leszczyński. W tle jego głosu usłyszał stłumiony dźwięk windy. – Poczekam spokojnie na linii.

Oddechnął głębiej i zaczął wybierać kolejne numery telefonów.

– Czy wszyscy są i mnie słyszą? Lena? Daniel? Basia? – wymieniał kolejno imiona, czekając, aż każda osoba potwierdzi swą obecność na linii. – Piotr? Dotarłeś już do mieszkania?

– Tak. Jestem z wami.

– Dobrze. Czy ktoś wie, o co może w tym chodzić? – przeszedł od razu do rzeczy. – Jakies pomysły?

W słuchawce trwała cisza przerywana jedynie czyimś pochrząkiwaniem.

– Może tam były kamery? – głos Basi wydał mu się nieco niepewny. – To jedyne, co mi przychodzi do głowy. Może nas nagrywali?

– Nie strasz! – sapnął Daniel nerwowo.

– Nie, to nie to – stwierdził kategorycznie Leszczyński. – Przyszło mi to wcześniej do głowy. Ale drugiego dnia sprawdziłem dom oraz szopy. Kamer nie było. Mogły być co najwyżej podsłuchy.

– Jesteś pewien? Mogli je gdzieś poukrywać – Tomaszewska obstawała przy

swoim.

– Jestem pewien. Sprawdziłem każdy fragment pokoju.

– Pokoju czy wszystkich pokoi?

– Pokoi. Sprawdziłem i nie znalazłem niczego. – Piotrek wydawał się zniecierpliwiony. – Oczywiście mogłem coś przeoczyć, ale wydaje się to mało prawdopodobne, bo przeszukałem wszystkie miejsca, w których postawienie kamery miałoby jakikolwiek sens.

– Zatem podsłuch?

– Tego nie możemy wykluczyć.

– Bzdura! – włączyła się do rozmowy Lena. – Przecież Rafał był z nami. Poza tym chyba nikt nie zakładał, że coś takiego może się w ogóle wydarzyć.

– Może chciał wiedzieć, o czym mówimy, kiedy go nie ma w pobliżu? – odezwała się cicho Pola.

– Może, ale ja w to nie wierzę. – Letycka była niezachwiana w swojej pewności. – Gdyby tak było, to Agata przyjechałaby na miejsce z policją.

– Niekoniecznie.

Zapadła cisza, a on przez moment usiłował odgadnąć, które z nich wymamrotało ostatnie słowo.

– Przepraszam, kto to powiedział? – zapytał w końcu, nie potrafiąc przypisać głosu do twarzy.

– To ja, Marcin. Niekoniecznie przyjechałaby na miejsce z policją. Może chce nas szantażować nagraniem?

– Chryste! Robi się coraz ciekawiej! – parsknął Daniel, po czym zaśmiał się nerwowo w słuchawkę. – Czy ktoś ma jakąś inną teorię? Najlepiej taką, która pozwoli mi zasnąć?

Znowu zapadła cisza.

– A może... – zaczęła z wahaniem Potocka – może Tusza zakładał, że wróci wcześniej? Może powiedział Agacie, że zobaczy, ile z nami wytrzyma? Może... Och, przepraszam, to głupie...

– Mogło tak być – zgodził się po chwili namysłu. – Może uznała, że odebrał go jego kierowca? To prawdopodobne. Bardziej niż teoria z szantażem.

– I co? Nie zadzwoniłby, żeby ją o tym powiadomić? A Agata nie spytałaby nas, czy rzeczywiście tak było?

– Może taki był plan od początku?

Odpowiedziały mu sceptyczne pomruki, po których znowu musiał zmierzyć się z ciszą.

– Kto z was wierzy w wersję z podsłuchem? – zapytał, mając w głębi duszy nadzieję, że wszyscy zgodnie zaprzeczą.

– To możliwe – odezwała się Lena.

– Ja też tak myślę – do Letyckiej przyłączyła się Baśka. – Choć osobiście nie

zakładam wersji z szantażem.

– Na złodzieju czapka gore – usłyszał głos Urbańskiego i jego delikatny chichot. – Wymyślamy dziwne scenariusze, bo mamy coś za uszami.

– Co masz na myśli?

– Musimy podejść do sprawy tak, jakby nic się nie stało. Wyobraźmy sobie scenariusz, który zamierzaliśmy wszystkim przedstawić. Wstajemy rano, Tuszy nie ma, więc dochodzimy wspólnie do logicznego wniosku, że nas zostawił i wrócił do domu. Proste? No właśnie. Potem przyjeżdża po nas Agata. Nie zadaje pytań, co jedynie potwierdza naszą teorię. Rafał wrócił i zapewne pojawił się w biurze. Ona nie pyta, bo wie, że tak było, my nie pytamy, bo zakładamy, że taki był rozwój wydarzeń. I nadal jest wszystko logiczne...

– Ale my wiemy, że on się nie pojawił w biurze!

– Zgoda – przytaknął ochoczo Urbański. – Ale na logikę rzecz biorąc, gdybyście się postawili na jej miejscu, to co by wam przyszło do głowy? No przecież nie to, że nie żyje. Skoro go nie ma, to musiał wrócić. Nie ma innej możliwości.

– Fakt.

– Więc może nie dorabiamy do tego ideologii, tylko przyjmijmy najbardziej racjonalny scenariusz?

– Sądzisz, że to jest sensowne?

– Tak podpowiada rachunek prawdopodobieństwa. Jaka jest szansa, że ktoś się zadławi bekonem? – mówił teraz ze swadą Marcin. – Żadna! Praktycznie żadna. A jaka jest szansa, że w ogóle ktoś umrze, a inni postanowią to ukryć? Też nieistotna statystycznie. Dlaczego zatem ktokolwiek miałby taki scenariusz rozważać? Zwłaszcza Agata. Umówmy się, ona może jest sprytna, ale chyba nie ma aż takiej fantazji. Nie sądzicie chyba, że przyjechała tam, wiedząc, że Tusza nie żyje, i nie odezwała się ani słowem? To jest niemożliwe. Po prostu.

– Myślę, że Marcin ma rację. – W westchnieniu Letyckiej zabrzmiała ulga. – Kombinujemy, bo wiemy, co się wydarzyło. Gdyby nie to, przyjęlibyśmy najprostszyszy scenariusz.

– Czyli co? Nie ma powodów do obaw?

– Chyba nie. Ktoś to widzi inaczej?

Nie usłyszał odpowiedzi, ale pomruki w słuchawce podpowiedziały mu, że są zgodni.

– No dobrze, to co? Rozłączamy się?

– Ej, poczekajcie! – zatrzymał ich Daniel. – Mam pytanie. Wcześniej zakładaliśmy, że ktoś nas o niego zapyta. Nie rozważaliśmy tego, co dalej. A zatem? Co dalej?

– Nie rozumiem pytania. To chyba oczywiste, że trzymamy się tego, co ustaliliśmy wcześniej...? – zawiesił głos w nadziei, że pozostali potwierdzą.

– A konkretnie? – nastawał Malicki. – Przychodzimy w poniedziałek do pracy, robimy swoje, nie pytamy nikogo, co z Tuszą?

– Przychodzimy do pracy, robimy swoje i czekamy na rozwój wydarzeń. Jeśli któreś z nas będzie mieć jakąś sprawę do niego, to powinno zapytać Agatę. Jeśli nie, to czekamy na spotkanie zarządu i okazujemy zdumienie, że Rafał na nie nie dotarł. Coś pomyliłem?

– Nie. To jedyna logiczna możliwość – odezwała się spokojnie Pola. – Zakładam, że Agata poinformuje nas jutro o jego nieobecności i odwoła posiedzenie zarządu. Wtedy ją spytam, czy Tusza jest chory, i poproszę, by dostarczył zwolnienie.

– Brzmi sensownie – zgodził się bez wahania z Potocką. – Zdecydowanie tak będzie najzgrabniej. W normalnych warunkach nie zabiegamy przecież o spotkania z nim. Raczej staramy się unikać kontaktów.

– Dokładnie.

– Mnie wykreślono z listy uczestników posiedzeń zarządu – przypomniał o sobie Marcin. – Czy zatem mam nie przychodzić? Przyznam, byłoby to dosyć wygodne, ale nie chcę być poza nawiasem...

– Zróbmy w ten sposób – głos Poli zabrzmiał teraz bardzo rzeczowo – w poniedziałek napiszę do Agaty maila z wnioskiem o wciągnięcie do agendy tematu audytu w twoim dziale, o którego zorganizowanie Rafał mnie prosił. Ponieważ kwestia dotyczy ciebie, to poproszę, by zaprosiła cię na spotkanie. Ja nie mam pełnej wiedzy na temat pracy twojego zespołu i potrzebuję twojej pomocy.

– Brzmi karkołomnie.

– Dlaczego?

– Tusza nie zgodziłby się na omawianie tego tematu w mojej obecności, więc dlaczego Agata miałaby mnie na to posiedzenie zaprosić?

– Musi to zrobić – w głosie Poli zabrzmiała nuta przekory.

– Musi?

– Tak, musi. Prosząc o twoje uczestnictwo w spotkaniu, oferuję Tuszy rzadką szansę obsobaczenia dwóch osób naraz. Mnie – za to, że ośmieliłam się ciebie zaprosić, ciebie – że odważyłeś się przybyć.

Potocka zachichotała, a Urbański jej zawtórował.

– Piękne!

– Dziękuję! – Pola zaśmiała się znowu.

– Wiecie co? – odezwała się Lena. – Kiedy was słucham, to myślę sobie, że po raz pierwszy w tej firmie mam poczucie jakiegokolwiek wspólnoty.

– Mam taką samą konkluzję – zgodził się z demonstracyjnym entuzjazmem Daniel. – Powinniśmy się zrzucić na prezent dla Agaty, by podziękować jej za organizację tego cudownego, przełomowego w skutkach wyjazdu!

Letycka parsknęła, a pozostali zaśmiali się głośno.

– Wystarczy – przerwał im nieuprzejmym mruknięciem. – Lepiej już skończmy wygłupy. Rozłączamy się?

– Tak. Do widzenia – zakończyła rozmowę Lena.

– Do poniedziałku.

– Pa!

– Do widzenia.

Gdy ostatni rozmówca zniknął z linii, odłożył komórkę na fotel, po czym sięgnął ręką w kierunku stacyjki. Zawahał się, zatrzymał dłoń na kluczyku, i znowu ją cofnął. Wszystko to brzmiało zbyt prosto. Statystycznie rzecz biorąc, Marcin powinien mieć rację. Rachunek prawdopodobieństwa był ich sojusznikiem w tej sprawie. Przekonywał, że nic się nie stało. Zarówno śmierć Tuszy, jak i zachowanie Agaty wyrzucał poza nawias jako zdarzenia zbyt karkołomne, aby mogły się okazać możliwe. Tak wyglądała teoria. W praktyce jednak nadal coś wisiało w powietrzu, a słodkawy smród trupa nie zaczynał się bynajmniej rozwiewać.

Piotr

Zgniółł czubkiem buta niedopałek, zerknął na ekran komórki i pospiesznie ruszył do środka, lawirując między powracającymi z lanczu pracownikami, garstką zmierzających do budynku klientów oraz kręcącym się przed drzwiami stadkiem kurierów. Dostrzegł plecy Pawła i zwolnił, mając nadzieję, że Doktorowicz go nie zobaczy i nie zachęci gestem do skorzystania z tej samej windy. Od powrotu unikał kontaktu z kimkolwiek, uznając, że każda rozmowa nieuchronnie musi się skończyć tak samo: histerycznymi szeptami i nieudolnymi próbami odnalezienia sensu w dziwnym zachowaniu Agaty.

Drzwi windy zasunęły się bezszelestnie, odetchnął więc z ulgą i zmieniawszy trajektorię marszu, skierował się ku klatce schodowej.

– Cześć! – głos zasapanej, wdrapującej się mozolnie pod górę Leny dotarł do niego z półpiętra. – Widzę, że też się ukrywasz.

Skinął jej głową bez słowa i obserwował przez moment, jak pokonywała schody, wykręcając nogi na zewnątrz w dramatycznych próbach pokonania oporu ołówkowej spódnicy.

– To nie dla mnie. – Zatrzymała się w końcu i odczekawszy, aż ją dogodni, zaczęła zdejmować czółenka. – Nie w tych szpileczkach i nie w tej cholernej sukience.

– Winda? – zasugerował, pokazując drzwi prowadzące na piętro.

Skinęła zrezygnowana i pokonawszy ostatnie trzy stopnie, zaczęła wkładać buty na nowo.

– Nie wiem, co mnie do tego popchnęło... – mruknęła ponuro pod nosem.

– Pewnie to samo co mnie. – Uśmiechnął się w odpowiedzi. – Jeśli jeszcze raz coś na ten temat usłyszę, to wyprowadzą mnie z firmy w kaftanie.

– Taaa... – jęknęła przeciągle i pozwalając, by przepuścił ją w drzwiach, skierowała się powoli do windy. – Idziesz na spotkanie?

– Jak wszyscy. Chciałem przyjść ostatni, żeby uniknąć sama wiesz czego...

– Taaa... – uśmiechnęła się blado, powtarzając poprzednie jęknięcie.

Przez moment stali zgodnie w milczeniu, wpatrując się tępo w wielkie połączenie oddzielającego ich od szybu inoksu, w końcu jednak winda otworzyła się z delikatnym szelestem, a Lena podskoczyła nerwowo na widok stojącej w jej wnętrzu Barbary.

– Chodźcie! Chodźcie! – konspiracyjny szept Tomaszewskiej dobiegł do nich ze środka, a jej gwałtowne gesty zaczęły ich ponaglać, by jak najszybciej weszli do wnętrza. – Dobrze, że tu was spotykam!

Wymienił bolesne spojrzenie z Leną i ociągając się, wkroczył do windy. Baśka odsunęła się nieco i powstrzymując oddech aż do momentu, kiedy drzwi się za nimi zamknęły, rozglądała się nerwowo dokoła. Jej wzrok zatrzymał się na

wiszącej w górnym narożniku kamerze, ciało przemieściło się nieznacznie ku ścianie, a dłoń schwyciła go silnie za rękaw i zmusiła, by przysunął się bliżej.

– Piotrek, pół kroku w lewo! – wyszeptała, niemal nie poruszając ustami.

Zasłonił ją przed okiem kamery i ze zdumieniem dostrzegł, że obniża się ku podłodze. Przykucnęła i na zgiętych nogach zaczęła ponownie poruszać w ich stronę ustami.

– Wiecie coś? – odczytał z ruchu warg Barbary i rozbawiony odpowiedział jej śmiechem.

– Co? – Lena wysłała mu groźne spojrzenie, przeniosła wzrok na koleżankę i na jej widok zakreśliła kółko na czole.

– Nie wiem. Cokolwiek... – Tomaszewska wyprostowała się z wyraźną niechęcią.

– Ja nic nie wiem. Nadrabiam zaległości z ostatniego tygodnia – głos Leny brzmiał teraz bardzo formalnie. – Chyba nic się ciekawego nie działo. Miałam już spotkanie ze swoimi ludźmi. Wszystko idzie normalnymi torami.

Przytaknął jej słowom i słysząc, że winda zwolniła, odwrócił się do Baški plecami.

– Pewnie zaraz się wszystkiego dowiemy – burknął przez ramię i wypadł na zewnątrz, nie przepuszczając kobiet przed sobą.

Tomaszewska zamilkła, więc gdy dotarł do pierwszego zakrętu, zerknął raz jeszcze przez ramię. Szła teraz uczepiona rękawa Letyckiej i rzucała Lenie pełne niepokoju spojrzenia, na które tamta odpowiadała coraz bardziej zniecierpliwionym grymasem. Uśmiechnął się do Leny z przekąsem, wskazał wzrokiem drzwi prowadzące na klatkę i z rozbawieniem dostrzegł, że na jej twarzy odbił się żal, że jednak nie pobiegli schodami.

– Dzień dobry. – Wszedł do sali pierwszy i uklonił się wszystkim zebrany.

– Dzień dobry – Lena powtórzyła jak echo, wyrwała łokieć Barbarze i z ulgą opadła na fotel.

– Dzień dobry – skinęła im głową Pola.

– Dzień dobry. – Doktorowicz uniósł się z miejsca i odsunął fotel dla Baški.

– Cześć! – Daniel przełamał oficjalną konwencję powitań i zerknął na tarczę zegarka. – Zaraz będziemy zaczynać.

Wzrok wszystkich skupił się na Malickim, ten jednak zignorował świdrujące go niespokojnie spojrzenia i sięgnął po stojącą na środku stołu butelkę z wodą.

– Agata za moment dołączy – wyjaśnił, bawiąc się plastikową nakrętką. – Idąc tutaj, spotkałem ją na korytarzu. Twierdziła, że spotkanie się dzisiaj odbędzie.

Oderwał wzrok od Daniela i rozejrzał się po pokoju. Tomaszewska sprawiała wrażenie jeszcze bardziej spłoszonej niż wcześniej, Lena marszczyła brwi, usta Poli przestały się na chwilę domykać, a na skroni Pawła pojawiła się kropla potu. Doktorowicz wytarł ją nerwowo rękawem i z trudem złapał powietrze.

– Strasznie tu duszno. Czy mógłbyś włączyć klimatyzację?

Podszedł do drzwi i posłusznie przesunął pokrętło.

– Gdzie jest Marcin? – zwrócił się w stronę Potockiej.

– Był, ale wyszedł. – Pola zaczęła się wiercić nerwowo. – Pewnie za chwilę wróci.

W sali nastąpiło milczenie. Wymieniali teraz nieme spojrzenia, badali wzrokiem twarze i bez słów usiłowali zadać pytanie. Nie, nikt nie wiedział, co się miało wydarzyć. Nikt nie znajdował najmniejszej nawet wskazówki. Wszyscy byli tak samo zdumieni.

Usiadł na swoim stałym miejscu przy oknie i patrzył na zewnątrz – dokładnie tak samo, jak robił to na wszystkich posiedzeniach zarządu – w desperackiej próbie ucieczki myślami poza klaustrofobiczną klatkę pokoju. Widok z okna nie należał do ładnych, bo za ogrodzeniem przynależącego do ich biurowca terenu ciągnęły się szeregi podobnych szarych budynków. Wypełnionych pracowitymi najemnikami mrowisk o oknach, których nie można było otworzyć, niemal identycznych brych wykładzinach i podwieszanych sufitach, z których sączyło się zimne światło jarzeniówek. Cały dystrykt pozbawiony był zabudowy innej niż czysto biurowa, a jedynym urozmaiceniem architektonicznym były mające odróżniać poszczególne budynki pylony z nazwami najemców oraz umieszczone na dachach tablice z logotypami. Zerknął na sąsiadującą z ich biurem siedzibę producenta proszków do prania i wzdrygnął się mimowolnie. Tamten biurowiec wydawał się jeszcze straszniejszy od tego. Siwy, przeorany równymi pasmami przeszkleń, ustrojony na froncie szeregiem zbyt jaskrawych jak na jego gust znaków towarowych, które kojarzyły się wyłącznie z najgorszego sortu reklamą. Przed budynkiem dreptała grupka nerwowych pracowników, których ręce wyraźnie się trzęsły, niwecząc swym dygotem większość prób zapalenia papierosa zapalką. Uśmiechnął się lekko pod nosem pocieszony myślą, że wszędzie było tak samo. Niezależnie od nazwy firmy, jej wielkości, struktury własnościowej czy wieszanych na sztandarach haseł. Bez względu na to, czy z maszyn produkcyjnych schodziły pakowane próżniowo kiełbasy, batony, napoje gazowane czy proszki. Zawsze i wszędzie tak samo. Nawet w miejscach, gdzie znaczenie miała siła ludzkiego umysłu, w firmach oferujących klientom usługi niematerialne, w kancelariach, spółkach doradczych i mediach. Zawsze i wszędzie tak samo. Szare fasady i równie poszarzałe twarze pracowników. Jaskrawe logotypy i równie rażące podziały na lepszych i gorszych. Zużyte wykładziny i zszargane nerwy. Wzniosłe hasła oraz drobne szykany. Kodeksy zachowań, inicjatywy odpowiedzialności społecznej, rozbudowane regulacje w zakresie *compliance*. Trzęsące się dłonie, nerwowe biegunki, leki antydepresyjne i rosnąca ponad miarę rotacja. Działy HR na wyłącznych usługach zarządów i prawnicy zawsze gotowi do sporu. Zamiatane pod dywan oskarżenia, niewypowiedziane na głos insynuacje,

szemrające po kuchniach plotki, procesy poszlakowe, domniemania, sugestie. Zmierzające nieodmiennie do tego, by poddany ich presji pracownik pracował coraz więcej i więcej. Nie lepiej, tylko bardziej oddanie. Niczym niewolnik objuczony wiszącą mu na szyi smyczą z identyfikatorem. Zawsze i wszędzie tak samo. Niezależnie od miejsca, branży, produktu. Nie było sensu się szarpać ani próbować coś zmieniać. Nie wolno było się łudzić, roić o lepszych miejscach pracy, sympatycznych kolegach, ludzkich szefach i przyjemności z chodzenia do pracy. To byłaby czysta utopia. Mrzonka, naiwność, kretynizm.

Parsknął pod nosem, wrócił wzrokiem do sali i dopiero teraz zauważył, że w czasie, kiedy bujał myślami, drzwi się niepostrzeżenie zamknęły. Wolne miejsce Urbańskiego było już zajęte, a na fotelu Tuszy sadowiła się Agata. Miała niespieszne ruchy, a sposób, w jaki mościła się na krześle, kojarzył mu się z planującą znieść jajo kokoszką. Poruszyła jeszcze dwukrotnie biodrami, znieruchomiła na chwilę, po czym otworzyła leżący przed nią terminarz i zaznaczyła dzień ułożoną w poprzek strony zakładką.

– No dobrze... – Uśmiechnęła się do nich. – Możemy już chyba zaczynać?

Przejechała spojrzeniem po obecnych i dostrzegł w jej wzroku pewien rodzaj przekornego rozbawienia i przebiegłości. Tak jakby doskonale знаła przebieg wydarzeń i mogła pozwolić sobie na to, aby patrzeć na nich z przewagą. Jakby trzymała ich teraz w szachu.

– Gdzie jest Rafał? – warknął nieuprzejmie, nie mogąc znieść przybieranych przez nią prześmiewczych min.

– Tak, słusznie. – Spojrzała na niego prowokująco – Gdzie jest Rafał? Może ty mi, Piotrze, to powiesz?

Jej uśmiech wydawał się uprzejmy, ale w oczach czaiła się groźba.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz?! – warknął ponownie, czując, że się robi czerwony.

– No niestety. – Wykrzywiła się ironicznie. – Mogę się jedynie domyślać. Liczyłam, że to wy mi powiecie.

Zaśmiała się głośno, a on poczuł, że ogarnia go wściekłość. Głupia krowa! Wiedziała o wszystkim i zamierzała się bawić ich kosztem!

– Agato – siedzący obok niego Paweł złapał go znacząco za rękę, po czym podniósł się z miejsca za stołem – to chyba jakiś niesmaczny żart z twojej strony? Dlaczego siedzisz na fotelu prezesa? Gdzie jest Rafał?

– Usiądź, proszę! – Zmierzyła Doktorowicza wzrokiem. – Usiądź! – powtórzyła z naciskiem.

– Agatko, nie mamy czasu na idiotyczne zabawy! – Letycka nachyliła się lekko nad stołem, a tembr jej głosu wyraźnie wskazywał, że była teraz równie zdenerwowana co reszta. – Każdy z nas jest zajęty, więc jeśli nie wiesz, gdzie jest prezes, to po prostu uczciwie powiedz. Załatwimy to, co mamy do załatwienia,

i szybciej wrócimy do pracy.

– Dziękuję, Leno. – Agata skłoniła się szyderczo w jej stronę. – Jak zawsze jesteś niebywale pomocna. Tak, oczywiście, załatwimy to, co mamy do załatwienia. To jest bardzo słuszna koncepcja...

– To ma być, kurwa, jakiś żart?! – Wcześniejszy spokój Pawła wyparował, a fakt, że Agata kazała mu usiąść, jeszcze wzmógł jego wściekłość. – Z całym szacunkiem, moja droga, ale kim ty jesteś, że pozwalasz sobie na takie zachowanie? Jeśli nie pamiętasz, to pozwól, że ci przypomnę, iż w tej sali siedzi cały zarząd tej spółki. Jedyłą niepasującą do grona osobą jesteś ty...

– Nie cały. Brakuje przecież prezesa – weszła mu w słowo i poruszyła brwiami znacząco.

Malicki parsknął, podniósł się i wsunąwszy do kieszeni komórkę, zaczął się przebijać do wyjścia.

– Przepraszam, Pola, przepuścisz mnie? Marcin? Dziękuję!

– A ty się dokąd wybierasz? – Asystentka Tuszy zmrużyła oczy i syknęła ostrzegawczo w stronę Daniela.

– Zakładam, że to jakiś żart sytuacyjny. Na pewno bardzo śmieszny, ale niestety muszę wracać do pracy – odpowiedział uprzejmie, po czym przesunął wzrokiem po reszcie. – Wyobraźcie sobie, że oddzwonił menedżer Anthony’ego Hopkinsa. Trudno w to uwierzyć, ale jednak. Więc jeśli nie mamy do omówienia żadnych poważnych tematów, to chętnie się zajmę czymś innym...

– Siadaj! – Agata ryknęła i zerwała się z miejsca.

– Nie tym tonem, to po pierwsze. – Malicki zerknął na nią kpiąco. – A po drugie: nie będziesz mi wydawać poleceń.

– Siadaj! – powtórzyła nieco mniej agresywnie.

Przyjrzał się Agacie i dostrzegł, że w konfrontacji z Danielem straciła odrobinę rezonu. W jej oczach nie było już triumfalnego poczucia wyższości, jedynie niepewność. Tak jakby próba zapanowania nad sytuacją wcale nie musiała się powieść. Jakby nagle straciła niezachwianą wiarę w to, że ma nad nimi przewagę. Zmiana, która w niej nastąpiła, wydała mu się interesująca. Na tyle, że zerknął na twarz Letyckiej i spróbował ściągnąć ją wzrokiem. Bez skutku. Lena gapiała się na Daniela i ewidentnie rozważała, jak powinna się obecnie zachować. Jej wzrok balansował przez sekundę pomiędzy Malickim a Agatą i ostatecznie zatrzymał się na tej ostatniej. Może zatem Pola? Przesunął nieznacznie głowę, wbił spojrzenie w Potocką i z ulgą dostrzegł, że natychmiast odpowiedziała mu tym samym. W kącikach jej oczu pojawiły się niemal niedostrzegalne kurze łapki, będące zapowiedzią uśmiechu, a prawy kącik ust uniósł się minimalnie. A zatem ona również zauważyła ewolucję postawy Agaty i podobnie jak on uznała, że asystentka nie wiedziała tak naprawdę niczego. Grała *va banque*, nic ponadto. Obstawiła jakiś scenariusz i usiłowała go potwierdzić.

Przesunął wzrok na Daniela i powoli podniósł się z miejsca, zauważając kątem oka, że Pola zrobiła to samo.

– Paweł, ty nie idziesz? – zasugerował Doktorowiczowi i zaczął go lekko popychać.

– Siadajcie! – Agata zaczęła wymachiwać rękami. – Spotkanie się odbędzie jak zawsze! O tym, gdzie jest Rafał, zaraz się zapewne dowiemy! – Jej głos zabrzmiał niemal przepraszająco. – Byłam pewna, że wiecie... – zawiesiła głos i rozejrzała się niespokojnie po sali. – Dziesięć minut. Bardzo was proszę!

– Gdzie jest Rafał, Agato? Domagamy się odpowiedzi! – Potocka zatrzymała się w pół kroku, ale nie wróciła na miejsce, za co pochwalił ją w duchu. Jeżeli była choć minimalna szansa, żeby wydobyć cokolwiek z Agaty, to teraz. – Jeśli jest chory, to powinnaś mi o tym powiedzieć. Chyba znasz procedury? Do kadr nie wpłynęło ani jego zwolnienie, ani żadna informacja, dlaczego nie ma go w pracy. Rozumiem, że jest prezesem, ale dotychczas dbał o to, by zgłaszać, że nie będzie go w biurze. A zatem?

– Nie wiem. – Asystentka się zarumieniła. – Zakładałam, że wiecie. Tak mi przynajmniej powiedziano...

– Kto ci coś takiego powiedział? – Pola przysunęła się bliżej. – Bo chyba nikt z tu obecnych? Więc nie wiem, skąd taka teoria...

– Teoria? – wysoki damski głos odezwał się z progu, a on poczuł, że traci grunt pod nogami, i bezwładnie opadł na krzesło.

Violetta uśmiechnęła się promiennie do wszystkich, przemaszerowała przez salę i zatrzymała się przy fotelu prezesa. Poklepała po ramieniu Agatę, jednoznacznie sygnalizując, aby ta ustąpiła jej miejsca, i spokojnie usiadła za stołem.

– Dziękuję, to wszystko – powiedziała półgłosem przez ramię, a ponieważ asystentka nadal stała, powtórzyła raz jeszcze dobitnie: – To wszystko, Agatko. Możesz iść.

Asystentka zakręciła się nerwowo w miejscu, porwała leżący na blacie terminarz i bez słowa uciekła z sali.

– Zatem raz jeszcze: dzień dobry. – Viola skłoniła się lekko, powiodła wzrokiem po twarzach i na ułamek sekundy zatrzymała na nim rozbawione spojrzenie. – Zakładam, że wszyscy państwo doskonale wiecie, kim jestem.

Skinęli niepewnie głowami, a ona znów uśmiechnęła się z typową dla pewnych siebie kobiet słodyczą.

– Świetnie! A zatem przejdźmy od razu do rzeczy. – Wzrok Violetty powędrował ku Poli, a jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Pani, jak zgaduję, pełni tu funkcję kadrowej?

Potocka skinęła, a jej twarz zrobiła się purpurowa pod wpływem usłyszanego właśnie określenia. Nikt, nawet Rafał, nie odważył się mówić o niej „kadrowa”.

– Tak, jestem dyrektorem HR-u – poprawiła Violę, z trudem formułując wyrazy.

– Oczywiście: dyrektorem HR-u. – Violetta skinęła głową posłusznie, lecz jej uśmiech stał się delikatnie prześmiewczy.

Przymknął oczy – nie był w stanie znieść widoku burgundowego rumieńca, który spływał z twarzy Poli na szyję, anektując powoli jej dekol. Ręce i rozchylone usta Potockiej drżały jak u małej dziewczynki, a wściekłość, którą jeszcze przed momentem miała na twarzy, pierzchła i ustąpiła miejsca speszeniu.

– Może nie dosłyszałam wszystkiego, lecz wydaje mi się, że gdy wchodziłam, przepytowała pani właśnie Agatę o przyczyny nieobecności Rafała? Formalne, jak zgaduję? Bo faktyczne wszystkim państwu są znane... – Przez głos Violi przebiegało się rozweselenie.

Nie musiał otwierać oczu, by wiedzieć, że wszyscy gapią się teraz na niego. Wyczuwał na sobie ciężar spojrzeń i nienawistne dyszenie oddechów. Wpatrywali się w niego przekonani, że opowiedział Violetcie o wszystkim, że zdradził każdy szczegół wyjazdu i wydał ich niczym Judasz. Przełknął z trudem ślinę i zmusił się, aby podnieść powieki, lecz zanim zdołał nawiązać kontakt wzrokowy z kimkolwiek, Violetta się znowu zaśmiała.

– Bardzo nieładnie, Piotrusiu! Obiecywałeś mi pełną dyskrecję! – Teatralnie pogroziła mu palcem, a on poczuł, że robi się jeszcze bardziej czerwony. – No cóż, sami państwo widzicie, że nie można już ufać nikomu.

– Nic nikomu... – wycharczał z trudem i urwał w połowie zdania, czując, że Doktorowicz łapie go pod stołem za rękę.

– Nic nikomu nie mówiłeś? – Violetta zakończyła usłużnie. – Im o mnie czy mnie o Rafale?

Dopiero gdy wypowiedziała pytanie, zdał sobie sprawę, że wpadł w zastawioną na siebie pułpkę. Cokolwiek powie, jakkolwiek dokończy teraz to zdanie, jest pogrzebany. W każdym scenariuszu przegrywa.

– Rafał nam o tym powiedział. – Doktorowicz przerwał milczenie i zacieśnił chwyt na jego nadgarstku. – Kilka tygodni temu ostrzegł nas przed Leszczyńskim, mówiąc, że wydyma nam żony.

Przymknął oczy i z trudem wypuścił wstrzymywane zbyt długo powietrze. Dłoń Pawła się rozluźniła. Zerknął na niego i uświadamiając sobie w pełni wagę tego, co Doktorowicz przed momentem powiedział, przytrzymał zsuwającą się rękę. Zacisnął palce na masywnym nadgarstku kolegi i odetchnąwszy ciężko, odważył się spojrzeć na resztę. Skoro Paweł mu wierzył, oni też mu musieli ufać! Nie zakładali chyba, że po tym, co razem przeżyli, wygadałby wszystko kobiecie? Zwłaszcza tej! Zwłaszcza żonie Rafała!

– To rzeczywiście do niego podobne – Violetta zareagowała z opóźnieniem na wyjaśnienia Pawła – lecz nie sądzę, aby rzeczywiście to zrobił.

– A jednak. – Doktorowicz nie dał się podejść i ostentacyjnie wzruszył ramionami. – Wszyscy tutaj obecni mogą to pani potwierdzić.

Viola zaśmiała się perliście. Wyglądała na autentycznie rozbawioną, a on nie potrafił odgadnąć, czy śmieszyła ją solidarność, jaką okazał mu Paweł, czy raczej wyobrażenie, jak Tusza ostrzega podwładnych przed łasym na żony jebaką.

– No dobrze. Skoro tak – Viola uspokoiła się w końcu i spojrzała na Pawła poważnie – to nie będę już dłużej naciskać. Ostatecznie, drodzy państwo, wyświadczyliście mi niebotyczną przysługę i niewdzięcznością byłoby wnikać w detale. Nie jestem przecież detektywem, lecz żoną. Dla mnie istotny jest fakt, że się stało. A z państwa postawy wnioskuję, że był to wysiłek zbiorowy. A zatem nie pozostaje mi nic innego, jak podziękować całej waszej grupie za pomoc.

Konsternacja przy stole osiągnęła najwyższe rejestry, a Violetta, ignorując ich rozbiegane spojrzenia, podniosła się z fotela i symbolicznie wzniosła rękę w toaście.

– Wiem, jak wiele Rafał oczekiwał od was i od tego wyjazdu. I tym bardziej doceniam, że to z wami w tej chwili rozmawiam – dodała po chwili, sondując ich miny wzrokiem. – Jestem pewna, że dla większości z was było to niezwykle mocne przeżycie. Ja na przykład nigdy nie zabiłabym świni. Jestem na to za słaba. Więc naprawdę mam dla was uznanie, że podjęliście się tego zadania.

Przerwała i przejechała wzrokiem po twarzach. W jej spojrzeniu nie dostrzegał już teraz rozbawienia ani nawet śladu szyderstwa. Była zadowolona i syta niczym przejezdzony drapieżnik. Wolny od pokusy, żeby pożreć kolejną ofiarę, a równocześnie niezachwianie pewny swej siły.

– Wracając do teorii. – Viola zerknęła znacząco na Polę i ponownie usiadła w fotelu. – Rafał wrócił z tego wyjazdu szczęśliwy. Był dumny z was oraz z tego, że udało mu się cofnąć do własnych korzeni. – Rozejrzała się z uwagą i upewniwszy się, że wszyscy zrozumieli jej intencję, skinęła głową. – Dopiero ten wyjazd uświadomił mu, jak bardzo tęsknił za prostym życiem oraz pracą fizyczną. Na tyle, że postanowił wyjechać do swojego rodzinnego gospodarstwa. Tego, w którym przed laty zaczynał. Niestety, nie wiem, kiedy planuje do nas wrócić, lecz zgaduję, że pewnie nieszybko...

Była znacznie lepsza, niż sądził. Mówiła to wszystko bez cienia wahania. W sposób tak autentyczny, że gdyby nie widział, jak spuszczała zwłoki Tuszy do szamba, to uwierzyłby w jej wersję wydarzeń.

Wtedy, w ten weekend, kiedy dostrzegł w niej zimne aktorstwo, uznał, że to zwykła strategia wobec mężczyzn. Przeraziła go wówczas swym wyrachowaniem i swobodą, z jaką kłamała, ale teraz dostrzegł w jej zachowaniu coś więcej. Bezduszna kalkulacja zataczała znacznie szersze kręgi, niż sądził. Rozciągała się nie tylko na mężczyzn, lecz na wszystkie spotykane przez nią osoby i, doprowadzona do mistrzostwa, czyniła z ludzi jej lalki.

– Jestem pewna, że mój mąż jest obecnie bardzo szczęśliwy i doczekał się w końcu tak upragnionego przez siebie spokoju. Gdziekolwiek się teraz znajduje, wierzę, że powrócił do źródeł. – Skinęła głową z udawaną pokorą, a on nie zdołał opanować wzdrygnięcia. – Nie zamierzam mu zakłócać spokoju i bardzo proszę, abyście i wy dali mu należne wytchnienie. – Umilkła na moment i rozejrzała się po sali, sondując ich twarze w oczekiwaniu, że któreś się w końcu odezwie. Nic nie mówili, więc skinęła z uznaniem i przyjęła ich milczenie za zgodę. – Podpiszę w jego imieniu wniosek urlopowy, więc nie musi się pani martwić, że wystąpią jakieś braki formalne – zwróciła się do Poli z uśmiechem. – Co do reszty spraw... No cóż... Sami państwo wiecie, że nie bardzo zajmuje mnie biznes. Jedyne, czego oczekuję, to wolność od trosk materialnych. Nie będę się wtrącać ani mówić wam, co macie robić. Nie będę się tu nawet pojawiać. I dopóki nie będę musiała, nie będę też szukała Rafała. Idiotyzmem byłoby przerywać mu urlop tylko po to, by zasilił mi konto... Zresztą... – przerwała na moment, pochyliła się nad kosztowną torebką Hermès'a i po chwili wydobyła z niej strzęp czarnej folii, z której odwinęła obite skórą węża Vertu Tuszy – ...nawet gdybym chciała, to nie mam możliwości kontaktu. Mąż porzucił nie tylko dotychczasowe życie, ale również swój smartfon. W dziwnym miejscu, swoją drogą, bo Agata znalazła go pod fotelem w busie. A ja? No cóż, nawet nie potrafię włączyć tego cuda... Może ktoś z państwa chciałby mi z tym pomóc? – Viola odchyliła się na krześle, zaśmiała perliście i odpowiadając samej sobie, pokręciła głową. – Nie? No jasne, że nie!

Zerknął na Lenę, dostrzegł jej bladość i przesunął wzrok na Marcina. Urbański siedział w bezruchu podobnie zresztą jak Daniel. Potocka ciągle jeszcze była czerwona, lecz na twarzy już nie miała wzburzenia. Jej mięśnie wyraźnie stężały i bardziej niż żywą osobę przypominała teraz pokrytego purpurową farbą manekina. Z kolei Tomaszewska wydawała się całkiem spokojna. Jej skupione spojrzenie wbite było w przekrzywiony krawat Daniela z intensywnością, która przywodziła na myśl koncentrację hipnotyzera. Próbowwała poprawić go wzrokiem czy raczej uciekała myślami? Nie był w stanie odgadnąć, więc w ostatnim odruchu nadziei zerknął na profil Pawła. Jego duży nos sprawiał wrażenie jeszcze większego i dziwacznie zagiętego do dołu, policzki zassane były do środka, a w bruzdach na czole pojawiły się krople potu.

– Czy jeszcze coś powinniśmy omówić? – Violetta uśmiechnęła się ośmielająco, ale nikt nie odezwał się słowem. – Nie? Nic? Na pewno? – zachęciła ich ponownym pytaniem. – Dobrze. Zatem nie będę już dłużej przeszkadzać. Jestem pewna, że musicie ustalić, które z was przejmie ster po Rafale. Bo ktoś chyba musi, nieprawdaż?

Uśmiechnęła się łagodnie, podniosła z miejsca i powoli skierowała ku wyjściu.

– Panie Pawle, jeszcze jedno... – Odwróciła się na moment i skupiła

spojrzenie na spoconej twarzy Doktorowicza. – Harmonogram i wysokość przelewów...

Paweł poruszył się niespokojnie w fotelu, sapnął, po czym podniósł się z miejsca.

– Nie, nie teraz. – Viola uśmiechnęła się lekko i machnęła bagatelizująco ręką. – Przyszły tydzień w zupełności wystarczy.

– Oczywiście. – Doktorowicz skinął karnie głową i ponownie opadł na krzesło. – Naturalnie. Tak. Rozumiem.

– Świetnie. Poproszę Agatę, aby umówiła nas na spotkanie. A co do nas – wzrok Violetty przesunął się na niego, a jej usta wyduły się delikatnie w pełnym seksualnego podtekstu grymasie – to widzimy się w piątek. Jak zawsze.

Zanim zdołał zareagować, zniknęła za drzwiami, zamykając je za sobą na klamkę. Został sam. Oddzielony od kolegów niewidzialną, lecz wyraźną barierą. Osamotniony i przerażony najbliższą perspektywą. Niczym Tusza, gdy utracił już nadzieję na oddech.